

Janelle Taylor

Mój kochanek, mój wróg

Przekład: Julia Grochowska



Prolog

Santa Fe, Nowy Meksyk

Obie Loggerfield był naprawdę odrażający, zwłaszcza z bliska. Detektyw Hunter Calgary starał się nie oddychać zbyt głęboko. Obie najwyraźniej nie mył się od tygodni. Brud i pot czarną, lśniąca warstwą okrywały każdy centymetr jego skóry i wypełniały bruzdy na twarzy.

Kontakt Obiego z wodą następował tylko podczas deszczu, a i wtedy stary pijaczyna jak mógł, starał się go unikać. Dlatego właśnie w czasie porannego oberwania chmury szukał schronienia na schodach posterunku. I dlatego Hunter wpuścił go do środka.

Na reklamę malowniczego południowego Zachodu, czarodziejskiej krainy, Obie nie za bardzo się nadawał. Na szczęście dla turystów i dla stałych mieszkańców deszcz był w tych stronach rzadkością, Obie żył więc sobie, nikomu nie wadząc, kawał drogi na północ od miasta, w prowizorycznym namiocie rozbitym w cieniu czerwonych, postrzępionych skał.

Posadził zwaliste, brudne cielsko w starym dębowym fotelu i obrzucił Huntera chytrym spojrzeniem.

- Zatrzymacie mnie, panie władzo?

Smród, jaki od niego bił, był nie do opisanego. Składało się na niego tyle różnych zapachów, że w skądinąd bogatym słownictwie Huntera znalazło się tylko jedno określenie: okropność.

- Podwiozę cię za miasto, Obie. Bo jak nie, to ktoś mógłby zechcieć wsadzić cię do paki.

- W pace jest sucho. - W głosie Obiego zabrzmiała nadzieja.

Zza otwartych drzwi gabinetu sierżanta Ortegi dobiegło parsknięcie.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegł go surowy głos, Obie zaczął drapać się w miejscu, które raczej rzadko drapie się przy ludziach. - To jest więzienie, a nie hotel dla przejezdnych.

- Nie jestem przejezdny - burknął.

Hunter powstrzymywał śmiech. Od sześciu lat pracował w policji w Santa Fe i, jak pamięta, Obie rzeczywiście przez cały ten czas mieszkał tylko w swoim namiocie.

Odpowiedź Obiego wyprowadziła z równowagi porywczego sierżanta.

- Powiem ci, kim jesteś, Loggerfield. Wrzodem na dupie! Wynos się stąd natychmiast, śmierdzisz tak, że nie ma czym oddychać. Calgary, zabieraj go!

Hunter sięgnął po kluczyki od dżipa.

- Chodź, Obie, idziemy do domu.

Zrobili jednak zaledwie parę kroków w stronę drzwi, gdy drogę zastąpił im szczupły, siwowłosy mężczyzna o nerwowych ruchach. Ścisnął teczkę tak mocno, jakby od tego zależało jego życie, ale głos miał spokojny i opanowany.

- Detektyw Calgary? - spytał.

Hunter przez chwilę przyglądał się obcemu. Pewnie prawnik. W sprawie jakiegoś klienta. Bogatego klienta, sądząc po fasonie garnituru i lśniących butach.

- Owszem - odpowiedział, przeciągając po teksańsku samogłoski.

Obie z ciekawości oglądał przybysza. Tamten zauważył go i odruchowo zmarszczył nos. Hunter stłumił śmiech. Obie naprawdę robi wrażenie.

- Jestem Joseph Vessver z biura Wessver, Moore, Tate i McNeill. Przyjechałem na pole-

cenie Allena Hollowaya. Pan Holloway chciałby pana zatrudnić.

Hunter nadal spoglądał na niego bez słowa. Nie musiał pytać, kim jest Allen Holloway. Holloway - czy też jego potężna firma - był właścicielem ogromnej części Santa Fe i kilku innych miast w Nowym Meksyku, Arizonie i Teksasie. Zaczynał od jednej teksasko-meksykańskiej restauracji w Dallas. Nazywała się Rancho del Sol i rozrosła się w sporą sieć. Rancho del Sol pojawiły się na całym południowym Zachodzie. Wszystko wskazywało na to, że Holloway zarobił miliony, lokując zyski na giełdzie i w nieruchomościach. Jego nazwisko systematycznie pojawiała się w lokalnej prasie w związku z niezliczonymi aktami filantropii. Był właścicielem biurowcowi domów dla emerytów, wielokrotnie finansował niezależnych filmowców, którzy kręcili swoje dzieła w okolicach Santa Fe. Wszystko to odrywało się w świecie wielkich pieniędzy i w sferach, do których Hunter nie należał i z którymi nie chciał mieć nic wspólnego.

Pytanie zasadnicze: czego może chcieć od niego ktoś taki, jak Allen Holloway? Było wprawdzie coś, co ich łączyło, Hunter jednak wątpił, by Allen zdawał sobie z tego sprawę. A jeśli nawet, to dlaczego szukał go teraz, po tylu latach?

Wessver zmarszczył brwi, jakby myślał o tym samym.

- Słyszałem, że przestał pan pracować w policji? Czyżby pan wrócił?

- Nie. - Hunter zastanawiał się, czy cokolwiek wyjaśniać, ale doszedł do wniosku, że to wyłącznie jego sprawa.

- Rozumiem - powiedział Wessver, nic nie rozumiejąc. Jeszcze raz spojrzął na Obiego i lekko zakasłał. Odór bijący od tego człowieka zwał z nóg. Wsuwając palce pod kłapy przeciwdeszczowego płaszcza, Wessver marzył, by wcisnąć twarz w materiał i uciec od tego smrodu. - Czy mógłbym zamienić z panem parę słów na osobności? - spytał, starając się nie wciągać powietrza.

Hunter westchnął. Zawsze, prawie zawsze, czuł, kiedy zanosilo się na jakieś kłopoty.

- Odwożę Obiego do domu - powiedział znużonym głosem. - Wrócę mniej więcej za godzinę. Woli pan poczekać, zostawić swój numer, pojechać ze mną...

- Zaczekam - padła szybka odpowiedź.

Hunter pożegnał go z błyskiem rozbawienia w oczach. Klepnął Obiego w plecy, z których uniósł się obłoczek kurzu, i obaj ruszyli do drzwi.

Kiedy wrócił na posterunek, zapadał zmrok. Zatrzymał się przed budynkiem, przekręcił kluczyk w stacyjce i siedział przez chwilę, słuchając odgłosów zamierającego silnika. Deszcz ustał, ciemne niebo rozjaśniały punkciki gwiazd. Hunter rozparł się wygodnie na podnieszczonym fotelu.

Lubił Nowy Meksyk. Odpowiadało mu przejrzyste rozrzedzone powietrze i rozległe przestrzenie. Większość życia spędził w Los Angeles, ale po śmierci Michelle coraz trudniej mu było tam wytrzymać. Postanowił więc wyjechać i do dziś nie żałował tej decyzji.

Wściekłość na tamtejszą policję, na prawników, na wszystkich związanych z jego porażką wypaliła się nieco w ciągu ostatnich, na szczęście mało urozmaiconych, sześciu lat, lecz wiara Calgary'ego w sprawiedliwość zmalała niemal do zera. W Santa Fe próbował jeszcze wrócić do pracy w policji, jednak spustoszenie, jakiego dokonały w nim tamte wydarzenia, było zbyt głębokie.

Wypalił się i tyle.

Westchnął, wyskoczył z dżipa i ruszył w kierunku wejścia. Przed miesiącem przestał pracować na tym posterunku, zamierzał posiedzieć na swoim samotnym ranczo i dojść ze sobą do ładu, ale zaglądał tu od czasu do czasu, głównie po to, żeby pogadać z Ortegą. Sierżant nie darował mu tego, że odszedł. Najpierw prosił, potem rozkazywał i tupał z wściekłości, na ko-

niec niechętnie wyraził zgodę.

- Wrócisz - orzekł nieco złowieszczo, wręczając Hunterowi ostatnią wypłatą - szybciej niż myślisz.

W tej chwili Ortegi nie było w zasięgu wzroku. Hunter pchnął drzwi i skierował się do pomieszczeń leżących w głębi. Drzwi od jego dawnego pokoju zamknięto, zapewne na klucz. Nigdzie żywej duszy. Tylko w holu, na rzeźbionej drewnianej ławce, siedział sztywno pan Wessver z teczką na kolanach. Na widok Huntera wstał.

- Mam tu samochód. Czy możemy kontynuować rozmowę w Rancho del Sol, restauracji pana Hollowaya? - spytał. - Chciałby zaprosić pana na kolację, niezależnie od tego, jaką decyzją ostatecznie pan podejmie.

Hunter bez słowa skinął głową i w ślad za niewysokim mężczyzną udał się do jego ciemnozielonego lexusa.

Rancho del Sol w Santa Fe było niskim, pełnym zakamarków budynkiem z *vigas* - ciemnymi, wystającymi na zewnątrz belkami i sklepieniami przejściami z czerwonej, sztucznie postarzonej cegły. Tutejsza kuchnia serwowała autentyczne dania z południowego Zachodu, a także steki, uważane za najlepsze w okolicy. Hunter zwykle zamawiał żeberka i nigdy się nie zawiódł. I dziś już pierwszy kęs rozpląnął mu się w ustach. Chyba nigdy nie zdoła zrozumieć vegetarian.

Joseph Wessver wybrał wino. Hunter nie był specjalnym amatorem win, ale merlot mu smakował; był równie dobry, jak wołowina. Gdzieś w połowie drugiego kieliszka uświadomił sobie, że Wessver tylko udaje, że pije, postanowił więc przejść do sedna sprawy.

- Czego oczekuje ode mnie pan Holloway? - spytał, sadowiac się wygodniej na krześle. Nogi mu zdrętwiały i najchętniej rozprostowałby je na małym spacerze. Był w czarnych dżinsach i szarej, rozpiętej pod szyją koszuli. Jeżeli taki strój nie spełniał wymogów pana Wessvera, to Hunter miał to gdzieś. W Santa Fe nikt się czymś takim nie przejmuje.

- Chciałby, żeby ochraniał pan jego córkę.

- Córkę? - Hunter zmarszczył czoło i wysunął nogę, jak mógł najdalej, nie potrącając swojego znerwicowanego rozmówcy. - Przed czym?

- Przed byłym mężem. - Prawnik z uwagą przyglądał się Hunterowi. Detektyw zamarł. Wiedział, na co się zanosi.

- Jego córka, Geneva, dla przyjaciół Jenny - ciągnął Wessver - była przez krótki czas żoną człowieka, którego interesował wyłącznie jej majątek, lub może bardziej precyzyjnie, majątek, który miała kiedyś odziedziczyć. Ojciec pomógł jej przeprowadzić rozwód i zrobił wszystko, by ten człowiek przez wszystkie te lata trzymał się od niej z daleka.

- Wszystkie? To znaczy ile? - spytał powoli Hunter.

- Piętnaście.

Hunter pociągnął łyk merlota. Nie spuszczał oka z poważnej twarzy adwokata.

- A teraz się pojawił?

- Tak. - Wessver wciągnął powietrze i pozwolił sobie na dramatyczną pauzę.

- Dlaczego wybraliście mnie?

- Pan zna człowieka, o którym mowa.

Hunter miał nerwy napięte jak postronki. Poczul na rękach gęsią skórę. Czekał w milczeniu, aż Wessver cicho dodał:

- To Troy Russell.

Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. Prawnik stłumił uśmiech. Właśnie na to liczył.

- Mam kontynuować?

Hunter szybko skinął głową. Serce biło mu mocno i miarowo. Troy Russell winien był

śmierci jego siostry Michelle.

Rozdział 1

– Ten facet z czternastki cię obserwuje. – Jenny Holloway podniosła wzrok znad rachunków, usiłując nadażyć za swoją przyjaciółką Carolyn Roberts, która z naręczem dymiących talerzy, pełnych przeróżnych włoskich makaronów, lawirowała między stolikami z gracją baletnicy.

- Słucham?

- Ten facet. Przy czternastce. - Carolyn ruchem głowy wskazała drugi koniec sali. W restauracji U Riccarda sala miała kształt litery L, a sklepione łukowato przejście prowadziło do mniejszego pomieszczenia, w którym stały stoliki nakryte obrusami z białego adamaszku. Stolik numer 14 stał tuż za rogiem. Jenny widziała tylko łagodnie migoczące cienie, które rzucały na kamienne ściany rozstawione na stolikach świece.

- Wierzę ci na słowo. Nie widzę czternastki - odpowiedziała w drodze na zaplecze. Poczula na plecach niemły dreszcz. Ktoś ją obserwuje? Od kilku tygodni rzeczywiście miała to dziwne wrażenie, ale kładła je na karb nerwów. Niepokoił ją fakt, że lada moment będzie musiała podejmować decyzje w sprawie pieniędzy, które ma odziedziczyć.

Każde wspomnienie o obietnicy, jaką złożyła jej kiedyś matka, wywoływało łzy. „Odłożyłam coś dla ciebie, Genevo”, szeptała Iris Holloway, leżąc na szpitalnym łóżku. „Jednak dostaniesz to dopiero, kiedy skończysz trzydzieści pięć lat. Chcę tylko, żebyś o tym wiedziała. Kocham cię”. Kilkunastoletnia Jenny, nękana niepewnością i przerażona stanem matki chorej na raka trzustki, potrafiła myśleć tylko o własnym nieszczęściu. Płakała z wściekłości, rozżalona na mamę, że umiera i na ojca, którego związek z kobietą niewiele starszą od Jenny zakończył się później małżeństwem i na zawsze oddalił od siebie ojca i córkę.

Dopiero teraz, po tylu latach, rozumiała, jak mądrze i przezornie postąpiła matka. Gdyby dostała cały należny jej spadek jako młoda dziewczyna, nic by z niego nie zostało. Dziś kieruje się własnym, z trudem zdobytym doświadczeniem, ma piętnastoletniego syna i wie, że potrafi zainwestować pieniądze w to, na czym jej rodzina zna się najlepiej: w restaurację.

Ma wiele powodów do zdenerwowania, I co z tego? Nie wpada w paranoję ani nic w tym rodzaju. Jest ostrożna.

Carolyn dopadła ją przy drzwiach biura.

- Przynajmniej na niego zerknij! Sam seks przez duże S!

Jenny parsknęła śmiechem. To brzmiało zdecydowanie mniej złowieszczo. Dla Carolyn seksowny był każdy facet o sympatycznej twarzy i mocnej posturze. Przez pięć lat pracy w restauracji U Riccarda Jenny nauczyła się odpowiednio traktować wszystko, co miała do powiedzenia o mężczyznach ta drobna, jasnowłosa kelnereczka. Carolyn intensywnie poszukiwała tego właściwego. Jenny zrezygnowała z takich poszukiwań wiele lat temu.

- Chyba sobie daruję - stwierdziła.

- Będziesz żałowała. Pójdzie sobie za parę minut i ominie cię spotkanie z przeznaczeniem.

- Zaryzykuję.

Carolyn smętnie pokręciła głową. Znała powody niechęci Jenny, wiedziała, że dziewczyna wiele wycierpiała w małżeństwie z egocentrycznym, agresywnym facetem i że zdecydowanie zniechęciło ją to do mężczyzn.

Jenny wypatrzyła szefa i skinęła na niego ręką. Alberto Molini był właścicielem restauracji U Riccarda. Carolyn jęknęła.

- Alberto nie może być jedynym mężczyzną w twoim życiu.
- Za późno - roześmiała się Jenny. - Hej, hej! - krzyknęła do pulchnego restauratora, kiedy Carolyn, wyrzucając ręce w górę, zawróciła, by przyjmować zamówienia.

- *Bella!* - Alberto wyciągnął do niej dłonie w serdecznym powitaniu. Jenny popatrzyła na jego pokryte mąką ramiona i fartuch i pomyślała o swoim czarnym swetrze i spódnicy.

- Ani się waż - ostrzegła. - Nie stać mnie na pralnię.

- No to pocałuję cię z daleka - oznajmił, posyłając jej całusy. Zachichotała. Alberto był wnukiem Riccarda, pierwszego właściciela popularnej w Houston restauracji. Pięć lat temu, kiedy Jenny przyszła szukać pracy, Alberto wzniósł oczy do nieba i stwierdził, że jego modlitwy zostały wysłuchane.

- Będziesz mi jak córka - wykrzyknął z radością, biorąc ją w objęcia, jakby naprawdę była dawno zaginionym dzieckiem, które w końcu wróciło do domu. Oszołomiona tym nieoczekiwanym wybuchem entuzjazmu gapiała się, zastanawiając, co się temu człowiekowi stało.

- *Bella!* Spadłaś mi z nieba! Bóg cię zesłał! Modliłem się o ciebie! - Jenny pamięta, że zastanawiała się wtedy, czy to jakiś sposób podrywania.

- Naprawdę?

- O tak! I oto jesteś! Pan Bóg spojrział na biednego Alberta i powiedział: „Pracujesz ciężko i zasłużyłeś na coś pięknego”. I oto jesteś!

Szybko zorientowała się, że Alberto jest równie ekspansywny we wszystkich innych kwestiach. Czuły i szlachetny, był też wymagającym tyranem, przynajmniej jeśli chodziło o restauracyjną kuchnię.

Jenny uśmiechnęła się i zniknęła w swoim małym biurze. Naprawdę czuła się, jakby była jego córką. Okazywał jej więcej rodzicielskiej miłości niż jej rodzony ojciec. Ale kiedy wyznała mu, że chce się przenieść do Santa Fe i otworzyć własną restaurację o nazwie U Genevy, usiłował ją od tych planów odwieść. Załamywał ręce i błagał:

- Zostań ze mną. Będziemy współnikami. Możemy się rozwijać. Nie odchodź!

- Przepraszam cię, Alberto - mówiła łagodnie - ale najwyższy czas, żebym wyjechała z Houston. Muszę zacząć nowe życie.

- Dokąd jedziesz? Co będziesz robiła?

- Jadę na południowy Zachód. Rywalizować z ojcem...

Jenny wciąż nie miała pewności, czy to mądra decyzja. Z ojcem wkroczyli na wojenną ścieżkę i w ciągu ostatnich lat niewiele się w tej materii zmieniło. Była szczęśliwa, że Alberto otoczył ją opieką i choć przez całe życie obracała się w kręgu restauracji Rancho del Sol, to właśnie Alberto naprawdę nauczył ją, jak prowadzi się biznes. Wybór Alberta na nauczyciela był pierwszą dobrą decyzją po całej serii złych, poczynając od małżeństwa z Troyem Russellem.

Nie zamierzała teraz o nim myśleć. Wyszła za Troya głównie po to, żeby uciec od życia z ojcem i jego głupią, anorektyczną żoną Natalie. Temu krótkiemu i nieszczęśliwemu związkowi zawdzięcza przynajmniej jeden cudowny dar - syna. Teraz liczył się w jej życiu tylko Rawley i Jenny miała nadzieję, że przeprowadzka do Santa Fe wyjdzie na dobre zarówno jemu, jak i jej. Alberto może sobie lamentować, ale ona wie, że dokonała właściwego wyboru.

Ojciec też niech się sprzeciwi, ile chce. Nic jej to nie obchodzi. Jest apodyktycznym, chłodnym egoistą, całkowitym przeciwieństwem ciepłego i otwartego Alberta. W ostatnich czasach Jenny prawie nie utrzymywała z nim kontaktów. Od śmierci matki i powtórnego małżeństwa Allena nie była już małą córeczką tatusia. Ani też posłuszną żoną Troya. Była trzydziestopięcioletnią rozwódką i matką i właśnie stała na progu wielkich życiowych zmian.

Popatrzyła na rachunki dostawców. Prawie o nich zapomniała. Wytknęła głowę z poko-

ju.

- *Bella!* - wykrzyknął znów Alberto. Roześmiała się głośno. Ten zwyczaj z czasem przerozdził się w farsę, która bawiła i kucharzy, i kelnerów.

- Chyba znalazłam - powiedziała, pukając w rachunek, na którym opatrzyła znakami zapytania i pozakreślała różne pozycje. Błędów, jak zawsze, było w nim co niemiara. Nie dlatego, że ludzie z Gaines Produce chcieli oszukać Alberta. W ich firmie nieustannie wprowadzano jakieś zmiany. Gdyby to zależało od Jenny, dawno znalazłaby innych dostawców, lecz Alberto uparcie trzymał się Gainesów ze względu na starą przyjaźń. Lekceważąco machał ręką na nieregularne dostawy i brak zapasów, zwłaszcza że to na Jenny spadał obowiązek borykania się z kłopotami.

W jej własnej restauracji takie rzeczy nie będą się zdarzały.

- Dobrze, dobrze - wzrok Alberta powędrował ku ribolicie, tokańskiej potrawie, która choć wyglądem przypominała nadzienie do indyka podawanego na Święto Dziękczynienia, zdaniem Jenny miała niebiański smak. Przygotowywał ją w tej chwili młody, niedawno przyjęty kucharz. Alberto cmoknął, niemal zmiotł go na bok i skrytykował wszystko, co niedoświadczony młodzieniec zrobił źle; nie zwracał przy tym specjalnej uwagi na urażone spojrzenia pozostałych.

Jenny zerknęła na ich twarze. Malowały się na nich różne uczucia: od współczucia do satysfakcji, ale przywiązanie Alberta do detali respektował tu każdy. Albo się człowiek tego nauczył, albo musiał odejść. U Riccarda nie było innej możliwości.

Jenny wróciła na swoje krzesło. Stary, wysłużony mebel skrzypnął znajomo. Sama go przyniosła do tego zagraconego biura. Jeśli miała walczyć z wiecznym bałaganem w rachunkach, należało jej się przynajmniej minimum wygody. Alberto nie przywiązywał do tego żadnej wagi. Jenny pracowała szybko, sumiennie i znała się na swojej robocie.

Nie przeszkadzało jej to, że była rodzinnie związana z tą samą branżą, w której sieć restauracji Rancho del Sol należała do czołówki. Twórcą jej sukcesu, mózgiem i potęgą finansową był Allen Holloway, ale mała Jenny okazała się zdolną uczennicą. Zawsze zamierzał postawić ją na czele firmy. Tak przynajmniej zapowiadał. Potem jednak wszystko się zmieniło i zachwył Jenny dla ojca gdzieś się ulotnił.

Carolyn znów pędziła do kuchni. Po drodze przystanęła przy drzwiach Jenny.

- No i?

- Co: „no i”?

- Widziałas go?

- Kogo? - Jenny zajęła się listą cotygodniowych wypłat.

- Tego faceta! Dobry Boże, nawet nie rzuciłś okiem! Czy ty w ogóle dostrzegasz jeszcze mężczyzn? Ciekawe, co musi taki zrobić, żeby zwrócić twoją uwagę. Jeśli go nie chcesz, to mi go odpal. Idź, no już. W tej chwili!

- Ja...

Carolyn złapała ją za rękę, poderwała z krzesła i powlokła przez kuchnię do sali restauracyjnej.

- Idźże! - ponagliła. - Nie mogę się cały czas tym zajmować. Mam robotę.

- Jak on wygląda? - spytała Jenny. Miała nadzieję, że to ktoś znajomy.

- Wysoki, przystojny brunet. To ci nic nie powie, skarbie.

Wysoki, przystojny brunet. Tak opisywała przyjaciółom Troya, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Zakręciło jej się w głowie z zachwytem, że ten „dojrzały mężczyzna” w niej właśnie się zakochał. Dopiero później zorientowała się, że zakochał się w jej pieniądzech. A jeszcze później, że jego sadyzm graniczy ze zboczeniem...

Wzięła głęboki wdech. Troy odszedł z jej życia, spłacony przez ojca. Nie pochwałała tego pomysłu, ale po cichu była wdzięczna, zwłaszcza kiedy okazało się, że jest w ciąży. Ojciec postawił warunek, że Troy ma zniknąć raz na zawsze. Jednej rzeczy Jenny była pewna: jej eks-małżonek nigdy i dla niczego nie zrezygnuje z żywej, twardej gotówki.

- Jenny - niecierpliwiła się Carolyn. - Idźże wreszcie. Idź! No, idź! Słowo daję, że jeśli go przegapisz, to dostanę tu szau!

- Dobra.

- Dobra? - Carolyn popatrzyła surowo.

Jenny uniosła dłonie na znak, że się poddaje i energicznie pokiwała głową.

- Dobra! Dobra!

- No to w porządku. - Carolyn pomknęła z powrotem ku stolikom, a Jenny stała przez chwilę, z rozkoszą wdychając intensywny aromat czosnku, pomidorów, bazylii i Cebuli, wsłuchana w szmer przyciszonych rozmów, od czasu do czasu przerywany wybuchami śmiechu. Po prawej stronie jeden z kelnerów nalewał siwowłosemu dżentelmenowi ciemnoczerwone chianti do spróbowania. Mężczyzna jakby wyczuł jej spojrzenie i z zachwytem uniósł kieliszek w adresowanym do niej, niemyym toaście.

Przeszła sklepionym korytarzykiem do mniejszej sali. Zwolniła, lekko zaniepokojona. Nie miała ochoty stawiać twarzą w twarz z człowiekiem, który być może ją śledzi. Od czasów, gdy była nastolatką, budziła zainteresowanie mężczyzn. Niebieskie oczy, niesforne kasztanowe loki, teraz spięte na karku szylkretową kłamrą i smukłe, wysportowane ciało przyciągało pełne podziwu spojrzenia. Od rozwodu ubierała się jednak poważnie, niemal ponuro i prawie się nie malowała. Nie trzeba było psychoterapeuty, by zgadnąć, dlaczego. Nie chciała, by ktokolwiek się nią interesował. Nigdy więcej.

Z wahaniem zajrzała do środka. Kamienne ściany wysokiego i wąskiego pomieszczenia pokryte były kremowym tynkiem, sufit sklepiał się łukowato. W kryształowych soplach ciężkich żyrandoli załamywało się światło. Niżej lśniły zastawa i biały adamaszek obrusów. Sala była przytulna, ale Jenny przeszedł dreszcz. Z prawej strony dobiegł męski głos. Drgnęła zaskoczona.

Ktoś mówił po włosku, z marnym akcentem.

- Madam, tej *insalata Caprese* czegoś brakuje, choć ocet balsamiczny niewątpliwie dodaje wdzięku. Proponowałbym inną oliwę z oliwek, może coś o głębszym aromacie i uczuciu.

Jenny stała z otwartymi ustami. Zamrugła, a potem surowo spojrzała na mówiącego. Ciemnowłosa mężczyzna o bardzo znajomym, młodzieńczym głosie, trzymał oprawione w ciemnoczerwoną skórę menu. Wyciągnęła rękę i jednym palcem odsunęła menu sprzed przystojnej twarzy swojego syna. Rawley. A więc to on ją „obserwował”. Poczula ulgę i rozbawienie.

- A ty co tu robisz? - spytała zdumiona, że łaskawie zechciał ją odwiedzić. Jej piętnastolatek był dość niesfornym młodzieńcem.

W niebieskich oczach, takich jak jej, błysnęło rozbawienie. Rawley był jednak również podobny do ojca, a to napełniało Jenny strachem. Troy był - i zapewne nadal jest - zatwardziałym despota i zbirem. W ciągu kilku krótkich miesięcy, które przeżyli jako małżeństwo, Jenny nauczyła się go bać. Musiała zmobilizować całą odwagę, żeby go opuścić.

Niewypowiedziane „a nie mówiłem” Allena zadało wtedy ostateczny cios jej dumie. Świadomość, że w gruncie rzeczy ojciec kupił jej wolność była tak upokarzająca, że Jenny z trudem przypominała sobie jakiegokolwiek szczegóły.

To wszystko przeszłość. Troy też należy do przeszłości i choć czasem ciążyła jej myśl, że Rawley nigdy nie poznał ojca, wiedziała, że tak jest lepiej. Nie powinien go znać.

- Właśnie mówiłem o sałatce - odezwał się Rawley tonem znawcy włoskiej kuchni.

- Brzmiało to jak skargi Alberta - droczyła się delikatnie. Musiała uważać. Chłopak przeżywa ostatnio gwałtowne zmiany nastroju i w jednej chwili mógł przejść od czułości do arogancji.

Posłał jej olśniewający uśmiech, buńczuczny, pełen życia i radości. Nic dziwnego, że bez przerwy wydzwaniały do niego dziewczyny. Ten uśmiech, niestety, też przypominał Jenny Troya. Zakochała się przecież w jego urodzie, zbagatelizowała niedojrzałość i nie do końca skrywaną brutalność.

Ojciec oczywiście od samego początku był przeciwny temu związkowi. I to naturalnie pchnęło Jenny w ramiona Troya.

- Po pierwsze, to nie jest *insalata Caprese*. Nie ma tu ani odrobiny octu balsamicznego, ani oliwy z oliwek. Masz tu, kolego, najwykolejszą amerykańską ogrodową sałatę. Jedyna zielonina, jaką, o ile wiem, jadasz. Dla twojej informacji: *insalata Caprese* składa się z plasterków pomidorów, świeżej mozzarelli i świeżych listków bazylii. Kiedy ostatni raz ją podałam, krztusiłeś się, przyprawiając o obrzydzenie i mnie, i naszego gościa, Benjamin.

Rawley uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Benjamin to miał głęboko w nosie.

Jenny stłumiła śmiech. Benny był wielkim, obszarpanym kundlem z sąsiedztwa. Potrafił w ciągu sekundy zmieść ogonem wszystko, co stało na stoliku do kawy. Jenny bez przerwy go przeganiała, a kiedy tylko się odwracała, Rawley przyprowadzał to wesołe psisko z powrotem.

- Wydawało mi się, że wybierasz się wieczorem do Janice i Ricka.

- Miałem trening piłkarski o trzeciej. Rick przyszedł popatrzeć, ale potem wolałem po prostu sobie pójść. - Wzruszył ramionami.

Wyglądało na to, że ostatnio Rawley traktował sąsiada Ricka Ferguso-na jak zastępczego ojca. Od dawna chciał być czyimś synem, wszystko jedno czyim. Doskonale to rozumiała, ale wciąż nie miała ochoty na rozmowę o prawdziwym ojcu. Kilka miesięcy temu znalazła w rupieciach Rawleya, wśród zdjęć bejsbolistów, fotografię Troya. Chłopak nigdy o nic nie pytał, ale widać było, że tęskni za tym, by mieć ojca i Jenny podejrzewała, że poważna rozmowa na ten temat jest tylko kwestią czasu.

Często zastanawiała się, co myśli Rawley. Troy nigdy się z nim nie kontaktował, a to trudna sytuacja dla chłopaka, który widzi, jak ojcowie jego kolegów kibicują synom na meczach futbolowych i uczestniczą we wszystkich ważnych szkolnych wydarzeniach. Jenny liczyła się z tym, że skrywane emocje lada moment eksplodują. I nic nie mogła na to poradzić.

- Powiedziałem Janice, że chciałaś, żebym tu przyszedł. Alberto pozwolił mi zamawiać, co tylko chcę.

- Jasne - mruknęła Jenny. - Umówiłeś się z Janice, czy mam odwieźć cię z powrotem?

- Pójdę na piechotę.

Jenny omal się nie zakrztusiła. Mieszkali kilka kilometrów stąd, a wie-lopasmowa autostrada, która prowadziła do domu, nie była najlepszą trasą spacerową dla dzieciaka, zwłaszcza po zmroku. Jednak Rawley nie lubił nadopiekuńczych gestów. Przekraczał właśnie próg męskości i stąpał teraz po kruchym lodzie. Jedno niewłaściwe słowo Jenny mogło ich rozdzielić na dobre.

Na razie nie protestował przeciw przeprowadzce do Santa Fe. Jeśli jakoś ją zaakceptuje, wszystko się ułoży.

- Wolałabym, żebyś pojechał. Będzie bezpieczniej. - Podniosła rękę, by uprzedzić jego protest.

- Nic mi się nie stanie.

- Wiem...

- Nic się nie stanie. W ogóle mi nie ufasz.

- Nie tobie - parsknęła ze złością - tylko wszystkim innym! Dobry Boże, przecież wiesz, jak jeżdżą w Teksasie! Nie zniosłabym myśli, że idziesz sam do domu. To bardziej dotyczy mnie niż ciebie.

Rawley wzniosł oczy w górę.

- Nie mam pięciu lat.

- Wiem. - Rozejrzała się, nie chciała tej sceny. - Muszę wracać do pracy. Jeśli Janice nie może przyjechać, odwiozę cię.

Rawley zeszywniał i znów skrył się za menu. Jenny westchnęła. Jeszcze rok temu byli dobrymi przyjaciółmi. Inne matki przestrzegały ją przed problemami okresu dojrzewania, a mimo to wciąż beztrudnie wierzyła, że Rawley, którego doskonale maniery były przedmiotem podziwu i zazdrości, nie stanie się taki, jak inni chłopcy w jego wieku. Zdumiewała ją zmiana, jaka w nim zaszła.

Wróciwszy do pokoju, wystukała numer Janice, sąsiadki i przyjaciółki. Janice i Rick mieszkali tuż obok jej wygodnego, piętrowego apartamentowca, w którym zajmowała lokal na pierwszym piętrze. Ponieważ byli prawnymi właścicielami Benny'ego, Jenny odnosiła się do psa z większą tolerancją, niż na to zasługiwał, co zachęcało go do przekraczania ich wycieraczki równie często, jak własnej.

- Halo? - Janice najwyraźniej była wykończona. Do uszu Jenny dobiegła z oddali kakoфонia dźwięków.

- Nie w porę? - spytała.

- Och, cześć, Jenny. To bliźniaki. Nie potrafią grać razem w żadne gry. Becky szachruje, a Tommy rzuca w nią kostką i pionkami.

Z opowieści rodziców wynikało, że siedmiolatki Janice przechodzą trudny okres. Prezentowały ten rodzaj zachowań, jakiego, ku swej cichej satysfakcji, Jenny nigdy nie widziała u Rawleya. No proszę, jak wszystko potrafi się zmienić.

- Coś nie w porządku? - spytała Janice. - Nie jesteś w pracy?

- Jestem, jestem. Rawley jest tutaj. Chciałam tylko sprawdzić.

- Mówił, że nie masz nic przeciwko temu. - Gdzieś w tle Becky zaczęła żałobne zawodzenie. - Jenny? Możesz zadzwonić za chwilę? Muszę ich tylko zająć czymś i zaraz będę mogła rozmawiać.

- Nie szkodzi. Wszystko w porządku. Później pogadamy. Dzięki, że masz oko na Rawleya.

Odłożyła słuchawkę z głębokim westchnieniem. Coraz trudniej przychodziło jej prosić o coś Fergusonów. Bliźniaki robiły się nieznośne, a starszy syn Brandon, rówieśnik Rawleya, też nie należał do aniołków. Układ, który kiedyś funkcjonował znakomicie, kruszył się teraz w szybkim tempie. Ale nie było rady. Rawley jest za duży, żeby zatrudniać do niego opiekunkę i zbyt krnąbrny, żeby pozwolić mu na pełną samodzielność.

A co masz zamiar robić w Santa Fe?

- Zacząć od początku - powiedziała głośno, jakby rzeczywiście ktoś zadał jej pytanie.

Trudno, trzeba liczyć na to, że krótkie wspólne wakacje pomogą przetrwać ten przełomowy okres. Oboje z Rawleyem zostali zaproszeni do Puerto Vallarta, gdzie przyjaciele Jenny wynajmowali cudowny pałac na zboczu wzgórza. Dojechać do niego można było tylko krętą, kamienistą drogą, za to na miejscu czekała pełna obsługa, łącznie z kucharzem, pokojówkami i ogrodnikami oraz osiem pokoi, każdy z łazienką, basen w kształcie nerki i dżip do wynajęcia na cały tydzień.

Czas na zacieśnianie więzów rodzinnych. I na zabawę. I na poukładanie różnych spraw.

Wróciła do Rawleya. Wcinał porcję ravioli z włoskimi kielbaskami. Popatrzył na nią przeciągle.

- Dzwoniłam do Janice, ale musiała rozdzielać bliźniaki. - Rawley chrząknął, przyjmując to do wiadomości, co dodało Jenny odwagi. - Zawiozę cię do domu. Za chwilę będę wolna. - Było to kłamstwo, więc Jenny w myślach skrzyżowała palce.

- Mogę iść. Mam dwie nogi.

- Nie kłóćmy się.

- Kiedy masz zamiar pozwolić mi być sobą?

Miała ochotę głośno się roześmiać.

- A kiedy ci na to nie pozwalałam?

- Teraz!

- Cóż... - mówiła łagodnie, ale stanowczo. - Alberto zafundował ci obiad, bo cię lubi. Zachowuj się przyzwoicie w jego restauracji.

- Zachowuję się. Poza tym Romeo stwierdził, że nie chce, żebym umarł z głodu. Sam kazał mi wziąć dwie kielbaski.

Rawley nazywał Alberta Romeo. Widział, jak czaruje z włoską każdą kobietę, która pojawiała się w lokalu. Te ostentacyjne flirty nieustannie bawiły Rawleya, choć zarówno Jenny, jak i wszystkie klientki wiedziały, że to żarty.

- Lubi cię - powiedziała Jenny.

- Wiem. - Uśmiechnął się szeroko.

- Więc przestań wykorzystywać jego czulą naturę. Nie śmieję się. Mówię poważnie.

Tym razem Rawley nie protestował. Jenny miała nadzieję, że z kwestią kłopotliwego zachowania jej syna jakoś sobie poradzi. Wiedział, kiedy zachowuje się jak smarkacz, choć czasem trzeba było mu to wytknąć.

Obejrzała się. Ma jeszcze tyle roboty. Czy rzeczywiście może wyjść? Chyba tak. O ile jutro, w niedzielę, znajdzie parę godzin, żeby tu wpaść i załatwić kilka spraw. Jej urodziny...

- Będę gotowa, jak skończysz - powiedziała na zakończenie dyskusji. Skinął głową. Ze zdumieniem popatrzyła, jak bez trudu wcisnął do ust pół kielbaski. W drodze powrotnej do kuchni znów poczuła dreszcz na plecach. Co, u licha, się dzieje? Nigdy łatwo nie ulegała nastrojom. Znalazła Alberta.

- Wychodzę - oznajmiła z nutą żalu. - Muszę odwiedzić syna, poza tym powinnam spędzić z nim trochę czasu. - Pogroziła mu palcem. - I nie pozwalaj, żeby owijał sobie ciebie wokół palca.

- Jest dla mnie jak wnuk. Wszystko, co mam, należy do niego. - Błysk w ciemnych oczach zdradzał, że Albert żartuje. Był niepoprawny.

- Hm. - Jenny udawała, że się gniewa.

- Ten chłopak musi jeść. Musi być silny. - Alberto zadarł podbródek i napiął mięśnie. - Żeby był mężczyzną i opiekował się swoją mamą.

- Och, jasne - mruknęła.

Alberto roześmiał się głośno, a Jenny pokręciła głową. Dyskusje z nim nie miały sensu. Zawarli z Rawleyem ciche porozumienie, męski pakt. Nie miała tu nic do powiedzenia.

Pięć minut później, trzymając w garści plik papierów, po raz ostatni wyszła z biura. Na chwilę zatrzymała się w kuchni, w samym sercu restauracji. Obok niej przemknęły porcje parujących kalmarów i eskalopek z masłem czosnkowym, a potem aromatyczne *osso bucco*. Uwielbiała wykwintnie brzmiące nazwy dań i zapachy, od których ślinka napływała do ust. To była rozkosz dla oczu i nosa.

Lada moment zajmie się swoją Genewą. Jak tylko skończą się prace wykończeniowe, wkroczy tam fantastyczna kucharka, która już czeka na tę chwilę. To w dużej mierze z powodu Glorii Jenny zdecydowała się na Santa Fe. Gloria, pół Indianka Hopi, pół Meksykanka, która w kuchni potrafi wyczarować cuda, urodziła się w okolicach Santa Fe i podobnie jak Alberto była niezwykle wymagająca, a jej perfekcjonizm przekładał się na potrawy o nieopisanym smaku. Kiedyś pracowała u ojca Jenny, który próbował zrobić ją na modłę Rancho del Sol, co, oczywiście, gwarantowało katastrofę. Od samego początku szły iskry. Iskry? Nie, to był raczej wybuch wulkanu. Gloria prosto z mostu odmówiła więc pracy dla kolejnego członka rodziny Hollowayów. Kiedy Jenny wyjaśniła, jak układają się jej kontakty z ojcem, zamasyściła podpisała umowę, gotowa zagrać na nosie człowiekowi, którego uważała za „idiotę w sprawach jedzenia”. Jenny z zachwytem przyjęła tak upartą i utalentowaną sojuszniczkę.

Znów uśmiechnęła się do siebie. Za parę tygodni obie z Glorią będą urobione po łokcie, ale teraz czekają Puerto Vallarta. A Jenny zamierzała wykorzystać ten wyjazd także od strony zawodowej. Jeśli znajdzie tam coś, co dobrze wygląda i ładnie pachnie, namówi Glorię, żeby to wypróbować.

Tak przynajmniej miało to wyglądać w teorii.

Alberto stał właśnie nad kucharzem, którego niedawno zbeształ. Młody człowiek wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować, lecz choć raz szef utrzymał język za zębami. Niezależnie od tego, jaką kwestię zamierzał wygłosić, nie zdradził jej na razie imbrykom i patelni do głębokiego smażenia, które syczały i bulgotały na palnikach.

- Gdybyś kiedykolwiek miał ochotę zagonić swojego specjalnego klienta do mycia talerzy, pozwalam ci w każdej chwili postawić go przy zlewie - oznajmiła Jenny.

- Ach, *bella*, jesteś okrutna. - Alberto rozłożył ręce, odsuwając się od młodego kucharza, co znacznie uspokoiło atmosferę. Przynajmniej na jakiś czas. - Jest taki szczupły. Musi jeść moje makarony, żeby mieć siłę.

- A dlaczego klepiesz się po brzuchu, kiedy to mówisz?

- Och, zabawna z ciebie kobieta.

Pogłaskała ją pod brodą i pomachał na do widzenia. Jenny zamknęła drzwi biura i przekręciła klucz. Nareszcie w drogę... Carolyn złapała ją w dużej sali.

- Widziałaś go?

- Owszem. - Uśmiechnęła się do przyjaciółki. - Rzeczywiście jest bardzo przystojny. Może odrobinę za młody, ale w końcu cóż znaczy dwadzieścia parę lat...

Carolyn stała kompletnie zaskoczona.

- O czym ty mówisz?

- O Rawleyu. Znalazłam go. Ma kłopoty, choć nawet nie wiem, czy zdaje sobie z tego sprawę. Nie może tak po prostu pojawiać się i liczyć na poczęstunek tylko dlatego, że ja tu jestem. Cholernie dobrze potrafi wykorzystywać okazję.

- Rawley?

- Tak, Rawley... - Jenny urwała. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że chłopak nie siedział przy stoliku numer 14. Zajął jedenastkę.

- Nie chodzi o niego! Tamten to kawał byka! - oznajmiła Carolyn. - Idź tam! Może jeszcze jest! Chcę, żebyś go zobaczyła. Jak weszłaś, tak na ciebie popatrzył... Rany. A potem, jak przechodziłaś, kiedy przyjmowałam od niego zamówienie... nie zdawał sobie sprawy, że to widzę, po prostu wlepił w ciebie gały! Jakby chciał jak najwięcej zapamiętać.

- Poważnie?

Kiwnęła głową.

- Robił sobie w głowie notatki. Dziwne, że tego nie poczułaś.

- Przerażasz mnie, Carolyn.
- Och, nie. Nie było w tym nic złego. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby patrzył tak na mnie.
- Ale ja mam.
- Słuchaj, facet jest sexy. Tyle ci powiem. Idź i sama zobacz. Czternastka...
Jenny z niepokojem jeszcze raz podeszła powoli do sklepionego przejścia. Przesunęła wzrok od Rawleya do pustego stolika numer 14. Jej serce biło szybko. Czuła suchość w ustach. Niepotrzebnie tak się denerwowała.
- Chodź - powiedziała do syna, na wszelki wypadek po raz ostatni obrzucając wzrokiem ciemnawe kąty. - Wracamy do domu.

Cienki, złoty księżyc wzeszedł nad gąszczem biurowców, niemilo przypominających o życiu wielkiego miasta. Przed restauracją U Riccarda Hunter czekał w swoim dziupie. Był zmęczony. Jechał z Santa Fe do Houston bez zatrzymywania się, a i na miejscu niewiele miał okazji do spania. Leżał na twardym motelowym łóżku i patrzył w sufit.

Jego znużenie miało też inne głębsze źródło. Sięgało długich godzin i utraconych nadziei. W ciągu ostatnich sześciu lat spędzonych w Santa Fe zdołał je opanować, ale od chwili, gdy Joseph Wessver wymienił nazwisko Troya Russella, wróciło ze zdwojoną mocą. O tak, jakaś część Huntera Calgary'ego wciąż chciała dopaść Russella. Ciągłe pojawiał się cień nadziei, choć w nieskończoność przypominał sobie twarde: „dowodów brak”.

Troy Russell zabił Michelle Calgary. Jakby przyłożył jej pistolet do skroni i nacisnął spust. Hunterowi nie trafiał do przekonania argument, że Michelle sama skoczyła z dachu dziesięcioletniego apartamentowca, w którym mieszkała w pobliżu La Cienega Boulevard w Los Angeles. Wiedział, że za tę śmierć odpowiada Russell i z tego powodu stracił pracę w policji w L.A.

Nie był w stanie przekonać nikogo, że Michelle, która miała lęk wysokości, nigdy nie przysłoby do głowy, by w ten sposób zakończyć życie. Troy Russell przez kilka lat dręczył ją fizycznie i psychicznie, po czym zepchnął z dachu budynku. Taka była teoria Huntera. Wiedział od siostry, że załamała się, zamierzała odejść od Troya i złożyć dokładne zeznania, by za wszelką cenę posłać go za kratki, jednak to nie wystarczało, by dowieść, że Troy był z nią tamtego dnia na dachu.

Ale Hunter wiedział...

Zamknął oczy i poczuł, jak ogarnia go znajome znużenie. Przez kilka lat radził sobie z nim, jak potrafił, ale znów powróciło. Wypalenie. Niedobrze. Nic nie jest w stanie go zainteresować. W Santa Fe doszedł trochę do siebie, ale kiedy przyszło co do czego, akumulatory okazały się wyczerpane.

Obiecał jednak strzec córki Allena Hollowaya. Jako ochroniarz. Chronić ją przed Troyem Russellem, byłym mężem.

To go w końcu poruszyło.

Westchnął na wspomnienie spotkania z Wessverem, a potem z samym Hollowayem. Dowiedział się wiele i o nim, i o córce, a także o ich stosunkach z człowiekiem, którego doprowadzenie przed oblicze sprawiedliwości było dla Huntera najważniejszym celem w życiu. Zgodził się więc na rolę opiekuna Jenny i wtedy usłyszał, że dziewczyna nie ma pojęcia ani o planach ojca, ani o czającym się w mroku niebezpieczeństwie.

- Nie będzie zachwycona, że się wtrącam - uprzedził Allen Holloway. - Jeśli padnie moje nazwisko, nie pozwoli się panu zbliżyć. A ja chcę, żeby był pan blisko. Teraz bardziej niż kiedykolwiek, ponieważ Russell zaczyna naciskać. Facet jest brutalem i szaleńcem i teraz chce

mojej córki bardziej niż pieniędzy.

- Tak powiedział?

- Nie. Chce podnieść stawkę. Więcej pieniędzy. Gdyby to było tylko to, z przyjemnością bym ustąpił. Ale na tym nie koniec. Może wiedzieć o chłopcu. Nie jestem pewien. Jenny od bardzo dawna trzyma się w cieniu, Troy po rozwodzie wyjechał z Teksasu, ale teraz wrócił. Dzwonił do mnie z hotelu Warwick. Tam nie jest tanio. Żyje na wysokiej stopie. Musi, jeśli chce zdobywać kobiety.

Słowa Hollowaya kłuły Huntera jak szpilki. Michelle dała się nabrać na urodę Troya Russella, jego nieskazitelny urok i najwyraźniej niewyczerpane zasoby pieniędzy. Pieniądzy należących do Hollowaya.

- Chcę, żeby była bezpieczna. Za mniej więcej tydzień leci do Puerto Vallarta. Proszę... - Pchnął w stronę Hollowaya bilet lotniczy. - Niech pan nie spuszcza jej z oka. Wolę płacić panu niż Russellowi - dodał zdecydowanym tonem.

No więc siedzi tu i ją obserwuje. Cały czas od chwili spotkania z jej ojcem. Ale nie robi tego dla pieniędzy, tylko dla Michelle, dla samego siebie, a także, owszem, dla bezpieczeństwa Jenny. A przy okazji wkracza w jej życie, czekając pod domem jeszcze długo po zgaszeniu ostatnich świateł. To, co zaczęło się jako praca, szybko stało się obsesją. Wszystkie uczucia sprowadzały się teraz do wyczerpania i ulgi.

Pomysł, jeśli przyjrzeć mu się z bliska, był dość szalony, ale Hunter cieszył się, że musi się na czymś skupić, że ma jakiś cel. Rzucił pracę w policji w Santa Fe i zaszył się na małym, zaniedbanym ranchu, co wydawało się bezsensowne, ale w tym czasie nie był w stanie robić czegokolwiek innego.

Z zamyślenia wyrwały go jakieś głosy. Od strony tylnego wejścia do restauracji nadchodziła Jenny w towarzystwie smukłego nastolatka. Szli do samochodu. Hunter już ją rozpoznawał - Geneva Holloway Russell, choć jeszcze przed sfinalizowaniem rozwodu zrezygnowała z mężowskiego nazwiska. Chłopak jest jej synem. Rawley Holloway. Nie nosi nazwiska Russell. Z punktu widzenia Huntera to dobry znak.

Patrzył, jak podchodzą do błękitnego volva. Przekreślił kluczyk w stacyjce i odczekał, aż samochód Jenny niemal zniknie z pola widzenia, po czym ruszył za nią. Kiedy zjechała na parking przy swoim apartamen-towcu, minął ją, okrążył bocznymi uliczkami zespół bloków i wrócił w chwili, gdy w sypialni Jenny zapaliło się światło. Zaparkował po drugiej stronie ulicy i wyłączył silnik.

Dom był czteropiętrowy. Ktoś, kto spadłby tu z dachu, mógłby przeżyć, pomyślał ponuro.

Obok przejechał powoli jakiś samochód, minął najbliższą przecnicę i dodał gazu. Hunter zapamiętał numer rejestracyjny, ale auto wyglądało na wynajęte. Nie pojawiło się więcej, mimo to zapisał numery. Możliwe, że tej nocy nie on jeden obserwuje Jenny.

Wreszcie światło w sypialni zgasło. Hunter usadowił się wygodniej w fotelu i zapadł w niespokojną drzemkę. Mijały godziny. Kiedy zaczęło szarzeć, uruchomił silnik i ruszył do wyciągniętego motelu za pętlą autostrad opasujących centrum Houston. Stojąc w ciemności na środku pokoju, wdychał zapach stęchlizny i dawno nieużywanego pomieszczenia. Przez chwilę ogarnęło go pragnienie, by wrócić na rancho. Chciał znów być sam.

Szkoda, że nie mam psa.

Zdziwił się, że przyszła mu do głowy tak zwyczajna myśl.

Zapalił lampę na biurku i rzucił okiem na papiery przygotowane do podróży i opatrzone jego nazwiskiem. Obok biletu lotniczego leżał jaskrawo czerwony folder reklamowy hotelu Rosa.

- To nad samą zatoką- powiedział Holloway. - Hotel z barem i ogromną restauracją pod gołym niebem. Strzecha na dachu. Podobno autentyczna, cudowna meksykańska kuchnia. Jeśli to prawda, Jenny na pewno będzie chciała spróbować ich potraw. Uważa się za restauratora i wiem, że remontuje jakiś lokal w Santa Fe. Jeśli pokręci się pan w tamtej okolicy, może pan ją spotkać. Tam bywa każdy.

Hunter zareagował tylko na jedną informację, która lekko go zaskoczyła.

- Santa Fe?

- Chyba będziecie sąsiadami. - W głosie Allena dało się wyczuć niezadowolenie. - Otwiera restaurację na jednej z tych pretensjonalnych, artystowskich uliczek. U Genevy. Na pamiątkę babki, po której odziedziczyła imię. Tak jest, wiem o niej więcej, niż jej się zdaje, ale chcę, żeby pan dowiedział się jeszcze więcej.

Hunter patrzył na bilet i prospekt. Było w tym całym układzie coś mętnego, co w innej sytuacji by go zaniepokoiło. Ale przede wszystkim chciał dopaść Troya Russella.

Niczego na świecie nie pragnął bardziej.

Rozdział 2

Tyle jeszcze roboty... Jenny wykreśliła jedną pozycję z listy i westchnęła, patrząc na pozostałe dwadzieścia dwie. Wszystko się na nią wali, a za tydzień wyjazd do Puerto Vallarta.

Mieszkanie zadrżało od dudnienia głośników w pokoju Rawleya. Wstrząs dałby się chyba zmierzyć na skali Richtera. Jenny przemaszerowała przez hol i głośno zastukała w drzwi.

- Rawley!

Ani przez chwilę nie łudziła się, że ją usłyszy. Musiałby zachować czujność ściganego zwierzęcia, żeby przez ten koszmarny hałas dotarło do niego cokolwiek. Waliła otwartą dłoń, aż zapiekła ją ręka, w końcu przekreśliła gałkę i uchyliła drzwi.

- Hej! - wrzasnął oburzony Rawley. - Należy mi się chyba odrobina prywatności!

- Pod warunkiem, że od twojej muzyki nie trzęsie się pół miasta. - Powiódł za nią rozwścieczonym wzrokiem, gdy podchodziła do głośników, by ściszyć muzykę. - Są pewne zasady. Nie ja je ustalałam. Muszę ich po prostu przestrzegać, ponieważ podpisałam takie zobowiązanie. I nie pozwolę na to, żeby wyrzucono nas stąd na dwa tygodnie przed wyprowadzką w końcu miesiąca.

Zza łóżka Rawleya warknął w odpowiedzi Benny. Jednym susem przemierzył pokój i skoczył na Jenny, zostawiając na jej dzinsowej koszuli ślady ubłoconych łap.

Ledwie zdołała opanować wybuch złości. Złapała psa za obroź, zaciągnęła do drzwi i wypchnęła na podest, z którego schodziło się na ulicę. Brudas natychmiast próbował zawrócić i wepchnąć się z powrotem, ale Jenny stanęła w rozkroku, blokując przejście.

- Na litość boską, idźże do domu - powiedziała zirytowana.

Chwilę później zatrzasnęła drzwi i wróciła do pokoju Rawleya. Muzyka była nieco głośniejsza, niż kiedy wychodziła, ale przynajmniej nie groziła pęknięciem bębenków.

- Na dywanie są ślady błota. Proszę je wyczyścić - powiedziała tonem, w którym brzmiało ostrzeżenie na wypadek, gdyby to uzasadnione żądanie zostało zlekceważone.

Cicho zamknęła za sobą drzwi i wzięła głęboki oddech. Świetne urodziny, pomyślała. Jutro na jej konto wpłynie spadek i jakoś specjalnie jej to nie cieszy. W tej chwili miała ochotę tylko usiąść i płakać.

Rawley zapomniał o jej urodzinach.

Niby czemu miałby pamiętać? W ogóle o nich nie wspomniała. A poza tym nie słyszała, by nastolatki interesowały się kimkolwiek poza sobą. Czy też była taka w młodości? Tak zaabsorbowana sobą, że zapominała o urodzinach rodziców? Nie. Zawsze pamiętała o mamie. To było ważne.

Wycierając ślady pazurów Benny'ego z koszuli i spodni, wróciła myślą do przeszłości. Matka bardzo długo chorowała. Wydawało się, że trwało to wiecznie. Jenny na zmianę to złościła się na nią, to wpadała w rozpacz. Iris Holloway odeszła cicho. Jenny wkraczała wtedy w wiek dojrzenia i za dnia udawała, że ze stoicyzmem przyjmuje tę śmierć, ale nocami, w samotności swojego pokoju długo płakała gorzkimi łzami.

W tym samym czasie urwały się tak bliskie kiedyś kontakty z ojcem. Cztery miesiące po śmierci Iris Allen ożenił się z Natalie, która tuż przed dniem ślubu ukończyła dwadzieścia jeden lat. Dni, miesiące i lata, które Jenny spędziła potem w szkole średniej, zlewały się w jeden, niewyraźny obraz; dopiero spotkanie z Troyem Russellem pozwoliło jej się na czymś naprawdę skoncentrować.

Cóż za pomyłka! Wyszła za niego w tajemnicy i spędziła sześć upiornych miesięcy w

małżeństwie, które jej ojciec usiłował przerwać na wszelkie możliwe z prawnego punktu widzenia sposoby. Skończyło się tym, że uciekła od Troya, gdy po raz kolejny pchnął ją na gipsową ściankę działową tak mocno, że ta pękła.

Jenny opanowała mimowolny dreszcz. W ciągu ostatnich piętnastu lat stworzyła sobie i Rawleyowi nowe życie, rzadko wspominając tamte mroczne czasy. Przeszła przez ogień i tylko lekko się poparzyła. Niewielu się to udaje.

Z niespodziewaną energią ruszyła na poszukiwanie środka do czyszczenia dywanów. Może, co prawda, prosić Rawleya, żeby zajął się plamami, ale czasami wolała sama wykonać jakąś paskudną robotę, niż wdawać się w wojnę.

Wyszorowała najbrudniejsze miejsca na dywanie w holu, po czym postawiła niebieski pojemnik z odplamiaczem na krawędzi kuchennego blatu. Miała ochotę na herbatę. To jasne, że jako nastolatka popełniała mnóstwo błędów, ale nigdy nie była tak krnąbrna, jak jej syn. Czy to kwestia płci, czy czasów, a może po prostu fatum? Niezależnie od przyczyn Rawley dzisiejszym hałasem wyraźnie chciał coś zademonstrować.

Znów napłynęły wspomnienia. Pierwsze spotkanie z Troyem tamtego lata, po ukończeniu szkoły średniej, kiedy miała przygotowywać się do college'u. Myślała wtedy tylko o Natalie: jak trzyma za rękę ojca, jak piszczy niczym mała dziewczynka, kiedy Allen kupuje jej biżuterię, jak trenuje tenisa pod okiem osobistego trenera, który nieco zbyt znacząco mrugał do Jenny za każdym razem, gdy pojawiała się w pobliżu. Wszystko to było odrażające i Jenny całymi godzinami krążyła bez celu swoim błękitnym mercedesem z opuszczanym dachem, marząc, by coś się wydarzyło.

Zagubiona i zła szukała ucieczki i właśnie wtedy wpakowała się samochodem na zdezelowanego dodge'a Troya. Zaparkował na miejscu zarezerwowanym dla Hollowayów, pod najstarszym Rancho del Sol w Houston. Nie chciała go stuknąć. Zdenerwowana przycisnęła pedał gazu zamiast hamulca i ostro walnęła w tył jego wozu. Wyglądał komicznie z wyrazem przerażenia na twarzy, gdy Jenny wyskoczyła z kabrioletu i w kółko go przeproszała, aż w końcu opadła z sił, bo Troy odpowiadał jedynie monosylabami.

- Przepraszam - powiedziała po raz setny. - Za wszystko zapłacę.

- Nic nie szkodzi - odezwał się wreszcie. - Nie powinienem był tu parkować.

- Ach, nie! - Jenny koniecznie chciała wziąć na siebie odpowiedzialność. - To moja wina. Proszę wejść. Moje ubezpieczenie...

I w ten sposób Troy został przedstawiony Allenowi. Tak jak w dzieciństwie, pozwoliła, by ojciec zajął się wszystkim. Okazało się, że Troy szuka pracy. Skończył zarządzanie na Uniwersytecie Berkeleya, tak w każdym razie twierdził, i chciał pracować w branży restauracyjnej. Było to kłamstwo od początku do końca, ale na dowód przedstawił sfałszowane referencje, więc Allen, szczęśliwy, że w prosty sposób może załatwić sprawę wypadku córki, z miejsca go zatrudnił.

Troy był ulubieńcem wszystkich. Nawet w czasie największych tekasa-skich upałów potrafił zachować zimną krew. Jenny podziwiała go za to, ale wkrótce przekonała się, że nie wolno wierzyć mu za grosz. Ktoś kiedyś powiedział, że są dwa rodzaje zwyrodnialców: jedni wpadają w szal i są groźni, bo wymykają się spod kontroli, zaś drugim przed użyciem siły serce zwalnia, nie przyspiesza. Są spokojni, chłodni, atakują szybko i zwinnie jak kobra. Taki był Troy.

Mimo dezaprobaty ze strony Allena Jenny spalała się w kulcie swego bohatera. A kiedy ojciec przypadkiem przyłapał ich na namiętym sam na sam i zszokowany wodził spojrzeniem od jednego do drugiego, odkryła, że właśnie bez większego trudu znalazła przeciw niemu doskonałą broń.

Allen wepchnął ją wtedy na zaplecze i postawił ultimatum: Troy ma być dla niej jedynie pracownikiem firmy i nikim więcej.

Pobrali się w tajemnicy najbliższej wiosny. Pierwszy cień podejrzania pojawił się pod koniec ceremonii ślubnej, kiedy Troy Russell pocałował pannę młodą i popatrzył na nią z uśmiechem. To nie był uśmiech kochającego, właśnie poślubionego małżonka. Raczej uśmiech zdobywcy, oszusta na wielką skalę, któremu właśnie udał się fantastyczny przekręt.

- Mamuś?

Głos Rawleya przywołał ją do rzeczywistości. Stał przy blacie i przyglądał się jej z niepokojem. Po chwili jego wzrok padł na środek do czyszczenia dywanów.

- Och - wymamrotała, odwracając się, żeby sięgnąć po papierowe ręczniki - proszę. Może uda ci się wyczyścić ślady łap u siebie w pokoju.

Wziął ręczniki i pojemnik.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O niczym specjalnym.

- Naprawdę?

- Muszę po prostu załatwić jeszcze parę spraw przed wyjazdem na urlop.

Skinął głową.

- Idę na chwilę do Brandona. Jak to zrobię - dodał, pokazując odplamiacz.

- Zaczekaj, nie idź.

- Dlaczego?

- Tak tylko... Chciałabym, żebyś był dziś w domu. Po południu...

- Po co?

No właśnie, po co? Żebyś zapamiętał dzień urodzin matki?

- Nie wiem. Och, nic takiego. - Uśmiechnęła się blado. - Baw się dobrze.

Łzy, które próbowała powstrzymać, nagle same popłynęły po policzkach. Rawley patrzył skonsternowany.

- Mamuś...?

- Nic się nie dzieje... naprawdę... jestem tylko zmęczona. - Osunęła się na wysoki stółek, za wszelką cenę starając się zapanować nad emocjami.

Ktoś zadzwonił do drzwi i Benny, który wciąż siedział na ganku, rozszczękał się jak oszalały. Rawley natychmiast pospieszył na ratunek. Uchylił drzwi i złapał za obrożę wpychającego się do środka psa.

- O, cześć! - rzucił.

- Witam. Od naszego ostatniego spotkania urosłeś o kilka centymetrów. Niedługo zaczniesz szukać pracy w Rancho del Sol!

Jenny otarła łzy i wstała. Zamarła w holu. W drzwiach stał... jej ojciec. Allen Holloway.

Rawley ze wszystkich sił trzymał psa. Zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Chyba... - wymamrotał.

- Cześć! - Jenny siłowała się na niefrasobliwy ton. Ojciec nigdy nie odwiedził jej w tym domu. Nigdy go nie zapraszała i nie sądziła nawet, by wiedział, gdzie mieszka.

- Zaprosisz mnie do środka, czy mam stać tu cały dzień? - udawał dobry humor, dokładnie tak samo, jak ona.

- Oczywiście, wejdz. - Przeszła przez pokój, mijając Rawleya, który usunął się na bok, wciąż z ręką na obroży Benny'ego. - Co, na Boga, robisz w tej okolicy?

Allen miał na sobie szare spodnie, granatową marynarkę i koszulkę polo; typowy strój na niedzielne popołudnie w klubie. Gdyby tylko Jenny mogła zebrać myśli, powód tej wizyty byłby dla niej oczywisty, ale była tak zaskoczona i nieufna, że jej mózg pracował na bardzo

zwolnionych obrotach.

- Masz dziś urodziny, prawda? - zagadnął. Rawley posłał matce zbolale spojrzenie.

- Noo... tak. Owszem - odpowiedziała, cierpiąc za syna. Wolałaby, żeby to raczej Allen, a nie Rawley odpuścił sobie ten dzień.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie. - Objął ją z lekkim zakłopotaniem, a Jenny dokładała starań, by oddać uścisk. Jednak dzieliło ich zbyt wiele wspomnień, dni, kiedy zasypywał ją opowieściami o przyszłości, a Jenny zawzięcie milczała. Nawet gdy Troy już zniknął z ich życia, Allen dzwonił do niej, schlebiał i próbował namówić do pracy w swojej firmie. Opór Jenny i odmowa przyjęcia jakiegokolwiek pomocy finansowej irytowała go do szaleństwa.

Teraz jednak o tym nie myślała. Ogarnęła wzrokiem kolorowe pisma i listy rzucone na stoliku do kawy i pogratulowała sobie w duchu wyrzucenia butelki po chianti, które kilka dni temu napoczęły we dwójkę z zupełnie wykończoną Janice Ferguson, a dokończyła sama poprzedniego wieczoru. Wolałaby, żeby podczas wizyty ojca mieszkanie było bez zarzutu, jednak same ślady ubłoconych łap, od których nie mogła oderwać oczu, psuły wszystko. Nie zastanawiała się, dlaczego przywiązuje do tego jakiegokolwiek znaczenie, ale tak po prostu jest i już. Nie chciała, by znów zaczynał mówić o tym, że przydałaby się jej pomoc finansowa.

- No i jak czuje się dojrzała, poważna kobieta w wieku trzydziestu pięciu lat? - spytał.

Uśmiechnęła się blado. Ojciec bezbłędnie potrafił odezwać się do niej w najgorszy z możliwych sposobów.

- Ani odrobinę starsza niż wtedy, gdy miała trzydzieści cztery.

Allen zaśmiał się nerwowo. W lustrze zawieszonym nad konsolką w holu mignęły jej własne, kasztanowe, niesfornie pokręcone loki, zawsze sprawiające kłopoty, szczególnie teraz, kiedy obowiązywały eleganckie proste fryzury. Przez całą tę urodzinową chandrę nie zatroszczyła się nawet, żeby je spiąć. Należało spodziewać się tej wizyty. Pewnych rzeczy nie da się uniknąć.

Rawley zaciągnął Benny'ego na betonowy podest, a Jenny przytrzymała drzwi. Ojciec szybko usunął się na bok, by uniknąć kontaktu z jasną sierścią, mimo to parę włosków zahaczyło się o jego spodnie. Prychnął z obrzydzeniem.

- Co to za pies? - spytał ostro. - Mam nadzieję, że nie twój.

- Sąsiadów.

- Mamo... - Rawley przestępował z nogi na nogę.

- Idź. - Uśmiechnęła się i pomachała do niego. - I weź Benny'ego.

Chłopak wystrzelił za drzwi jak pocisk. Cichnące szczekanie psa i tupot oddalających się kroków świadczyły, że obaj bardzo się śpieszą.

- To wszystko, co ma do powiedzenia dziadkowi? - spytał Allen.

- I tak masz szczęście, że nie trafiłeś na ponure milczenie - Jenny natychmiast przystąpiła do obrony syna. Rawley może doprowadzać ją do szaleństwa, ale to nie powód, by ojciec instruował ją, jak ma go wychowywać,

Allen puścił jej słowa mimo uszu.

- Przywiozłem ci prezent. - Teatralnym gestem podał jej kopertę wyciągniętą z wewnętrznej kieszeni marynarki. Jenny przyjęła ją z wahaniem. Nie chciała otwierać. Wiedziała, co jest w środku. Pieniądze. Kolejna próba przekupstwa, żeby zgodziła się wrócić do rodzinnej firmy. - Nie otworzysz? - spytał, siadając ostrożnie na kanapie z obawą, że znów przyczepią mu się do ubrania psie kłaki.

Usiadła naprzeciw niego w malowanym, poskrzypującym fotelu na biegunach. Nie była biedna, ale całymi latami odkładała pieniądze; poza tym pewne rzeczy są ważniejsze, a inne mniej ważne.

- Dostaję spadek po mamie - oznajmiła. Koperta ciążyła jej w dłoniach.
- Wiem. Chciałem tylko, żeby ci wystarczyło.
- Wystarczyło?
- Wiem, że otwierasz restaurację w Santa Fe.

Poczuła się tak, jakby na jej szyi zaciśnięto pętlę. Tak zawsze było z ojcem. Ostrożnie otworzyła kopertę. Spojrzała na rząd zer na końcu kwoty wypisanej na czeku, złożyła go i podała ojcu. Nie wyciągnął ręki.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, ale nie mogę tego przyjąć.
- Genevo...

- Nie - ucięła. - Widzę, że mnie pilnujesz.

- No... oczywiście! Jesteś moją córką.

- Poradzę sobie z tym, co zostawiła mi mama i co odłożyłam. Wystarczy aż nadto.

- Potrzebujesz pieniędzy - tłumaczył. - Weź to. Jeśli nie chcesz zainwestować w firmę, odłóż dla syna. Jako prezent urodzinowy.

Łapówka... Nie powiedziała tego. Chciała, ale ugryzła się w język.

- Wiem, że restauracja ma się nazywać U Genevy - powiedział, nie zwracając uwagi na wyciągniętą rękę. W końcu opuściła ją na kolano.

- Na cześć babci, nie moją.

- Tak sądzę. - Po twarzy Allena przemknął cień uśmiechu. - Niełatwo wyjść na swoje w tej branży.

- Wiele lat się uczyłam - przypomniała mu.

Nie było sensu się z nią spierać. Zapewne równie dobrze jak ona sama zdawał sobie sprawę z jej kompetencji. Cały Allen.

- Wiesz pewnie, że nastawiam się na kuchnię południowego Zachodu?

- Wiem. - Wstał i sztywnym krokiem obszedł pokój. - I sądzę, że ryzykujesz. Za żadną cenę nie chcesz pracować w Rancho del Sol, ale rzucisz się we własną firmę, nie mając pojęcia, co to naprawdę znaczy wchodzić w ten biznes. I nie opowiadaj mi o wszystkich latach przepracowanych u tego Włocha. To nie to samo.

- Ten Włoch jest właścicielem restauracji U Riccarda, jednego z najlepszych lokali w tym mieście - głos Jenny brzmiał jak stal. - Poza tym ten Włoch ma nazwisko: Alberto Molini.

Skwitował jej irytację machnięciem ręki.

- Nie chcesz mnie słuchać bez względu na to, o czym mówię.

- Nie wtedy, kiedy wiem, że nie masz racji.

Pokręcił głową, jakby spadła zeń maska spokoju. Nie lubił, kiedy ktoś psuł mu szyki. Nienawidził tego.

- Nie przyjmę tego czeku. Dziękuję. - Położyła złożony papier na stoliku.

- Świetnie. Dołożę to do portfela akcji Rawleya.

- Rawley nie ma portfela akcji.

Znów uśmiech zaciśniętych ust.

- Owszem, ma.

Władczy i despotyczny jak zawsze. Jenny wpadała w coraz większą irytację.

- Ile jest na tym koncie? - spytała.

- Wystarczy, żeby opłacić jego błędy.

- Co to ma znaczyć? - Teraz była już wściekła. Rozłożył rękę.

- Afera z Troyem Russellem była dość kosztowna.

Jenny poczuła się, jakby ją spoliczkowano. Ojciec nigdy jeszcze nie rzucił jej w twarz takich słów. Odetchnął z ulgą tak samo jak ona, kiedy wszystko to się skończyło.

Zrozumiał, że posunął się za daleko. Skłonił głowę.

- Nie wiem. Nie mam do niego krzty zaufania. I nie chcę, żeby próbował znów wkroczyć w twoje życie.

- Ja też nie.

- Na pewno? Raz już nabrałaś się na jego kłamstwa.

- Jestem dużo starsza i mądrzejsza.

- Ale Troy jest sprytny. Kiedyś oszukał nas wszystkich.

- Drugi raz mu się to nie uda.

- W porządku. - Skinął głową. - Chciałem zaproponować, żeby Rawley został u nas.

Och, byłby zachwycony, pomyślała Jenny, ale czujnie zachowała tę uwagę dla siebie.

- Niepokoję się, że Troy może szukać z nim kontaktu.

Jenny serce skoczyło do gardła.

- Nigdy tego nie robił.

- Nigdy też się nie pojawiał. Spłaciłem tego faceta, Genevo, a teraz on ma czelność przychodzić i śmiać się nam w twarz. Gdybym mógł, kazałbym go aresztować!

Jenny rzuciła okiem na hol, na zamknięte drzwi pokoju Rawleya.

- Rawley patrzy na niego inaczej niż my.

- Bo go nie zna. - Allen chrząknął głośno. - I dobrze, bo to przestępca.

- Nigdy nie został skazany, więc nie jest przestępcą - sprostowała Jenny.

- Jest. - Głos Allena złagodniał. Przez chwilę nie patrzył jej w oczy, a potem, ku zdumieniu Jenny, podszedł i wziął ją za rękę. - Nigdy mu nie wybaczę.

Jenny przełknęła ślinę. Sama myśl o spotkaniu z Troyem przyprawiała ją o dreszcze. Nigdy nie opowiedziała wszystkiego o tym, jak znęcał się nad nią fizycznie i psychicznie, ale ojciec potrafił czytać między wierszami.

- Nie chcę na niego patrzeć. Nienawidzę samej myśli o tym, że mogłabym go zobaczyć.

- Ten sukinsyn miał czelność uśmiechać się do mnie i wyciągać łapę, jakbyśmy byli starymi znajomymi. - Allen zacisnął szczęki. - Nie podałem mu ręki.

Jenny mignął w pamięci pewien obraz. Troy dwukrotnie uderzył ją tak, że zatoczyła się przez cały pokój. Za każdym razem chodziło o głupstwo, a Jenny była zaszokowana siłą ciosu, który Troy zadał zupełnie bez wysiłku. Przez kilka tygodni nie pokazywała się ludziom, czekając, aż znikną sińce. Sama nie wiedziała, dlaczego nie była w stanie nikomu o tym opowiedzieć. Teraz też nie czuła się bardziej skłonna do rozmowy o tym niż wtedy, przed laty, kiedy było jej najciężej.

Była niesłuchanie naiwna. W ciągu paru miesięcy Troy zburzył wszystkie jej marzenia o dzielnych rycerzach i ludziach honoru. Złudzenia prysły równie szybko, jak więzy małżeńskie.

- Czego, twoim zdaniem, chce naprawdę? - spytała głosem, który nawet w jej własnych uszach brzmiał dziwnie.

Allen kilka razy poruszył ustami, zanim odparł zwięźle:

- Nie wiem.

Drugi raz Troy uderzył ją zaraz po tym, jak zorientowała się, że jest w ciąży. Nigdy mu o niej nie powiedziała. I kiedy ojciec po raz kolejny przyszedł prosić, by odeszła od Troya, przystała na to z wdzięcznością. Nigdy nie wyjaśniała Allenowi wszystkiego, ale ojciec należał do ludzi, którym nie trzeba nic mówić, a wiedzą swoje.

- Nie mam zamiaru zawracać sobie tym głowy w Puerto Vallarta - myślała głośno. - A potem wracamy tylko na kilka dni i wyjeżdżamy do Santa Fe.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będę się cieszył z twojego wyjazdu z Houston, ale tym razem tak jest. - Popatrzył na nią. - Co nie znaczy, że wierzę, iż odniesiesz sukces w tej

branży.

- Boże broń. - Jenny z ironią uniosła brwi, na co Allen obdarzył ją jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

- Zatrzymaj pieniądze - powiedział, wstając, kiedy Jenny sięgnęła po złożony czek. - Proszę cię.

Zamarła w pół gestu. Nigdy w życiu nie słyszała z jego ust słowa „proszę”.

- Staralem się zrobić coś, żeby cię zabezpieczyć - dodał.

- Co masz na myśli? - spytała nieufnie. Zawahał się.

- Zleciłem, żeby sprawdzono tego sukinsyna. Co robił w ciągu ostatnich lat. Chcę wiedzieć, co knuje.

Jenny odetchnęła głęboko.

- Ja też bym chciała.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie - powtórzył nieco szorstko.

- Dzięki. - Omal nie dodała: „tato”, ale czułe słowa jakoś nie mogły jej przejść przez usta.

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

- Obiecuję.

- Zrobię dla ciebie wszystko, pamiętaj.

- Wiem.

Zamknęła za nim drzwi i opierając się o nie, osunęła się na podłogę. Wszystko dla niej zrobi! Jednak miłość ojca ma swoją cenę. Jenny nie mogła o tym zapomnieć. Znów popatrzyła na czek. Skrzywiła się, ale postanowiła pójść za jego radą i złożyć pieniądze na koncie Rawleya. Będzie mogła wierzyć, że nie uzależniła się od Allena na nowo.

Krzyknęła, gdy skrzypnięcie frontowych drzwi wyrwało ją z popołudniowej drzemki. Skoczyła na równe nogi i w tym samym momencie zobaczyła, jak Rawley z zakłopotaniem przemyka się na palcach do swojego pokoju.

- Co ty robisz? - zawołała, mrugając energicznie. Serce waliło jej jak szalone. - Przeraziłeś mnie na śmierć.

- Przepraszam. Chciałem... - Urwał, nie znalazłszy żadnego sensownego wytłumaczenia.

- Dziadek już poszedł?

Dziadek... Zadrżała na myśl o tym, jak szybko kolejne sprawy wymykają jej się spod kontroli.

- Jakiś czas temu.

- Nie za bardzo chciało mi się z nim dłużej gadać. - Przeszł z nogi na nogę, a potem wymamrotał pod nosem: - Proszę - i machnął jej przed nosem małą paczuszką zawiniętą w czerwony papier. Na pierwszy rzut oka widać było, że byle jakie i niechlujne opakowanie było dziełem piętnastolatka. - Przepraszam, że nie pamiętałem.

- W porządku.

- Ty nigdy nie zapominasz o moich urodzinach.

- To zupełnie co innego. Jestem twoją mamą.

Wzruszyła ją troska chłopaka, a nawet jego poczucie winy. Otworzyła pudełeczko. Leżał w nim naszyjnik z wisiorkiem z różowych sztucznych perełek.

- Rawley! To śliczne!

- Nie za bardzo. - Palcami stopy rysował kółka na podłodze.

- Ależ tak! - Zapięła zameczek. Różowe perełki ułożyły się w zagłębieniu pod szyją. - To najpiękniejszy prezent, jaki dostałam w życiu - powiedziała szczerze poruszona. Rawley rzucił jej spod rzęs podejrzliwe spojrzenie.

- Jasne - mruknął.

- Właśnie że tak - powiedziała z przekonaniem. - Naprawdę najładniejszy. Nie mówiłabym tego, gdybym tak nie myślała.

Po coraz mocniejszym rumieńcu poznała, że Rawley popada w zakłopotanie. Mamrocząc coś niewyraźnie, zniknął w swoim pokoju i wkrótce poziom decybeli osiągnął wartość, przy której wypadają szyby. Tym razem Jenny nie protestowała.

Dotknęła naszyjnika i uśmiechnęła się. Rzuciła okiem na zegarek, jęknęła przerażona i chwyciwszy torbę, wybiegła z domu. W restauracji miała jeszcze kilka spraw do załatwienia i nie chciała ich odkładać.

W kuchni Alberto marszczył brew nad którymś z kuchcików.

- *Bella!* - wykrzyknął na widok Jenny i z entuzjazmem wziął ją w ramiona. Jenny odwzajemniła uścisk znacznie mocniej niż zwykle. Spotkanie z ojcem tylko wzmogło jej sympatię do Alberta. A jednak go opuszczała.

W biurze szybko przebiegła wzrokiem zostawione na dziś faktury do zaksięgowania, usiadła wygodnie, z rozrzewnieniem słuchając skrzypienia drewnianego fotela. Na samą myśl o tym, co tu zostawi, łzy zakręciły jej się w oczach. Ale czuła, że już zbyt długo siedzi na jednym miejscu, choć właśnie tu mogła bezpiecznie i spokojnie nauczyć się myśleć o sobie i zrozumieć własne decyzje z lat młodości. Decyzje, które doprowadziły ją do katastrofalnego małżeństwa.

Dwie godziny później zamknęła biuro. Popatrzyła na trzymany w ręce klucz. Nowy księgowy miał rozpocząć pracę następnego dnia rano.

- Chyba przyda ci się to. - Jedną ręką podała klucz Albertowi, a drugą przewieszała torbę przez ramię.

- Och, nie. Nie. - Smętnie pokręcił głową.

- Nie będzie mnie przez tydzień, ale po powrocie mogę wpaść na chwilę, gdyby były jakieś problemy. Jeśli oczywiście zechcesz.

Splótł palce na brzuchu i wpatrywał się w klucz. Wyglądał tak żałośnie, że Jenny musiała odwrócić wzrok, żeby się nie rozplakać. Delikatnie wsunęła klucz w jego dłoń, ucałowała go w policzek i wybiegła.

Na zewnątrz kilka razy głęboko odetchnęła. Przycisnęła guzik pilota, trzasnęły otwierane zamki. Zrobiła kilka kroków w stronę samochodu i szybkim spojrzeniem omiotła ulicę. Miała wrażenie, że czuje na sobie czyjś wzrok. Odrażające. Totalny szajs, jakby powiedział Rawley.

W środku zamki zatrzasnęły się automatycznie, ale nawet ten odgłos nie poprawił jej samopoczucia. Położyła dłoń na kierownicy i przez chwilę siedziała nieruchomo, czekając. Na co?

Tylnymi drzwiami restauracji wyszło kilka osób. Jakiś mężczyzna przystanął, żeby zapalić papierosa. Jenny wpatrywała się w tę postać, ale kiedy zszedł po kuchennych schodach, zorientowała się, że go nie zna. Po prawej stronie przejechał samochód i skręcił na parking. Wysiadła z niego młoda para z małą dziewczynką. Ruszyli w kierunku wejścia, trzymając małą między sobą i podnosząc ją w górę na każdym stopniu.

Nic. Żadnych podejrzanych ludzi.

Uruchomiła silnik i wyjechała tyłem z miejsca parkowania. Po drodze nie mogła opanować odruchu zerkania co chwilę we wsteczne lusterko. Popadała już chyba w paranoję, ponieważ pojechała kilometr dalej, zawróciła, objechała całą dzielnicę i dopiero wtedy zaparkowała na zwykłym miejscu pod domem. Wbiegła po schodach i wpadła jak burza do mieszkania.

- Mamuś?

Aż podskoczyła.

- Rawley! - jęknęła z ulgą, opierając się o drzwi.

- Coś się stało? - Chłopak stał w drzwiach do kuchni, niepewny i zakłopotany.
- Wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi. To śmieszne. – Rawley skinął głową, ale napięcie nie zniknęło z jego twarzy.

- Robię popcorn. - Było to coś w rodzaju zaproszenia.

- Super. - Doszła do kanapy, poważnie zaniepokojona swoim zachowaniem. Wystarczyło, że padło imię Troya, a nerwy miała w strzępach. Nie było żadnego powodu do paniki. Nawet gdyby zbliżył się do niej, da sobie radę. To przecież człowiek, a nie szatan. Chory, nic nie wart, zwyrodniały i bez serca, ale jednak człowiek, pomyślała z ironicznym uśmiechem. Przecież nikt nie jest doskonały.

- Z czego się śmiejesz? - spytał Rawley, opadając na siedzenie obok niej i wręczając jej miseczkę popcornu.

- Właściwie nie wiem. Z własnej głupoty i strachu bez powodu. Ze swoich urodzin i z faktu, że mam wspaniałego syna.

Rawley popatrzył na nią przeciągle. Najwyraźniej nie mógł dopatrzeć się sensu w tym, co powiedziała. Jenny pochylała się i szybko cmoknęła go w policzek. Odchrząknął.

- Mam do ciebie sprawę, ale może to nie jest najlepsza pora...

- Mów... - W jej głowie znów dzwony biły na trwogę.

- Czy muszę jechać do Puerto Vallarta? W czasie wiosennej przerwy jest obóz piłkarski. Mogę pojechać z Brandonem, Fergusonowie zapraszają mnie do siebie. Naprawdę nie mam ochoty na tę twoją wyprawę. Za parę tygodni wyprowadzamy się z Houston i to moja ostatnia szansa, żeby pobyć trochę z Brandonem. Nie robi ci to różnicy? To znaczy dużej? Czy mogłabyś pojechać do Puerto Vallarta z przyjaciółmi, a mnie zostawić tutaj? U Fergusonów?

Wyrzucił to z siebie w takim tempie, że Jenny nie mogła mu przerwać. Wysypała z dłoni popcorn do miseczki i próbowała się opanować, by nie powiedzieć tego, co myśli. Oczywiście, że robi jej to różnicę. Koszmarny pomysł! Jak może rezygnować z wyjazdu? Wszyscy tam na niego czekają.

A Troy jest przecież gdzieś tu...

- Naprawdę tego chcesz?

Przytaknęła z obawą, najwyraźniej zaniepokojony, że usłyszy: nie. Jenny chciała mu właśnie dokładnie to powiedzieć. Och, jak bardzo chciała...

- A Janice i Rick się zgadzają?

- Oczywiście. Możesz do nich zadzwonić. Chyba na to czekają.

Jenny z westchnieniem sięgnęła po następną garść popcornu. Do diabła z kaloriami. Może zjeść tego całą miskę.

- Wygląda więc na to, że pojedę sama.

Uścisnął ją tak mocno i gwałtownie, że wciąż łapała równowagę, kiedy wskoczył na oparcie kanapy i zaczął wrzeszczeć z radości. Natychmiast popędził do telefonu.

- Brandon! - darł się. - Mogę zostać!

Jenny zamruwała energicznie i sięgnęła po kolejną porcję kukurydzy.

Rozdział 3

Stroma, kręta i kamienista droga do willi dostarczała wrażeń rodem z wesołego miasteczka. Dżip prowadzony przez Magdę Montgomery składał się wyłącznie z pudła i płóciennego daszku. Jenny kurczowo trzymała się drzwi i rozpaczliwie próbowała opanować odruch wciskania prawej stopy w wymaginowany hamulec. Od zakrętów i zakosów serpentyny, którą od pionowego urwiska z pomarańczowymi dachówkami willi i iskrzących się wód Pacyfiku daleko w dole dzieliło tylko kilkadziesiąt centymetrów, kręciło się jej w głowie.

- Fantastyczne, co? - Magda przekrzykiwała ryk silnika i chrzęst opon na nierównej, kamienistej drodze.

- Aa-hh-a - wykrztusiła Jenny.

Jedną ręką przytrzymała kapelusz, drugą nie puszczała drzwi. Zwykle nie czuła lęku wysokości, ale nie należała też do osób szaleńczo odważnych. Nie mogła się doczekać, kiedy dotrą na miejsce. Usiłowała nie myśleć o wszystkich powodach, dla których nie powinna była tu przyjeżdżać. *Numero uno*: decyzja Rawleya, że zostanie u Fergusonów. Jenny nie wykluczała nawet, że sama też zrezygnuje z wyjazdu.

Nawet kiedy już skapitulowała, próbowała jeszcze go namówić.

- Mamy bilety na samolot i rezerwację w willi. Przygotowali nam pokój.

Popatrzył na nią wielkimi, błękitnymi oczami.

- Od początku nie miałem ochoty tam jechać. Zgodziłem się, bo chciałem, żebyś była zadowolona.

W końcu ustąpiła; powinna była wiedzieć, że takie protesty w ostatniej chwili nie mają sensu. To zupełnie zrozumiałe, że kilka ostatnich dni w Houston Rawley będzie chciał spędzić w towarzystwie ludzi, których uważa za swoją drugą rodzinę. Powinna być wdzięczna losowi, że obyło się bez awantury w sprawie przeprowadzki. Z niezrozumiałych do końca powodów Rawley nie zaprotestował, gdy usłyszał, że wyjeżdżają do Santa Fe. Całe szczęście.

- Tam - zawołała Magda. Ostro zahamowała i zdjęła nogę z hamulca, zanim dżip na dobre stanął. Jenny omal nie wyleciała przez przednią szybę.

Puściła kapelusz i drzwi. Przyjrzała się murowanej budowli. Łukowate okna ozdabiały kute kraty i skrzynki, z których spływały na ściany kolorowe kaskady kwiatów bugenwilli. Otworzyły się drewniane, okute żelazem drzwi i stanął w nich mąż Magdy, Phil, w niebieskim, zawadiacko nasuniętym na jedno oko berecie. Trzymał tacę z powitalnymi drinkami.

- Witamy w Puerto Vallarta - zanucił, całując Jenny w oba policzki.

- Euro-Phil - prychnęła Magda, zakochana w każdym jego pomysłem. Phil był urodzonym aktorem, który przez przypadek zajmował się rynkiem nieruchomości w Santa Fe. Jenny poznała ich w restauracji. Gdy przejeżdżali przez Houston zawsze jadali U Riccarda. Podobnie jak Alberto, nieoficjalnie przyjęli Jenny do swojej rodziny, zaprzyjaźnili się z nią i ta właśnie Magda namówiła ją na przeprowadzkę do Santa Fe. Magda była utalentowaną plastyczką, robiła unikalną biżuterię i miała swoje stoisko w Santa Fe, w sklepie przy Canyon Road, ulicy galerii i butików. Wynalazła fantastyczny lokal dla Genevy i walenie przyczyniła się do tego, że Jenny zdecydowała się zaryzykować.

Oboje z Philem od początku byli dla niej przemili.

Euro-Phil pomógł obu paniom wysiąść z auta i podał oszronione szklanki z margaritą. Jenny podniosła drinka w toaście; przyszła pora, by nie myśleć o niczym i cieszyć się każdą chwilą.

- Jak się miewa twój szef? - spytał Phil, wyciągając jej torbę z tyłu samochodu.

- Chyba dopiero wtedy, kiedy powiedziałam, że powinien mieć oko na naszego dostawcę, dotarło do niego, że naprawdę odchodzę. Błagał i lamentował, i chyba po raz pierwszy się nie zgrywał.

- Splajtuje bez ciebie - powiedziała Magda.

- Przeżyje. - Jenny się uśmiechnęła. - Po prostu chce postawić na swoim. Jak każdy znany mi mężczyzna.

- Uch! - stęknął Phil.

- Prócz ciebie, Euro-Philu.

- *Tres bien.*

- *De nada.*

Śmiali się, przekraczając próg wielkiego, murowanego budynku. Magda ruszyła przodem, po spiralnych schodach, do apartamentu na piętrze, z oknami wychodzącymi na zatokę w dole. Jenny stanęła na balkonie, zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. Jak cudownie zapomnieć na chwilę o troskach! Może to nawet lepiej, że nie ma tu Rawleya. Będzie mogła pływać się w basenie, popijać margaritę i nic nie robić. Absolutnie nic.

Magda wyszła, Phil postawił torbę na krześle, a Jenny przebrała się w dwuczęściowy kostium kąpielowy i przewiązała na biodrach jasnoniebieski sarong. Popijając drinka, obserwowała, jak słońce powoli opada do linii horyzontu. Zbiegła na dół w chwili, gdy służący ustawiał na blacie z żółtych i niebieskich meksykańskich płytek tacę z przystawkami. Na długim, przykrytym obrusem stole stała już szklana i srebrna zastawa, a gdzieś poza zasięgiem wzroku coś się gotowało i pachniało tak, że Jenny poczuła, jak ślinka napływa jej do ust.

Phil i Magda wylegiwali się w słońcu na leżakach.

- Prawda, że tu jest jak w raj? - westchnęła Magda.

- Och, tak.

- Reszta wróci z wycieczki później. Kolacja o ósmej.

Reszta to byli nieznani Jenny przyjaciele Montgomerych. Zaproszono ją, bo jakaś para zrezygnowała z przyjazdu. Ze względów finansowych długo zastanawiała się nad tą wyprawą, ale Magda i Phil zaproponowali jej dużą zniżkę i oferta stała się zbyt atrakcyjna, by ją odrzucić. Wiedziała tylko, że poza nią będą jeszcze dwie pary, dwie samotne panie i jeden mężczyzna.

Ułożyła się na leżaku, wysmarowała kremem z filtrem przeciwsłonecznym, opadła na poduszki i natychmiast zasnęła. Wyczerpanie podziałało jak narkotyk i zanim zdążyła się zorientować, gdzie jest, podekscytowane głosy przywróciły ją rzeczywistości. Była półprzytomna. Pozostali lokatorzy willi wrócili z wycieczki.

Tom i Alicia Simmonsowie mieszkali w Santa Fe, a Brickmanowie - Sam i Carrie - w Dallas. Lisa i Jackie, dwie samotne kobiety, były przyjaciółkami Carrie Brickman ze studiów. Wszyscy znali Magdę lub Phila z pracy, mieli wspólnych znajomych, albo poznali się przy jakichś innych okazjach, o których Jenny słuchała jednym uchem i natychmiast zapominała. Samotnym mężczyzną był Matt Jakiśtam, który najwyraźniej krążył po barach i kawiarniach Puerto Vallarta, poznając nocne życie, dlatego nie było go w tej chwili z pozostałymi. Wszyscy zresztą szykowali się na wypad do nocnego klubu zaraz po kolacji, na co Jenny w ogóle nie miała ochoty.

- To głównie młodzi ludzie - przyznała Magda, gdy pochłaniali kolejno enchilady - nadziewane tortille - ryż, tortille z serem i smażone fasolowe puree. - Ale mamy za to mnóstwo zabawy.

- Jestem bardzo zmęczona. Chyba dziś wieczorem nie dam rady - powiedziała Jenny, co

wywołało chóralne okrzyki niezadowolenia.

- Możesz odpocząć jutro! - oświadczyła Magda, łapiąc Jenny za rękę, jakby w obawie, że zerwie się od stołu i zniknie. - Wieczorem idziemy tańczyć!

- Musisz iść z nami - dodała Lisa albo Jackie. - Będzie fantastycznie. Carrie Brickman też wtrącała swoje trzy grosze:

- To rodzaj hedonistycznej tradycji. Leżeć plackiem cały dzień, spać, pławić się w słońcu i balować do rana.

Jenny się roześmiała.

- O północy zamieniam się w żabę.

- W porządku. Lubimy żaby. - Tom Simmons uśmiechał się do niej. Ogolił głowę na łyso, by - jak utrzymywała Magda - zaprotestować w ten sposób przeciw łysieniu. Zostawił sobie jednak wielkie, rude wąsiska, które wystawały po dobre pięć centymetrów z każdej strony twarzy.

Jenny musiała się poddać. Bez cienia entuzjazmu, za to z bólem głowy i małymi, ciemnymi plamkami tam, gdzie niezbyt dokładnie posmarowała się kremem, siedziała wkrótce ściśnięta w taksówce jadącej do miasta, a potem gniotła się w klubie nad brzegiem oceanu. Dżinsowa sukienka na ramiączkach przyklejała się do skóry. Trudno było się obrócić i nie otrzeć o kogoś obcego. Jenny czuła się o co najmniej dziesięć lat za stara na ten rozwrzeszczany tłum.

Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni od wszystkich obowiązków dnia codziennego! Zabawa szła pełną parą. Rytuał obejmował na początek szklaneczkę tequili, którą należało zagryźć limetą, a potem zlizać sól z własnej dłoni. Jenny mignął w pamięci obraz spokojnych kolacji przy winie U Riccarda. Chyba jest trochę za stara na takie głupoty. To raj dla młodych i gdyby Rawley był o jakieś sześć lat starszy, czułby się tu jak w siódmym niebie.

- Dobrze, że nie ma tu Rawleya - wykrzyczała wprost do ucha Magdy.

- Hę? Dlaczego?

- Bo ma dopiero piętnaście lat i szybko by zasmakował w margaricie i meksykańskim piwie.

- Pewnie by mu nie sprzedali.

Czy ona żartuje? To nie stare dobre Stany. Jenny nie ludziła się, by jakiegokolwiek ograniczenia wiekowe były tu traktowane poważnie. Tak czy inaczej Rawley został u Fergusonów. Uznała, że lepiej się stało jak się stało, choć za każdym razem, gdy myślała o Troyu, powracało uczucie strachu.

Koło jedenastej miała dość. Magda, Phil i cała reszta nie zwalniali jednak tempa. Najpierw Jenny postanowiła wrócić tak, jak się tu dostała - taksówką, w końcu jednak ruszyła po prostu chodnikiem biegnącym na skraju plaży, z zachwytem wdychając ciepłą bryzę i z przyjemnością przyglądając się tłumom. Bary w Puerto Vallarta zamyka się późno, niektóre nawet o wschodzie słońca. Jenny pomyślała o czekającym na nią łóżku, a potem o tym, jaka czuje się samotna. Potrzebowała towarzystwa, obecności ludzi, nawet gdyby nie miała uczestniczyć w ich rozmowach.

Nie chciała być sama.

W pobliżu stał hotel, z wejściem wyłożonym niebieskimi płytkami. Grube tynkowane ściany kusząco zapowiadały chłodne wnętrza. Jenny weszła do środka i znalazła się na otoczonym murem patio. Wysoko, na ciemnym, majestatycznym niebie, błyszczały gwiazdy. Wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę, ale nic sobie z tego nie robiła. Znalazła miejsce przy barze, wsunęła się na stół i podniosła oczy w górę. Jest zbyt pięknie i spokojnie, żeby cokolwiek się martwić.

Bar był dość zatłoczony, ale na szczęście oszczędzono jej tu łomoczącej muzyki i wymachujących kończyn, jakich pełno było w innych klubach. Goście siedzieli pod parasolami, które pomalu usuwano znad stołów, ponieważ nic nie zapowiadało deszczu. Jenny zamówiła wodę gazowaną i z przyjemnością zauważyła, że klientela - mrużąc oczy, odczytała nazwę z kartonika zapalek leżącego w koszyku na ladzie - hotelu Rosa jest mniej więcej w jej wieku.

Hotel Rosa. Przypadkiem trafiła do lokalu, który bardzo chciała odwiedzić, ponieważ słynął z doskonałej meksykańskiej kuchni. Uśmiechnęła się w duchu. A może zaszaleć i zamówić jakiegoś egzotycznego drinka? Wzięła do ręki laminowaną kartę napojów i przez chwilę zastanawiała się, kto przy zdrowych zmysłach zdecydowałby się na Płonący Wulkan. Coś z dodatkiem tabasco, rumu i palącego chili. Wzdrygnęła się.

Trzej mężczyźni po kolei proponowali jej drinka. Za każdym razem kręciła głową i w końcu poprosiła o coronę. Kiedy stanęła przed nią szklanka piwa z plasterkiem limony, Jenny rozejrzała się dokoła. Trzej potencjalni wielbiciele tkwili w pobliżu. Takiej sytuacji nie przewidywała. A powinna. Westchnęła cichutko i pomyślała, że chyba należy w końcu dać sobie spokój, wziąć taksówkę i wracać do willi.

Jeden z tej trójki wcisnął się między Jenny i klienta siedzącego na sąsiednim stolku. Jęknęła w duchu. Młody byczek. Typ: „wiem, czego chcą kobiety”. Zawsze irytowały ją takie typki.

- Często tutaj? - spytał, uśmiechając się głupio. Wyglądał jak dynia powycinana na Halloween. Starszy mężczyzna siedzący obok wstał, popatrzył z odrazą na nowego znajomego Jenny i odszedł naburmuszony.

- Raczej nie - Jenny starała się nie być niegrzeczna.

- Wycieczka statkiem?

- Nie.

- Turystka?

Kiwnęła głową.

- Wizyta u przyjaciół.

- Tak? - Rozejrzał się dokoła. Nawet nieźle się trzymał, ale zaczynał łysieć i odruchowo przesuwał dłonią po przerzedzonych włosach, nieświadomie, choć wbrew własnej woli, zwracając na nie uwagę otoczenia. Budził pogardę, ale i cień współczucia. Ogolona głowa Toma wydawała się przejawem dużo zdrowszego podejścia. - No to gdzie oni są? - spytał.

- Niedaleko. - Ruchem głowy wskazała na drzwi.

- Przyjdą tu?

- Mam nadzieję.

- Mogę dotrzymać ci towarzystwa, zanim nadejdą?

Uśmiech zastygł na ustach Jenny. Miała ochotę wrzasnąć, żeby spadał, ale nie mogła wydobyć głosu.

- Nie, dziękuję - usłyszała samą siebie i spojrzała w lustro wiszące za barem. Westchnęła.

Co ja tu robię?

Co ona, do diabła, tu robi? - zastanawiał się Hunter, zirytowany naiwnością kobiet. Takich mężczyzn jak ten łysiejący palant traktują jak bezdomne zwierzęta. Niemal słyhać było jak gość dyszy z wywieszonym językiem.

A wydawałoby się, że Jenny Holloway powinna mieć już nieco lepsze rozeznanie.

Dopił piwo i otarł usta wierzchem dłoni. Nie sądził, że Jenny pojawi się tu tak nagle. Fakt, że to hotel Rosa, ale przyleciała dopiero dziś i był pewny, że będzie odsypiała podróż i

zostanie w domu z przyjaciółmi. On sam spędził tu już cały dzień, przejechał obok willi Buena Vista, rozejrzał się po okolicy i wrócił do hotelu. Otworzył drzwi na balkon, wyciągnął się na podwójnym łóżku, wsłuchany w nieustający monotony szum oceanu i zapadł w sen podobny do śpiączki, z którego zerwał się nagle nieprzytomny i zdezorientowany.

Wiedział, że osoby cierpiące na depresję śpią czasem całymi dniami, albo i tygodniami. Nie chcą się budzić ani wychodzić z łóżka, żeby nie stawać twarzą w twarz z problemami. Z drugiej strony od tak dawna nie zdarzyło mu się spać dłużej niż kilka minut, że można potraktować to jako przejaw zdrowienia. Skrzywił się i doszedł do wniosku, że guzik go obchodzi, co to oznacza i na szczęście nie musi o tym opowiadać żadnemu psychiatrze.

Skutek był taki, że niepewnym krokiem zszedł na dół coś zjeść. Allen Holloway miał rację co do hotelowej kuchni. *Chili releno* było przepyszne. Podniósł na widelcu paprykę faszerowaną serem, obrócił ją i przyjrzał się dokładnie. Rany. Jeśli Jenny przyjechała tu, żeby poznać sekrety kuchni hotelu Rosa, to chwala jej za to. Pomysł, żeby otworzyć taką restaurację w Santa Fe nagle wydał mu się niezwykle interesujący.

Ale teraz...

Facet przystawiający się do niej przysunął się bliżej. Bycze ramię leżało na blacie baru, a opalona gęba nachylała się w stronę Jenny. Naprawdę aż się prosił, żeby wziąć go za gruby kark i wywalić na ulicę. Czyżby jej się to podobało? Uśmiechała się i uprzejmie odpowiadała na niedorzeczne pytania. Hunter był coraz bardziej zirytowany. Takie ofiary, jak ten facet można spotkać w każdym miejscu świata i Hunter widział ich w swoim życiu aż za dużo. Kiedy te kobiety się czegoś nauczą? Można by sądzić, że Jenny Holloway, osoba z bogatej rodziny, zignoruje takiego faceta, ona jednak odnosiła się do niego przyjaźnie i życzliwie. Hunterowi nie mieściło się to w głowie.

Facet nachylił się jeszcze bardziej, usiłując spojrzeć w dekolt dzinsowej sukienki na pięknie zaokrąglone piersi. Hunter automatycznie sięgnął po piwo. Zorientował się, że butelka jest pusta. Zacisnął pięści.

Czekaj, nakazał sobie, walcząc z przemożną chęcią by dopaść pijaczka i siłą usunąć go ze sceny. Siedział w napięciu, licząc po cichu. Przecież nie powinien zwracać na siebie uwagi. Czekaj...

Jenny jednak nie wyglądała na zaniepokojoną. Zauważył raczej delikatne oznaki znużenia. Odprężył się. Jest po prostu uprzejma. Dopóki jej nadgorliwy znajomy nie przekroczy pewnej granicy, sama opanuje sytuację.

Prychnął i podniósł rękę, sygnalizując stojącemu przy barze kelnerowi, że w butelce nic nie ma. Po chwili stanęło przed nim nowe piwo. Siedział wygodnie na wyplatanej krześle w rogu patio, nieco skryty za pnem grubego drzewa, którego powykrzywiane korzenie już wypchnęły kilka czerwonych płytek podłogi. Wyglądało na to, że właściciele hotelu grubo się przeliczyli. Za parę lat drzewo runie, przygniatając jednego czy dwóch gości. Ale tego wieczoru bardzo się przydawało.

Hunter dyżurował tu już drugi wieczór, ponieważ przyjechał dzień wcześniej niż Jenny. Poprzedniego wieczoru obszedł teren, pospacerował po ulicach i zajrzał do paru nocnych klubów koło plaży popatrzeć, jak pije się najlepszą na świecie tequilę i wiruje w tańcu w skąpych strojach.

Dziś wynajął dzipa. Wranglera. To jego ulubiona marka i, jak się okazało, najchętniej wybierana przez turystów. Pojechał na lotnisko, zaczekał, aż wyląduje samolot Jenny, a potem spoglądał, jak pani Holloway odjeżdża z kobietą, której szalone rude włosy, bransoletki, kusa sukienka i hałaśliwe zachowanie prowokowały spojrzenia rzucane z ukosa przez turystów i miejscowych. Skrzywił się, słysząc, jak zmienia biegi. Trudno zachować spokój, gdy

ktoś tak traktuje samochód.

Obserwowanie Jenny znów stało się interesujące. Odpowiadała coś mężczyźnie przy barze, lecz nie wkładała w to serca. Nie było to konieczne; ośmielał go już sam fakt, że Jenny tam siedzi. Bujne, gęste włosy opadały na plecy. Była smukła we właściwych miejscach i zaokrąglona w innych, w przeciwieństwie do wielu bogatych kobiet, które mają obsesję na punkcie szczupłej sylwetki.

Była też bogata. Jedyne dziecko Allena Hollowaya. Hunter zebrał trochę informacji, zanim zgodził się przyjąć jego zlecenie, i poznał łatwą do przewidzenia, choć trudną do przyjęcia prawdę: Holloway był właścicielem połowy Teksasu i większej części Nowego Meksyku.

No, może to lekka przesada. W każdym razie facet jest nadziany. Nieprawdopodobnie. Hunter miał za sobą bolesny związek z osobą bardzo bogatą: jego była żona miała za dużo pieniędzy i właśnie uzależnienie od wszechmocnego dolara stało się główną przyczyną rozpadu ich małżeństwa.

A poza tym Kathryn była skończoną dziwką. Ale też ożenił się z nią z zupełnie niewłaściwych powodów. Dla seksu, z głupoty i dlatego, że był sentymentalny.

Jak już ktoś jest idiotą, to na zawsze...

Tyle że wyleczył się z romansowania.

Rozczarowanie Kathryn było jednak niczym w porównaniu ze śmiercią jego siostry Michelle. Szczerze mówiąc, w ciągu kilku ostatnich lat naprawdę rzadko zdarzało mu się myśleć o byłej żonie. Dzwoniła od czasu do czasu i choć starał się jej nie słuchać, zdołała swoim gadaniem uzyskać tyle, że z ulgą myślał, iż ma już to wszystko za sobą. Ponownie wyszła za mąż, po czym znów się rozwiodła i zajęła się swoją sylwetką i kondycją fizyczną. Zrobiła się chuda jak chart. Nie to co Jenny...

Wstrzymał oddech. Czyżby ten dupek zamierzał położyć rękę na jej udzie? Przesunęła nogi, jakby uprzedzając jego gest, błyskawicznie odwróciła się i zeszła ze stolka. Powiedziała „dobranoc”, ale spuściła głowę, chowając twarz. Hunter chętnie skręciłby facetowi kark za to, że popsuł mu obserwację. Musi teraz szybko podjąć decyzję, a po paru piwach to ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę.

Jednak opatrność nad nim czuwała. Pijani i weseli do baru wtoczyli się przyjaciele Jenny. Jedna z kobiet zaczęła obcasem o pękniętą płytkę, którą podważyły korzenie drzewa, określiła się jak dziecinny wiatraczek i w chwili, gdy Hunter wstawał, krzyknęła, uderzyła łokciem w pień drzewa i klapnęła wprost na jego kolana, wbijając go boleśnie w krzesło.

- O mój Boże! - jęknęła. Złapał ją mocno. Niebyła ciężka, tylko w sztok pijana.

Po sekundzie podbiegła Jenny i złapała przyjaciółkę za rękę.

- Magda? Nic ci się nie stało?

Rudowłosa popatrzyła na nią zezem.

- Ole! - krzyknęła, chichocząc jak hiena. Hunter nie mógł ukryć rozbawienia. Magda obróciła się, spojrzała na niego i stwierdziła: - O, kurde, rany, co my tu mamy? Dobry Boże! Przystojnego faceta. Hej, Jenny, popatrz, co znalazłam! - I dostała kolejnego ataku histerycznego śmiechu.

W błękitnych oczach Jenny Holloway pojawiła się wdzięczność, ale i cień podejrzania.

- Świetny chwyt - stwierdziła cicho.

Hunter postawił Magdę na nogi, a ta zaczęła rozpaczać, że urwał się jej pasek od sandała.

- Nigdy nie płac więcej niż sto dolarów za buty - pouczyła, zataczając się w stronę baru. - Nie warto.

Sto dolarów za te konopne sznurki i parę skórzanych pasków? Hunter był zaszokowany.

Ponad sto dolarów? Natychmiast przywołał się do porządku. Nie należy się dziwić niczemu, co robią bogacze. Wiedział to dobrze. Za dobrze.

- Czy my się znamy? - spytała zadowolona Jenny. Puls Huntera nieoczekiwanie przyspieszył.

Starał się patrzeć na nią obojętnie. Co, u diabła, się ze mną dzieje? Nie wiedział, co ma o tym myśleć. Od tak dawna nie spodobała mu się kobieta, więc siedział przez chwilę w milczeniu, patrząc na nią z zachwytem. Postarał się jednak opanować.

- Nie - odpowiedział beznamiętnie.

- Och... - zeszywniała. - Chyba nie. Wydawało mi się, że... pana znam. Przepraszam. Nie wiem, dlaczego.

Dupek z baru postanowił wykorzystać sytuację.

- Podwieźć panią? Mam tu samochód.

- Nie, dzięki.

- Pani przyjaciele chyba nie prowadzą - zauważył, gdy Magda z resztą towarzystwa podeszła do baru.

- Przyjechaliśmy taksówką - poinformowała go Jenny głosem, który z każdą sylabą był coraz bardziej lodowaty.

Huntera zachwyciła ta zmiana, ale facet najwyraźniej nie odczytywał żadnych sygnałów. Jenny zachowywała się spokojnie i uprzejmie, ale widać było, że jest już zdenerwowana. Najwyższa pora, pomyślał.

- Jeśli potrzebujecie kierowcy, służę - zaproponował podrywacz i wyjął z portfela wizytówkę. Hunter zauważył, że jego ruchy są nienaturalnie powolne. On też wypił kilka meksykańskich piw za dużo.

- To chyba nie najlepszy pomysł, żeby siadał pan za kierownicę - stwierdził.

Mężczyzna popatrzył na niego wojowniczo.

- Taaa? - rzucił wyzywająco.

- Próbuje pan dać tej pani swoje ubezpieczenie.

Spojrzał na własną rękę, zaklął pod nosem i szukał dalej.

- Dziękuję, poradzimy sobie. Naprawdę muszę wracać do przyjaciół - powiedziała stanowczo Jenny.

Facet zaklął, przejechał dłonią po włosach, popatrzył z wściekłością na Huntera, po czym chwiejnym krokiem wyszedł z lokalu.

- Hej, przystojniaczku! - Magda machała do Huntera od baru. - Zapraszamy.

Zawahał się. Jedyne wolne miejsce było po prawej stronie Jenny Hol-loway. Zabrał napoczęte piwo i ruszył powoli. Czasy, kiedy śledził Jenny z ukrycia, właśnie się skończyły.

Jenny nie była pewna, czy ma skrócić Magdzie kark, czy ją wycalować. Jedyńm facetem wartym uwagi w tym barze był właśnie ten ciemnowłosy nieznajomy, który podtrzymał jej przyjaciółkę, gdy się potknęła, ale Jenny miała już wszystkiego dość. Marzyła tylko o tym, by wrócić do domu i pójść spać.

A jednak kiedy zbliżał się wolnym, zmysłowym krokiem, po jej plecach przebiegł dreszcz. Musiała udawać, że nie patrzy na długie nogi w opiętych dżinsach, na pasek na biodrach i napięte mięśnie rąk. Nie, nie, pomyślała, atrakcyjność fizyczna to nie wszystko. Już zdążyła się o tym przekonać.

- Jak się nazywasz, Teksańczyku? - spytała Magda, lustrując go o wiele bezczelniej, niż zrobiła to Jenny.

- Hunter.

- To imię czy nazwisko?

Jenny stłumiła uśmiech. Trzeba to Magdzie przyznać, nie ma żadnych oporów.

- Imię. - Dał znak barmanowi, który skwapliwie pstryknął kapslem kolejnej butelki i pchnął ją po ladzie.

- Dobra, Hunter, co tu robisz? - indagowała Magda.

- Przeżywam *Noc iguany*.

Jenny przyjrzała mu się uważnie.

- To kręcono właśnie tutaj, w Puerto Vallarta - zauważyła Jenny.

- Mhm. - Pociągnął łyk piwa i obrócił się na stołku. Czują, że pod jego spojrzeniem zaczyna drżeć.

- Jest pan fanem...

- Fanem?

- ...filmu - wykszusiła. Jej serce waliło, jakby chciało wyrwać się z piersi.

- Nie oglądałem. Dobry?

- Nie mam pojęcia. - Roześmiała się, ale ton flirtu sprawił, że była lekko zmieszana. Musi natychmiast wyjść. - Ja też go nie widziałam. Podobno świetny. A hotel, o którym tam mowa, jest, zdaje się, gdzieś na południe od miasta. Nie jestem pewna. - Czują, że zaczyna paplać jak idiotka.

Zdecydowanym ruchem pokazała kelnerowi butelkę Huntera.

- Proszę to samo. - Może jeśli zajmie się piciem, przestanie się wygłupiać.

- O czym to jest? - spytał Hunter.

- Co?

- *Noc iguany*.

- Och... - Pociągnęła łyk z butelki, miło zaskoczona lekko gorzkawą pianką. Zwykle nie pije piwa. - Chyba jakieś zagubione dusze i takie tam historie.

Uniósł brwi.

- Może powinienem obejrzeć.

Chciała patrzeć na niego, przyrzeć się rysom jego twarzy i mocno zarysowanej szczęce. Przystojny, uznała, ale i męski. Pod zewnętrzną atrakcyjnością kryje się siła i powaga. Wygląda na to, że kiedyś miał złamany nos, może nawet niejeden raz, a szrama na brodzie przypominała jej Har-risona Forda.

- Czyżby był pan taką zagubioną duszą? - spytała lekko.

- Tak mi się wydaje. - Przelotny uśmiech i błysk białych zębów olśnił ją i zniknął natychmiast, jakby ktoś zdusił płomień strumieniem wody.

- Jak ma pan na nazwisko? - spytała.

Milczał przez długą chwilę. Przyszło jej do głowy, że może nie chce tego ujawniać, ale w tym momencie wyciągnął rękę.

- Hunter Calgary, a pani?

- Jenny Holloway- odpowiedziała niemal bez tchu, ściskając jego dłoń. Była mocna, ciepła i sucha. Dłoń silnego mężczyzny. Zakręciło jej się w głowie. Co, do diabła, się ze mną dzieje? Zachowuję się jak zadurzona nastolatka.

- Jenny to zdrobnienie?

- Ee... tak. Ale nie od Jennifer... od Geneva. To imię po babci.

- Geneva - powtórzył powoli, jakby smakował każdą sylabę.

Zafascynowana Jenny wpatrywała się w jego usta. Natychmiast przywołała się do porządku i odwróciła w stronę Magdy, która znów lamentowała nad zniszczonymi sandałami.

- Muszę jechać do domu - oświadczyła Jenny. - Słowo daję. Jest późno i mam dość.

- Naprawdę? - Magda skrzywiła się w niemej prośbie.

- Naprawdę.

- Hej, nie pozwolimy ci odejść - oznajmił Phil. - Musimy zatańczyć!

- Nie. - Jenny złapała torebkę i zsunęła się ze stołka zdecydowanym ruchem. - Przepraszam.

- Jeden taniec. - Phil chwycił ją w ramiona i zakołysali się w rytm łagodnego latynoamerykańskiego beatu. Jenny jednym okiem zerkała na połamane płytki w obawie, by nie zaczepić o nie sandałem i nie skreślić nogi.

Wytrzymała jeden kawałek, ale w końcu pokręciła głową i odsunęła się zdecydowanie.

- Bawcie się dobrze - zawołała. Hunter Calgary gdzieś zniknął.

Z niepokojącym uczuciem zawodu Jenny uściskała Magdę, Phila, po czym uciekła od ich objęć, próśb i pocałunków. Złapie taksówkę i sama trafi do willi.

Na zewnątrz czekał niestety jej podpity adorator. Jęknęła w duchu.

- Mam tu obok samochód - powiedział, wykonując ręką nieokreślony gest.

- Nie, dziękuję. - Była uprzejma, ale stanowcza.

- Dobra, daj spokój, przecież nie gryzę.

Jenny odwróciła się i ruszyła ulicą, czujnie nasłuchując, czy za nią nie idzie. Oczywiście za chwilę usłyszała za sobą kroki.

- Hej! - krzyczał rozzłoszczony. - Hej!

Jenny przyspieszyła.

- Proszę, proszę, proszę - mamrotała głośno, wznosząc oczy do nieba. Nagle z zaparkowanego dżipa wysiadł Hunter Calgary i złapał faceta za ramię. Szarpnął, aż tamten się zatoczył, stęknął i pochylił głowę, jakby miał ruszyć do ataku. Hunter czekał. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z zaciśniętymi pięściami. Dużo lepsi od tego tutaj próbowali go atakować. Nie zamierzał dać się zaskoczyć facetowi, który być może też należy do takich, co lubią się bić.

Ale ten palant po prostu się potknął. Był zalany bardziej, niż przypuszczał.

- Zostaw mnie! - warknął na Huntera.

- Uważaj. - Calgary nie spuszczał wzroku z twarzy przeciwnika, obserwował jego oczy.

- Daj jej spokój albo zawołam policję. Chyba nie chcesz mieć kłopotów w Meksyku, chłopie.

- Chciałem ją tylko podwieźć - jęknął.

- Wracaj do hotelu. Taksówką.

- Mieszkam tutaj.

Akurat, pomyślał Hunter, kiedy tamten zawrócił i ruszył w stronę hotelowego baru, mamrocąc pod nosem jakieś sprośne uwagi. Co za typek.

Jenny szybko oddalała się ulicą. Przez chwilę Hunter się zastanawiał, czy nie pójść za nią, ale stwierdził, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje, jest nagabywanie przez kolejnego faceta. Miała dość wielbicieli jak na jeden wieczór. Z westchnieniem wrócił do auta, rzucając jeszcze okiem na oddalającą się sylwetkę. Wsuwając się za kierownicę, wciąż ją widział. Usiłowała zatrzymać taksówkę, ale zamykano knajpy i chętnych pasażerów było wielu. Nikt się nie zatrzymał. Hunter zmienił decyzję, ostro wrzucił bieg i podjechał do Jenny. Początkowo usiłowała go zignorować, w końcu rzuciła mu ponure spojrzenie. I wtedy zorientowała się, że to on.

- Ryzykuję, że dostanę kosza, ale może panią podwieźć? - spytał.

- Och! - Wahała się przez chwilę, po czym szarpnęła drzwiczki od strony pasażera, z nim Hunter zdążył jej pomóc. - Szczerze mówiąc, bardzo chętnie. Dzięki.

- Facet nie chciał przyjąć odmowy do wiadomości? - Tym razem łagodnie włączył bieg i powoli włączył się do ruchu.

- Bez żartów. - Westchnęła, uśmiechnęła się lekko i oparła głowę o zagłówek. - Dlaczego

tak jest? Czy to działanie alkoholu? Czy zwykła tępota?

- Sądzę, że jedno i drugie.
- Nie mogłam złapać taksówki...
- W końcu jakaś by podjechała.
- W każdym razie cieszę się, że to pan.

Hunter poczuł nagle ochotę na papierosa. Nigdy dużo nie palił, a po wstąpieniu do policji ostatecznie rzucił palenie. Za dużo z tym zawracania głowy, stwierdził wtedy, choć jego koledzy po fachu mieli inne zdanie. Za to teraz, z przyczyn, których wolał nie zgłębiać, poczuł, że musi zapalić.

Przecieli jakąś nierówną, kamienistą drogę, wjechali na autostradę, a z niej w górę, skalistymi drogami, które w porze deszczowej spływały wodą tak, że jazda po nich przypominała podróż dnem potoku. Willa Jenny leżała, jak większość domów, na niebezpiecznie stromym zboczu. Hunter zjechał na pobocze.

- Dzięki - powiedziała, znów sięgając do drzwi, zanim zrobił to on.

Skinął głową. Gdy zeskakiwała na ziemię, mignęła krągła łydka i szczupła kostka. Coś ścisnęło go w żołądku. Było to po części pożądanie, po części lekka panika.

- Długo zostaje pan w Puerto Vallarta? - zapytała Jenny.

- Jakiś czas.

- Może jeszcze się gdzieś zobaczymy? - W jej głosie brzmiał cień nadziei.

- Mieszkam w hotelu Rosa.

- Tak? - Była zdziwiona. - Nie musiał pan mnie odwozić.

- Drobiazg. Nie miałem ochoty wpaść na naszego wspólnego znajomego, skoro już wiem, że jest tam gościem.

- Może znów znajdzie kogoś w barze. I wtedy oczywiście będzie pan musiał wkroczyć, ratując kolejną damę z opresji.

- Nie jest to moja najlepsza rola. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. Czy ona go podrywa?

Wiedział, że jeśli szybko nie ustalili podstawowych zasad, wszystkie jego plany wezmą w łeb.

- Naprawdę? A wypadł pan tak naturalnie.

Popatrzyła z wahaniem na drzwi domu. Hunterowi przemknęło przez myśl, że może straci głowę i zaprosi go do środka. Szybko podjął decyzję.

- Czekam jutro wieczorem w hotelowym barze. Postawię pani marga-ritę i chrupki kukurydziane.

Roześmiała się z ulgą, że ktoś zdecydował za nią.

- W porządku. Przyjdę, panie Hunter. Jeszcze raz: dziękuję. - Odwróciła się i ruszyła w stronę oświetlonej księżycową poświatą willi. Hunter zapamiętał oddalające się od niego długie, jedwabiste gładkie nogi. Odczekał, aż Jenny wejdzie do domu i odjechał. Ogarnęła go fala gorąca. Seks. W normalnej sytuacji czułby się miło podekscytowany, ale Jenny Holloway była z bardzo, bardzo wielu względów owocem zakazanym. Lepiej wylać sobie na krocze lodowate piwo, niż zacząć wyobrażać sobie, co, gdzie i jak mogliby razem robić.

Kiedy Hunter przechodził przez bar, znów zobaczył tego palanta, który przysiadł na stołku i najwyraźniej czekał na następną okazję. Facet popatrzył na niego spode łba. Hunter złapał piwo, odchylił głowę i wlał zawartość butelki do gardła, tłamsząc od wewnątrz płomień pożądania. Działo do chwili, gdy znalazł się na górze i rzucił się na łóżko. Patrzył na wentylator zawieszony pod sufitem, obserwował jego skrzydła, które wolno miały ciężkie powietrze.

Kathryn złapała go na to samo. Długie nogi, piękne piersi, nieświadomy seksapil - tak mu się przynajmniej zdawało, dopóki jej nie poznał lepiej i nie zrozumiał - zbyt późno - ile w

niej było wyrachowania. Słuchał hormonów, a nie rozumu i kiedy się przekonał, że w łóżku z Kathryn jest tak dobrze, jak to sobie wyobrażał, natychmiast się z nią ożenił.

Popełnił fatalny błąd.

Na samą myśl o tym do dziś czuł ucisk w piersi. Życie z Kathryn było prawdziwym piekłem. Szybko się zorientował, że cudowne noce wypełnione seksem stanowiły pułapkę, jaką świadomie na niego zastawiła. Tak naprawdę wcale jej nie interesował, ale tak fantastycznie potrafiła udawać! Była wymagająca, zepsuta, chciała być traktowana jak księżniczka i postanowiła przedzierzgnąć go z policyjnego detektywa w Los Angeles w inwestora na rynku nieruchomości i ozdobę salonów. Odszedł od niej po sześciu miesiącach, a rozwiódł się półtora roku później. Nigdy mu tego nie wybaczyła i do tej pory wydzwaniała do niego za każdym razem, kiedy rozpadał się jej kolejny związek i zostawała sama. Nie wrócił już do niej, nawet na próbę. Z satysfakcją myślał o tym, że wymknął się z pułapki, co nauczyło go rozpoznawać niebezpieczeństwo na kilometr.

Ale Jenny była inna...

Zamknął oczy i jęknął cicho. Czy sam wymyślił sobie tę całą seksualną chemię? Być może ona patrzy na to całkiem inaczej. Może po prostu była wdzięczna za podwiezienie i nic więcej.

Trwał w tym stanie na przemian bólu i przyjemności, kiedy zadzwonił telefon. Natychmiast oprzytomniał i podniósł słuchawkę.

- Halo? - odezwał się ostrożnie.

- Jak tam moja dziewczynka? - spytał Allen Holloway. - Znalazł ją pan?

Głos Allena podziałał jak zimny prysznic. Oto dlaczego nie może nawet śnić o Jenny. Jenny to praca. Zarobek. I środek prowadzący do celu.

- Taa... - Był wkurzony tym telefonem.

- Jest z tymi idiotami Montgomerymi?

Nic dziwnego, że nie chciała, by ojciec wtrącał się w jej życie. Allen Holloway nie znosił sprzeciwu jak diabli i bez skrępowań wygłaszał swoje opinie.

- Mieszka w willi Buena Vista.

- Żadnych śladów Russella?

- W każdym razie nic, co mógłbym zauważyć. - Co nie znaczy, że ich szukał. I co znaczy, że nie był w stanie myśleć o niczym poza Jenny bez letniej sukienki.

- Dobra. Miej pan oko na wszystko.

- Proszę więcej nie dzwonić. Nie chcę żadnych kontaktów. Sam się odezwę.

- Uważa pan, że to konieczne?

- Tak - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Jeżeli nie chce pan zmarnować swoich pieniędzy.

Holloway chętnie by się posprzeczał, ale w końcu jemu też zależało na wynikach.

- Proszę o dokładną relację, kiedy tylko wróci pan do Stanów.

- Czy jeszcze się do pana odzywał? - spytał Hunter.

- Russell? Nie.

- Nawet jeśli się odezwie, proszę nie dzwonić. Niech pan cierpliwie czeka.

Ludzie pokroju Allena Hollowaya nie lubią, gdy im się mówi, co mają robić. Hunter słyszał ciężki oddech - niemal warkot - po drugiej stronie, a zaraz potem żądanie pełnych i punktualnych raportów. Chrząknął coś, co oznaczało „być może” i odłożył słuchawkę. Rozmowa z Allenem skutecznie odpędziła pożądlive myśli.

Teraz, patrząc w sufit, widział jedynie zimny wzrok i bezmyślną twarz Troya Russella.

Rozdział 4

Wdzięk. Na tym to polega. Owszem, dobra prezencja też się przydaje, ale przecież widywał już wyjątkowo szpetnych mężczyzn, którym żadna nie potrafiła odmówić, bo mieli właśnie to. Wdzięk. Kobiety za takimi przepadają i gotowe są dla nich rozkładać nogi i otwierać portfele. Wiedział to od zawsze - jego prawdziwym kapitałem jest urok i wdzięk.

Troy stukał palcami w kierownicę wynajętego forda w kolorze champagne, czyli po prostu złocisto-beżowym, takim, który niezbyt rzuca się w oczy i nie daje się łatwo opisać. Nie rzucał się w oczy, więc nie powinien też zwrócić uwagi Jenny.

Poprzedniego wieczoru, przed restauracją, omal nie wpadł. Była niespokojna i czujna, musiał więc zsunąć się w dół na siedzeniu samochodu i nasłuchiwać, aż doleci go szum opon ruszającego wozu. Kiedy wyszła tylnymi drzwiami z restauracji i uważnie się rozglądała, natychmiast opuścił głowę. Przez jakiś czas siedziała w swoim volvo. Myślał nawet, że może go dostrzegła, ale w końcu ruszyła. Odczekał chwilę, a potem powoli pojechał w ślad za nią. Minęła swój dom, pojechała kilometr dalej i zawróciła. Musiał trzymać się nieco z tyłu, ale i tak wiedział, gdzie mieszka, reszta była więc całkiem prosta. Te dziecinne środki ostrożności go rozśmieszyły. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że to wszystko psu na budę. Czyżby naprawdę sądziła, że w ten sposób uchroni się przed nim?

Roześmiał się w duchu. Głupia dziwka. Wszystkie są takie same - obłudne zdziury, nawet te na pozór porządne, jak ukochana Jenny. Każda po cichu marzy o jakimś facecie, który zdarłby z niej sukienkę i porządnie zerznął. Wtedy, gdy z nią kręcił, nie było to jeszcze dla niego tak oczywiste. Poduczył się trochę przez te lata, a teraz czekał napalony i gotów podzielić się z nią zdobytą wiedzą.

Nie znał rozkładu jej mieszkania, przynajmniej na razie, ale wykombinował, który z pokoi może być jej, a w którym mieszka chłopak. Mały wyglądał na jakieś trzynaście lat, był tyczkowaty, niezdarly i wchodził chyba w etap chłopięcego buntu. Troy pamiętał, jak sam przez to przechodził, choć wyrastał w zupełnie innych warunkach. Ciekawe, kto jest jego ojcem? - zastanawiał się wkurzony na Jenny, która puściła się i zaszła w ciążę niemal natychmiast po tym, jak ją porzucił. Allen Holloway zaniepokoił się wówczas i odpalił mu trochę kasy. Ot, tyle, by jego występny zięć trzymał się z daleka od najdroższej córeczki.

Ale kto jej zrobił tego bachora? Allen nie wspominał o chłopaku. Inna rzecz, że w ogóle prawie niczego nie powiedział, tylko stawiał żądania, a z twarzy nie schodził mu wyraz niepokoju. Troy wiedział, co jest grane - Holloway po prostu się go bał.

No i bardzo dobrze, myślał teraz, patrząc na kutą bramę rezydencji Hollowaya. Istny pałac. Stary mieszkał w nim z piękną żoną, kobietą tak pustą, jak przegrany los na loterii. Troy starał się poznać jej obyczaje. Wpadł na nią niby przypadkiem w jednym z drogich sklepów, gdzie sprzedają naturalne produkty. Potrafił ją, kiedy oglądała jakąś szynkę bez azotanów, pośpieszył więc z wylewnymi przeprosinami. Natalie. Tak ma na imię. Zastanawiał się, czy mogła go rozpoznać. Wątpliwe, bo w czasie tamtych odległych dni niemal w ogóle nie było okazji do spotkań. Kiedy już wrócili z Jenny do domu po potajemnym ślubie, Natalie przyszła na przyjęcie, na którym tak zależało Allenowi, była jednak zaabsorbowana wyłącznie własną prezencją i chyba nawet nie zwróciła uwagi, jak wygląda Jenny. Potem upiła się szampanem i Allen musiał ściągnąć kogoś, żeby odwiózł ją do domu. Prawdę mówiąc, Troy nigdy więcej jej nie widział. Holloway nie miał zwyczaju zapraszania do siebie córki z zięciem. Ale mimo wszystko...

A jednak nie, na pewno. Natalie niczego nie skojarzyła. Wysłuchała przeprosin i uśmiechnęła się nieprzytomnie, nie zwracając na niego szczególnej uwagi. W innych okolicznościach Troy zapewne uznałby to za wyzwanie. Przywołałby cały swój urok, żeby sprawdzić, czy nie wzbudzi zainteresowania. Był jednak bez reszty zajęty czymś innym, a Natalie Holloway nie miała z tym nic wspólnego.

Za to Jenny jak najbardziej.

A za Jenny stały pieniądze.

Powiedział Allenowi, że chce odpokutować dawne grzechy. Ale jaja! A po co pokutować za grzechy, jeśli nie dla pieniędzy. A może na skutek nagłego nawrócenia? Jednak Troy Russell z całą pewnością nie stał sieni z tego ni z owego chrześcijaninem. Mógł natomiast zachowywać się jak ktoś, kogo nagle olśniła prawda. Udawanie też ma swój urok.

- Czego właściwie chcesz? - naciskał go Holloway. - Po co przyjechałeś?

- Miałem dość czasu, żeby wszystko przemyśleć. Chciałbym naprawić co się da, i tyle.

- Zapłaciłem ci, żebyś trzymał się z daleka od Jenny. Dostałeś mnóstwo forsy, tak czy nie?

- Tak, ale to było dawno - przyznał. - A teraz chcę się poprawić.

- Spróbuj się do niej zbliżyć, a pożałujesz.

Ultimatum to karta przetargowa tchórzy. Mowa trawa, puste gadanie. Brzmi groźnie, ale nic za tym nie stoi. Troy wiedział, że nie ma czym się przejmować. Holloway to kutwa, całą kasę lokuje w akcjach i nieruchomościach. Najwyraźniej nie wydawał zbyt dużo forsy na córkę, skoro od rana do nocy musiała tyrać w restauracji i żyć w obskurnym mieszkaniu. Możliwe, że Holloway nienawidzi ojca swego wnuka jeszcze bardziej niż Troya.

W końcu nie ma to żadnego znaczenia. Po śmierci ojca Jenny i tak odziedziczy wszystko. Natalie się nie liczy, jest tylko dekoracją - dostanie worek bilonu i do widzenia. Prawdziwy spadek wpadnie Jenny.

Troy skrzywił się. Rzeczywiście, zawałił sprawę z Jenny, bo był za młody i nie umiał dobrze tego rozegrać. Dziś wie, że dał się ponieść nerwom. Teraz, gdy się wścieknie, potrafi już znaleźć inne sposoby, żeby sobie ulżyć. Naprawdę, nie trudno robić ludzi w konia.

Uśmiechnął się, wyjął z kieszeni gumę i wsunął do ust. Rzucił palenie. Palacz nie ma szans u szczupłych, bogatych kobiet, które chcą, żeby ktoś je przeleciał. Oczywiście same palą jak lokomotywy, ale ich ogier musi być sterylnie czysty. Lubi robić im dobrze, ale zawsze pamięta o kasie. Czasami, kiedy któraś za dużo wypila, zabierał jej gotówkę i spływał. Ale nie za często. Przeważnie poznawał nazwiska ich przyjaciółek, a przez nie docierał do następnych i tak dalej. Już dwukrotnie trafił na kobiety naprawdę bogate, które chciały obsypać go forszą, ale za każdym razem potykał się na tej samej przeszkodzie - Michelle Calgary. Sama myśl o niej doprowadzała Troya do wściekłości. Zaszła w ciążę i bez przerwy płakała. Po prostu nie mógł tego znieść. To było nie do wytrzymania.

A teraz już od dłuższego czasu trwa posucha. No tak, była Patricia, ale miała za mało pieniędzy. Liczył na jakąś dołę, a powinny to być grube miliony. Pokazał się z nią parę razy i dał jej to, na co czekała. Przy okazji rzucił okiem na jej finanse. Z całą pewnością nie był to poziom Allena Hollowaya. No cóż, jej strata. Nie miał zamiaru sprzedać się tanio.

Wrzucił bieg i włączył się do ruchu. Podjechał pod dom Jenny, ale w oknach jej mieszkania było ciemno. Już od paru dni. Wyjechała, uświadomił sobie nagle z wściekłością.

Allen chyba ją ostrzegł.

Tak mocno zacisnął dłonie na kierownicy, że zbieleły mu kostki palców. W pierwszym odruchu ruszył w stronę rezydencji Hollowaya, ale po chwili zmienił zamiar i zawrócił do restauracji. Wskoczył z auta, zanim jeszcze na dobre stanęło.

- Jebany skurwysyn - syknął przez zaciśnięte zęby. Gdyby mógł, zabiłby Hollowaya. Bez wahania i bez litości.

- Witamy U Riccarda. Pojedynczy stolik? - zapytała rezolutna recepcjonistka.

Spieprzaj, pomyślał, ale na twarz przywołał uwodzicielski uśmiech.

- Chyba że usiądzie pani ze mną?

Odpowiedziała zalotnym uśmiechem i poprowadziła go do stolika pod wyłożoną kamieniem ścianą. Migotliwe światło grubej świecy rzuciło niespokojne cienie na nierówną powierzchnię. Odplynęła, kołysząc biodrami i kręcąc kształtnym tyłkiem.

Wdzięk, powtarzał sobie, szukając wzrokiem kelnerki, którą widział kiedyś, jak rozmawiała z Jenny. Sprawiała wrażenie jej najlepszej przyjaciółki. Podpatrywał je, siedząc przy stoliku w kącie i wyszedł, zanim Jenny zdążyła go zauważyć. Spodziewał się, że nie będzie jej tamtego wieczoru w restauracji, był więc zaskoczony, kiedy nieoczekiwanie przeszła parę metrów od niego. Wymknął się, zostawiając należność za drinka plus spory napiwek. Lepiej nie zapisywać się w pamięci jako ten, co zjadł i zwiął. Najważniejsze to nie zwracać na siebie uwagi.

A oto i ona, uprzejma jak cholera. Gdy spostrzegł, że obsługuje gości w innej części sali, zmienił stolik.

- Hej, co za spotkanie - powiedziała z zalotnym uśmiechem. - Był pan chyba u nas parę dni temu, prawda?

- Widocznie coś mnie tu ciągnie.

- Aha. - Opierając się biodrem o krzesło, przyglądała mu się z błyskiem w oku. - Zdążył pan już przejrzeć menu?

- A co mogłaby mi pani polecić?

- Wszystko jest pyszne. A jeśli lubi pan makaron po włosku, nie ma lepszego lokalu.

Zdecydował się w końcu na rurki *ziti* w sosie *marinara* z kalmarami i małżami. Przyniosła mu je razem z kieliszkiem *chianti* i po raz drugi tego wieczoru zafundowała mu niespodziankę.

- Dzisiaj jej nie ma - powiedziała scenicznym szeptem. - Ma urlop.

A więc wiedziała, że obserwował Jenny. Rozwścieczyła go własna nieostrożność.

- Wyjechała z synem?

- Z Rawleyem? Nie, raczej nie. Zna ją pan? - Sprawiała wrażenie zmieszanej i zaskoczonej. Troy dostosował się do tej zmiany nastroju i ostrożnie ważył słowa.

- Widywałem ją tutaj.

- To niech pan jej nie przegapi, bo po urlopie będzie tu tylko przez parę dni. Wyprowadza się. Nie wiem nawet, czy pokaże się w restauracji przed wyjazdem.

Troy zacisnął pięści pod stołem.

- Racja. Mówiła, że wyjeżdża z Houston. A właściwie dokąd się wybiera?

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, wahając się, ile może mu zdradzić. Troy wzruszył ramionami, udając nieszkodliwego naiwniaka.

- A zresztą nie musi mi pani mówić. Zadzwoń do niej.

- Do Nowego Meksyku - odpowiedziała. - A jak się pan nazywa? Powiem jej, że zajrzał pan do nas.

- Mike Conrad. - Skrzywił się. - Obawiam się, że i tak się miniemy. Wracam jutro do Cincinnati.

- Fatalnie, panie Conrad. Powiem jej, że straciła świetną okazję.

- Koniecznie.

Patrzył, jak odchodzi i czuł lekką satysfakcję. Nowy Meksyk jest wielkim stanem, ale

trzeba tylko dalej iść jej tropem, a informacje same się znajdują. No i jeszcze ten syn... Rawley. W sumie wieczór można uznać za udany.

Jenny opalała się na białym leżaku. Z mocno zaciśniętymi powiekami smażyła się w bezlitosnym meksykańskim słońcu, czując, jak jej skronie oblewa pot. Kiedy próbowała otworzyć oczy, widziała tylko czarne, wirujące plamy. Westchnęła. Szkoda, że nie potrafi cieszyć się wakacjami tak jak Magda, Phil i cała reszta.

Zapewne piją już popołudniową margaritę, w czasie gdy wszyscy szanujący się Meksykanie zażywają zasłużonej sjesty. Jenny zamierzała właściwie uniknąć prażenia się w upale i wybrać się na spacer dopiero po południu, kiedy słońce nie pali już tak mocno. Sama nie wiedziała, po co wyszła na słońce, choć z drugiej strony musiała zrezygnować z drzemki w chłodnym pokoju, gdy z urządzenia klimatyzacyjnego wyciekła na jej łóżko kałuża wody. Joaquin, boy hotelowy, zapewne właśnie się tym zajmuje.

Przez cały czas nie opuszczał jej niepokój, który wiązał się oczywiście z Troyem. Tak skutecznie wyrzuciła go z pamięci, że przez piętnaście ostatnich lat był tylko nikłym wspomnieniem, do którego nie chciała wracać. Ale teraz, po rewelacjach usłyszanych parę dni temu od ojca, wszystko odżyło. Czowała się spięta i zdenerwowana. Były chwile, kiedy miała ochotę krzyknąć.

Wróciła do pokoju. Wzięła prysznic, wytarła się i wysuszyła włosy, spinając niesforne loki szylkretową klamrą. Nabrała powietrza i dmuchnęła w górę na gęstą grzywkę. Spojrzała w lustro - zobaczyła w nim niebieskie, ironicznie patrzące oczy. Dołeczki w policzkach zniknęły, kiedy jej twarz spoważniała.

- Nic mi nie zrobisz, Troy - powiedziała zimno.

W salonie Magda, Phil i reszta towarzystwa przeszli właśnie od pociągania koktajli do ostrego picia. Dyskusja toczyła się wokół cen taksówek. Towarzystwo wypilo sporo, nikt więc nie chciał siadać za kierownicą. Jenny ledwo się powstrzymywała, by nie uciec do swojego pokoju.

W zasadzie nie miała nic przeciwko drinkom, ale została tak daleko w tyle, że czuła się trochę nieswojo.

- Jenny, kochanie. - Magda pomachała do niej palcami, wylewając jednocześnie na posadzkę zmrożoną margaritę ze szklaneczki, którą trzymała w drugiej ręce.

- Zaraz zorganizuję ci coś do picia. - Phil miał na głowie swój dziwny beret w europejskim stylu. Jenny skinęła głową i uśmiechnęła się. Nie chciała psuć im zabawy. Męczyła już ją rola panny Porządnickiej, która przynudza i zawsze pierwsza kładzie się spać. W młodości też robiła różne głupstwa, ale zdążyła je wszystkie odpokutować i teraz ma prawo do odrobiny przyjemności, zwłaszcza że Rawley jest bezpieczny pod opieką Fergusonów. Nie musi się więc o nic niepokoić. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Pozbycie się myśli o Troyu wymagało jednak niemal fizycznego wysiłku. Jenny wciąż zerknęła na telefon, zdając sobie jednocześnie sprawę, że gdyby chciała ot tak, na wszelki wypadek, sprawdzić, co słychać u Fergusonów, musiałaby mieć pod ręką kartę kredytową i znacznie lepiej mówić po hiszpańsku. Rawley pewnie jest szczęśliwy na obozie piłkarskim, szeptała w duchu, a mimo to jej niepokój wcale nie malał. Chyba powinnam wypić jeszcze jedną margaritę, pomyślała z determinacją.

Najwyższy czas włączyć się do zabawy.

- Pij, zanim szkłem przejdzie - powiedział Phil, teatralnym gestem podając jej drinka.

- Dzięki.

Ktoś odłączył się od towarzystwa i ruszył w jej stronę. Samotny młody mężczyzna, Matt

Jakiś tam. Jenny rozpaczliwie szukała tematu do rozmowy. Zbesztła się w duchu za antytalent do flirtowania i poprzestała na zachęcającym uśmiechu. Matt przez całe popołudnie czarował Lisę i Jackie, teraz pewnie uznał, że pora olśnić wspaniałą osobowością właśnie ją. Cynizm? Owszem. Jest cyniczna. I przez piętnaście lat dobrze na tym wychodziła...

- Siemanko - rzucił i klapnął w nogach jej leżaka.

- Cześć. - Jęknęła w duchu. Wyglądał jak podrośnięty Rawley. W każdym razie młodzieżowy żargon był ten sam.

- Często tu bywasz? - Uśmiechał się jak satyr.

- Codziennie, jeszcze przez tydzień.

- Jestem Matt. A ty Jenny.

Bez słowa podniosła kieliszek. Chciała coś powiedzieć, inteligentnie i błyskotliwie, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Zero pomysłów. Życie jest za krótkie, by tracić je na dążenie do doskonałości.

- Moja mama nazywa się Jennifer.

- Naprawdę?

- A tata ma na imię Ted. - Uśmiechnął się szeroko. - Przynudzam, nie?

Rzeczywiście przynudzał, ale pokręciła głową. Ile jeszcze godzin minie, zanim wreszcie to wszystko się skończy? Hunter obiecał, że postawi jej margaritę. Zastanawiała się, czy nie mogłaby zrezygnować z kolacji i zmyć się od razu. Ale co będzie robiła? Czekala na niego w barze? A może zadzwonić do jego pokoju?

Odpowiedź była tak oczywista, że aż się zdziwiła, dlaczego dopiero teraz na nią wpadła. Ledwie Matt otworzył usta, żeby znów zagadać, Jenny spojrzała na zegarek.

- O rany, jak późno! Jadę do hotelu Rosa. Jem tam dziś kolację.

- Naprawdę? - Magda machnęła ręką, na której zabrzęczała srebrna, wysadzana turkusami bransoletka własnego projektu. Takie bransoletki dały początek kolekcji biżuterii, nazwanej Pułapka na Turystów i cieszącej się wielkim wzięciem.

- Chodzi o restaurację - powiedziała Jenny. - Mają podobno fantastyczną kuchnię, a ja wciąż szukam nowych pomysłów. - Parsknęła śmiechem. - Ściągam tylko od najlepszych.

- Jadę z tobą - natychmiast oznajmił Matt.

- Nie, Matt. - Magda skarciła go spojrzeniem. - Nie zostawimy przecież tego całego jedzenia na stole. Co pomyśli sobie obsługa? Poczują się dotknięci.

- No to wy jedzcie tutaj, a my z Jenny wypróbujemy hotel Rosa. - Mrugnął do niej. - Powiesz mi tylko, na co masz ochotę, a ja stawiam.

Gapiała się na niego, zła na siebie, że nie potrafi go splawić. Wzruszyła ramionami i poszła na górę, żeby się przebrać. Po drodze podchwyciła rozczarowane i wściekłe spojrzenia Lisy i Jackie. Matt już dzwonił po taksówkę. Gdy tylko zeszła na dół, zjawił się w obcisłych dżinsach i czarnej koszuli rozpiętej do pępka.

O Boże, westchnęła w duchu i wyszła przed dom.

Stawał się coraz bardziej kłopotliwy. Od chwili, gdy otworzył przed nią drzwi taksówki, zaczął wyraźnie rościć sobie do niej szczególne prawa. W ostatnim odruchu rozpaczy próbowała namówić na wyjazd Lisę i Jackie, ale ze wzgardą odrzuciły zaproszenie, przebijając Martę spojrzeniami jak sztylety.

On sam natomiast pozostał niewzruszony. Kiedy samochód pędził po wybojach w dół, do centrum, objął ją ramieniem.

- Nie sądziłem, że wybierzesz się ze mną. - Uśmiechnął się głupkowato. - Podobno jesteś niedostępną księżniczką jeśli wiesz co mam na myśli.

- Doprawdy? - Uniosła ze zdziwieniem brwi.

- Wiem, że hotel Rosa słynie z dobrej kuchni, ale w pobliżu są lokale z lepszą muzyką. Moglibyśmy potańczyć.

- Matt, mnie interesuje tylko kuchnia. I właśnie z tego powodu tam jadę.

- Rozumiem, nie ma sprawy - westchnął żałośnie.

Jenny chodziły po głowie jakieś dosadne komentarze, ale nie odważyła się wypowiedzieć ich na głos. Wkurzała ją jej własna kindersztuba. A jednak musi coś z tym zrobić. Ma przecież coś w rodzaju randki z Hunterem Calgarym. Co sobie pomyśli, gdy zobaczy ją z Mattem?

Kiedy wysiedli przed hotelem, wreszcie wydusiła z siebie:

- Matt, nie powiedziałam ci całej prawdy. Jestem tu z kimś umówiona. Myślę, że powinienś o tym wiedzieć. - Grzebała w portmonetce, żeby zapłacić za taksówkę, ale przytrzymał ją za nadgarstek.

- Jasne. - Zapłacił taksjarszowi i dodał hojny napiwek. - Mogłaś od razu powiedzieć.

- Gdybyś dał mi szansę. Ale nawet nie zapytałeś!

- Wolnego, poczekaj. - Ruszył przodem, żeby otworzyć drzwi, ale wkurzył ją tym jeszcze bardziej.

- Posłuchaj... - zaczęła.

- Bardzo cię przepraszam, ale...

- Nie. Musisz posłuchać - przerwała mu. - Zostajemy tu razem przez cały tydzień. Postawmy sprawę jasno. Przyjechałam na urlop. I to wszystko. Rozumiesz, o czym mówię?

- Jasne. Przerwa regeneracyjna.

Przytaknęła.

- Nie chciałabym żadnych kłopotliwych sytuacji.

Znów się uśmiechnął. Usta miał jak Tom Cruise, a wielkie, białe zęby pewnie powalały na kolana mnóstwo kobiet. Potem, niestety, się odzywał i psuł całe wrażenie.

- Czekaj no, przecież jeszcze ci się nie oświadczyłem. Odpręż się, dobra?

I z tymi słowami wszedł pierwszy do restauracji.

Hunter o mało nie jęknął głośno, widząc Jenny Holloway z mężczyzną. Miał krótko ostrzyżone, trochę sterczące jasne włosy, zabójczą opaleniznę, która zapewne była efektem smażenia się na słońcu godzinami, dżinsy opięte do niebezpiecznych granic i czarną koszulę odsłaniającą pępek. Na pierwszy rzut oka wyglądał na dwadzieścia kilka lat, ale po dokładniejszych i szybkich oględzinach, które Hunter przećwiczył na przestępcach, można mu było dać trzydziestkę z hakiem. Kto to jest, do cholery? I dlaczego z nim przyszła?

Odpowiedź pojawiła się niemal równocześnie z pytaniem. Ktoś z gości z willi. I to zachowujący się niesłychanie poufale wobec Jenny... co jej najwyraźniej ani trochę się nie podoba. Hunter cofnął się do wyłożonego bambusem przejścia między salą, do której weszła Jenny a salą, gdzie stał zarezerwowany przez niego stolik i obserwował.

Nie była zdecydowana, co zrobić. Rozglądała się, omijając wzrokiem swojego towarzysza i odruchowo przesuwając dłoń po szyi, jakby dokuczał jej upał albo niezręczna sytuacja. A może jedno i drugie, zważywszy na wilgoć i temperaturę, której na razie nie łagodziło zaciągające się chmurami niebo. Znad oceanu nie dolatywała najłżejsza bryza. Powietrze w restauracji było gęste i nieruchome.

Wahał się, czy wyjść naprzeciw niej i zagarnąć ją dla siebie od razu, czy znów wtopić się w cień i spokojnie obserwować. Wolałby to drugie, ale w końcu umówili się tu, więc nie bardzo wypadło. Odczekał dłuższą chwilę, wyłonił się z mrocznego przejścia i wszedł tuż za *maître d'hotel*, który właśnie proponował im stolik.

Jenny podniosła wzrok, zobaczyła Huntera i posłała mu uśmiech równie dla niego po-

chlebny, co budzący wyrzuty sumienia. Wyraźnie zaczynała na niego liczyć, a wybrała w tym celu niewłaściwego mężczyznę. Nie w tych sprawach. W ogóle w żadnych sprawach poza czystymi względami bezpieczeństwa.

- Cześć - powiedziała, po czym niepewnie zerknęła na asystującego jej blondyna. Hunter obrzucił go spojrzeniem wykazującym całkowite *desinteressement*, ale facet zareagował w klasyczny sposób: zamrugał, odsunął się na krok od Jenny, skrzyżował ramiona i patrzył na Huntera ze zmarszczonym czołem.

- Ee... przyprowadziłam... posiłki - wyjąkała Jenny. - Matt mieszka w naszej willi. Poznacie się. Matt, Hunter Calgary.

Matt niechętnie wyciągnął spoconą dłoń.

- Matt Kilgore.

Hunter uściśnął mu rękę. Facet był o dobre pięć centymetrów niższy od niego i wyglądał na rozpieszczonego i rozgrymaszonego synka mamusi. Pewnie poluje na forszę Jenny, pomyślał chłodno Hunter. Najwyraźniej się wprosił. Z pełną świadomością, że jego słowa zabrzmiały demonstracyjnie cierpko i zapewne krzywdząco, spytał:

- Starzy znajomi?

- Och, nie! - Jenny chciała jak najszybciej wyjaśnić sytuację. - Znam Magdę i Phila od jakiegoś czasu i to oni zorganizowali cały ten wyjazd. Z Mattem poznaliśmy się dopiero kilka dni temu. - Popatrzyła wyczekująco na swojego towarzysza, który nie odezwał się ani słowem.

Hunter nie spuszczał z niego wzroku.

- No, ja też znam Magdę i Phila - powiedział w końcu Matt.

- Myślałam, że przyjechałeś razem z Lisa i Jackie - zdumiała się Jenny.

- Owszem, przyjechaliśmy we trójkę - mówił obojętnie, rozglądając się dokoła. - Zwolniono się jedno miejsce, więc mnie zabrali. Ale Mont-gomerych też znam całkiem nieźle.

Akurat, pomyślał Hunter. Chciał się po prostu załapać na tę czarowną wyprawę. A ponieważ jego osobistym zadaniem było uchronienie Jenny przed wszelkim zagrożeniem, włączył Marta Kilgore'a do kategorii „mieć oko” i obiecał sobie sprawdzić go później bardziej dokładnie.

Dostali stolik z widokiem na ocean. Podłoga w tym miejscu właściwie przechodziła już w plażę, a przez otwarte drzwi wsypywał się do wnętrza drobniutki piasek. Zamiast ścian otaczały ich lekkie, przenośne bambusowe ekrany, usuwane, gdy pozwalała na to pogoda. Świeca w czerwonym lichtarzu rzucała chwiejne światło, a w górze, tam, gdzie zwykle bywa sufit, krzyżowały się sznury drobnych, białych lampek choinkowych. Lekki powiew znad oceanu pozwalał swobodniej oddychać. Fale przyboju słychać było coraz wyraźniej.

Matt ubiegł Huntera i pierwszy odsunął krzesło Jenny. Świetnie. Niech jej nadskakuje i robi z siebie durnia. Poza tym lepiej trzymać się od niej na odległość wyciągniętej ręki. Zbyt bliski kontakt jest niebezpieczny. Córeczka bogatego faceta, na dodatek za ładna, żeby jej ufać.

Usiadł i wyciągnął nogi. Niechący trącił butem sandał Jenny, która cofnęła stopę, jakby poraził ją prąd. Matt zapalił papierosa, Jenny zmarszczyła nos. Okazuje się, że księżniczka nie lubi dymu. Na Matcie nic jednak nie robiło wrażenia.

- Boże, jak dobrze, że można zapalić - westchnął z zadowoleniem. - Wiecie, w ilu restauracjach tego zabraniają? To jakaś epidemia. W Kalifornii w ogóle nie ma o czym gadać. Nawet w barach nie wolno. Cholera, nie wiem, jak można pić bez papierosa!

Poufałym gestem pchnął paczkę przez stół. Hunter popatrzył na nią przelotnie. Zabawne, jak bardzo chciało mu się palić tamtego wieczoru, kilka dni temu. Teraz nie miał za to najmniejszej ochoty.

Jenny odwróciła się, być może od dymu, a może od obu mężczyzn. Nagle posmutniała, a Hunter był zły, że nie może jej uchronić przed takimi nastrojami. Ledwie się opanował, by nie wyciągnąć do niej ręki, ująć dłoni i powiedzieć... Co? Jakiś banał o tym, że wszystko będzie dobrze? Że ma się niczym nie martwić, bo teraz on jest na posterunku? Nie wykonał więc żadnego gestu.

Jenny siedziała zasłuchana w monotony huk oceanu, w łagodny, nieustający szum, przechodzący w ryk lwa, kiedy pędzone wiatrem fale uderzały o brzeg. Zbyt wiele spodziewała się po tym wieczorze, a towarzystwo Matta rozwiało wszelkie nadzieje.

Może to i dobrze? Mieć obok siebie Huntera, rozpartego wygodnie o parę centymetrów od niej, w koszuli rozpiętej pod szyją, nie na wzór *Gorączki sobotniej nocy*, jak Matt, ale swobodnie, po męsku... To wystarczało, żeby zupełnie wytrącić ją z równowagi. Nie mogła w to uwierzyć. Przez tyle lat była niemal uczulona na wdzięki płci przeciwnej, a teraz obezwładniała ją sama obecność tego mężczyzny. Do diabła z nim. Wygląda tak nieprawdopodobnie... spokojnie i pewnie.

Nie wiedziała, co ma z tym zrobić.

Zaszalej. Zafunduj sobie przygodę. Kochaj się przez całą noc... O mało nie zakryła twarzy dłońmi, zażenowana własnymi myślami.

- Hej, Jenny! - Matt uderzył dłonią w stół. Podskoczyła na krześle. - No, wyluzuj!

Uśmiechnęła się blado. Coraz bardziej przypominał jej nastolatka. I coraz mniej jej się to podobało.

- Co pijesz? - spytał i skinął na kelnera, który natychmiast pojawił się przy stoliku.

- Wodę gazowaną? - powiedziała niemal przepraszająco.

Matt wydał odgłos oznaczający niesmak i zamówił dla siebie podwójną tequilę. Hunter poprosił o piwo.

- Proszę zaczekać... nie... może margaritę. - Miała ochotę na coś mocniejszego niż woda. Poza tym trochę alkoholu dla kurażu dobrze jej chyba zrobi. Panna Porządnicka dostała wychodne i już.

Matt nie przestawał trajkotać, kiedy czekali na drinki. Za to ani Jenny, ani Hunter nie mieli zbyt wiele do powiedzenia.

- No więc jak właściwie się poznaliście? - zapytał, przekrzywiając głowę.

- Wczoraj wieczorem. - Jenny zerknęła na Huntera, który końcem paznokcia zdrapywał brzeg naklejki z butelki z piwem. Popatrzył jej w oczy, a ona szybko odwróciła wzrok.

- Tak? - Matt spoglądał to na nią, to na Huntera. - W Puerto Vallarta?

- W hotelu Rosa - dodał Hunter, ponieważ Jenny milczała.

- Bez żartów. I umówiliście się od razu na randkę? - Odsunął krzesło. - Jenny, Jenny, powinnaś mnie była uprzedzić, o co tu naprawdę chodzi.

- O nic - odparła spokojnie, wściekła, że się rumieni. Dzięki Bogu, światło było mocno przyćmione. - Byliśmy tu po prostu wczoraj... z Magdą, Philem i resztą. Magda złamała obcas.

- I upadła na moje kolana - wsparł ją Hunter z błyskiem w oku.

- Jenny?

- Nie, Magda. Potknęła się, zatoczyła i... - Pokazała ręką na kolana Huntera, ale zatrzymała na moment wzrok na pasku i opiętych dżinsach.

- Miałem zamiar się przedstawić - ciągnął Hunter - ale okazja sama wpadła mi na kolana.

Matt uporał się z resztą tequili.

- No to mam zostać, czy nie? - spytał i była to najbardziej interesująca kwestia, jaką wygłosił tego wieczoru. Jenny odczuła do niego coś w rodzaju życzliwości.

- Zostań - powiedziała. Hunter omal nie jęknął. Zauważył, jak złagodniała. Zdumiewająca jest ta kobieca wrażliwość. Czy ona naprawdę niczego nie rozumie? Nie widzi? Ten facet nadskakuje jej z zupełnie niewłaściwych powodów.

- Dzięki. - Matt posłał Jenny kolejny filmowy uśmiech. Sprawiał wrażenie naprawdę szczęśliwego, że raczyła przyjąć go do towarzystwa.

- No to jeszcze po jednym! Ale tym razem, Jenny, wypijesz ze mną!

Hunter pomyślał ponuro, że Matta należałoby wypatroszyć i poćwiartować.

Dwie godziny później, po posiłku, który ze wszech miar potwierdzał reputację, jaką cieszyła się restauracja, Jenny rozsiadła się wygodnie, w niemal równie swobodnej pozycji, jaką do perfekcji opanował Hunter Calgary. Matt okazał się całkiem sympatycznym facetem. Zachowywał się tak, jakby świadomie zdecydował, że przekazuje Jenny w ręce Huntera i od tej pory świetnie się bawił. Mężczyźni są dużo przyjemniejsi, kiedy nas nie podrywają, pomyślała, uśmiechając się. Była lekko wstawiona. Matt pojechał dużo ostrzej i już nie liczył tequili, za to niewzruszony spokój i obojętność Huntera nie zmieniły się ani odrobinę. Widocznie piwo na niego nie działa, a stanowczo odmawiał tequili.

Nagle poczuła skurcz serca. Czy nie robi z siebie idiotki?

- Chyba was opuszczę. - Matt nieco oblesnie puścił do nich oko. Zachwiał się lekko, wstając z krzesła, po czym rozejrzał się i powiedział: -Wszystko w porządku. Jestem no... w porządku.

Hunter patrzył, jak sunie niepewnym krokiem do baru, gdzie dwie blondynki w sukienkach bez pleców samotnie popijały margaritę. A potem spojrzął na Jenny, która jakby trochę osunęła się na krzesło. Podejrzewał, że wypila odrobinę więcej alkoholu niż zwykle i jej minka niedostępnej księżniczki gdzieś zniknęła. Wyglądała... zachwycająco. A on, kurcze blade, wołałby, żeby tak nie było.

Popatrzyła na niego przeciągle i oparła łokcie na stole.

- No, jesteśmy sami - powiedziała zuchowato. - Pora na trudne pytania.

- Wal.

- Jesteś na urlopie w Puerto Vallarta. Co robisz na co dzień w Stanach? - Pokazała kciukiem na północ, jakby dla podkreślenia swoich słów.

- Chwilowo jestem bezrobotny. Miałem pracę, ale ją rzuciłem.

- Jaką pracę?

- Państwowa posesja.

- To zawęża wybór. - Zmrużyła oczy. - Kontrola skarbowa.

Uśmiechnął się.

- Nie... - Roześmiała się niezbyt mądrze, zastanawiając się, dlaczego wszystko dookoła wydaje się tak cholernie zabawne. - Jesteś urzędnikiem pocztowym. Nie, nie... senatorem z któregoś z zachodnich stanów. Z Idaho. Albo Wyoming. Wyglądasz jak kowboj.

Uniósł brew.

- Kowboj?

- No, może nie całkiem. - Szukała odpowiednich słów. - Po prostu tak chodzisz.

- Mam krzywe nogi?

- Utrudniasz mi - stwierdziła oskarżycielsko. - Nie, poruszasz się jak kowboj. Jakoś tak powoli, leniwie, na luzie. - I seksownie, omal nie dodała. - Nie znam oczywiście żadnego kowboja, więc mogę się mylić.

- W Houston jest pełno kowbojów. W każdym razie facetów, którzy tak o sobie myślą.

Na wargach Huntera pojawił się nikły uśmiech. Seksowny, niesłychanie seksowny uśmiech, na który ona, Jenny, nie da się nabrać. O, nie. Nie ma mowy. Dobrze to zna. Ma

trzydzieści pięć lat, na litość boską. Żadne takie numery na nią nie działają.

Obraz jej się trochę rozmazywał, co oczywiście nie było dobrym znakiem, zmrużyła więc oczy.

- Czyżbym ci mówiła, że pochodzę z Houston? - spytała. - Nie przypominam sobie.

- Powiedziałaś, że tam mieszka twój ojciec.

- Och... no tak... - Wspomniała o ojcu, niezbyt precyzyjnie, w kontekście wychowywania dzieci, kiedy Matt dość lekceważąco wyraził się o swojej rodzinie. Hunter robił wrażenie niepokojąco trzeźwego, a ona chyba przebrała miarę.

- A pracujesz w restauracji - dodał.

- Otwieram własną. Sądzisz, że to błąd? Wszyscy mi powtarzają, że nie dam sobie rady w tej branży. Zbyt niepewny biznes. Restauracje plajtują w ciągu miesiąca. - Strzeliła palcami, dumna ze swojej wiedzy i pozycji. - Mojemu ojcu się powiodło, a ja w tej branży też pracuję od lat.

- Myślę, że sobie poradzisz.

Słowa Huntera zapadły jej głęboko w serce, choć wiedziała, że chciał być po prostu uprzejmy. Jednak na palcach jednej ręki mogła policzyć ludzi, którzy w nią wierzyli i nagle poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Szybko wypila ostatni łyk margarity i energicznie zamrugała.

- Zwykle tyle nie piję - wyrwało jej się. - Wiem, że każdy pijaczek na świecie powtarza to samo, ale w moim wypadku to prawda. Przepraszam. - Ostrożnie odstawiła kieliszek na wysokiej nóżce.

Miał ochotę wyciągnąć do niej rękę i ją ucałować. Nie musiała mu tłumaczyć, że prawie w ogóle nie pije, miała to wypisane na twarzy.

- Nie ma za co przepraszać. Wszystko w porządku.

Popatrzyła na niego niebieskimi oczami.

- Tylko tak mówisz.

Pokręcił głową.

- Może powinnam wypić kawę.

- Masz ochotę na spacer po plaży?

Zamyśliła się, a potem wolno pokiwała głową.

- Tak. To chyba dobry pomysł.

Rzucił na stół parę monet i przeprowadził ją obok bambusowych ścianek na plażę. Dalej nie było już piasku, tylko kamienie, które szybko ustąpiły miejsca skałom omywanym przez fale. Hunter wziął ją za rękę i w milczeniu przeszli parę kroków po piasku.

- Wiesz, dlaczego tu przyjechałam? - zapytała, jakby chciała mu coś wyznać. - Uciekam. Po prostu.

- Po to są wakacje - odparł.

- Ale ja uciekam od prawdziwego życia. Pewnie każdy przyjeżdża tu po trosze z tego powodu, ale ja uciekam naprawdę. Przystawiam zwrotnice. Zaczynam nowe życie, a Magda chciała, żebym przyjechała, więc jestem.

- Wygląda na to, że pomysł był całkiem dobry.

Skinęła głową.

- Myślę, że tak. Chociaż kiedy Matt powiedział dziś wieczorem, że jedzie ze mną... - Popatrzyła na daleki księżyc i stłumiła śmiech. - Nie wiedziałam, co robić! Miałam się spotkać z tobą, a nie mogłam się go pozbyć. Chciałam mu powiedzieć, żeby spływał. *Pronto*. - Spojrzała spod oka na Huntera. - Zauważ, że mówię po hiszpańsku.

Roześmiał się i sam się tym zdumiał. Nie śmiał się od lat.

- Jak tubylec.
- Prawda? - Kołysała ich złączonymi dłońmi, kiedy szli przed siebie. - A jednak nic z tego nie wyszło, bo nie potrafiłam zdobyć się na nie-uprzejmość. Wkroczyła panna Porządnicka i nie chciała sobie pójść. Wiesz, ona chyba sobie za dużo pozwala.
- Panna Porządnicka?
Jenny uśmiechnęła się szelmowsko, wspięła na palce i szepnęła mu wprost do ucha:
- Coś ci powiem w tajemnicy. Nie lubię jej.
- Czy muszę ją poznawać?
- Ależ znasz ją, znasz. - Machnęła ręką. - Jest cholernie nudna. Zawsze robi to, co trzeba, mówi to, co trzeba, bla, bla, bla. Przestała przynajmniej ubierać się tak, jak trzeba, więc jest jakaś poprawa.
- Podoba mi się to, co na siebie włożyła.
- Jej tu nie ma! - wykrzyknęła Jenny.
- A kto jest?
Zatrzymała się, obróciła ku niemu; leciutka bryza podwiewała brzeg jej sarongu. Odgar-
nęła z oczu i ust kosmyki włosów.
- Głupia rozmowa - oznajmiła, nagle poważniejąc. - Sama nie wiem, co plotę.
Chciał ją pocałować. Patrzył na jej usta i miał na to ogromną ochotę. Nie bądź idiotą,
upomniał się.
- Zwykle nie jestem taka... głupia.
- Nie jesteś głupia. Myślę, że pannie Porządnickiej należy się od czasu do czasu wolny
wieczór.
Zamknęła oczy i westchnęła.
- Mówiliśmy o tobie. Nie wiem, jak to się stało, że zaczęłam opowiadać o sobie.
- Podoba mi się to.
Jenny pokręciła głową.
- Nie. Wcale nie jestem interesująca.
- Każdy człowiek jest interesujący. Wszystko zależy od tego, ile chce o sobie powiedzieć.
Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Dobry humor wrócił.
- Jesteś szpiegiem. Pracujesz dla CIA. Czytasz w moich myślach. To jest ta twoja pań-
stwowa posada.
- Zdemaskowałeś mnie - odpowiedział z udawaną powagą. Znów się zaśmiała i nagle za-
kryła usta dłonią.
- Jutro będę tak zażenowana, że chyba umrę. Już to czuję.
- Nie ma najmniejszego powodu.
- Strasznie kręci mi się w głowie. To ten piekielny drink.
Hunter uśmiechnął się. Od lat nie czuł się tak cudownie.
- Powinnaś robić to częściej. Jesteś zbyt poważna.
- Skąd wiesz? - Nagle stała się ostrożna, niemal przestraszona.
- Sama powiedziałaś.
- Och.
- Poza tym widziałem cię z przyjaciółmi. Na kilometr było widać, że jesteś inna. Takie
kobiety jak ty dostrzegają pułapki, zastanawiają się nad przyszłością. To ciąży jak przekleń-
stwo, bo życie toczy się dalej, a ty czujesz się tak, jakbyś spóźniła się na pociąg.
Patrzyła na niego długo i uważnie.
- Mówisz z własnego doświadczenia?
- Jak na kobietę, która przed chwilą lamentowała, że jest głupia, wykazujesz zdumiewa-

jącą przenikliwość.

- A ty co zamierzasz z tym zrobić?

- Z czym?

- Jak chcesz dogonić ten pociąg?

Hunter zmarszczył brwi.

- To była metafora - mruknął niechętnie.

- Wiem - powiedziała łagodnie. - Ale w jaki sposób chcesz go dogonić?

Po co mu, u diabła, to całe filozofowanie? Po jaką cholere mają się poznawać?

- Ten pociąg nadjechał i odjechał, a ja nie mam zamiaru w najbliższym czasie łapać następnego.

- Szkoda. - Cofnęła dłoń i Hunter poczuł się jak drań. Sprawił jej zawód. - W każdym razie dziękuję za spacer. Chyba pora wracać.

Czy to wszystko jej się śniło?

Do pokoju wpadały promienie słońca. Czowała lekki ból w skroniach, patrzyła przez przy-mrużone, jakby zasypiane piaskiem oczy. Takim samym jak na plaży, po której wczoraj spacerowali. O czym ona, na Boga, myślała?

Zaszalej. Zafunduj sobie przycgodę. Kochaj się przez całą noc...

Jęknęła i nakryła głowę poduszką. Ból narastał. Z wysiłkiem wstała, przeszukała kosmetyczkę i znalazła aspirynę. Nie było jednak niczego do popicia, Jenny stanęła więc na chwilę pod prysznicem, z trudem się ubrała i zeszła na dół po sok pomarańczowy.

Towarzystwo siedziało przy śniadaniu. Matta nie było.

- Jak się udał wieczór? - Magda uśmiechała się znacząco.

- Słucham? - Jenny połknęła tabletkę i popiła sokiem.

- Wyglądasz na porządnie zmęczoną. - Magda przeciągała melodyjnie sylaby.

- A Matta ani śladu - bąknęła Lisa. Jackie skinęła głową i zacisnęła usta.

- Nie byłam z Mattem.

- Wyszliście razem - zauważyła Lisa.

- Ale z nim nie wróciłam.

- No to co się z nim stało? - oschłym tonem spytała Jackie.

Jenny wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Trochę irytowało ją to przesłuchanie, ale właściwie była zadowolona, że nie musi mówić o Hunterze. Niech sobie myślą, co chcą.

Z górnego piętra dobiegł mrożący krew w żyłach wrzask.

- O Boże! - krzyczała Alicia, przyciskając rękę do serca.

- Co jest, do cholery? - Phil zerwał się z krzesła i pobiegł na górę. Jenny skrzywiła się i nieco wolniej poszła za nim. Pokojówka stała przy otwartych witrażowych drzwiach, prowadzących na niewielki, górny balkon, przez który wpadał zapach jaśminu i głośny świergot ptaków. Alicia patrzyła na nich zakłopotana.

- Co się stało? - spytał Phil w tej samej chwili, gdy Jenny zobaczyła na balkoniku parę męskich nóg w dżinsach. Wyjrzała przez drzwi i ujrzała Matta. Spał twarzą do wyłożonej kafełkami posadzki.

- Ktoś przez przypadek zamknął balkon - stwierdziła Jenny, starając się nie wybuchnąć śmiechem.

Phil zapewnił rozdygotaną pokojówkę, że wszystko jest w porządku. Odchodząc, obejrzała się na nich przez ramię.

- Pomyleni Amerykanie - mruknęła.

- No, Matt. Koniec żartów. - Phil potrząsał nim w nadziei, że się obudzi.

Matt podniósł głowę.

- Gdzie ja jestem? - wymamrotał, przecierając zapuchnięte oczy. Nagle jęknął i przycisnął czoło do chłodnych płytek. - Och, prawda, nie miałem klucza, a nikt z was, oczywiście, nie słyszał, że pukam.

- O której to było? - spytał Phil.

- Czwarta? Piąta? - Zmrużył oczy i wzdrygnął się. - Wlazłem na balkon, ale te cholerne drzwi też były zamknięte, więc przysnąłem sobie tutaj.

- No dobra, włącz. - Phil był wyraźnie rozbawiony, gdy pomagał mu wstać. Matt popatrzył przygnębiony na Jenny.

- Coś ty taka wesolutka? - zapytał ostro. - Co się działo w nocy?

- Nic.

- Och, daj spokój. Oboje z Hunterem wyglądaliście, jakbyście zaraz mieli się na siebie rzucić.

Phil zarechotał, kiedy Matt powłókł się do swojego pokoju i potknął się na progu.

Wrócili na dół. Phil zrelacjonował przygodę Matta, a Lisa i Jackie rzuciły się na górę, by sprawdzić, czy nic mu się nie stało.

- Masz szczęście, że z nim nie zostałam - podśmiewała się Magda. Phil rzucił jej przeciągłe spojrzenie. Błagała go wzrokiem, żeby nic nie mówił, ale nie mógł się powstrzymać.

- Jenny miała randkę z kimś innym. Z naszym wczorajszym znajomym.

- To nie była żadna randka - zaprotestowała Jenny.

- Och, nie bądź taka skromna. Ten facet nie mógł oderwać od ciebie oczu. - Magda nalała sobie kolejną filiżankę kawy i westchnęła z zadowoleniem. - Ach... nie ma to jak lecznicze właściwości kawy. Czy sądzisz, że za wcześnie na małą czarną po hiszpańsku?

Poranek minął na rozkosznym marnowaniu czasu. Jenny snuła się po domu, odmówiła wspólnej wyprawy na plażę, próbowała czytać książkę, w końcu ułożyła się na leżaku nad basenem, postanowiła wystawić się na palące słońce. Wystarczył kwadrans, by żar ją wykończył. Wskoczyła do chłodnej wody.

Zamknęła oczy i próbowała nie myśleć o tym, jak działa na nią Hunter i jak bardzo ją pociąga. Co jest w nim takiego atrakcyjnego? Nie wiedziała, czy się martwić, czy zachwycać. Stanowczo za długo nie pragnęła żadnego mężczyzny.

Skrzywiła się, nie mogąc uciec od wspomnień o czasach, kiedy tak boleśnie zawiodła się na Troyu. Tak wiele lat było trzeba, żeby pozbierać się po tych kilku miesiącach głupoty. Tak długo była sama.

Ale teraz...

To czysty pociąg fizyczny, tłumaczył jej wewnętrzny, krytyczny głos. Nie znasz go. Nie możesz mu ufać. Na dodatek ten człowiek jest zagadką.

Poza paroma enigmatycznymi informacjami niczego ci o sobie nie powiedział.

Och, do cholery, przecież właśnie to jest w nim takie pociągające! Potrzebny jest jej ktoś, kto zawróci jej w głowie, kto będzie spędzał z nią rozświetlone dni i ciepłe, łagodne noce. Czy nie na tym polega prawdziwa przygoda? Żadnych zobowiązań. Żadnych zmartwień. I nic... nic... kiedy będzie już po wszystkim.

Żadnego męża, który ożeni się z tobą dla pieniędzy, a potem uderzy cię i ciśnie o ścianę, kiedy coś mu się nie spodoba.

Żadnego Troya Russella.

Rozdygotana wyszła z basenu i pobiegła na górę, do sypialni.

Kiedy Troy wjeżdżał na parking koło apartamentowca Jenny, jaskrawe słońce nad Ho-

uston zniżyło się już i rzucało długie cienie. Do samego domu można było wejść z wewnętrznego dziedzińca, połączonego z rzędem garaży, ponumerowanych tak, jak mieszkania ich właścicieli. Prowadziła nań niewysoka, kuta brama, zamknięta na łatwą do otwarcia zasuwkę. Problem polegał jednak na tym, że okna mieszkań wychodziły na podwórze, wobec czego wścibscy mieszkańcy z łatwością mogli zauważyć, a być może nawet zapamiętać każdego, kto tu wchodził albo wychodził. W każdym razie ryzyko niewątpliwie istniało.

Jeździł tam i z powrotem, przyglądając się oknom od strony ulicy i niewiele osiągnął. Jenny najwyraźniej nie było w domu.

Zatrzymał samochód i zastanawiał się przez chwilę. W końcu wyłączył silnik, wysiadł i oparł się o drzwi, wsuwając do ust papierosa. Jakiś czas palił w milczeniu. Nie pojawił się żaden samochód. Zapadł zmierzch, w domu po drugiej stronie ulicy zapaliły się światła. W innym domu, nieco dalej, otworzyły się drzwi. Ktoś wypuścił psa. Płowy retriever przebiegł truchtem przez ulicę, obwąchał samochód Troya i zmierzał prościutko na dziedzińiec. Troy zgniótł obcasem niedopałek i ruszył za nim.

Pies prześliznął się pod metalowym ogrodzeniem. Troy uniósł zasuwkę i swobodnym, pewnym krokiem wszedł na podwórze. To wzbudziło zainteresowanie psa - zatrzymał się, odwrócił, posapując i wywieszając różowy język.

Troy popatrzył na niego zimno. Nie lubił zwierząt, ani dzikich, ani oswojonych. A one o tym wiedziały. Ten tępy kundel też. Wydał ciche, pytające „hau”, a potem skontrolował dziedzińiec z nosem przy ziemi, zaznaczając swoje terytorium przy słupku, na niewielkiej kępcie trawy pośrodku i obok wybudowanego krzewu, który dla niewprawnego oka Troya wyglądał jak zwykły krzak, ale był zapewne czymś dużo bardziej egzotycznym.

Namierzył mieszkanie Jenny. Pierwsze piętro. Bez pośpiechu podszedł do schodów i wspiał się na górę, udając, że nic go specjalnie nie interesuje. Przyszło mu nawet do głowy, że mógłby pogwizdywać, ale postanowił nie ściągać na siebie uwagi.

Pies nagle podniósł głowę i popatrzył na niego, a potem ruszył w stronę schodów i przemknął obok jak złota błyskawica. Stanął przed drzwiami Jenny, zaskomlał, podrapał w drzwi, po czym spojrzał na Troya. Czekał.

Troy zmrużył oczy. Pies powiewał ogonem jak kosmatą flagą, zachowując jednak pewną rezerwę. Nie był do końca pewien jego zamiarów. Troy odchrząknął.

- Chodź, piesku - szepnął. W gardle psa coś zabulgotało; pojawiły się białe, paskudnie wyglądające zęby.

A więc nie jest tu pożądanym gościem.

Nie szkodzi.

Obrócił się i zszedł na dół, mając w głowie nowy plan. Spojrzał jeszcze za siebie, ale głupie psisko zwinęło się na wycieracze.

W samochodzie zawahał się jeszcze, patrząc na oświetlony dom po drugiej stronie ulicy i mały zaułek za nim. Przeszedł tam spacerem i przyjrzał się domkowi, z którego wybiegł pies. Lata czterdzieste, przebudowany, tylko farba trochę się łuszczy. Ze środka dochodziły odgłosy sprzeczki dziewczynki i chłopca. Grali w coś i zapewne oszukiwali się nawzajem.

Zmęczony głos matki usiłował zaprowadzić spokój. Troy dziękował nie wiadomo komu, że nigdy nie miał dzieci, czepiających się, żalonych i skomlących istot, które niszczą wszystko, czego tylko dotkną. Chłopak płakał z tęsknoty za kimś o imieniu Brandon. Wyglądało na to, że to starszy brat, bo matka przypomniała mu, że Brandon jest na obozie piłkarskim. Na wiadomość o tym zawodzenie przybrało na sile. Tym razem dziewczynka oznajmiła, że nienawidzi tego obozu, a także Rawleya, bo to przez niego Brandon wyjechał. Gdyby Brandon był w domu, dopilnowałby, żeby Tommy grał uczciwie! Na to odezwał się Tommy, że to właśnie ona

oszukuje. Jak zawsze. Jest po prostu beznadziejna!

Troy zaczynał lubić Tommy'ego, tak długo oczywiście, póki nie musi na niego patrzeć. Ona znów szlochała.

- Kiedy wróci Brandon? Kiedy? - dopytywała się przez łzy.

- W końcu tygodnia - odpowiedziała znużona matka.

- Czy Rawley też? - Dziewczynka widocznie wyczuwała jakąś pułapkę.

- Tak, tak, tak. Rawley przyjedzie do domu, kiedy jego mama wróci z Puerto Vallarta.

Czyli w najbliższą niedzielę - dodała, uprzedzając następne pytanie. - Obóz kończy się tego samego dnia.

- Obóz w Trzech Wiatrach - oznajmił triumfalnie Tommy.

- Och, zamknij się! - wrzasnęła dziewczynka, rozdzierając powietrze kolejnym rykiem.

Obóz w Trzech Wiatrach.

Troy uśmiechnął się w ciemności. Stał pod tymi oknami przez kilka nocy z rzędu, ale dopiero teraz zdobył pierwszą przydatną informację. Rawley, syn Jenny, jak się okazuje, nie pojechał z nią do Puerto Vallarta.

Zastanawiał się leniwie, gdzie mogą być te Trzy Wiatry. Wskazówka znajduje się oczywiście w mieszkaniu Jenny. Wsunął do ust kawałek gumy i zawrócił do apartamentowca. Starannie obejrzał futrynę, zorientował się, że zamek można bez trudu wyłamać. Jedno czy dwa energiczne kopnięcia i droga wolna.

Tylko pies... i sąsiedzi...

Płowy potwór leżący pod drzwiami znów zawarczał. Troy posłał mu lodowaty uśmiech. Coś wymyśli. Jak zawsze.

Rozdział 5

Hunter szarpnął kierownicę dzipa, zjechał ostro na pobocze drogi prowadzącej wzdłuż wybrzeża i zatrzymał się. Po prawej stronie, nad Pacyfikiem wisiały ciężkie, groźne chmury, nietypowe o tej porze roku w Puerto Vallarta. O maskę samochodu z pluskiem rozbijały się pierwsze, duże krople deszczu. Po chwili zamieniły się w potoki, które spływały po przedniej szybie i wpadały przez otwarte okna do wnętrza, na nogi kierowcy.

Dobrze, że pada. Burza odpowiadała nastrojowi Huntera, jej gwałtowna energia przynosiła ulgę. Bez wahania wystawił głowę przez okno, pod strugi wody. Opadł z powrotem na fotel i potrząsnął głową. Poczul się częścią szalejącego żywiołu.

Obserwacja nigdy nie była jego najmocniejszą stroną.

Nieprawda, upominał go rozsądek. Najczęściej robił to w sposób bezwzględny i doskonały. Był straszny, kiedy w grę wchodziła jego własna siostra.

Nachmurzył się. Przekreślił kluczyk w stacyjce i zawrócił w stronę miasta. Zamiast po prostu śledzić i obserwować, celowo nękał Troya Russella po śmierci Michelle. Russell początkowo go ignorował, chyba nawet podobała mu się ta zabawa w kotka i myszkę. Kilka razy śmiał się na widok z trudem tłumionej wściekłości Huntera, aż wreszcie Calgary złapał go za gardło i ścisnął.

Nie miał zamiaru go zabić. Nawet Russell, najnędniejszy robak, jaki kiedykolwiek pełzał po ziemi, nie mógłby zrobić z niego mordercy. Chciał mu tylko napędzić stracha i to mu się udało. Zapłacił za to utratą pracy i szacunku przyjaciół z policji, ale osiągnął cel. Troy Russell dostał ostrzeżenie. Każdy jego późniejszy ruch był analizowany i sprawdzany, tak by już nigdy nie mógł nikogo zranić, skrzywdzić ani zabić.

Tak w każdym razie wydawało się Hunterowi, choć sprawy potoczyły się nieco inaczej. Nikomu w Los Angeles nie chciało się marnować czasu na gonitwę za człowiekiem, który zajmował się wyłącznie uciekaniem przed karą. Hunterowi dano nagane, a on z odrazą opuścił Los Angeles. Przez sześć lat w Santa Fe żył z dnia na dzień. Wspomnienie śmierci siostry, o której pamiętał już tylko on, wciąż było żywe, musiał jednak powściągnąć swoje obsesyjne zainteresowanie Russellem i zwalczyć w sobie poczucie, że jego własne życie nie ma już sensu.

Odszedł z policji w Santa Fe, bo uznał, że musi znaleźć jakiś pomysł na przyszłość. Nie miał żadnego planu, ale przynajmniej uwolnił się od zajęcia, któremu poświęcał niewielką część swoich zdolności i zero uwagi. W porządku, może przejaskrawia, ale nigdy nie czuł tu tej mobilizacji i przejęcia, jakiego doświadczał w L.A. Santa Fe żyło wolniejszym rytmem, więc i wskaźnik przestępstw był tu niższy niż w Mieście Aniołów.

Wiatr owiewał mu twarz. Hunter spojrzał na fale pieniające się u stóp skał i zalewające gwałtownie plażę. Wciągnął powietrze i uśmiechnął się, pokonując zakręt. Propozycja Allena Hollowaya pojawiła się w samą porę. Rozglądał się za jakąś pracą, a okazja wrócenia do niedokończonyj sprawy była jak światełko w ciemnym tunelu.

Jenny Holloway. Starał się krytycznie ocenić jej wygląd, od niesfornych, kasztanowych loków okalających twarz przez czujne, niebieskie oczy po sprężystą, gibką sylwetkę i niepokojące napięcie w ruchach. Tylko raz widział ją naprawdę odprężoną, ale wypila wtedy kilka drinków, co traktowała jak zakazaną przyjemność, której zresztą długo sobie odmawiała. Za dużo ma na głowie, łącznie z odpowiedzialnością za syna. Syna Russella, który, jeśli wierzyć Allenowi Hollowayowi, nie wie, że to jego dziecko. Czy nie dlatego znów wkroczył na scenę?

Kwadrans później Hunter zaciągnął ręczny hamulec, wyskoczył z auta i brnął przez ka-

łuże na nierównym, popękany chodniczku przed hotelem. Ulewa skończyła się nagle, jakby jakiś zaspany bóg zauważył ją wreszcie i zakręcił kurki. Powietrze nieco się odświeżyło, ale męcząca, tropikalna wilgoć zapowiadała wkrótce następne deszcze.

Recepcjonistki uśmiechnęły się do niego, kiedy zmierzał w stronę schodów. Do diabła z windami. Potrzebował wysiłku fizycznego, żeby rozładować napięcie. Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie i wpadł do pokoju. Ściągnął koszulę i wyszedł na balkon. Trzy piętra niżej rozciągała się plaża. Gdyby wypadł, zapewne by przeżył.

Ale nikt nie przeżyje upadku z dziesiątego piętra.

Zadzwoił telefon. Hunter zdumiał się. Jenny! - pomyślał, lecz po sekundzie przywołał się do porządku. Po pierwsze, za złudne nadzieje, po drugie za nadmierną poufałość, na którą już sobie w duchu pozwalał.

- Słucham. - Postarał się, by jego ton był obojętny.

- Calgary?

Na dźwięk głosu Allena Hollowaya ogarnęła go irytacja. Przez chwilę nie odpowiadał, ale to nie zniechęciło rozmówcy.

- Wiem, co pan mówił, ale coś się wydarzyło. Moja żona twierdzi, że któregoś dnia spotkała Russella.

Hunter znieruchomiał.

- Gdzie?

- W sklepie spożywczym. Chciał zwrócić na siebie jej uwagę, ale zachowywał się, jakby jej nie poznawał.

- Co powiedział?

- Nic takiego. Przeprosił, że ją potrafił. Taka zwykła odzywka. Ale rzecz w tym, jak na nią patrzył. Nie skojarzyła go od razu, ale myślała o tym spotkaniu, bo wydało się jej dziwne. Dziś mi o tym opowiedziała.

Hunter wziął firmowy długopis hotelu Rosa i obracał go w palcach.

- Proszę do mnie więcej nie dzwonić.

- Pomyślałem tylko, że powinien pan o tym wiedzieć. On coś knuje i chcę wiedzieć, o co chodzi. - Mimo władczego tonu słychać było, że Holloway jest przerażony. - Pilnuj mi pan córki!

- Więc proszę nie ujawniać jej miejsca pobytu. - Mówił teraz przez zaciśnięte zęby.

- Boję się o Rawleya. A jeżeli mu coś grozi?

Rawley. Rawley Holloway, właściwie Rawley Russell. Syn Troya Russella. Wróciło nie-miłe uczucie.

- Skrócę pobyt i wrócę.

- Nie! - Holloway był rozwścieczony. - Nie! Troy nic nie wie o Raw-leyu! Proszę zostać z Jenny!

- A jeżeli pan się myli?

- Wiem, gdzie jest Rawley. Znam przyjaciół Jenny, którzy się nim opiekują. Wszystko jest w porządku. To jej coś grozi. Za jej ochronę panu płacę.

Aż do bólu zaciskał palce na długopisie.

- Zostanę do końca tygodnia.

- Właśnie. Dobrze.

- Następnym razem to ja zadzwonię do pana. Rozumiemy się?

Holloway ugryzł się w język i zgodził się, acz niechętnie. Hunter rzucił słuchawkę na widełki i ze wstrętem popatrzył na telefon. Nie do końca wierzył, że Troy może podsłuchiwać rozmowy Allena; facet jest zimnym, bezwzględnym sukinsynem ze skłonnością

do przemocy, ale nie cwany kryminalistą, który ma stalowe nerwy i własne źródła informacji. Między jednym i drugim gatunkiem istniała przepaść, o czym Hunter, przez lata mający do czynienia z okazami obu rodzajów, doskonale wiedział. Ale ostrożności nie zaszkodzi.

Przeciągnął się kilka razy, by rozładować napięcie. W Santa Fe brał się w takich chwilach do pracy na ranczo, naprawiał płot, rzucał okiem na bydło sąsiada, które, nie wiedząc czemu, włożyło ze swoich wielkich przestrzeni na kilka marnych akrów Huntera. Hunter nigdy nie miał czasu, by zająć się prawdziwym gospodarowaniem u siebie, dlatego pomagał trochę sąsiadom. Nie zapuścił korzeni, choć ziemia dawała mu poczucie satysfakcji i pomagała zachować zdrowe zmysły, a niczego więcej po śmierci Michelle nie potrzebował. Poza tym pozwalała utrzymać kondycję i znakomicie zastępowała siłownię.

Telefon znów się odezwał. Hunter popatrzył na aparat, mrużąc oczy.

- Tak?

- Hunter? - Głos Jenny był jak fala chłodnej wody.

- Och, witam. - W miejsce irytacji pojawiła się rozpacz pomieszana z nadzieją. Nie chciał tego uczucia. Miał ochotę sam sobie przyłożyć.

- Nie chciałam ci przeszkadzać, ale pomyślałam, że może wpadłbyś dziś wieczorem na kolację? Do willi? Mamy wszystkiego aż za dużo! Byłoby... miło, gdybyś przyjechał - dodała, choć czuł, że dużo kosztowała ją taka bezpośredniość.

Gładkie, jedwabiste nogi. Miękkie, melodyjny głos. Uśmiech ulotny jak motyl. Gdyby tak na jeden wieczór mógł zapomnieć, kim jest ta kobieta...

Czuł w skroniach pulsowanie. Jenny jest poza konkursem. Wolno mu tylko pograć się w słodkich, nieco bolesnych marzeniach, które nigdy się nie spełnią.

- Hunter?

- O której? - spytał ochryplym głosem.

Jenny patrzyła na stół, liczyła talerze i pytała się w duchu, czy przypadkiem jej głowa nie była zbyt długo wystawiona na działanie palącego słońca. Zaproszenie tu Huntera równa się z oznajmieniem Magdzie, Phi-lowi i innym, że łączy ją z nim coś poważniejszego. I jest tak samo przerażające, jak prezentacja rodzinie.

- Nie bądź śmieszna! - parsknęła.

- Z kim rozmawiasz? - stanął za nią Matt.

- Sama ze sobą, oczywiście.

- I obie się słuchacie?

Odwróciła się do niego i roześmiała.

- Obawiam się, że żadna z nas nie zwraca na drugą najmniejszej uwagi.

Matt ze zmory jej życia stał się szybko przyjacielem numer jeden.

- To ma coś wspólnego z tym twoim facetem?

- Zaprosiłam Huntera na kolację. Magda zapowiedziała, żeby postawić jedno nakrycie więcej.

Matt uśmiechnął się wymownie.

- Możesz mi jeszcze raz opowiedzieć, jak się poznaliście?

- W barze w hotelu Rosa. Po tym, jak Magda klapnęła mu na kolanach.

Zachichotał i podszedł do blatu, przy którym Rita, najładniejsza dziewczyna z obsługi domu, przyrządzała kolejny dzbanek margarity. Puścił do niej oko i podsunął pustą szklankę. Rita uśmiechnęła się i naląła mu lodowatego płynu, przelotnie zatrzymując wzrok na jego muskularnym torsie. Żaden z mężczyzn w willi Buena Vista nie zwracał sobie głowy wkładaniem koszuli, nawet do kolacji, ponieważ jadało się na zewnątrz, pod ciemnozieloną, płócienną markizą i splątanymi pędami jaskraworó-żowej bugenwilli.

Mimo protestów Jenny, Matt z gracją wręczył jej pierwszą szklaneczkę. Podniósł następną i stuknął się z Jenny.

- Zdrówko! - powiedział i jednym haustem łyknął trzy czwarte zimnej tequili z limetą.

- Rozpijemy się do reszty na tym wyjeździe - stwierdziła, upijając mały łyk. Nie miała ochoty na alkohol, zwłaszcza w tej chwili, ale wiedziała, że lód dobrze jej robi, niezależnie od zapachu i smaku, jaki mu towarzyszy.

- Trzeba korzystać z okazji - upierał się Matt. Dopił, oblizał wargi i podsunął szklaneczkę Ricie. - W domu życie jest ciężkie, więc kiedy się wyrwiesz, koniec z zasadami.

- Co takiego ciężkiego jest w twoim życiu? - Jenny zmarszczyła brwi. Matt nie wyglądał na kogoś, kto ma jakiegokolwiek kłopoty.

Wzruszył ramionami.

- Tak jak u każdego. Zasuwa. Wyplata. Robota. Większa wypłata. Na wakacjach, kobieto, jestem jak marynarz na urlopie! A co z tobą?

- Na ogół nie jeżdżę na wakacje.

- To w czym ty robisz? - Wpatrywał się w nią, jakby zobaczył egzemplarz jakiegoś nieznanego gatunku.

- Księgowość. Zarządzanie restauracją. Wychowywanie syna.

- Uch. Wygląda na to, że potrzebujesz luzu jeszcze bardziej niż ja. I tu właśnie wkracza Hunter, co?

Popatrzyła na niego bezradnie, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

- Daj spokój, Matt.

Uśmiechnął się znów, kiedy weszła Magda i reszta domowników, ale bez Phila.

- Zemsta Montezumy - teatralnym szeptem oświadczyła Magda. - Dziś balujemy bez niego.

- Nigdzie dziś nie jadę - powiedziała Jenny stanowczo. - Żadne prośby i błagania nie pomogą.

Magda omdlewającym gestem machnęła w jej kierunku.

- Nie musisz. Randkę masz tutaj!

- Szczęściara - mruknęła Lisa.

- Co to za facet? - chciał wiedzieć Tom Simmons. Otoczył muskularnym ramieniem Alicie, która tuliła się do niego, jakby byli młodą parą. Kiedy indziej Jenny uznałaby to za zbyt ckiwe, ale tego wieczoru coś poruszyło w niej czułą strunę. Tom i Alicia od lat byli małżeństwem i to do nich pasowało. Brickmanowie także się objęli.

- Zostańcie, to się z nim spotkacie - zaproponowała Jenny.

- Chyba tak zrobimy, prawda, kochanie? - spytała Alicia. Popatrzyli na siebie i zmarszczyli nosy. Wąsy Toma lekko się poruszyły.

Wszyscy ruszyli w stronę Rity i jej dzbanka, tylko Jenny przeszła na kraniec patio i wpatrzyła się w Pacyfik, po którym spienione fale pędziły ku plaży. Z jakichś niezrozumiałych powodów poczuła nagle ogromną ochotę, by zadzwonić do Rawleya. Spojrzała na aparat w kuchni. Czy starczy jej śmiałości, by rozmawiać stąd, przy kręcących się wiecznie gościach i personelu? Zastanowiła się. Jeśli będzie patrzyła na zegarek, bo rozmowy stąd są niebotycznie drogie, mogłaby zamówić rozmowę do Fergusonów. Rawley wprawdzie jest z Brandonem na obozie, ale wystarczy porozmawiać z Rickiem lub Janice i dowiedzieć się, co porabia. Rick, jako wielbiciel piłki nożnej, zamierzał odwiedzić chłopaków i zobaczyć, jak im się wiedzie.

Czy to niemądra nadopiekuńczość? Może należałoby odczekać choćby jeden dzień?

Dlaczego? Przecież to twój syn. Masz prawo. Poza tym Troy kręci się i węszy gdzieś w okolicy.

- Przepraszam, muszę skorzystać z telefonu - powiedziała do Rity, przeciskając się koło niej za białym bar.

Dziewczyna nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi. Pochłaniała wzrokiem Matta Kilgore'a, tak jak wcześniej robiły to Lisa i Jackie.

Kiedy Hunter podjechał pod willę, przyjęcie toczyło się w najlepsze. Stał na ganku pod balkonem i nacisnął dzwonek. Otworzyła mu któraś z pokojówek. Z wnętrza dobiegła meksykańska muzyka, śmiech i głośne rozmowy.

Dziewczyna uśmiechnęła się, gestem zaprosiła go do środka, a potem wskazała kręte, wyłożone niebieskimi płytkami schody prowadzące w dół. Przeszedł przez otwarty ze wszystkich stron pokój i znalazł się obok basenu, na patio. Stół pod markizą był już przygotowany - talerze, kieliszki, serwetki, srebro - a w kuchni stało gotowe do podania jedzenie. Goście kręcili się wokół basenu, kołysali barwnymi szklaneczkami z tequilą, sądząc po etykietkach na pustych butelkach obok blendera.

- Witamy! Witamy! - Szła w jego stronę kobieta, która w barze wylądowała na jego kolanach. Magda. Tak ma na imię. - Zapraszamy na drinka!

Drink pojawił się natychmiast. Podała go dziewczyna, która otworzyła mu drzwi. Przyjął go i w tej samej chwili jego wzrok padł na Jenny. Stała w rogu kuchni, odwrócona tyłem i, jak zorientował się po chwili, rozmawiała przez telefon.

Magda złapała go za rękę. Omal nie wylał swojego drinka.

- Tańczymy. Mój mąż jest na jakiś czas wyłączony z życia, więc potrzebny mi partner.

Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, był taniec. Szukał jakiegoś wykrętu, ale Magda nie ustępowała. Kołysał się więc z drinkiem w ręku, jednym okiem zerkając na Jenny. Rozmawiała z ożywieniem, odgarniała włosy z oczu i marszczyła śliczne brwi. Miała na sobie żółty sarong i po-pielatoniebieską bluzkę bez rękawów. Wyglądała tak krucho i delikatnie... Ile jeszcze razy ma sobie przypominać, że to jego praca? - przywoływał się do porządku. Bogata kobieta z problemami, które on ma nadzieję rozwiązać..

Magda wsunęła się mu w ramiona i Hunterowi nie pozostało nic innego, jak tylko uważać, by nie wylać drinka na jej opalone plecy.

- Wypij to po prostu - namawiała, patrząc, jak przełyka zimną marga-ritę.

6 - Mój kochanek...

81

- Nie jestem najlepszym tancerzem - powiedział, odstawiając pustą szklaneczkę.

j

- Och, co to ma za znaczenie. - Objęła go mocno i uśmiechnęła się. -Lubię tańczyć z przystojnym mężczyzną o niebieskich oczach. Phil stanowczo za rzadko choruje. - Wsunęła się z jego ramion i obróciła. -Słyszysz, Phil? - zawołała, wychodząc spod markizy i patrząc w okna na piętrze. - Właśnie zakochuję się tu, na dole, w innym mężczyźnie. Myślisz, że możesz mnie uratować?

Hunter spojrzał w górę na dwuskrzydłowe drzwi prowadzące z balkonu do którejś z sypialni. Stał w nich Phil i pomachał do nich.

- Weź ją sobie - krzyknął. - Odbiję ją, jak mi przejdzie.

- Wszystko w porządku, kochanie? - spytała zaniepokojona Magda.

- Nie. Umieram. Bawcie się dobrze. - Wrócił do środka i zamknął za sobą drzwi.

Westchnęła.

- Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma kłopoty z żołądkiem. To lód - stwierdziła, zaglądając podejrzliwie do szklanki. - Z tych zapadłych dziur, gdzie nie mają czystej wody. Wpadliśmy wczoraj do kawiarenki przy drodze, Phil zjadł parę *tacos* i wypił coś bezalkoholowego z lo-

dem. Należy zawsze trzymać się sprawdzonych firm.

- Nawet wtedy jest jakieś ryzyko - włączył się do rozmowy kolejny mężczyzna. - Tom Simmons - przedstawił się, potrząsając serdecznie dłonią Huntera.

Hunter przyjął tę informację w milczeniu, rozbawiony ich dobrymi intencjami. Tak bardzo chcieli go przestrzec przed niebezpieczeństwem picia wody.

- Pracuję w ubezpieczeniach - powiedział Tom. - A pan?

- Och, zamknij się - wtrącała się Magda i posłała kompletnie łysemu Tomowi mocnego całusa. - Nikt nie ma ochoty o tym słuchać.

- Tylko rozmawiam - odparł urażony. Rude wąsy lekko opadły. Wrócił do żony, która wyglądała na równie szeroką, co wysoką. Poglądziła go po ręce, a on pocałował ją w usta.

- Nie masz drinka - zauważyła któraś z kobiet. - Doleję ci.

- Nie, dzięki.

- Och, proszę! - Siłą wyjęła mu szklanekę z rąk. W tej samej chwili Jenny wyszła z kuchni.

- Rozmawiałam z przyjaciółmi, którzy opiekują się moim synem - tłumaczyła, odprowadzając wzrokiem kobietę, która namawiała Huntera na drinka.

- No i jak nasze maleństwo? - spytała Magda, uwalniając wreszcie Huntera ze swoich objęć. Zajęła się kolejną porcją margarity.

- W porządku. Jest na obozie piłkarskim ze swoim przyjacielem, Brandonem. Rodzice Brandona, Fergusonowie, mają na niego oko, a Rick Ferguson, jako zawołany kibic, już ich tam raz odwiedził. - Sięgnęła po kukurydzianą prażynkę i zanurzyła ją w świeżej paście *guacamole*. - Janice twierdzi, że Rick naprzykrzał się im swoimi radami, wtrącał się - to jej słowa, nie moje - więc mu powiedzieli, żeby więcej nie przyjeżdżał.

- Wygląda jednak na to, że Rawley świetnie się bawi. - Magda usadowiła się na leżaku przy końcu basenu, skąd mogła sprawdzać, co się dzieje na balkonie jej sypialni. Między brwiami miała teraz małą zmarszczkę. Martwi się o męża, pomyślał Hunter z odrobiną sympatii.

- Zdecydowanie. - Jenny podniosła miseczkę z czipsami.

- Masz ochotę? - Takiemu zaproszeniu nie mógł się oprzeć. Stał obok niej, zerkając na rozcięcie w sarongu, które ukazywało smukłą nogę, udo i brzeżek błękitnego bikini. Ze wszystkich sił skupił się na czipsach zanurzanych w *guacamole*.

Posłała mu uśmiech.

- Fergusonowie to ci, co opiekują się moim synem. Ich pies, Benny, właściwie zamieszkał u nas. Koczuje pod drzwiami, a kiedy Janice przynosi moją pocztę, ledwie może go powstrzymać, żeby nie wśliznął się do środka.

- Benny to twój pies? - Tom zupełnie się pogubił. Siedzieli już oboje z żoną przy stole, gotowi do posiłku.

- Ich pies - poprawiła Jenny, wymieniając z Hunterem rozbawione uśmiechy. - Tyle że zaadoptował Rawleya i mnie. Powiedziałam Janice, żeby się nie przejmowała. Benny właściwie należy do rodziny. Potrafi zrobić bałagan jeszcze szybciej niż mój syn.

Hunter słuchał. Widział tego psa. Obojętny na wszelkie przepisy dotyczące zwierząt obchodził cały apartamentowiec, przeprowadzał inspekcję, cały czas wachlując ogonem. Nie tylko Jenny zapraszała go do siebie, ale tylko jej mieszkanie uznał za własny dom.

- Jak Benny zniesie waszą przeprowadzkę? - spytał Matt. Podobnie jak Magda rozłożył się na leżaku. Pozostała para, którą Magda przedstawiła jako Brickmanów, siedziała w fotelach, paląc, słuchając i podstawiając puste szklaneczki pod dzbanek, z którego ktoś z obsługi ciągle dolewał margarity.

- Podejrzewam, że kiepsko - powiedziała cicho Jenny. Reszcie towarzystwa wyjaśniła: -

Wyprowadzam się z Houston do Santa Fe.

- Jenny otwiera restaurację - dodała Magda. - Na pewno wam już mówiłam. U Genevy. Kuchnia południowego Zachodu.

Pojawiły się jeszcze dwie nowe panie. Magda przedstawiła je Hunterowi jako Lisę i Jackie. Oszacowały go spojrzeniem i popatrzyły na siebie. Został sklasyfikowany, oceniony i sądząc po minach, zdał test z wyróżnieniem.

Jenny, rozbawiona, zmarszczyła brwi.

- Robisz furorę.

- Staram się.

- Nie wydaje mi się, byś musiał się wysilać.

- Opowiedz nam o sobie - nalegała żona Toma, Alicia, kiedy wszyscy usiedli już do stołu.

- Pracuje dla CIA. - W kącikach ust Jenny grał uśmiezek.

- Słuchamy - zainteresowała się Magda.

- Nie, poważnie, co właściwie robisz? - odezwała się ta, którą przedstawiono jako Jackie.

Hunter wymyślił sobie stosowną odpowiedź już w chwili, kiedy przyjmował zaproszenie.

- Pracowałem dla firmy ochroniarskiej w Los Angeles. Odszedłem kilka lat temu.

- Na emeryturę? - Tom uniósł brwi i zmierzył Huntera wzrokiem, jakby chciał dać do zrozumienia, że jest stanowczo za młody na to, by mógł uwolnić się od codziennej harówki od dziewiątej do piątej.

- Raczej coś w rodzaju urlopu naukowego.

- Co to za firma? - pytała Jenny.

- Elektronika. Systemy zabezpieczające w domach i firmach. - Wzruszył ramionami i poczęstował się podsunętym mu puree z fasoli. Kolacja miała charakter domowy, a menu było tego wieczoru zdecydowanie meksykańskie. Pieczeń i *tamales*, mocno przyprawione i zawinięte w liście kukurydzy mięso, podane z fasolą i białym ryżem, poza tym sałatki z dużą ilością pomidorów i awokado oraz schowane pod pokrywkami tortille.

- Każdego wieczoru mamy jakąś drobną odmianę, choć zwykle jadamy po meksykańska. Możemy to i owo wybierać i zawsze jest fantastycznie - opowiadała Alicia, nabierając porządną porcję fasolowego puree.

- Szkoda, że nie ma Phila - westchnęła Magda.

- Na długo przyjechałeś do Puerta Vallarta? - spytała Lisa. - Służbowo czy dla przyjemności?

Wszyscy spojrzeli na Jenny, która zamarła z widelcem uniesionym nad talerzem.

- O co chodzi?

- Co ty na to? - podkpiwała Magda.

- O, nie, nie. Mnie proszę w to nie mieszać. - Odłożyła widelec i uniosła ręce w żartobliwym geście poddania.

Zaczęła się wymiana uwag o pogodzie, o stanie państwa, o planach na wieczór, o czymkolwiek, byle zatrzeć wrażenie sprzed paru chwil. Rozmowa toczyła się w tym duchu aż do końca kolacji. Od słodkich babeczek na deser Hunter zdołał się wykręcić. Jenny spróbowała, przymknęła oczy i wydała głośne „mmm”, po którym kucharka splotła ręce na olbrzymim brzuchu i obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

Dla Huntera przebywanie w tym osobliwym towarzystwie było szczególnym przeżyciem. Jako samotnik zwykle unikał wszelkich przyjęć, a zaproszenie Jenny potraktował jako element swojej pracy. Wewnętrzna uczciwość kazała mu przyznać, że nie był to jedyny powód, ale pominął rzecz milczeniem. Chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą.

Na razie jednak czuł się znakomicie, a rozmowy, które przy takich okazjach zwykle spro-

wadzają się do wymiany uprzejmości, okazały się dość sympatyczne, chwilami wręcz zabawne. Właśnie o tym myślał, kiedy wszyscy wyszli przed dom w oczekiwaniu na taksówki, które miały zawieźć ich do miasta. Przyjął to z ulgą, choć miło mu było spędzić czas z tymi ludźmi.

Personel także szykował się do wyjścia. Hunter i Jenny, pozostawieni sami sobie, nie bardzo wiedzieli, jak zacząć rozmowę. Czekali w milczeniu na tylnym tarasie, a kiedy trzasnęły frontowe drzwi, słońce wisiało już nisko, rzucając ostatnie złote promienie na bezmiar szarobłękitnych wód oceanu. Oparci o balustradę patrzyli, jak znika, pozostawiając nad horyzontem purpurową poświatę.

- Naprawdę pracujesz w firmie ochroniarskiej? - zapytała Jenny, przerywając wreszcie ciszę.

- A ty naprawdę planujesz otwarcie restauracji w Santa Fe?

- Ja zapytałam pierwsza.

- A ja drugi.

Pokręciła głową.

- Trudno od ciebie wydobyć jakąś odpowiedź. Skłaniam się jednak ku wersji fuchy dla CIA.

- Właśnie rzuciłem robotę - odpowiedział. - Taka jest prawda. I jeszcze nie wiem, co będę robił.

- Dlatego tu przyjechałeś? Żeby poznać samego siebie?

- A nie można się gdzieś wybrać bez celu?

Zastanowiła się.

- Może i tak. Po prostu sędzę po sobie. Ja... drepczę w miejscu. Próbuję przejść z jednego etapu do drugiego.

- A jaki był ten pierwszy? I jaki ma być drugi?

- Och... - jęknęła i odgarnęła włosy z policzka. Śledził ruch jej ręki. Popatrzyła mu prosto w oczy. - Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak. Najbardziej na świecie.

- Ja... przez piętnaście lat dreptałam w miejscu. Byłam zepsutym dzieckiem, które nigdy nie pogodziło się ze śmiercią matki i nie tolerowało drugiej żony ojca. I chyba nadal jej nie znoszę, choć może raczej nie muszę jej lubić. - Zabrzmiało to niemal jak pytanie, Hunter skinął więc w odpowiedzi głową. - To nie ona była przyczyną, ale obwiniałam i ją, i ojca. Takie to wszystko banalne, że aż wstyd mówić. Mama umarła, kiedy miałam piętnaście lat, a pięć lat później wyszłam za męża. Ojciec był przeciwny temu małżeństwu, więc oczywiście wydało mi się tym bardziej atrakcyjne. Ale, szczerze mówiąc, zadurzyłam się.

Hunter poczuł chłód na skórze. Patrzył w bok, bał się własnej reakcji. Jenny, niczego nieświadoma, ciągnęła:

- Był uosobieniem tego, co zakazane i dlatego tak mi się podobał. Chciałam go po prostu.

Usłyszał w głowie słowa Michelle. Nie rozumiesz, Hunter. Ja po prostu chcę być z nim. Wiem, że nie potrafię żyć bez niego. Mam tylko ciebie i jego i tylko jego będę zawsze pragnęła...

- No więc wyszłam za niego - dodała obojętnym tonem. W jej spojrzeniu pojawił się chłód. - I wystarczyły dwa tygodnie, żebym zrozumiała, że popełniłam koszmarny błąd. Pół roku później byłam już po rozwodzie. Ojciec mi w tym pomógł. Musiałam się do niego zwrócić. To było... okropne. Troy ożenił się ze mną dla pieniędzy, które miałam otrzymać w spadku. - Zaśmiała się krótko. - Musiał się wściec, kiedy się dowiedział, że minie bardzo dużo czasu, zanim dostanę choćby grosz. - Przełknęła ślinę i zakończyła zwięźle: - Nigdy. Nigdy nie

wzmę tych pieniędzy. - Westchnęła. - No cóż, ponieważ opowiadam banały, niech będzie jeszcze jeden: za pieniądze nie można kupić szczęścia. A nawet spokoju ducha. Tylko rzeczy, które czasem, ale nie zawsze, niosą trochę pociechy. Czasem można kupić ludzi. Mój ojciec spłacił mojego eksmałżonka i bardzo się z tego cieszę. Ale nie pozwolę, żeby jeszcze kiedykolwiek załatwiał mi coś za pieniądze.

- Jak to zrobił?

- Dał mu dużą forszę, żeby zniknął na zawsze z mojego życia. - Oparła brodę na dłoniach. Wyglądała teraz jak mała, opuszczona dziewczynka.

- Z jakim skutkiem? - Hunterowi zaschło w ustach.

- Na piętnaście lat.

- To znaczy, że sprawa jest otwarta?

- Jeśli chodzi ci o to, że się nie zakończyła, to masz rację. Troy skontaktował się z moim ojcem i wziął go za gardło.

- Żąda pieniędzy?

- Ach, nie. - Rzuciła mu ironiczne spojrzenie. - Powiedział, że wszystko chce naprawić. Pokajając się. Na żądanie pieniędzy przyjdzie pora później.

- Obawiasz się, że będzie cię nękał. - Raczej stwierdził, niż pytał.

- Jestem pewna. Był, a może nadal jest teraz w Houston, ale z pewnością znajdzie mnie w Santa Fe. To nieuniknione.

Chciał powiedzieć jej coś pocieszającego, ale mignęła mu w oczach uśmiechnięta gęba Troya i zdał sobie sprawę, że nie zdobędzie się na kłamstwo.

- A co z synem? - spytał świadom, że dotyka bolesnego tematu.

- To właśnie z powodu Rawleya mój ojciec ulegnie szantażowi. - Odwróciła się i patrzyła mu teraz prosto w twarz. - Troy jest ojcem Rawleya, ale o tym nie wie. Na razie.

Jenny mrużyła oczy, a rozwiewane bryzą włosy zasłaniały jej twarz. Rzęsy miała długie i błyszczące. Hunter odgarnął kosmyk z jej policzka i przytrzymał go.

- Dużo mi opowiedziałaś.

Przez chwilę nie spuszczał wzroku z jej ust; zmusił się w końcu, by spojrzeć na morze.

- Przestraszyłam cię?

- Nie.

- Co się dzieje? - spytała, nagle przerażona, że powiedziała więcej, niż powinna.

- Nic.

- Nieprawda. - Wpatrywała się w niego z uwagą.

- Nie jestem najlepszy w słuchaniu zwierzeń - powiedział w końcu, nagle nachmurzony.

Wpatrywała się w niego ślicznymi, niebieskimi oczami. Czuł się, jakby zaglądała mu do wnętrza duszy.

- W twojej branży to chyba zaleta. Wierzę, że pracujesz w ochronie. I nie wiem, czy rzeczywiście szukasz zajęcia - roześmiała się cicho. - Potrzebuję kogoś, kto mi pomoże. Wygląda na to, że właśnie proponuję ci pracę - powiedziała prawie niedosłyszalnie. - Nie miałam takiego zamiaru, kiedy cię tu dziś zapraszałam, ale może gdzieś, w głębi, liczyłam na...

- Co masz na myśli?

- Nie wiem. Ale tak czy inaczej, musiałbyś być w Houston, dopóki stamtąd nie wyjadę, a potem w Santa Fe. - Hunter milczał, zastanawiając się, jak sformułować odpowiedź. - Posłuchaj - powiedziała, zirytowana na siebie. - Kręcę i owijam w bawełnę, bo jestem przerażona. Strasznie się boję tego, co robi Troy, kiedy odkryje prawdę o Rawleyu. Boję się o syna, który nie zna prawdy o swoim ojcu.

- To znaczy?

- Rawley wie, że Troy jest jego ojcem. Powiedziałam mu, że odszedł jeszcze przed jego narodzinami, co jest prawdą. Wie, jak Troy wygląda... znalazłam u niego zdjęcie... - urwała.

- Więc czego nie wie?

- Słucham?

- Powiedziałaś, że boisz się o syna, ponieważ nie zna prawdy o swoim ojcu. Jakiej prawdy?

Jenny drgnęła.

- Och... Że Troy... jest złym człowiekiem. Nie można dziecku powiedzieć czegoś takiego o ojcu.

- Mówiłaś, że wasze małżeństwo trwało pół roku, ale już po dwóch tygodniach wiedziałaś, że popełniłaś błąd. Co się stało?

- Po prostu wiedziałam. I tyle. - Odepchnęła się od balustrady, niespokojna i zirytowana jego uważnym spojrzeniem. - Troy to łowca posagów. Chciał pieniędzy.

- Dlaczego jest złym człowiekiem?

Znieruchomiała, po czym objęła się ramionami, jakby było jej zimno.

- Po prostu jest.

- Skrzywdził cię - powiedział łagodnie. Spuściła głowę.

- Tak.

- Ożenił się z tobą dla pieniędzy, ale ciebie też chciał mieć. I nie tak zwyczajnie. - Wzdrygnęła się. Hunter dokładnie wiedział, co Troy Russell zrobił jego siostrze. Nie chciała o tym mówić, a potem było za późno. Jenny okazała się dzielniejsza, ale nawet po upływie piętnastu lat nie chce przyznać się, jak wielka była jej pomyłka.

- Boję się go - wyszeptwała.

- Maltretował cię.

Miała łzy w oczach. Usta jej drżały.

- Nie mogę mówić o tym wszystkim - wyszeptwała w chwilę potem. - Wciąż nie mogę. Zamknęłam to w pudełku, pod kluczem, i upchnęłam je gdzieś głęboko, jak najgłębiej, na najwyższej półce. Ale kiedy Troy odezwał się do mojego ojca, to pudło spadło. I otworzyło się z trzaskiem. I teraz... teraz... już nad niczym nie panuję.

- Ssz... - Hunter przyciągnął ją do siebie. Serce biło mu mocno. Chciał ją pocałować, uwolnić od strachu.

- Czuję się taka bezradna - powiedziała zdławionym głosem. - Jeśli tknie Rawleya, zabiję go. Zabiję.

Ja to zrobię wcześniej, pomyślał ponuro.

Rozdział 6

Jenny leżała na łóżku i spoglądała przez okno na granatowe niebo. Nie miała siły ani wstać i zająć się czymkolwiek, ani zasnąć. Ogarnęło ją dziwne rozleniwienie, niezwykle u kogoś tak doskonale zorganizowanego, jak ona. Czas przestał istnieć.

Ktoś zapukał do drzwi. Z trudem odwróciła głowę na poduszce i zawołała:

- Proszę!

Weszła Magda, wnosząc opary alkoholu i nutkę kokosowego aromatu jakichś kosmetyków.

- Pomyślałam, że może razem ze swoim bajecznym przyjacielem pojechalibyście z nami do miasta. - Przysiadła na krawędzi łóżka.

- Wysłałam swojego bajecznego przyjaciela do domu. Szczerze mówiąc, chyba go wystraszyłam.

- Co? Wykluczone. Przez cały wieczór nie spuszczał z ciebie wzroku. To było nieprawdopodobnie seksowne.

- Wyszłam na rozhisteryzowaną wariatkę.

Magda machnęła ręką.

- Akurat.

- Powiedziałaś mu o Troyu i o Rawleyu. Paplałam i paplałam. A potem czułam się zażenowana.

- Och, w końcu każdy ma swoje problemy. Nie wygląda mi na faceta, który bałby się twojego koszmarnego eksmałżonka.

Jenny uniosła się z trudem, oparła o poduszki i pokręciła głową.

- Plotę jak zadurzona nastolatka. Tego tylko mi jeszcze potrzeba, żeby zastanawiać się, czy spodobałam się jakiemuś facetowi.

- To jest pierwsze i najważniejsze - zaprotestowała Magda. - Jenny, kochanie, w twoim życiu tak długo nie było miłości, że już na nią, twoim zdaniem, nie zasługujesz. To nieprawda. Uwierz mi w tej jednej sprawie. A dlaczego nie miałyby to być Hunter? Jest świetny i ma w sobie to coś, jakąś siłę i powagę, od której miękną mi kolana.

- Tobie miękną - sprostowała Jenny.

- Tobie też. Chcesz coś przeżyć. Jesteś gotowa.

Jenny prychnęła w sposób bardzo niestosowny dla damy.

- To może być coś fantastycznego. Mówię ci, że warto. Inaczej popatrzysz na wszystkie problemy, którymi zawracasz sobie głowę. Możesz się nimi potem zajmować przez najbliższe dziesięć lat. Dlaczego miałabyś odmawiać sobie niewinnej przygody?

- To niemożliwe.

- W porządku, niech będzie trochę dłuższa. Nawet całkiem długa. Zaczekaj, dobrze, bardzo długa. Czemu nie? Przecież możecie się spotykać po wyjeździe stąd.

- Nawet jeszcze nie wiem, gdzie mieszka.

- Jeszcze - powtórzyła Magda z naciskiem. - Jeszcze nie wiesz. - Jenny westchnęła i pokręciła głową.

- Właściwie poprosiłam go, żeby został moim ochroniarzem. Nie bardzo wiem, co miałam na myśli.

- Dobra taktyka - pochwaliła Magda.

- Och, przestań. - Jenny cisnęła w nią poduszką. - To w ogóle nie było tak. Było... gorzej.

- Zakryła twarz dłońmi i jęknęła. - Czuję się, jakbym przez te piętnaście lat żyła cudzym życiem. Wszystko to były pozory. Nie wiedziałam o tym aż do dziś.

- Kochanie, jeśli masz ochotę na romans, to nic prostszego. Nie musisz się tłumaczyć. - Uśmiechnęła się. - Czekałaś na to długo, nawet o tym nie wiedząc. A po to właśnie podróżuje się na południe.

- Po prostu nie chcę zrobić czegoś głupiego - mruknęła Jenny, podciągając kolana pod brodę i obejmując je ramionami.

- Ależ zrób coś głupiego. Uwolnij się.

Jenny znów popatrzyła w okno. Może....

W hotelowym holu pełno było donic z zielonymi pnączami, filodendronami i wyplatanych mebli obitych kolorowymi tkaninami. Łukowato sklepione przejścia prowadziły do recepcji, basenu i korytarza, z którego można było wyjść na plażę albo wsiąść do windy. Jenny podeszła do kontuaru, poprawiając na ramieniu pasek koszyka.

- Chciałabym skontaktować się z panem Hunterem Calgarym.

Recepcjonista wystukał numer na swojej tarczy i wskazał ręką wewnętrzny aparat wiszący na ścianie przy jednym z wyjść. Słyszała wolny sygnał po drugiej stronie, ale nikt nie podnosił słuchawki. Rozłączyła się. Najwyraźniej nie było tu systemu automatycznego przyjmowania wiadomości.

Co teraz?

Przeszła korytarzem do wyjścia na plażę. Kilka metrów od hotelu dopadli ją sprzedawcy, oferując meksykańskie kapelusze, koce, ozdoby i ceramikę. Nie zniechęcały ich ani kręcenia głową, ani protesty. Musiała wrócić do środka. I tak wszystkie leżaki były zajęte, zresztą nie była gościem hotelu Rosa, więc nie wypadało jej zajmować cudzego miejsca.

Na jednym z leżaków leżał rozciągnięty łysawy facet, który podrywał ją tamtego wieczoru, kiedy spotkała Huntera. Jenny na paluszkach wycofała się z niebezpiecznego rejonu. Sądząc po różowej skórze i tak za długo siedział na słońcu, a sposób, w jaki przyciskał do czoła mrożonego drinka, więcej mówił o ostatniej nocy niż o upale dzisiejszego dnia. Zrobiło się jej go troszkę żal i natychmiast pomyślała o swojej sytuacji.

Co właściwie tutaj robi? Hunter jej nie zapraszał. Przyszła do hotelu, żeby... nawiązać szalony romans. Omal się nie roześmiała. Kogo właściwie chce nabrać? Na nic takiego przecież się nie zdobędzie. Mając za sobą katastrofę z Troyem, ciągną troskę o Rawleya i wrodzone poczucie przyzwoitości? Nie.

Nie ma mowy?

Szybko zawróciła, zastanowiła się przez chwilę, czy nie zostawić wiadomości i ruszyła w stronę wyjścia na ulicę. I właśnie wtedy, ku jej konsternacji, do holu wszedł Hunter. Zatrzymał się przy recepcji. Jenny wygładziła spódniczkę, wzięła głęboki oddech i usiłując się uśmiechnąć, pomaszerowała w jego stronę. Wczorajszego wieczoru zdradziła mu prawie wszystkie swoje sekrety - samo wspomnienie przejmowało ją dziś dreszczem - co zirytowało ją i wprawiło w zakłopotanie. Hunter szybko wyczuł nastrój skrepowania i pożegnał się. Ale po rozmowie z Magdą Jenny umocniła się w swojej decyzji. Chce się z nim spotykać. Dlatego postanowiła posunąć ten flirt odrobinę dalej.

Recepcjonista podał mu kopertę. Jenny rzuciła na nią okiem, po czym zaczęła, aż Hunter odwrócił się i sam ją zobaczy. Stał jak wryty. Zmroził ją surowy wyraz jego twarzy.

- Hej - powiedziała, czując się jak idiotka. - Miałam nadzieję, że cię spotkam. Chyba wczoraj trochę przesadziłam i chciałam cię przekonać, że jeszcze nie oszalałam ze szczętem.

- Wcale nie przesadziłaś. - Swobodnym ruchem wsunął kopertę do kieszeni. - Miałem zamiar zadzwonić.

- Naprawdę? - spytała beztrąsko.
- Pomyślałem, że moglibyśmy się wybrać na przejażdżkę wzdłuż wybrzeża.
- Jasne. - Gorliwie skinęła głową.
- Zaczekaj. Za chwilę wrócę.

Dotknął jej ręki, jakby dodając otuchy i oddalił się w stronę wind. Usłyszała, jak dźwig zjeżdża, a potem znów rusza w górę. Zapadła się w fotel z nieprzyjemnym uczuciem, że w czymś mu przeszkodziła.

Widziała przesyłkę. Hunter miał ochotę ze złości kopnąć w ścianę. Nie było w tym nic strasznego, ale popełnił błąd, prosząc Orteę o pewne informacje. Sierżant z Santa Fe wrzeszczał, narzekał i kazał Hunterowi wracać do pracy, ale, choć niechętnie, przysłał wiadomości, zadając przy tym masę pytań, na które Hunter nie zamierzał odpowiedzieć.

Szybkim ruchem rozerwał kopertę i przejrzał jej zawartość. Mała notka z gazety o ucieczce Genevy Holloway z Troyem Russellem i zdjęcie. Kilka artykułów na temat obywatelskiej postawy Allena Hollowaya i jego dobroczynnych akcji. Parę tekstów o nieruchomościach nabytych przez Allena Hollowaya. Informacje znane mu już z czasów, gdy prowadził śledztwo w sprawie śmierci Michelle, ale teraz nabierające nowego znaczenia.

Przyjrzał się fotografii Russella i Jenny. Szybko zrobiona fotka, pewnie przez Jenny, bo zdaniem Huntera Allen Holloway żadną miarą nie śpieszył się z obwieszczeniem światu o małżeństwie córki. Uśmiechała się szeroko i trochę z przymusem, Russell - z wyższością.

Hunter poczuł w piersi znajome ukłucie złości. Wziął dla uspokojenia kilka głębokich wdechów. Jedynym uczuciem, jakie mógł w tej chwili zdefiniować, była żądza krwawej zemsty. To nie zniknęło. Stan długotrwałej depresji niczego tu nie zmienił.

Ponieważ Jenny czekała na dole, wsunął wycinki do bocznej kieszeni torby, którą rzucił na krzesło, złapał kluczyki i pobiegł do windy.

Dziesięć minut później stali przed sklepem spożywczym w centrum miasta. Jenny patrzyła na niego z uśmiechem, a Hunter miał poczucie winy, że ją oszukuje, nawet jeśli robi to dla jej dobra.

- I co? - spytała.

- Chodźmy. - Przepuścił ją i ruszyli zatłoczonym przejściem między regałami. Najpierw znalazł torbę, mniej więcej wielkości plażowego worka Jenny, a potem zaczął wrzucać do sklepowego wózka: ser, chleb, wino i meksykańskie piwo.

- Jedziemy na piknik - oznajmił. - Znajdź coś, co ci się podoba i dorzuć...

*

- Mmm... - Przechyliła głowę. - Może jakieś tuczące chipsy?

- Co tylko sobie życzysz.

- Uważaj! - krzyknęła. - Omal nie nadepnąłeś temu małemu na nogę.

Chłopiec spojrział na nich wielkimi, wilgotnymi, ciemnymi oczami. Zajrzał do ich wózka i skrzywił się, najwyraźniej zdegustowany jego zawartością. Jenny zerknęła do wózka, który pchała matka dzieciaka. Były tam tradycyjne składniki kuchni meksykańskiej: liście kukurydzy, puree fasolowe i tortilla. Jenny uśmiechnęła się do chłopca; odpowiedział jej szczerbatym uśmiechem, po czym popatrzył na Huntera, zrobił rozwścieczoną minę i po tym pokazie siły umknął.

- Muszę bardziej uważać - powiedział Hunter łagodnie.

- Chyba nie najlepiej radzisz sobie z dziećmi - zakpiła. - Masz własne? - zapytała, ze

zdziwieniem słuchając swojego głosu.

- Nie.

- Jesteś żonaty? - wyrwało jej się drugie pytanie. Zastanawiając się, czy zrobić krok naprzód w tej znajomości, tego nie wzięła pod uwagę. Zaszokowała ją własna naiwność. Czowała się fatalnie.

- Rozwiedziony - odpowiedział po dłuższej chwili.

- Ach. - Bicie jej serca powoli wracało do normalnego rytmu. Uśmiechnęła się blado. - Tak jak ja.

- W porównaniu z twoimi, moje doświadczenia nie były takie straszne. Choć i tak wystarczająco paskudne.

- Od dawna?

Nie chciał tej rozmowy. Nienawidził mówienia o sprawach osobistych, a już na pewno nie z Jenny.

- Parę lat.

- Dlaczego?

Popatrzył na nią surowo.

- Dlaczego się rozwiodłeś?

- Niezgodność charakterów. Nie mogliśmy ze sobą wytrzymać.

Schyliła głowę, myśląc, co by tu powiedzieć, ale ograniczyła się do bezradnego wzruszenia ramionami. Hunter znalazł na półce czipsy i wrzucił je razem z plastikową tubą świeżej salsy. Lawirowali wśród innych wózków, rodzin i półek z towarami, aż w końcu stanęli w długiej kolejce do kasy.

- Nigdy nie byłam na takich zakupach z Troyem - powiedziała Jenny. - Ani razu.

Hunter zastanowił się przez chwilę.

- Nigdy nie chodziłem na zakupy z Kathryn.

- Może na tym polegał nasz błąd - skomentowała beztrąsko.

- Nie sądzę, żeby Kathryn w ogóle kiedykolwiek robiła takie zakupy. Tak przyziemnymi sprawami zajmowała się kucharka.

Jenny zamrugła z niedowierzaniem.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się krzywo.

- Wzniełem się w wielkie pieniądze. I nie zamierzam powtórzyć tego błędu.

Dlaczego jej to mówi? Czemu to ma służyć? W chwili, kiedy te pytania przeleciały mu przez myśl, już wiedział. Dobrze wiedział. Nie chciał jej pragnąć. Nie chciał, by Jenny pragnęła jego. Budował przeszkody, choć jednocześnie wyciągał do niej rękę, kierowany wewnętrzną potrzebą, silniejszą niż wszystko inne.

Kiedy pakowali zakupy i szli do dżipa, milczała. Na drodze za miastem, gdy Hunter przyśpieszył, musiała przytrzymać ręką włosy rozwiewane wpadającym przez otwarte okna wiatrem.

- Opowiedz mi o sobie - niemal krzyczała, żeby ją słyszał.

- Co chcesz wiedzieć?

- Gdzie się wychowałeś, gdzie chodziłeś do szkoły, jak spotkałeś Kathryn, kiedy się zorientowałeś, że twoje małżeństwo się skończyło... wszystko.

Hunter jęknął i pokręcił głową. Otworzył usta, żeby odmówić, ale pogroziła mu palcem.

- Szczerść za szczerść. Powiesz mi o sobie, a ja ci opowiem o sobie.

Będzie musiał kłamać. Bez większego trudu, bo przecież nie ma znaczenia, co jej powie.

- No to ja zaczynam - powiedziała, skoro uparcie milczał. - Po pierwsze: jestem jedy-

naczką. Byłam strasznym bachorem. Uważałam, że wszystko jest moje: słońce, księżyc i cały Teksas. Matka próbowała na mnie wpłynąć, ale naprawdę nie miała szans. Byłam zbyt krnąbrna. Zbyt bezczelna... - Popatrzyła na niego spod oka. - Nie żadna słodka, mała dziewczynka - dodała ciszej.

Hunter posłał jej przelotny uśmiech.

- Odmalowałaś portret mojej byłej żony.

- Och...

- Miała jakieś zalety. - Skręcił kierownicę i zjechali w bok. - Nie mogę tylko przypomnieć sobie, jakie.

- Twoja kolej. - Jenny podniosła palec.

- Co chcesz wiedzieć?

- Nie, nie. Sam mów. Nie zmuszaj mnie do stawiania pytań. - Skromnie złożyła ręce na kolanach. Zamknęła oczy i poddała się wiatrowi, który rozwiewał jej włosy. Hunter z trudem się powstrzymał, by nie wyciągnąć ręki i ich nie przygładzić. Chciał patrzeć na jej policzki, na cerę jak krew z mlekiem i na łagodną linię podbródka.

- Urodziłem się w Phoenix, ale rodzina przeniosła się do Las Vegas. Ojciec przegrywał wszystkie pieniądze, a matka sprzątała w hotelu. Moja siostra Michelle rysowała karykatury hotelowych gości i zyskała pewną sławę w mieście. Jakoś udało mi się przebrnąć przez college. - Urwał. Do tej pory mówił prawdę, ale za chwilę to się zmieni. Nie chciał, by wiedziała, że był kiedyś gliną.

- Co studiowałaś?

Rzucił na nią okiem, gdy skręcili na zapierający dech w piersiach odcinek nadmorskiej drogi.

- Twoja kolej.

Jenny uśmiechnęła się.

- Dobra. Też chodziłam do college'u. Studiowałam literaturę, filozofię i chłopaków przez cały semestr, zanim Troy... - Spojrzała na morze. Łódź ciągnęła parolotniarza i biały, wydęty obłok żagla. Mogła pod nim dostrzec małą, czarną sylwetkę człowieka.

Hunter zjechał na punkt widokowy na skale opadającej ku morzu. W dole ciągnął się zaciszny, półkilometrowy pas piasku, z obu stron zamknięty skałami. W zasięgu wzroku ani jednego handlarza. Zaciągnął ręczny hamulec i popatrzył na Jenny.

- Masz ochotę na spacer po plaży i piknik?

- Twoja kolej - przypomniała mu, wyskakując z dżipa.

Zabrał torbę z zakupami i zeszli po gładkich, czarnych głazach na srebrzysty piasek plaży. Schowali zapasy za wielką skałą, zdjęli buty i ruszyli brzegiem. Woda pienila się wokół ich stóp, napływała, cofała się i znów powracała.

- Zająłem się biznesem. W branży urzędzeń zabezpieczających. Ożeniłem się z Kathryn i przez dwa lata z trudem wiązałem koniec z końcem. A potem miałem ochotę palnąć sobie w łeb. Kathryn znalazła sobie kogoś. Rozwiędliśmy się. Zrezygnowałem z pracy i teraz wiesz już wszystko, co należy wiedzieć o Hunterze Calgarym.

- Mhm. A jak teraz układają się stosunki z Kathryn?

- Wciąż zapominasz o zasadach, które sama ustaliłaś.

- W porządku. - Zatrzymała się. Hunter stanął obok. - Jak na pewno zorientowałaś się wczoraj wieczorem, Troy krzywdził mnie na wszystkie możliwe sposoby. Wpadł w furję, kiedy dowiedział się, że nie dostanę pieniędzy od razu, ale najbardziej wściekało go to, że nic mnie to nie obchodzi. Sądzę, że ja też go wykorzystałam - jako pretekst do ucieczki z domu. Kiedy wszystko się rozpadło, straciłam odwagę i pozwoliłam kochanemu tatusiowi, żeby znów prze-

ją kontrolę.

- Byłaś w ciąży - przypomniał jej. - A mąż znęcał się nad tobą fizycznie.

Skinęła głową.

- I od tamtej pory byłaś zdana na własne siły i sama wychowywałaś syna. Docień siebie, Genevo. - Specjalnie użył tego imienia, choć zabrzmiało sztywno i oficjalnie. Ale pozwalało zachować dystans. Mały dystans, który był mu tak potrzebny.

- Mam na imię Jenny - szepnęła. - Ale możesz mówić Geneva, jeśli chcesz...

I wtedy Hunter Calgary spojrział w jej niebieskie oczy i nachylił się, żeby ją pocałować.

Jenny nie miała pojęcia, co właściwie czuje, siedząc na piasku i pogryzając kanapkę z serem, chrzanem i konserwowym ogórkiem. Nie był to wykwintny posiłek, ale nigdy w życiu nic nie smakowało jej bardziej i nigdy nie miała tak wilczego apetytu. Było popołudnie, słońce zaczynało się zniżać. Chciała, żeby ten dzień się nie kończył. Chciała być tu z nim i nie wracać do Magdy, Phila i reszty. I chciała się z nim całować.

Jak dawno nie całowała się z mężczyzną? Sama myśl o tym była przygnębiająca. A kiedy wypowiedział jej imię, tak poważnie, wzruszająco, poruszyła się w niej jakaś struna, zbyt długo nietknięta.

Hunter westchnął, wyciągnął na piasku długie nogi, podłożył ręce pod głowę i zamknął oczy. Miał na sobie džinsy i czarny podkoszulek. Był nieprawdopodobnie seksowny, a Jenny aż za dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Skorzystała z okazji, żeby dobrze mu się przyjrzeć - mięśniom ramion, surowej linii szczęki, ciemnym brwiom i włosom falującym tuż przy opalonej skórze.

- Znowu kolej na ciebie - powiedziała, wrzucając do torby resztki kanapek i wyciągając czipsy i sałkę. Chrupiąc czipsa, odkręciła pokrywkę słoiczka, a potem napełniła winem szklanczki, choć każde z nich pociągnęło tylko kilka łyków.

- Nie bardzo mogę wymyślić coś jeszcze. - Wciąż leżał z zamkniętymi oczami, jakby za chwilę miał tu zasnąć.

- To opowiedz mi o swojej siostrze.

Otworzył oczy i popatrzył na nią przenikliwie.

- O siostrze?

- Michelle, prawda? Mówiłaś, że rysowała karykatury. Dalej rysuje?

- Nie.

Jakby od morza zawiął zimny wiatr. Jenny zastanawiała się, co takiego powiedziała, Hunter długo milczał.

- Często ją widzisz? - spytała niepewnie.

- Wcale jej nie widuję. - Usiadł gwałtownie. - Nie chcę teraz rozmawiać o Michelle.

- W porządku. - Jenny zamilkła. Poczła się skarcona. - Nie mam rodzeństwa, za to mam ojca, posiadacza licznych pakietów kontrolnych oraz macochę, która gra w tenisa, kolekcjonuje biżuterię i zatrzymała się w rozwoju psychicznym na etapie lat piętnastu.

Rozbawiła go.

- A co naprawdę o niej sądzisz?

Wrócili na pewny grunt. Odetchnęła z ulgą. Pogryzając następnego czipsa, zastanawiała się, czy powinna wrócić do tamtego pocałunku. Zupełnie ją zaskoczył; nie poddała mu się bez reszty, tak, by odczuć całą jego rozkosz. Ale nie było czasu. Hunter nagle przyciągnął ją do siebie, wziął w ramiona i pocałował. Była w tym pocałunku jakaś niecierpliwość i niepokój, choć Jenny wydawało się, że Hunter rozpaczliwie próbuje je ukryć.

A może to ona wyobraża sobie za dużo.

Chrzęknęła.

- Wydaje mi się, że jak na razie to ja ciągle pytam. Wiesz już chyba o mnie wszystko. Nie odpowiedział. Nachylił się i zanurzył czipsa w słoiczku z salsą.

- No więc, co będziesz robił po powrocie do domu?

Odetchnął ciężko i znów włożył ręce pod głowę.

- Spać przez cały rok.

Jenny przyglądała mu się, powoli kojarzyła fakty.

- Wygląda na to, że jesteś wykończony.

- Tak jest.

- Dlatego rzuciłeś pracę?

- Mhm...

- Więc moja propozycja zatrudnienia w charakterze ochroniarza nie zostanie przyjęta? - spytała cicho.

Niemal niepostrzeżenie najpierw zacisnął, a dopiero potem rozluźnił szczęki.

- Mówiłaś poważnie? Naprawdę potrzebujesz ochrony przed eksmał-żonkiem?

- Rawley nigdy tego nie zrozumie, a ja nie będę w stanie mu wytłumaczyć. Po prostu nie czuję się teraz bezpieczna. - Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nie potrafiła sprecyzować swoich obaw; jej strach opierał się tylko na wspomnieniach o człowieku, który się nad nią znęcał. - Chciałabym wiedzieć, czego chce Troy.

- Wydawało mi się, że mówiłaś o pieniądzach.

- Owszem. Pieniądze to rzecz zasadnicza. Ale jest jeszcze Rawley. - Zadrżała i energicznie potarła ramiona.

- Mówiłaś, że nie wie o Rawleyu.

- Jeszcze nie. - Skrzywiła się. - Ale Troy nie jest głupi i skoro postanowił wkroczyć w moje życie, a wszystko na to wskazuje, niechybnie natknie się na Rawleya.

- A co, twoim zdaniem, zrobi, kiedy się dowie, że ma syna? - Hunter ostrożnie dobierał słowa.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała szczerze. - Ale to będzie okropne. Na pewno.

Zamilkli. W końcu Hunter odezwał się niepewnie:

- Myślę, że ochroniarz to niezły pomysł, ale nie sądzę, że powinienem to być ja. Nie mam właściwego podejścia do tej sprawy. Najważniejsze, żebyś zorientowała się, o co chodzi Troyowi. Raz już skontaktował się z twoim ojcem. Niech spróbuje jeszcze raz.

- A co mam zrobić, kiedy przyjdzie do mnie do domu? - spytała. Poczuli się urażona, że odmówił, choć przecież miał do tego pełne prawo. - Przyjąć go z otwartymi ramionami?

- Zadzwoń po ojca. Wezwać policję. Nie pozwól mu przejść przez próg. - Odpowiedź zabrzmiała zimno i ostro.

- Wiesz, nie za bardzo mi pomagasz.

- Nie podoba mi się to, co o nim mówiłaś. Nie ufam mu.

- Ale nie zostaniesz moim ochroniarzem? - zapytała cicho.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

Milczał tak długo, że straciła nadzieję na odpowiedź. W końcu nabrał powietrza i odezwał się chropawym głosem, który przejął ją do głębi:

- Ponieważ mój stosunek do ciebie jest niewłaściwy i to nie byłoby mądre.

Jenny nie udawała, że nie rozumie.

- Moim zdaniem to znakomity powód, żeby przyjąć taką pracę.

- Nie. Ty rzeczywiście potrzebujesz ochroniarza. Porozmawiaj z ojcem. Założę się, że natychmiast kogoś ci załatwi.

Czyżby w jego głosie brzmiała gorycz? Docierało do niej mnóstwo niejasnych komunikatów. Może wreszcie pora, by uzyskać konkretną odpowiedź?

- Więc czego ode mnie oczekujesz?

- Ja... - Urwał i pokręcił głową. Widać było, że usiłuje znaleźć odpowiednie słowa. - Mamy przed sobą zaledwie kilka dni tu, w Meksyku. Ten upał, ten nastrój... to wszystko potrwa tylko do końca tygodnia.

- Ale czego oczekujesz?

- Nawet nie chcę mówić.

- Przygody?

Omali się nie uśmiechnął.

- Takim kobietom jak ty nie proponuje się przygody.

- Skąd wiesz? - Jenny zadarła podbródek, niezadowolona z etykiety, którą już jej przypiął. - Może jestem gorąca?

Nie wytrzymał. Białe zęby błysnęły szeroko, a głęboki, gardłowy śmiech przyprawił ją o lekki dreszcz.

- Myślisz, że udaję - stwierdziła.

- Nie, wcale nie myślę, że udajesz. - Usiadł, uniósł rozpostarte dłonie, jakby broniąc się przed jej atakiem. - Wierzę, że potrafisz być... gorąca.

- To ten syndrom dziewczyny z sąsiedztwa, tak? Każdy chce być moim starszym bratem albo ojcem, albo jeszcze inną namiastką czegoś tam. Tylko nikt nie ma ochoty wiedzieć, jaka jestem naprawdę.

- A wielu mężczyzn miało tę szansę?

Przyłapał ją. Jak to jest, że tak dobrze ją zna, a sam się nie odsłania? Podał jej tylko tyle informacji, żeby sądziła, że coś zaczyna rozumieć, ale szczerze mówiąc, nic z tego nie wynikało.

- Całe mnóstwo - oświadczyła beztrosko. - Tłumy kochasiów.

- Mhm.

Roześmiała się, otoczyła ramionami kolana i poddała się nastrojowi chwili.

- W porządku. Łzę jak pies.

- Na co masz ochotę? - Zaskoczył ją tym pytaniem.

- Na... coś. - Oblizła zaschnięte usta. - Może...

- Może...?

- Na pocałunek?

Spojrzał na jej wargi i nie odrywał od nich wzroku na tyle długo, że zalała ją fala gorąca. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jego zmysłowe usta.

Miał ciemne, nieprzeniknione oczy, teraz rozpalone iskrą pożądania. Jenny pochyliła się, nieświadomie zapraszając, usłyszała lekki oddech, poczuła ciepło skóry.

To Hunter oprzytomniał w ostatniej chwili. Odsunął się gwałtownie.

- Nie bardzo wiem, co robię, Genevo, i zdaje się, że ty też. Wracajmy, zanim stanie się coś, czego oboje będziemy żalowali.

*

Granatowe niebo usiane było gwiazdami, ale w powietrzu unosił się ciężki zapach spalin. Troy czuł, że się poci, a to go wkurzało. Nienawidził Houston. Nie znosił wilgotności, nieznośnego słońca i nieprzyjaznej ziemi. Wychował się w południowej Kalifornii, której zresztą również nienawidził. Rodzice z trudem wiązali koniec z końcem, ale umieszczali go w prywatnych szkołach, na które nie było ich stać. Pamiętał swoje zniszczone ubrania, wciąż łatanie i

cerowane dziury. Dziewczyny o długich, opalonych nogach i ich pretensjonalne, lodowate uśmiechy. Miał ochotę rzucić się na nie. Wepchnąć je w błoto i skopać im te chude tyłki. Zamiast tego uśmiechał się, ćwiczył swój wdzięk i pieprzył je w kółko, ale zawsze w końcu wstały i pluły mu w twarz.

To samo przecież zrobiła Val. Miała szesnaście lat i doświadczenie znacznie wykraczające poza jej wiek. Troy, piętnastolatek, był młody, napalony i przeleciał już tyle dziewczyn, że wiedział, czego chce. A chciał Val. Do tej pory pamięta jej zapach i smak, nawet po tylu latach. Była nienasycona. W łóżku fantastyczna. Ale latała za facetami i szybko znalazła sobie zawodnika drużyny futbolowej. Miała nadzieję, że będzie jeszcze lepszy. Troy do dziś pamięta, jak śmiała się, opowiadając mu o tym mięśniaku. Słuchał w milczeniu i myślał o tym, jak chętnie wybiłby jej zęby, żeby ta suka przestała się śmiać.

Dwa dni później czekał wieczorem pod jej domem. Patrzył, jak tamten podwozi ją, jak trzyma rękę pod jej spódnicą. Val odepchnęła go żartobliwie, wyskakując z auta. Miała na sobie jego klubową bluzę. Troy złapał ją natychmiast, kiedy samochód tego dupka zniknął za zakrętem, mrugając tylnymi światłami.

- Hej! - powiedziała, ale Troy chwycił ją, wpił się zębami w jej szyję i pchnął na ziemię. Nie była przerażona. Była wkurwiona. Walczyła z nim przez chwilę, ale zaraz się poddała. Pragnęła go, świntuszyła, ponaglała. Wkurzył się. Zadarł jej spódnicę, ściągnął majtki i dał jej to, czego chciała i o co błagała. I to tak, żeby bolało. Zaczęła płakać, ale nie przestawał. Chciał jej zapłacić. Z nawiązką. Płakała i prosiła, żeby przestał. Kiedy czuł, że zbliża się do końca, wyszedł z niej i spuścił się na klubową kurtkę jej przyjaciela.

Nigdy więcej się z niego nie śmiała.

Kiedy po raz pierwszy zobaczył Jenny Holloway, pomyślał o Val. Takie same bujne włosy, ten sam uśmiech. Trzeba było Jenny i jej niezwykłego podobieństwa do jego pierwszej miłości, by Troy ostatecznie wyrzucił Val z pamięci.

Na dodatek Jenny oznaczała pieniądze. Całe wory pieniędzy. Za to była cholernie irytująca. Nie chciała dogadać się z ojcem. Nie chciała się dostosować. Nie miała pojęcia o seksie i nie chciała się uczyć. Uderzył ją kiedyś ze złości i gdy zobaczył w jej oczach ból i szok, kiedy z niedowierzaniem dotykała palcami krwawiącej wargi, pomyślał sobie: pierdol się, Val. Sprawilo mu to przyjemność.

Niestety potem na pomoc płaczącej księżniczce przybył ten sukinsyn Allen. Troy nie zamierzał się rozwodzić, zwłaszcza kiedy zorientował się, że Allen nie o wszystkim wie. Jenny, chwała jej tchórzliwemu serduszkowi, nie powiedziała tatusiowi o ranach i siniakach. A jednak skurwiel wszystkiego się domyślił. Po tych świdrujących, zadowolonych oczach widać było, że nie żartuje. Wiedział, że trzyma Troja za pysk i z całą pewnością potrafiłby ukreć człowieka jaja. Rany, jak on nienawidził tego sukinsyna.

Ale faktycznie zaproponował Troyowi kupę kasy. Żeby zniknął. Jasna cholera. Ale w końcu Troy i tak dopiął swego.

Dopóki ta skomląca suka Michelle Calgary nie zaszła w ciążę. Chciała wyjść za niego, zresztą przez cały czas trwania ich związku Troy zachowywał się jak wzorowy chłopak. Była cholernie fajna. I w końcu zmusił ją do całkiem sprośnych rzeczy, choć błagała, żeby przestał. Pamiętał taką noc, kiedy próbowała odczołgać się od niego, ale zmuszał ją, raz za razem, do pieprzenia przy akompaniamencie jej wycia. Na samą myśl o tym czuł, jak mu staje. Wtedy musiał ją walnąć, tylko po to, żeby przestała tak okropnie wrzeszczeć. Błagała go, żeby przestał, krzyczała, że jest w ciąży. Wściekł się i przyłożył jej drugi raz.

Oczywiście, że potem marnie się czuł. Była tak obolała, że przez parę dni w ogóle się nie ruszała. Gdy poroniła, uspokoiła się na dobre. Wiedział, że chciała o wszystkim opowiedzieć

swojemu braciszкови. Musiał więc roztoczyć cały swój wdzięk, ale i tak nie był pewien, czy to podziła. Wciąż chodziła na dach rozmyślać. Troy dobrze znał te rozmyślające kobiety. Za każdym razem, kiedy coś takiego następowało, pokazywano mu drzwi. Musiał więc to przerwać. I przerwał. Miało być inaczej. Nie tak. Nie z dachu.

Wzdrygnął się. Dreszcz ogarnął go całego jak fala przyływu. Rany, nienawidzi tych wspomnień. Doprowadzają go do furii! Naprawdę ją ko-chał. Prawie tak samo jak Jenny. Ale kobietom nie można ufać. Zachodzą w ciążę tylko po to, żeby zatrzymać faceta. Choćby Jenny. Ma dzieciaka. Całe szczęście, że wywinął się z tego, zanim spróbowaliby zrobić to samo, co Michelle.

Rozpuścił resztę pieniędzy w tak rekordowym tempie, że sam był zdumiony. Po prostu miał pecha. Nietrafione inwestycje. Raz był dwadzieścia tysięcy dolarów do przodu w blac-kjacka. A potem wszystko się sypnęło i przegrał jeszcze trzydzieści kawałków. Został goły. Życie jest niesprawiedliwe.

Kiedy miał już tylko dwieście dolarów, musiał wynieść się z mieszkania z widokiem na plażę i rozejrzeć się za nową kobietą. Było ich dużo, ale żadna nie dysponowała takim kontem bankowym, na jakie liczył. Puszczające się mężatki czasem dawały mu trochę kasy, jeśli dobrze zabawiał je w łóżku. Brał forsy i pieprzył je, jakby to był jakiś jebany maraton. Uwielbiały to. Ale miały mężów. Co gorsza, ciężko myślący braciszek Michelle był detektywem w policji w Los Angeles. Chciał się zemścić po wypadku Michelle i Troy musiał głośno protestować, żeby wyhamować wariata. Na myśl o Hunterze Calgarym wszystko w nim lodowaciało. Troy puścił w myślach wiązanek przekleństw, otrząsnął się i wrócił do zimnego, pozbawionego skrupułów opanowania, które tak dobrze służyło mu przez wszystkie te lata.

Ale to jest już chyba zamknięty rozdział. Calgary wyleciał z policji. Maniakom się to zdarza. Troy prysnął z Los Angeles i przycupnął na jakiś czas w Tucson. Kiedy dowiedział się, że Calgary wyjechał z Kalifornii i pracuje w Nevadzie, wrócił do Los Angeles. Los mu sprzyjał. Drugiego wieczoru w barze Sunset Strip spotkał Fredericę, napaloną Latynoskę z rezydencją w Beverly Hills i alimentami, których wysokość może powalić mężczyznę na kolana i sprawić, że zacznie szlochać. Tyle że miała zespół maniakalno-depresyjny i wpadała z jednej skrajności w drugą. Albo - albo. A kiedy pogrążyła się w depresji, traciła zainteresowanie wszystkim, łącznie z myciem i jedzeniem. Troy nie mieszkał z nią, suka była ostrożna i nie pozwoliła mu posunąć się aż tak daleko. Więc kiedy poszła na dno, został na lodzie, po uszy w długach. Nędzne konto Patricii nie wystarczyło, by stanął mocno na nogi.

Wtedy właśnie pomyślał o Jenny. Piętnaście lat przeleciało jak z bicia strzelił. Nie wiedział, gdzie jej szukać, ale świetnie znał adres jej tatusia. Wyczekiwał bez końca pod jego rezydencją, aż pewnego dnia wielki Allen Holloway wybrał się w końcu odwiedzić córkę w restauracji U Riccarda. Troy przeżył szok, kiedy zorientował się, że Jenny pracuje. Ni mniej ni więcej jako księgowa, w lichej restauracyjce, u jakiegoś brudnego włoskiego sukinsyna, który ślinił się na jej widok i na pewno chciałby się dobrać do jej majtek. Omal się nie roześmiał na myśl o tym facecie. Tam jest zimno, chciał mu powiedzieć. Babki lubią ostro grzać, ale Jenny lodowaciała za każdym razem, kiedy tego próbował.

Zobaczył wtedy Jenny na własne oczy i szczerze mówiąc, ręka z drinkiem zamarła mu w pół drogi do ust. Kiedy się rozstali, była jeszcze chudą nastolatką. Teraz zobaczył dojrzałą kobietę o wspaniałych piersiach, biodrach i udach. Natychmiast skorygował plany. Początkowo zamierzał wyciągnąć więcej forsy od starego Hollowaya, ale widok Jenny sprawił, że zmienił taktykę i wyskoczył z tymi pierdołami o przeprosinach. O tym, że chce naprawić to, co było złe. Kiedy ją poznał, była zimną rybą, ale ktoś jej zrobił to dziecko. Może się czegoś nauczyła. Może i on nauczy ją jeszcze paru rzeczy.

Musi tylko znaleźć sposób, żeby wejść w jej życie. Teraz. Kiedy hula gdzieś po świecie. Może z jakimś facetem? Troy, myśląc o tym, wściekał się i zadreślał.

Ten cholerny pies znów rozkładał się na progu. Wyglądał niewinnie, ale Troy wiedział swoje. Zwierzaki są cwane. Nigdy ich nie lubił.

Pies jakby zrozumiał jego myśli. Podniósł płowy łeb. W gardle długo i przeciągle coś mu zabulgotało. Dłonie Troya zacisnęły się w pięści. Z przyjemnością by go zadusił. Wszystkie są nieufne. Ale nie jest na tyle głupi, żeby wdawać się w bójkę z takim bydlakiem.

Jednak... dziś jest właściwa pora. Niemal czuł, jak w głowie tyka mu zegar. Jenny niedługo wróci. Za parę dni. Ten obóz piłkarski kończy się w niedzielę. Przyjedzie po dzieciaka.

Pies zerwał się z wycieraczki. Warknął obrzydliwie.

- Spokój, Fido. - Troy wiedział, że przemawianie do niego nie ma sensu. Psy wyczuwały jego zepsutą naturę jak goniącą się sukę; jakby z daleka wydawał jakąś woń.

Znów basowe warknięcia. Powinien był kupić trutkę na szczury i zaprawić nią pół kilo mięsa, ale zdechły pies sugerowałby, że to niby przypadkowe włamanie było czymś więcej, a tego Troy nie chciał. Zamek da się wyważyć śrubokrętem, który ma w tylnej kieszeni. A potem wystarczy mocno kopnąć.

Zależało mu tylko na informacjach. Chyba że gdzieś na wierzchu leży gotówka, w co jednak, sądząc po dość skromnym trybie życia Jenny, należy wątpić. Niezbyt jasno wyobrażał sobie, jak to wszystko załatwi, ale też za bardzo się nie przejmował. Przekona ją czy coś w tym rodzaju. Allenowi Hollowayowi w każdej chwili grozi zawał. A zna tego faceta na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że swoją anorektyczną żoną przestał się interesować już wiele lat temu. Obchodziła go tylko słodka, mała Jenny. Zabawne, jak wszystko się zmienia.

Dlaczego, na litość boską, ten parszywy kundel nie wraca do domu? Troy spojrzał na niego. Pies nie drgnął.

Sam miał ochotę podnieść głowę i zawyć z rozpacz. Musiał jednak skupić się na tym, co ma do zrobienia. Opanował się, skoncentrował na jednym temacie. Jenny. Geneva Pierdolona Holloway.

Jest jego.

Ostrożnie popatrzył na zjeżonego psa.

- Hej, Fido - warknął na niego równie groźnie. Zwierzak otworzył szeroko oczy i odsłonił ostre zęby. - No, chodź...

Rozdział 7

Połów ryb na otwartym morzu to naprawdę nie był jej pomysł. Siedzieć godzinami na rozkołysanym kutrze, z którego zwieszają się żyłki i liczyć na to, że jakaś niczego nieprzeczuwająca wielka ryba połknie śmiertcionośny haczyk, to zakrawało na koszmar. Tyle że równie mało atrakcyjne było wylegiwanie się nad basenem albo spacerowanie po Puerto Vallarta, obok hotelu Rosa. Hunter nie pokazywał się od wtorku. Był już piątek i Jenny czuła, że oszaleje.

Jak mogła dać się do tego stopnia wytrącić z równowagi przez parę przypadkowych spotkań z tajemniczym mężczyzną, który w końcu ją odtrącił? W jej życiu nie ma miejsca dla Huntera. Czeka na nią natomiast ogromny skok, gdy tylko stąd wyjedzie, spakuje walizki i przeprowadzi się z Houston do Santa Fe.

Kołysanie przyprawiało ją o mdłości. Wtuliła się w burtę i niemal z zadowoleniem zauważyła, że Magda i Alicia są w jeszcze gorszym stanie.

- Och - jęczała Magda - trzeba było zostać w domu z Philem.

- Że też dałam się namówić Tomowi - mamrotała Alicia.

- Phil już poczuł się lepiej - ciągnęła Magda. - Mogłabym siedzieć z nim i popijać margarytę!

- Przestań, bo mi niedobrze - prosiła Alicia.

- Długo jeszcze? - spytała Jenny.

- Jak oni mogą robić coś takiego? - Magda podniosła głowę i wyjrzała przez otwarte drzwi. Tom, Matt, Jackie, Lisa i oboje Brickmanowie - Sam i Carrie - roześmiani popijali drinki. Woda skrzyła się od słońca.

- Dziewczyny są młode - stęknęła Alicia. - O wiele... za... młode. - Zerwała się nagle z ławki i popędziła w stronę maleńkiej łazienki.

- Carrie nie jest taka młoda, tylko... lepsza od nas - oznajmiła Magda, przysłaniając oczy dłonią.

Jenny była wściekła na siebie za tę wyprawę, choć nie czuła się tak fatalnie, jak przyjaciółki. Popłynęła, bo szukała ucieczki od zadręczających ją myśli, ale całe to badanie własnej duszy sprowadzało się do prawdy, przed którą nie mogła uciec: pragnęła romansu. Zasłużyła sobie na niego. Za długo już była poważna i odpowiedzialna. Nieważne, że przez te wszystkie lata nie interesowały jej żadne przygody. Teraz miała na to cholerną ochotę.

Czemu nie? Niby dlaczego, do diabła, nie? - wyklócała się sama ze sobą. Są kobiety, które sypiają z tłumem mężczyzn. Nie mogą nawet oglądać telewizji bez poczucia, że coś je ominęło, jeśli nie zaliczyły takiej liczby facetów, do której wstyd się przyznać. A ona miała jednego. Jednego. Swojego byłego męża. Choć instynktownie czuła, że brutalne zachowanie Troya nie jest w porządku. Istnieje przecież na świecie czułość i być może noc z Hunterem mogłaby jej to udowodnić.

- O Boże - jęknęła znów Magda, a potem błagalnym tonem dodała: - Pośpiesz się, Alicio, pośpiesz się, pośpiesz...

I to w końcu odwróciło uwagę Jenny od Huntera Calgary'ego i kazało zająć się nowym, nadciągającym niebezpieczeństwem.

Po powrocie do willi wszyscy wyglądali, jakby cudem wyszli z katastrofy. Przynajmniej większość. Matt i Tom za to byli w świetnej formie. Rechotali, opowiadając z triumfem o ogromnym tuńczyku, jakiego udało im się wciągnąć na pokład. Jenny wydawało się, że nigdy już nie będzie w stanie nawet spojrzeć na puszkę tuńczyka. Lisa i Jackie kurowały swoje po-

parzenia słoneczne, a Carrie i Sam zastanawiali się, jak przewieźć swoją zdobycz do Dallas. Natomiast Jenny, Magda i Alicia były blade i lekko zielonkawe.

Magda wzdrygnęła się na widok pokrojonej wołowiny w sosie z cytryny i kolendry, przepysznej sałaty i nieodmiennego ryżu z fasolą. Alicia zawisła na balustradzie patio jak żywy transparent. Jenny, szczerze mówiąc, była odrobinę głodna. Kiedy tylko dobili do brzegu, poczuła się lepiej, natomiast ani Magda, ani Alicia nie pozbierały się tak szybko.

Jedyną osobą chętną do wyjazdu po kolacji do miasta był Phil, który miał już dość siedzenia w domu. Szukał towarzystwa, ale na jego błagania nie zareagował nikt prócz Marta, nacierającego się regeneracyjnym kremem, którego zresztą obchodziło głównie to, co robią Jackie i Lisa. Jenny zrobiło się żal zawiedzionego Phila.

- Pojadę z tobą - zaproponowała. Rozpromienił się.

- Jesteś aniołem! - Złapał beret, ale Jenny uniosła rękę.

- Tylko nie życzę sobie dziś żadnego Euro-Phila - oświadczyła. Kąciki ust jej drgały. - Wyłącznie miłe towarzystwo i kawa po meksykańsku.

- Tak jest - zgodził się i odrzucił beret. - Kawa z tequilą i mnóstwo innych rzeczy. Gdzie na początek? - Podniósł słuchawkę, żeby wezwać taksówkę.

Hotel Rosa...

- Gdzie sobie życzysz - odpowiedziała beztrąsko.

Z punktu widzenia Huntera nie było już powodów do przesadnej ostrożności. Jenny Holloway siedziała bezpiecznie ze swoimi przyjaciółmi w willi, a jakiegokolwiek zagrożenie ze strony Troya mogło się pojawić dopiero w Houston. Wolał jednak pójść do automatu telefonicznego na ulicy, niż dzwonić ze swojego pokoju. Weszły mu w nawyk takie drobne odruchy. Kiedyś - ale tylko raz - zdarzyło się, że nie docenił pewnego frustrata, który lubił szybko chwycić za broń. Facet poszedł za nim do domu i strzelił na chybił trafił. Kula poszła bokiem, Hunter padł na podłogę, wyciągnął pistolet i wycelował w napastnika. „Rzuć broń, bo cię zabiję” - powiedział, a ten idiota odrzucił pistolet jak jadowitego węża i zwał. Złapali go następnego dnia. Do niczego się nie przyznawał, ale kula w drzwiach mieszkania Huntera i odnaleziony pistolet z odciskami palców wystarczyły, by go wsadzić.

Hunter nigdy nie zapomniał, że otarł się wtedy o śmierć. Nie docenił gościa. Kropka. Choć strzelano do niego i wcześniej, choć leciały już w jego stronę doniczki, garnki, noże, krzesła i wiele innych przedmiotów, ani przedtem ani potem nikt go nie zaskoczył.

Wykręcił domowy numer Hollowaya i usłyszał kobiecy głos. Natalie. Żona i macocha.

- Czy zastałem pana Hollowaya? - spytał.

- Czy mogę wiedzieć, kto mówi?

Chwila zastanowienia.

- Partner od interesów z Meksyku - odparł. Zawahała się.

- Nie jestem pewna...

- Na pewno zechce ze mną rozmawiać - dodał przyjaznym, lecz stanowczym tonem.

Chyba podziałało. Usłyszał dźwięk odkładanej na stolik słuchawki, a potem oddalające się kroki. Chwilę później do telefonu ktoś zbliżył się bardziej zdecydowanym krokiem.

- Słucham? - w głosie Hollowaya brzmiało napięcie.

- Żadnych nowości - oznajmił Hunter. - Jest z przyjaciółmi. Chronią ją, nawet jeśli o tym nie wiedzą.

Holloway odetchnął.

- Dzwonił do mnie - oznajmił krótko. - Chciałem pana zawiadomić, ale zabronił mi pan. A teraz pan dzwoni.

- Czego chciał? - spytał Hunter, nie zwracając uwagi na słowa Hollowaya.

- Pogadać po przyjacielsku - wymamrotał ponuro. - Pogawędzić przy kieliszku brandy i papierosie. U mnie w domu.

Hunter nie potrafił sobie wyobrazić Hollowaya pozwalającego Troyowi zapalić papierosa w jego pałacu. Było to sprzeczne z naturą tego człowieka. Ale też rozgrywał ze swoim byłym zięciem partię szachów, której reguły bez przerwy się zmieniały.

- Co powiedział?

- To samo, co przedtem. Chce wszystko naprawić. - Holloway prychnął z obrzydzeniem.

- Jest chłodny, opanowany, a kiedy się uśmiecha, mam wrażenie, że przychodzi mu to z trudem.

Hunter słuchał w milczeniu.

- Jak długo siedział?

- Niedługo. - Zapadło ponure milczenie. - Nie podoba mi się to.

Mnie też nie, pomyślał Hunter. Czuł napięcie i niepokój.

- Przyjadę sprawdzić, co z Rawleyem.

- Co takiego? Nie! Russell nic nie wie o Rawleyu. Z Rawleyem wszystko w porządku.

- Jest pan pewien?

- Mówił tylko o inwestycjach i pieniądzech - zapewnił go Allen. - Jakby ten sukinsyn miał choćby centa w kieszeni!

- Liczy na Jenny.

- Proszę ją trzymać tam tak długo, jak się da. - Brzmiało to jak polecenie.

- To niemożliwe. Będzie do końca tygodnia i wraca do syna. Nie ma mowy o zmianie planów.

- No to niech pan coś wymyśli.

- Nie. - Władczy ton tego faceta wkurzał Huntera coraz bardziej. - Na czym stanęło z Russellem?

- Powiedział, że będzie w kontakcie. Chce pieniędzy. Szuka sposobu, żeby się wkręcić z powrotem. Boję się, żeby Jenny się na to nie nabrała.

- Nie pozwoli Russellowi zbliżyć się do siebie na kilometr.

- Skąd pan wie? Rozmawiał pan z nią? - Zanim Hunter zdołał odpowiedzieć, dodał: - Poznaliśmy ją? Sądzę, że przedstawiłem sprawę jasno, Jenny nie może wiedzieć, że pan pracuje dla mnie.

- Nie wie.

- Dlaczego pan z nią rozmawiał? Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

Niedobry pomysł to ciągnąć tę pracę dla niego, pomyślał Hunter.

- Nie zamierza spotykać się z Russellem, chyba że to on wymusi spotkanie.

- Tak właśnie zrobi. On nie może żyć bez pieniędzy. Ten sukinsyn potrafi być czarujący, kiedy chce. Zimny jak serce kobry, ale zdecydowany. Raz się na to nabrała, może się nabrać i teraz.

Hunter chciał wytłumaczyć Hollowayowi, że przed laty Jenny dała się nabrać tej mendzie dlatego, że czuła się samotna i rozpaczliwie chciała uciec jak najdalej od ojca i jego nowej żony. Ale to nie miałyby sensu. Holloway słucha tylko tego, co chce usłyszeć.

- Wyjeżdża w niedzielę. Ja też.

- Chcę mieć pewność, że jest bezpieczna.

- Dopilnuję. Zauważył pan może, czym jeździ Russell?

- Jasnobrazowy metalik, chyba ford escort. Nie liczyłbym na to, że długo nim pojeździ. Znajdzie coś innego.

W tym punkcie się zgadzali. Hunter uważał, że koniecznie musi wrócić do Houston i sprawdzić, co się dzieje z synem Jenny, ale na razie odłożył to na bok. Skoro Russell odezwał się do Hollowaya i wyraźnie chciał mu się przypodobać, może to znaczyć, że nie wie jeszcze, co go łączy z chłopcem.

Ale jaką kartę przetargową dostanie do ręki, kiedy to odkryje! I Hunter i Holloway świetnie zdawali sobie z tego sprawę.

- Dowiadywała się o Rawleya. Dzwoniła do przyjaciół - zapewnił Hunter. - Chłopak jest na obozie razem z ich synem.

- Troy o nim nie wie. Nie ma pojęcia o jego istnieniu.

- Ciągłe to słyszę. Jest pan pewien, że się nie zorientował?

- Coś by wspomniał, może mi pan wierzyć. Delikatnie przykręcał wszystkie śruby. - Ton Hollowaya był coraz bardziej posępny. - Nigdy nie może się dowiedzieć.

- Jeżeli śledził pana córkę, mógł zobaczyć ich razem.

- To znaczy, że nie widział.

- Boję się, że go pan nie docenia.

Hunter poczuł nagle, jak włosy jeżą mu się na karku. Rozejrzał się; nikogo w pobliżu nie było. Wyostrzona intuicja coś jednak sygnalizowała, a Hunter wiedział, że już nigdy nie zlekceważy przecucia nadciągającego zagrożenia. Nigdy więcej.

- Zapewniam pana, że wiem, z kim mam do czynienia. - Allen Holloway mówił teraz tonem beztróskim i nieznoszącym sprzeciwu.

Hunter zdusił szyderczy śmiech.

Jenny zapięła naszyjnik, który dał jej Rawley, delikatnie dotknęła sztucznych różowych perełek i przyjrzała się ich odbiciu w lustrze sypialni. Chciała być już w domu i wiedzieć, że Rawleyowi nic nie grozi. Dość już miała słońca i rozrywek. Gdyby nie spotkanie z Hunterem, cały ten wyjazd nie miałby w sobie nic z wakacji.

Pora jechać do Santa Fe.

Miała na sobie szorty khaki i różową bluzkę bez rękawów. Dopiero później przyszło jej do głowy, żeby założyć naszyjnik i uznała, że pomysł jest dobry. Wsunęła stopy w sandały i zeszła na dół. Phil czekał koło basenu. Reszta towarzystwa najwyraźniej rozpierzchnęła się po swoich pokojach. Dzień zachęcał do właśnie takiego spędzania czasu.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy szli z Philem do taksówki. Phil jęknął z irytacją i zawrócił; Jenny czekała przy wejściu. Serce skoczyło jej do gardła, gdy ją zawołał. Rzuciła się do słuchawki.

- Halo! - zawołała nerwowo. Tylko Fergusonowie wiedzieli, gdzie jej szukać. Na pewno coś się stało.

- Cześć, Jenny. - Usłyszała głos Janice. - Przepraszam, że zawracam ci głowę. - Była zdenerwowana.

Serce Jenny o mało nie wyskoczyło z piersi. Czują, że oblewają zimny pot.

- Co się stało? Czy coś z Rawleyem? Boże, czy nic mu nie jest?

- Nie, nie, z Rawleyem wszystko w porządku. Jest na obozie. Rick był tam dzisiaj - uspokajała ją. - O niego się nie martw. Chodzi o... twoje mieszkanie.

- Mieszkanie?

- Ktoś się włamał.

- Włamał się - powtórzyła osłupiała.

- Nie potrafię powiedzieć, czy coś zginęło. Nie było zbyt wielkiego bałaganu. Może to jakieś dzieciaki - powiedziała z nadzieją w głosie. - Benny mógł któregoś ugryźć.

- Co takiego? Benny? Nic mu się nie stało?

- Nie. Myślę, że nie.

- Janice, przerażasz mnie!

- Nie, wszystko jest w porządku. Nie wiem dokładnie, co się stało. Na podłodze leżał kawałek ciemnego materiału i parę kłaczek sierści. Wiesz, jak Benny lubi pilnować twoich drzwi. Chodził trochę wolniej, więc zbadał go weterynarz. Ma obolałe żebra. Pewnie włamywacz go uderzył albo kopnął.

- Och, nie. - Jenny przełknęła ślinę. - Jesteś pewna, że Rawleyowi nic się nie stało?

- Na pewno. Poza tym, że ma lekko podbite oko, bo przyjął piłkę na twarz. Zgłosiłam włamanie na policję i zawiadomiłam administratora.

- Diego.

- Mhm. Załatwił kogoś, kto dziś rano wymienił drzwi. Mam już nowe klucze. Diego chce tylko, żebyś się z nim skontaktowała. Policja też prosiła, żebyś po powrocie dała im znać, co zginęło.

Czuła, że ogarnia ją panika. To Troy. Włamał się do jej mieszkania. Była tego pewna, jakby widziała to na własne oczy. Oddychała nierówno, próbowała się uspokoić. Musi wracać do domu. Teraz. Natychmiast.

- W porządku, Janice - powiedziała odruchowo, chcąc zapewnić przyjaciółkę, że ta zrobiła wszystko, co w jej mocy.

- Miałam ci nie mówić. Rick kazał mi poczekać, aż wrócisz, bo i tak nic nie możesz teraz zrobić.

- Myślisz, że to było zwykłe włamanie?

- No, chyba tak. A co innego?

- Wracam najbliższym samolotem.

- Jenny, proszę cię, nie rób tego. Proszę! Nie powinnam była dzwonić. Och, wiedziałam. Myślałam tylko, że może lepiej ci powiedzieć.

- Oczywiście! Bardzo dobrze, że mnie uprzedziłaś.

- Proszę cię, nie wracaj jeszcze. Zostało ci tylko parę dni. Baw się, wykorzystaj je.

- Baw się! - Jenny zaśmiała się histerycznie.

- Wszystko jest porządnie pozamykane. Och, Rick mówił mi, żebym nie dzwoniła! Zabije mnie, jeśli wrócisz wcześniej. Proszę cię, Jenny. Wszystko jest w porządku. Zostań do niedzieli. Zadzwoń do ciebie jeszcze raz. To tyle. Proszę.

Jenny zamknęła oczy. Czuła każdy nerw. Musi wyjechać. Ale Janice rozpaczliwie prosi ją, żeby została. Jaka to właściwie różnica? Usiłowała opanować zdenerwowanie i pomyśleć racjonalnie, ale wszystko przesłaniał jej obraz twarzy uśmiechniętego pogardliwie Troya.

- Jenny, proszę cię - odezwała się znów Janice. Gdzieś w tle rozległo się zawodzenie. To Becky i Tommy dawali o sobie znać. - Proszę!

- Muszę pomyśleć - odpowiedziała automatycznie.

- Nie martw się. Wszystko jest załatwione. Och, Rick wrócił... - W jej głosie zabrzmiało zdenerwowanie. - To Jenny - powiedziała głośno. - Chce z tobą rozmawiać. Proszę cię, nie mów, że wiesz ode mnie o włamaniu - dodała szeptem.

- Ale...

- Proszę!

Zawodzenie przybrało na sile. Jenny usłyszała stuk odkładanej słuchawki. Chwilę później ktoś ją podniósł.

- Jenny? - spytał Rick. - Co tam słyhać za południową granicą? - Był tak swobodny i odprężony, że musiała zacisnąć zęby. Co powinna zrobić? Ręka na słuchawce zwilgotniała.

- Całkiem miło - odpowiedziała troszeczkę za sztywno.
- O której masz samolot w niedzielę? Pojadę po chłopców, a potem odbiorę cię z lotniska.

- Mhm... nie, dziękuję, sama zabiorę Rawleya, jeśli nie robi ci to różnicy. Będę w Houston wczesnym popołudniem.

- No dobra. Do Obozu Trzech Wiatrów masz jakieś dwie godziny jazdy.

- Wiem, ale... ee... chciałabym go przywieźć. Co tam słychać na obozie?

- Świetnie się bawią. Już się umawiają na spotkania latem. I rzeczywiście grają coraz lepiej. - Zaczął opowiadać o umiejętnościach chłopaków. Jenny słuchała w milczeniu. Miała mętlik w głowie.

- Rick, muszę już iść - ucięła wreszcie. - Właśnie wychodzę.

- Tak? Tylko nie pij za dużo margarity, dobra? I skończ z tymi zabawami. Jestem zazdrosny. - Zachichotał. - Może zobaczymy się na obozie, jak przyjedziemy po chłopców. *Adios, amiga.*

- *Adios* - odpowiedziała.

- Coś nie w porządku? - spytał Phil, a w tym samym momencie ze swojego pokoju wyszedł Matt. Obaj słyszeli ostatnie słowa jej rozmowy.

- Taksówka czeka - przypomniał Matt.

- Ktoś włamał się do mojego mieszkania - oznajmiła Jenny.

- O, do diabła - powiedzieli jednocześnie.

- Okradli cię? - spytał Matt.

- Wygląda na to, że nic nie zginęło, ale to dopiero ja będę mogła stwierdzić. - Przygryzła wargę. - Chyba powinnam wracać.

- Nie. - Phil złapał ją za rękę, pociągnął po schodach i do taksówki. - To może poczekać do niedzieli. Ta noc należy do nas.

- Może pojadę z wami... - zaczął Matt, ale Phil stanowczo pokręcił głową.

- Dotrzymaj towarzystwa swoim przyjaciółkom.

Z tymi słowami pogonił Jenny do auta i ruszyli do centrum Puerto Val-larta. Phil, najwyraźniej zdecydowany odwrócić jej myśli od włamania, gadał bez przerwy o gospodarce meksykańskiej, o wspaniałej pogodzie i o tym, jak właśnie powrócił „z ciemnej strony gastrycznego piekła”.

Udało mu się tylko częściowo. Jenny wciąż czuła obecność Troya, jakby siedział razem z nimi w samochodzie. Ale kiedy skręcili w główną ulicę biegnącą wzdłuż plaży, rzuciła przelotne spojrzenie na hotel Rosa. Chciała ostatni raz, bez względu na wszystko, zobaczyć Huntera i była całkowicie zdecydowana znaleźć go albo przynajmniej przekazać wiadomość. Nie chciała, by sprawy zostały w takim stanie, jak teraz. Odmówił jej, owszem, ale przecież nie zakładała, że połączy ich jakieś uczucie. Potrzebna jej była sama świadomość, że jest obok, teraz, nawet gdyby to miało oznaczać tylko krótką chwilę radości.

Kierowca, nie mogąc znaleźć miejsca do parkowania, krążył bocznymi uliczkami. W pewnym momencie Jenny zauważyła mężczyznę w budce telefonicznej.

- To chyba Hunter! - powiedziała, zażenowana swoim nieskrywanym podnieceniem.

Taksówka zjechała na krawężnik. Hunter patrzył na nich najwyraźniej zaskoczony. Szybko odwiesił słuchawkę i wyszedł z budki.

- Cześć - powiedział, spoglądając łagodnie na Jenny. - Cóż sprowadza was do miasta?

- Phil miał dość siedzenia w domu, a nikt inny nie chciał się wybrać, więc zaproponowałam mu swoje towarzystwo. - Zamilkła. Chciała mu powiedzieć o włamaniu, ale to w końcu nie była jego sprawa.

- Rzygać mi się chciało od patrzenia na ściany sypialni - przyznał Phil. - Nie daj się jej nabrać. Musiałem ją stamtąd wyciągnąć. Poszła ze mną tylko z litości.

- I dokąd się wybieracie? - spytał od niechcienia Hunter.

- Chyba zjemy coś w twoim hotelu - odpowiedział Phil. - Jenny prawie nic nie jadła wieczorem, a ja będę szczęśliwy, gdy zjem cokolwiek, co mi nie zaszkodzi!

- Dasz się zaprosić? - spytała Jenny równie swobodnie. Popatrzyła na budkę telefoniczną, ale nie zapytała, dlaczego nie skorzystał z aparatu w swoim pokoju. Może oszczędza? Opłaty w hotelu są niebotyczne.

Hunter wahał się tylko przez króciutką chwilę. Ktoś mniej wyczulony mógłby w ogóle tego nie dostrzec, lecz Jenny potrafiła wychwycić najdrobniejsze sygnały, choć tym właśnie starała się nie przejmować. Wiedziała, dlaczego tak się zachowuje. Przecież powiedział jej otwarcie, że nie chce się z nikim wiązać.

Co nie znaczy, że to nie boli.

Ruszyli w stronę hotelu. W sali restauracyjnej przygrywał zespół *mariachi*, co utrudniało rozmowę, choć akurat w tym momencie było to Jenny na rękę. Nie umiała wymyślić nic mądrego.

- Danie dnia to świeży tuńczyk, smażony, w delikatnej skorupce, z sosem z mango i pomarańczy - poinformował kelner.

Jenny się skrzywiła.

- Widziałam takiego dzisiaj, osobiście i z bliska.

- Są ogromne, co? - wtrącił Phil.

- Złapałaś coś? - spytał Hunter. Uśmiechnęła się niewyraźnie.

- Chorobę morską. - Uśmiechnął się. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Nie myśl o nim, myślała wpatrując się w menu, jakby zawierało wszystkie tajemnice życia.

Przyleciała do Puerto Vallarta, żeby próbować tutejszych dań, ale żołądek wciąż jakoś nie stawał na wysokości zadania.

- Proszę wodę sodową - powiedziała.

- I czarną kawę - dodał Hunter. Phil popatrzył na nich, jakby stracili rozum.

- Już jadłem - wyjaśnił Hunter - ale karmią tu fantastycznie.

- Dajcie tego tuńczyka - postanowił Phil.

Cmoknął głośno, kiedy przyniesiono rybę i z zachwytem się do niej zabrał. Jenny popijała wodę i kątem oka obserwowała Huntera. Wyjął papierosa z nowej paczki, postukał nim o stolik i obracał w palcach.

- Dawno rzuciłem palenie - odpowiedział na jej nieme pytanie. - Ale czasem mam ochotę zapalić.

- Bez specjalnego powodu?

- Zawsze jest powód. - Patrzył gdzieś w bok.

- Rany, ale to dobre - wymamrotał Phil z pełnymi ustami. Z lubością zlizął z kącików warg odrobinę sosu. - Jenny, skarbie, jeżeli będziesz podawała coś takiego, goście będą walić drzwiami i oknami.

- Powiem Glorii. - Myślami wybiegła w przyszłość, do restauracji w Santa Fe i do wszystkich spraw, które czekały na załatwienie. A potem pomyślała o Rawleyu. I o włamaniu.

Westchnęła, czując, że Hunter ją obserwuje.

- Coś nie w porządku? - spytał. Wahała się tylko przez chwilę.

- Dostałam nieprzyjemną wiadomość tuż przed naszym wyjazdem z willi.

- Co się stało?

- Ktoś włamał się do mojego mieszkania.

Hunter wpatrywał się w nią. Upuścił niezapalonego papierosa na stół.

- Kiedy?

- Sądzę, że parę dni temu. - Jenny zrelacjonowała rozmowę z Janice. - Pamiętasz, jak opowiadałam ci o Bennym? O tym psie sąsiadów? Sypia często pod moimi drzwiami, a ostatnio ma obolałe zębra. Ktoś, kto się włamał, pewnie kopnął go albo uderzył.

- Z psem wszystko w porządku? - głos Huntera był jak stal.

- Chyba tak.

- Jakieś banalne włamanie? - spytał Phil przy ostatnim kęsie. Z uśmiechem zadowolenia odsunął talerz i rozparł się na krześle.

- Może i tak - powiedziała wolno.

- Ale wcale tak nie uważasz. - Spojrzenie Huntera sprawiało, że bardzo ostrożnie dobierała słowa.

- Po prostu obawiam się, że to mógł być Troy.

- Troy! - powtórzył Phil.

- Wrócił właśnie do Houston i naprawdę nie wiem, o co mu chodzi. Kontaktował się z moim ojcem. - Zawahała się, rzucając okiem na Huntera. - Mój eks nie jest zbyt miłym człowiekiem.

- Czy coś zginęło? - chciał wiedzieć Hunter.

- Jeszcze nie mam pewności. Zorientuję się po powrocie.

- To niedobra wiadomość - wyjaśnił Phil Hunterowi. - Nie wiem za dużo o twoim małżeństwie - zwrócił się do Jenny - mówiła mi Magda po waszych rozmowach, ale wiem, że kryje się za tym dużo więcej. Jeśli ten sukinsyn usiłuje z powrotem wkroczyć w twoje życie, musisz uważać. Może się okazać, że będziesz potrzebowała ochrony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, kochanie.

Jenny spojrzała na niego. Nie była w stanie podnieść oczu na Huntera.

- Po powrocie do Santa Fe zrobisz, co mogę - dodał Phil - ale tu potrzebny jest profesjonalista.

- Magda i Phil mieszkają w Santa Fe - wyjaśniła Jenny Hunterowi.

- Namówiliśmy ją, żeby do nas przyjechała. Otwiera restaurację. Mówiła panu o tym? - Hunter skinął głową. - Jedzenie U Riccarda jest pyszne, ale Jenny się tam marnowała, chyba że Alberto zaproponowałby jej spółkę.

- Dojrzałam do wyjazdu z Houston. Już dawno.

- Na jakim etapie jest restauracja? - spytał Phil.

- Prawie skończona. Wyremontowałyśmy stary budynek. Bogu dzięki za Glorię, która jest wprawdzie moim szefem kuchni, ale chwilowo pełni rolę kierownika budowy. Doprowadza robotników do białej gorączki, ale ona właśnie taka jest. Wie czego chce.

- Nie pamiętam, skąd pan jest? - spytał Phil Huntera.

- Z Los Angeles.

- Powinien pan zobaczyć Santa Fe.

Hunter nie odpowiedział.

Ponieważ rozmowa zaczynała kuleć, Jenny postanowiła się wtrącić.

- Kiedy przyjechałam do Santa Fe odwiedzić Magdę i Phila, stało się coś niesamowitego. Miłość od pierwszego wejrzenia.

Czuła, że Hunter na nią patrzy i nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Bolała ją jego odmowa, nawet jeśli miał dobre intencje. Nie podzielała jego obaw co do roli jej ochroniarza, a może i kochanka. Z przyjemnością powitałaby jedną i drugą.

- A więc mieszka pan w LA.? - spytał Phil.

- Pracowałem w L.A., ale... - urwał, a potem dodał: - Próbuję podjąć decyzję, co robić teraz.

- Pracował pan przecież w branży ochroniarskiej, prawda? No, Jenny, masz odpowiedź. To jest człowiek, którego szukasz!

Phil był tak zachwycony swoim pomysłem, że Jenny nie wiedziała, co powiedzieć. Czują, że Hunter prostuje się sztywno na krześle.

- Szczerze mówiąc, już o tym rozmawialiśmy - stwierdziła spokojnie. - Wczoraj zaproponowałam mu posadę ochroniarza, ale okazało się to niemożliwe.

- Dobra, dobra. - Phil odsunął się od stołu. - Pogadajcie o tym. Na wszelki wypadek, Jenny, przygotuj się na najgorsze. Wszyscy razem spotkamy się w Santa Fe, a Troy Russell będzie już tylko cieniem z przeszłości.

- Oby.

Hunter był coraz bardziej zirytowany. Nie mógł zatrudnić się u Jenny jako ochroniarz, skoro już nim był. A jednak...

- Może mógłbym przyjechać do Houston - powiedział ponuro. Idiota. Przecież nie chodzi o to, żeby ją chronić. Chce po prostu być blisko niej.

W niebieskich oczach Jenny pojawił się błysk.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?

Hunter wiedział, że igra z ogniem. Nie może trzymać dwóch srok za ogon. Patrzyli na siebie z Jenny przez długą, długą chwilę.

- Na mnie chyba pora - stwierdził Phil. - Wiecie co? Kierujcie się intuicją. To najlepszy doradca. Cała reszta to bzdury, powiem wam - wymamrotał. Odsunął krzesło. - Rozumiem, że odwiezie pan naszą uroczą Genewę do domu - dodał.

Hunter skinął głową.

Phil pomachał im na pożegnanie i odszedł, pogwizdując. Zanim zniknął, udało mu się podchwycić wzrok Jenny. Pokiwał głową jak stary mędrzec, który widzi, że jego najgłupszy uczeń podjął wreszcie właściwą decyzję.

- Nie chcę cię do niczego zmuszać... - zaczęła Jenny. - Phil tylko stara się mi pomóc.

- Masz świetnych przyjaciół - popatrzył na nią uważnie.

- Rzecz w tym... chodzi o to... - Odetchnęła głęboko. - Troy jest zdolny do prawdziwego okrucieństwa, więc jeśli nie masz jakichś ważnych bieżących spraw, byłoby cudownie, gdybyś mógł... przyjąć tę pracę.

Słowa uderzały w niego jak kamienie. Myślał o swojej czarującej siostrze i ledwie mógł znieść błagalny wzrok Jenny.

- Nie mogę być twoim ochroniarzem i... facetem jednocześnie. - Zmusił się, by dodać: - Więc wybieraj.

Przełknęła ślinę.

- Dość ostro odmówiłeś mi tamtego wieczoru. Jeszcze się po tym nie pozbierałam.

- Przez cały tydzień usiłuję zachować się właściwie.

- Nie mam nic przeciwko... przygodzie. - Uśmiechnęła się lekko. - Ale potrzebuję ochroniarza.

Wzrok Huntera powędrował niżej, na różową bluzkę, pod którą miękko zarysowywała się linia piersi.

- W porządku.

- Co w porządku?

- Chcę, żebyś była bezpieczna.

- A dlaczego nie możesz być moim ochroniarzem i facetem jednocześnie?

Pokręcił głową i zapatrzył się w przestrzeń. Zamyślił się. Chronić kogoś nie jest trudno. Chronić kogoś, na kim ci zależy, to koszmar. Ale już za późno, podpowiadał mu rozum. Już ci na niej zależy.

Jenny ze zdumieniem zauważyła, że Hunter kurczowo ściska krawędź stołu. Czowała wolne uderzenia serca. I ból.

- Nie odpowiesz mi?

- Nie mogę, bo to oznacza chaos.

Znów musiała przełknąć ślinę. Rzuciła mu nieśmiałe spojrzenie.

- Potrafię zapanować nad chaosem. Za długo wszystko było w moim życiu uporządkowane.

To idiotyczne, pomyślała, czując, jak łzy napływają jej do oczu i zaśmiała się, żeby ukryć wzruszenie.

- Ja swoje błędy popełniłam już dawno. I to duże. - Nabrała powietrza. - Myślę, że teraz mogę zaryzykować. Może tym razem się uda...

Hunter był na siebie wściekły. Popatrzył w jej oczy, zatonął w tym pełnym uczucia błękiocie. Przeklinał samego siebie, że dopuścił do tego, co się stało, że właściwie sam jest temu wszystkiemu winien.

Pomyślał o Allenie Hollowayu. Co ten facet robi, kiedy się dowie, że człowiek, który dla niego pracuje, uwodzi mu córkę? Nie! Że to córka sama zaproponowała mu romans? Zawał jak w banku.

- Uśmiechasz się. Aż się boję spytać, dlaczego - odezwała się Jenny.

- Chyba jestem nienormalny - zaśmiał się cicho.

- Czy to znaczy: tak? - spytała ostrożnie.

- Chodź. Wyjdźmy stąd. - Hunter stłumił kolejną falę niezdrowego rozbawienia. Uregulował rachunek, zignorował protesty Jenny, która już wyciągała pieniądze, wziął ją pod rękę i wyprowadził z restauracji. Wyszli przed hotel. Zanim doszli do rogu, lunął deszcz. Woda waliła tak mocno, że Jenny osłupiała i tylko wyciągnęła przed siebie otwarte dłonie, jakby pytając, jak to się mogło stać.

Żywioł. Nagły powiew chłodu. Mokra skóra i przemoknięte ubrania. Hunter odruchowo przyciągnął ją do siebie i objął. Natychmiast wtuliła się w jego ramiona.

Jego usta odnalazły jej wargi. Były miękkie i ciepłe. Uśmiechała się.

- Przestań się śmiać - powiedział cierpko.

- Nie.

Znów ją pocałował. Poczuł, jak obejmuje go ręką za szyję i nachyla jego twarz ku sobie. Wsunął język w jej usta. Coś pękło. Do diabła ze wszystkim. Chce się kochać z Genevą Holloway Russell. I to w tej chwili.

Jenny nie panowała nad sobą. To nie tak. Nie jest dziewczyną na krótką przygodę. Na jedną noc. Na miły, szybki seks bez znaczenia, po którym będzie się okropnie czuła. To on ma rację. Powinien być jej ochroniarzem, nie kochankiem. Potrzebny jest jej ochroniarz, a nie facet do łóżka.

Dlaczego więc obejmuje go mocno na myśl, że będzie chciał odejść? Czemu wtula się w niego przemoczona deszczem, jakby miała umrzeć, jeśli nie będzie go czuła tuż przy sobie?

- Nie wiem, co robię - szepnęła bez tchu.

- Ja też. Chodźmy - wymruczał. - Chodźmy gdziekolwiek, zanim oszaleję.

Jenny sienie opierała. Oszołomiło ją podniecenie. Nigdy tak nie reagowała... i czuła się wspaniale. Pobiegli do hotelu; stanęli, ociekając wodą w łukowatym wejściu do recepcji. Patrzyli na siebie przez chwilę. Usta Jenny drgnęły w uśmiechu i natychmiast zamarły. Hunter

nie zareagował. W jego twarzy było napięcie, niemal surowość. Przez chwilę myślała, że znów usłyszy „nie”, ale mruknął coś i przyciągnął ją do siebie, przywarła do jego mocnego, muskułarnego ciała; z trudem się rozdzielili i trzymając się za ręce, poszli do windy.

Jenny przelykała ślinę i liczyła uderzenia serca. Popatrzyła na łóżko, wyobraziła sobie, że leży na tej gładkiej narzucie, naga, czuje na sobie ciało Huntera, dotyka jego ciepłej skóry i mocnych ramion.

Spojrzał jej w oczy.

- Na co masz ochotę?

Otworzyła usta. W głowie miała zamęt.

Podszedł do niej, wsunął dłoń w jej włosy, przebierał palcami po jedwabistych lokach. Zbliżył usta do jej warg.

- Na wszystko - szeptała bez sił. - Na wszystko.

Słowa nie były już potrzebne. Dłonie Huntera odszukały zapięcie jej bluzki, Jenny rozpięła jego koszulę. Ubrania błyskawicznie ześliznęły się w dół i ułożyły wokół stóp. Jenny, naga, nie mogła powstrzymać się przed zasłonięciem piersi, ale Hunter odsunął jej ręce, przytulił się do niej; poczuła na karku dotknięcie rozpalonych warg. Zadrżała. Nie mogła ustać na nogach. Przywarł do niej, twardy i mocny.

Tak dawno nie całowała się z mężczyzną. Nie dotykała go, nie pragnęła. Chciała teraz poznać każdy centymetr jego ciała, ale paraliżował ją strach. Pomógł jej, przesunął jej rękę w dół, wszedł językiem między wargi.

Jęknęła.

Usta Huntera wędrowały coraz niżej, dotykał jej piersi, przesunął językiem po sutkach, chwycił delikatnie zębami jeden z nich. Jenny słabła z rozkoszy; kiedy podniósł głowę, żeby ją pocałować, musiał ją podtrzymać ramieniem. Wziął ją na ręce i ułożył na łóżku. Szarpała narzutę, kiedy jego głowa osuwała się coraz niżej. Krzyczała z rozkoszy, czuła, jak całe jej ciało zalewa fala pożądania.

Gotowa była drapać, byle tylko poczuć go w sobie. Przyciągnęła go, wtulała się coraz mocniej.

Szybciej, szybciej, szybciej, powtarzała w myślach.

- Genevo... - usłyszała głęboki pomruk. I czuła w sobie narastającą twardość.

Krzyknęła. Jej ciało reagowało na każdy ruch, otwierało się jak pustynia spragniona deszczu. Wbiła palce w jego biodra, jakby chciała wciągnąć go jeszcze głębiej. Hunter jęczał, próbując przedłużyć tę chwilę, ale Jenny na to nie pozwoliła. Oplotła go nogami, poczuła mocne pchnięcie.

- Nie mogę czekać.

- To dobrze.

- Chcę...

- Chcę ciebie. Chcę... - Wstrząsnął nią dreszcz. Krzyczała z rozkoszy. Fale orgazmu przenikały jej ciało jedna po drugiej. Sekundę później poczuła jego pulsowanie. Nie wiedziała, że może być tak szczęśliwa.

Leżała z zamkniętymi oczami. Bała się je otworzyć. Hunter w końcu poruszył się, ale został w niej, podniósł tylko głowę i patrzył na nią pociemniałymi oczami.

- Myślę, że już wiadomo, czy zostanę twoim ochroniarzem - mruknął zmysłowo.

Poczuła, że znów w niej twardnieje.

Chciał się z nią kochać. Bez końca.

Rozdział 8

– Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. – Jenny otworzyła oczy. W pokoju panował półmrok. Przez szpary w żaluzjach sączyło się światło. Ujrzała prześcieradło okrywające ich ciała.

- Och, nie, teraz zaczną się wyznania - zakpiła, przytulając się do Huntera jeszcze mocniej, upojona jego ciepłym dotykiem, siłą mięśni, gładkością ciała. Nigdy nie tuliła się do Troya. Nigdy.

Wędrował palcami po jej ręce.

- Nie pracowałem w ochronie. Byłem w policji w Los Angeles. – Jenny szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Naprawdę? - Skinął głową. - Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

- Ponieważ zostałem zwolniony za nieprofesjonalne zachowanie.

- Ty? - zapytała z niedowierzaniem.

- Wiedziałem, że popełniono morderstwo, ale nigdy nie zdołałem tego udowodnić. A więc „dopuszcili się prześladowania” faceta. Tak w każdym razie oświadczył w sądzie.

Jenny milczała. Nagle zdała sobie sprawę, jak mało wie o Hunterze.

- Przeniosłem się wtedy do mniejszego ośrodka. Na sześć lat. To było w Santa Fe.

Jenny nie mogła uwierzyć własnym uszom. Odsunęła rękę.

- Mieszkałeś w Santa Fe?

- Nadal mieszkam.

- Co takiego?

- Nie lubię opowiadać o sobie. Nie chciałem mówić, co się stało w Los Angeles. Wybierasz się do Santa Fe, a ja nie mogłem ci powiedzieć, że tam mieszkam.

- Dlaczego?

Hunter usiłował wyjaśnić, ale żadnego racjonalnego wyjaśnienia nie znalazł. Jenny była tak spięta, że jeśli tylko wspomniałby o związkach z Troyem i z jej ojcem, o śmierci Michelle, odeszłyby na pewno.

- Wyglądało to na nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Mogłabyś pomyśleć, że coś się za tym kryje. Bałem się tego.

Czy coś się za tym kryje? Poczula przejmujący chłód.

- Żałuję, że nie powiedziałaś mi wcześniej.

- Przed... tym? - Przesunął pieszczotliwie palcem po jej policzku. Przełknęła ślinę.

- Tak.

- Dlatego właśnie mówię to teraz.

- Nie lubię tajemnic. - Nie odpowiadał, to ją przestraszyło. - Hunter...?

- Myślę, że potrzebujesz ochroniarza. Twój były mąż jest człowiekiem niebezpiecznym, a nie chcę, żeby coś ci się stało.

Roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było radości.

- To znaczy, że teraz możesz pełnić obie role?

- Będę musiał - powiedział poważnie. - Za daleko zabrnąłem.

Nie protestowała, kiedy znów ją przygarnął i powoli całował kark. Rozpalili w niej ogień, który przenikał całe ciało. W jej głowie wirowały pytania, ale zacisnęła mocno oczy, żeby na razie o nich nie myśleć. Pragnęła tej nocy i za nic nie pozwoli, by cokolwiek ją zepsuło.

Poddała się cudownej chwili.

*

Bar był urządzony w stylu country&western. W tle pobrzękiwała muzyka country, wszyscy nosili długie buty i błękitne dzinsy. Nawet kobiety, choć ich ciasno opięte spodniami tyłki prowokowały mężczyzn do poklepywania i podszczypywania. Troy ledwie mógł utrzymać ręce przy sobie. Żeby o tym nie myśleć, wykorzystał chwilę, gdy zespół muzyczny zrobił sobie przerwę, chwycił pałeczki perkusisty i czekając na piwo, wystukiwał szybki rytm na blacie baru.

Piwo. Tanie picie w tandetnym barze. W ogóle nie powinien tu przychodzić. Miał swoje plany, ale, do kurwy nędzy, był w szoku.

Dzieciak Jenny nie jest żadnym bękartem. To jego syn.

Jego syn!

Dostał piwo. Cisnął pieniądze w stronę barmana, jeszcze raz złapał pałeczki i walił coraz szybciej i coraz mocniej.

- Hej! - wrzasnął ktoś z wściekłością.

Pojawił się brodaty, potężny perkusista we flanelowej koszuli i z tępą głową. Dumie. Wszystko to dumie. Facet wyrwał mu pałeczki z rąk. Troy znieruchomiał. Miał ochotę kopnąć go w jaja, ale wiedział, że może porządnie oberwać. Nie był tu swój, w tych wyprasowanych spodniach i białej koszuli z podwiniętymi rękawami.

- Cześć, maleńka - szepnął mu w ucho perkusista. - Źle trafiłeś. Tacy chłopcy jak ty tu nie przychodzą.

Myślą, że jestem gejem? Troy omal nie parsknął śmiechem. Napotkał wzrok słodkiej blondyneczki w super obcisłych dzinsach i mocno wydekoltowanej jaskrawoczerwonej bluzce, z biustem na wierzchu. Przyglądała się z niepokojem, najwyraźniej wystraszona, że ten prostak zrobi mu krzywdę.

- Przepraszam - powiedział Troy. - Jestem trochę zdenerwowany i muszę się wyładować.

- Zjeżdżaj stąd. I to już!

Troy poczerwieniał. Zsunął się z barowego stołka i przez moment się zawahał. Zobaczył groźne miny reszty tak zwanego zespołu.

Wyszedł z baru, w chłodną marcową noc. Houston. Splunął. Miał ochotę porządnie przyłożyć tym pieprzonym dupkom.

Drzwi za nim się otworzyły, obejrzał się szybko. Blondyneczka.

- Hej! - odezwała się. - Już myślałam, że ci powyrywają rączki i nóżki.

- Ja też. Na dodatek zostawiłem piwo. Szkoda. - Uśmiechnęła się z ulgą.

- Chyba mam dość tego miejsca. Pójdziemy gdzie indziej?

- A co masz na myśli?

- Możemy zacząć od Duffy'ego, a potem zobaczymy...

Chciał jej dotykać. Dojrzałych piersi i zgrabnych pośladków. Chciał wejść w nią. Najmocniej jak potrafi. Już niemal słyszał, jak dyszy i krzyczy.

Była trochę podobna do Jenny.

Uśmiechnął się.

- Prowadź.

*

Jenny obudziła się nagle zlana potem. Serce biło jej mocno. Hunter spał obok.

Zbliżał się świt. Kilka chwil leżała w ciszy, czekając, aż uspokoi się jej serce. Przez moment nie mogła sobie przypomnieć, co ją tak zdenerwowało, ale szybko wróciła myślami do rewelacji Huntera.

Dlaczego skłamał?

Nie mogła już zasnąć. Myślała o splądrowanym mieszkaniu. Czy to Troy? Czy włamał się, żeby ją zastraszyć? Możliwe. Uwielbiał być okrutny.

Rawley, przemknęło jej przez głowę. Musi się upewnić, czy nic mu się nie stało.

Co ja tu właściwie robię?

Ostrożnie wysunęła się z łóżka, po omacku zebrała ubranie. Zachowuję się jak złodziej, pomyślała. Bluzka i szorty były jeszcze wilgotne od deszczu. Dygocząc z chłodu i przejęcia, naciągnęła bieliznę, szorty i drżącymi palcami zapinała bluzkę.

Rzuciła okiem na Huntera. Leżał oparty na łokciu i obserwował ją.

- Muszę iść - powiedziała w pośpiechu.

- Zawiozę cię.

- Mogę wziąć taksówkę.

- Zawiozę cię - powtórzył stanowczo, wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać.

Kiedy podjeżdżali pod willę, szarzało. Hunter zjechał na pobocze, a Jenny szybko wyskoczyła z samochodu. On też wysiadł i przeszedł przed maską auta. Przemoczona koszula przyklejała mu się do ciała. Oboje byli pewnie tak samo zmarznięci.

- Muszę się dostać do środka - powiedziała.

- Dasz radę? - spytał. Zupełnie zapomniała o przygodzie Matta, choć poprzedniego wieczoru opowiedziała o tym Hunterowi. Teraz okazało się, że sprawa jest poważna.

Bezradnym ruchem przycisnęła dzwonek. Słyszała jego dźwięk wewnątrz, ale wiedziała też, że w pokojach słychać szum klimatyzacji zagłuszający odgłosy z zewnątrz.

Odwróciła się do Huntera, chciała mu powiedzieć, co czuje. Najchętniej rzuciłaby mu się w ramiona i pozwoliła, żeby zatroszczył się o wszystko, ale jednocześnie bała się wiązania z kimś, kogo prawie nie знаła. Wzdrygnęła się na wspomnienie swoich słów z poprzedniego wieczoru... o tym, że jest gotowa popełnić kolejny błąd...

Hunter miał podobny problem.

- Po tej nocy pomyślałem, że pora powiedzieć prawdę.

- Po tej nocy? - Dygotała w chłodnym powietrzu. - A co było przed nią?

- Są inne rzeczy, o których chciałbym powiedzieć - wydusił z widocznym trudem.

- Hunter, nie mogę teraz o tym rozmawiać. Przepraszam, jestem tym wszystkim przytłoczona. Rozumiesz mnie?

Popatrzył na balkon na piętrze.

- Co teraz zrobisz?

- Nie wiem! - Jenny była bliska hysterii. Ucieknę od ciebie!

- Może przywiozę cię tu później.

- Nie! Nie mogę.

Była gotowa choćby wspiąć się na balkon i stłuc witrażowe szyby. I wtedy drzwi wejściowe nagle się uchylily i stanął w nich Matt. Miał czarne, jedwabne bokserki i zapuchnięte oczy.

- O, cześć - mruknął, przesuwając dłonią po rozczochranej czuprynie. Jenny z krótkim, rzuconym przez ramię „Zadzwoń!” oznaczającym, że wcale tego nie robi, przemknęła obok Matta i pobiegła na górę do swojego pokoju.

Siedem godzin później siedziała skulona w samolocie, zziębnięta tak samo, jak rano. Lot do Houston przebiegał rutynowo, ale przeżywała go boleśnie. Nigdy w życiu nie czuła się tak nieszczęśliwa i mogła za to winić jedynie siebie. Uciekła. Wystarczyła jedna cudowna, wstrząsająca noc miłości, by czmychnęła. Wczoraj wieczorem była podekscytowana i niecierpliwa, dziś rano okazała się tchórzem. Gorący prysznic wcale jej nie rozgrzał. Wskoczyła pod wodę tylko na chwilę, a potem spakowała się najszybciej, jak mogła. Chciała uniknąć wszelkich pytań i natychmiast wracać do domu.

Nie do końca się udało. Wszyscy pytali o Huntera. Wykręciła się, mówiąc, że musi wrócić i sprawdzić, czy w mieszkaniu wszystko w porządku i czy nic nie stało się Rawleyowi, oczywiście niekoniecznie w tej kolejności. Magda i Phil jej nie odstępowali, byli dociekliwi, ale na temat Huntera Jenny nie zająknęła się ani słowem. Nie mogła. Na litość boską, a co miałyby powiedzieć! Pozwoliła sobie na chwilę szaleństwa i było to cudowne.

Ale wątle zaufanie, jakie miała do Huntera, uleciało. Nie zna go. Jest wytworem jej fantazji. To wszystko. Należało go posłuchać i pozwolić tylko, by został jej ochroniarzem. Wyobrażała sobie reakcję ojca, gdyby się dowiedział, że w Puerto Vallarta złapała pierwszego lepszego, obcego człowieka, poprosiła go, żeby ją chronił, a na koniec spędziła z nim nieprawdopodobną noc.

Najwyraźniej doświadczenia z Troyem nie nauczyły jej niczego.

A teraz Troy wie, że jest ojcem Rawleya.

Znów się wzdrygnęła i mocno otuliła swetrem. Nawet jeśli nie wie na pewno, może coś podejrzewać. Ta myśl wciąż krążyła jej po głowie. Jenny ani przez chwilę nie wierzyła, że Troy nie wie o istnieniu Rawleya.

Skoro z jakiegoś powodu znów usiłuje wtargnąć w jej życie, musiał już usłyszeć o chłopcu i wyciągnął z tego jakieś wnioski.

Odpychała te podejrzenia, budziły w niej lęk. Ale przyszła pora, by spojrzeć prawdzie w oczy. Hunter mógł być wytworem jej marzeń, a Troy jest niestety rzeczywistością. I wrócił zapewne z powodu Rawleya. Flirt z Hunterem skończył się, zanim na dobre się zaczął. Tak musiało się stać. Prowadzenie się z seksownym, tajemniczym mężczyzną jest zupełnie nieodpowiedzialne, jeśli ma się do wyboru albo jego, albo bezpieczeństwo jedyne dziecko.

Zarezerwowała bilet na najbliższy lot, do diabła z wyższą ceną. Musi jak najszybciej znaleźć się w domu. Nie może w kółko rozpamiętywać tego, co się stało albo co pomyśli Hunter, kiedy się dowie, że uciekła nie tylko z jego łóżka, ale z Puerto Vallarta i w ogóle z jego życia...

Puszczala mimo uszu protesty Magdy, Phila i Matta. Gdzieś w głębi duszy trochę się bała, a trochę miała nadzieję, że Hunter wróci jako jej wybawiciel, nie pojawił się jednak. Cóż za romantyczne mrzonki! Pewnie jest zadowolony, że tak szybko się zmyła. Żaden facet nie lubi, kiedy przygodna panienska za długo się koło niego kręci.

Jenny patrzyła na bezkresne, błękitne niebo. Buczenie silników stawało się męczące. Całe szczęście, że wyjechała, zanim zdążyła się mocniej zaangażować. Tak przynajmniej sobie tłumaczyła.

Róbowowała czytać kolorowy magazyn, rozwiązywać krzyżówkę, ale na niczym nie mogła się skoncentrować i do końca podróży wpatrywała się w okno. Postanowiła natychmiast, jeszcze z lotniska, zadzwonić do Janice. Rawley miał wrócić następnego dnia, ale Jenny nie chciała czekać. Zabierze go jeszcze dziś wieczorem, albo przynajmniej pojedzie, żeby go zobaczyć.

Koła samolotu dotknęły pasa i w kilka chwil później kołował na swoje miejsce. Jenny stała niecierpliwie w kolejce do wyjścia, ale kiedy już wysiadła i czekała na odbiór bagażu, ogarnęło ją znużenie. Gdzieś w głębi tkwiło czułe wspomnienie, pamięć o nocy, która jeszcze w tej chwili zapierała jej dech.

Przez chwilę wydawało jej się, że ktoś ją obserwuje. Rozejrzała się, rozdygotana. Kilka osób spojrzało w jej stronę z ciekawością, reszta czekała na walizki. Jenny odwracała się już, czując się trochę nieswojo, gdy kątem oka zauważyła znajomy profil. Troy!

Patrzyła przerażona, jak mężczyzna uśmiechnął się do nadbiegającej ku niemu dziewczynki. Nie. To nie Troy. Ktoś całkiem obcy.

Wziął małą na ręce i uściskał młodą mamę. Uśmiechali się do siebie promiennie.

Troy nigdy się nie uśmiechał. Jeśli nie liczyć lodowatego grymasu kogoś, kto właśnie po-

konał przeciwnika. Przez całe lata widywała ten uśmiech w sennych koszmarach.

Wyciągnęła rękę, wzięła z taśmy walizkę na kółkach, postawiła ją i wysunęła rączkę.

- Przepraszam. - Jenny wzdygnęła się. Spojrzała na surową twarz mężczyzny stojącego obok. - Proszę się nie bać - powiedział, przeciskając się koło niej. - Chciałem tylko złapać moją torbę, zanim pojedzie dalej.

- Och, proszę wybaczyć. - Chwyciła rączkę walizki i pociągnęła ją za sobą. Na zewnątrz było duszno. Houston. Mieszkała tu niemal od urodzenia, ale teraz nie mogła doczekać się wyjazdu do Santa Fe i tamtejszego rześkiego, pustynnego powietrza.

Co się z nią dzieje? Boi się własnego cienia.

Wsiadła do taksówki. Dojeżdżając do domu, patrzyła na znajome miejsca: nakaz zatrzymania z uśmiechniętą buźką na środku, reklamy zachwalające antykwariat Michelangelo i okulary przeciwsłoneczne Magoo, nierówną jezdnię tuż przed wjazdem do bloku.

Taksówka zatrzymała się, a Jenny poczuła ucisk w sercu. Próbowała zdefiniować swoje uczucia; wiedziała, że boi się tego, co zastanie w splądrowanym mieszkaniu. Czowała także lęk o Rawleya. I o samą siebie.

- Dziękuję. - Zapłaciła, dodając spory napiwek. Pociągnęła za sobą walizkę przez bramę na dziedziniec, do biegnącej na zewnątrz klatki schodowej. Wtaszczyła bagaż na górny podest.

Na świeżo pomalowanych, niebieskich drzwiach lśniła nowa klamka. Wiedziała przecież, że wszystko zostało wymienione, ale aż do tej chwili jakoś to do niej nie docierało. Została bagaż i poszła odebrać nowy klucz. Nawet jeśli ktoś miałby w tym czasie ukraść jej ubrania, nie będzie taszczyła walizy po schodach, choćby tylko w dół.

Diego, dozorca, na szczęście był w domu. Kręcił głową i mamrotał coś o tym, jakie to okropne, że ktoś włamał się do jej mieszkania i Jenny zgodziła się z jego zdaniem. Klucz już czekał.

- Czy mam wejść z panią? - spytał Diego. - Byłem tam, kiedy przyjechała policja. Żadnych szkód nie stwierdziłem.

- W porządku. Dziękuję za wszystko. I przepraszam za kłopoty.

- Nie ma o czym mówić. - Pomachał jej na pożegnanie. - Proszę powiedzieć, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

- Dzięki, Diego.

Wsunęła klucz do dziurki i lekko go przekręciła. Zamek szczyknął. Jenny pchnęła drzwi i wstrzymując oddech, zapaliła światło.

Niepewnie przekroczyła próg, zatrzasnęła drzwi i nagle poczuła się bezgranicznie samotna. Pod nieobecność Rawleya mieszkanie wydawało się opuszczone... i zdecydowanie za ciche. Przeciągnęła walizkę przez hol i rzuciła okiem na drzwi do pokoju syna. Otworzyła.

Uśmiechnęła się. Bałagan jak zawsze. Poczuła się nieco lepiej. Przejrzała każdy skrawek mieszkania, kończąc na własnej sypialni. Zrzuciła ubranie i po raz drugi tego dnia weszła pod prysznic. Z przyjemnością stała pod strumieniem gorącej wody. Nie chciała o niczym myśleć. Ani o Rawleyu, ani o Troyu, ani o Hunterze.

Kwadrans później nalewała sobie filiżankę świeżo zaparzonej kawy i przerzucała pocztę, którą Janice składała na blacie. Spojrzała w stronę telefonu, obok którego stała potrójna ramka ze zdjęciami Rawleya. Na pierwszym widniał niemowlak, na drugim uczeń podstawówki w stroju piłkarskim, a na ostatnim w obiektyw aparatu twardo i surowo patrzył przestępca z policyjnej kartoteki.

Jenny poczuła na plecach dreszcz. Rozejrzała się, jakby miała wrażenie, że wszedł tu ktoś niepowołany. Szybkim ruchem podniosła słuchawkę. Janice odebrała po pierwszym

dzwonku.

- Jadę dzisiaj na obóz - poinformowała ją Jenny bez wstępów. - Muszę zabrać Rawleya.

- Wróciłaś? - Janice była zaniepokojona.

- Boję się. Nic na to nie poradzę.

- Dobrze, ale nie pędź tak od razu. Zadzwoń najpierw... Och, Jenny, szkoda, że ci o wszystkim powiedziałam.

- Nie, nie. Nie przejmuj się tym - uspokajała przyjaciółkę. - Naprawdę. I tak chciałam już wrócić. Dobrze, że zadzwoniłaś.

- Och, będę miała kłopoty - mruknęła. - Mam tu gdzieś numer telefonu do nich. Zaczekaj chwilę...

- Pewnie też gdzieś mam.

- Nie, nie, to inny. Bezpośredni. Momencik. - Jenny czekała, aż Janice odłoży słuchawkę i znajdzie numer. Trwało to w nieskończoność. W końcu się udało. - Obóz kończy się jutro. U chłopców wszystko w porządku - dodała Janice.

- Wiem. Dzięki. - Jenny rozłączyła się i natychmiast wystukała podany numer. Musiała przebrnąć jeszcze przez rozmowy z kilkoma osobami, które niczego nie wiedziały, aż wreszcie trafiła na właściwego człowieka. Wprawdzie usiłował spławić ją obietnicą, że Rawley do niej zadzwoni, ale Jenny uparła się i w końcu ktoś poszedł go poszukać.

- Mama? - zaczął Rawley ostrożnie. - Coś się stało?

- Nie. Słuchaj... - Poczua ulgę. Tyle miała mu do powiedzenia, ale teraz nic nie przychodziło jej do głowy. - Wróciłam wcześniej i chcę z tobą porozmawiać.

- No dobra, ale tracę mecz - uprzedził.

- To wracaj na boisko. Przyjadę jutro.

- Aha... dobra - mruknął, jakby miał na głowie inne sprawy.

Jenny odłożyła słuchawkę. Była wyczerpana, musiała usiąść. Opadła na kanapę i oparła głowę na dłoniach. Serce jej waliło, jakby właśnie ukończyła maraton. Rozkosze macierzyństwa. Człowiek robi się przewrażliwiony, a dzieci kompletnie nie zdają sobie z tego sprawy!

Zadzwonił telefon. Jenny aż podskoczyła.

- Halo? - Na myśl o tym, że to Hunter, w jej głosie zabrzmiała radość. Co za głupota! Wiedziała, że to niemożliwe.

Cisza. Nasłuchiwała. Wydawało się, że ktoś się połączył, ale nie słyhać było nawet oddechu. Troy. To imię cisnęło się jej na usta, ale milczała. Znow ogarnęło ją upiorne uczucie, jak na lotnisku. Powoli odłożyła słuchawkę i patrzyła na nią, aż oczy zapiekły ją od łez.

Boże, niech Hunter zadzwoni.

Ale wiedziała, że nie ma na co czekać.

*

Samolot uderzył mocno o pas i skoczył do przodu, jakby miał wystartować w kosmos. Niezbyt miękkie lądowanie, pomyślał Hunter. Kobieta siedząca obok niego chwyciła się kurczowo za gardło i wydała stłumiony okrzyk. Hunter trzymał się mocno poręczy fotela i próbował nie myśleć o tym, że Jenny od niego uciekła.

Mogłoby to być nawet zabawne, gdyby go tak nie rozwścieczyło. Podwinąłby ogon pod siebie i zniknął, zapominając o całej sprawie. Zwykle nie przejmował się za bardzo takimi rzeczami. Zwykle też trzymał się z dala od kobiet, z którymi nie mógł się dogadać. W tym wypadku jednak miał problem.

W jego ciągle zmieniających się układach z Jenny Holloway nic nie było normalne. Teraz musiał gonić za nią i przetykać afronty jak idiotycznie zakochany szczeniak, który nie

może zostawić jej w spokoju. Dlaczego? Bo obiecał Allenowi Hollowayowi, że będzie ją chronił!

Uderzył pięścią w poręcz, na co jego sąsiadka znów zapiszczała ze strachu.

- Kiepski lot - mruknął, ale kobieta tylko patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Należała do najgorszego gatunku panikujących pasażerów, a ponure myśli i posepny nastrój Huntera nie poprawiały sytuacji.

Zastanawiał się, czy ruszyłaby powieką, gdyby kilka razy pomachał jej dłonią przed nosem. Wyglądała jak zahipnotyzowana. Tylko ciche miauknięcia wyrażające przerażenie świadczyły o tym, że żyje.

Z przyjemnością wysiadł w końcu z samolotu i przepychał się, lawirując w tłumie, do wyjścia. Owionęło go wilgotne powietrze. Odetchnął głęboko, ale miał wrażenie, że się dusi, poza tym był rozdrażniony, jakby czuł każdy nerw. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze tak niedawno, dręczony depresją i znudzeniem, zastanawiał się, czy życie w ogóle ma jakiś sens. Ha! Te lata minęły. Przez chwilę poczuł ukłucie tęsknoty. Odrętwienie było lepsze od bolesnych doświadczeń.

- O, do diabła - mruknął. Wcale nie. To, co przeżywał teraz, graniczyło z torturą. Ale i tak nie rozumiał, dlaczego, na Boga, było to takie ważne.

Złamał podstawową zasadę: związał się z kimś spoza własnej klasy społecznej. Z bogatą kobietą.

A teraz musi ją znaleźć, wymyślić jakieś kiepskie wytłumaczenie, dlaczego tu przyjechał, a potem chronić ją przed niebezpiecznym eksmał-żonkiem.

Zacisnął pięści. Otrząsnął się. Pora zdecydować, czy najpierw szukać Jenny, czy sprawdzić, co się dzieje z Rawleyem. Jenny to prawdziwy problem. Rawley w porównaniu z nią to kaszka z mleczkiem.

- Niech to wszyscy diabli - syczał, idąc do swojego dzipa.

Od Puerto Vallarta dzieliło go zaledwie kilka godzin, ale wydawało się, że minęły wieki.

*

Seks zaostrza apetyt, pomyślał Troy z satysfakcją. Wbił zęby w żeberka. Ze środka wypłynął czerwony sok. Czerwony. Jak bluzka blondyneczki.

Miała na imię Dana i zaprosiła go do swojego domku na jednym z tańszych przedmieść Houston. Pocziwa Dana miała spore doświadczenie i nie dziwiły jej żadne jego zachcianki. Im bardziej obrzydliwe, tym lepiej. Nawet ją to rajcowało!

Przez dobre parę godzin szaleli w najlepsze, ale kiedy zapadła sobotnia noc, Troy miał już dość. Domek przypominał chlew: zlew pełen brudnych naczyń, pognieciona pościel pachnąca seksem.

Nagle poczuł, że musi stąd uciec. Cuchnęła tanimi perfumami. Nie mógł zrozumieć, co w niej widział. Był też zdziwiony, że wcale nie jest podobna do Jenny. Miała tlenione włosy, przysadzistą figurę i kiedy uprawiali seks, szeptała mu w ucho sprośności. Poczul fizyczne obrzydzenie, kiedy grubo pociągnęła wargi szminką i przykucnęła, żeby pobudzić go ustami. Patrzył na to jakby z bardzo, bardzo daleka, a potem nagle chwycił ją za włosy, szarpnął i odrzucił na drugą stronę łóżka. Popatrzyła zaskoczona, czerwone wargi ułożyły się w wielkie O. Walnął ją tak, że spuchła jej twarz.

Potem wziął ją ostatni raz, wcisnął tę ohydnie wypacykowaną twarz w pościel i rzucił się na nią od tyłu. Miotła się i wrzeszczała, że się dusi. Wtedy seks był najlepszy. Naprawdę. A kiedy ją zostawił, siedziała ze zwieszoną głową, kaszląc i szlochając.

Mało brakowało, a zaczęłyby od nowa. Rany, jak lubi być górą. Ale wyglądała okropnie.

- Kawy? - Jego rozmyślania przerwała kelnerka. Troy żuł wołowinę, wysysał sok.

- Nie, dzięki. - Obserwował ją, kiedy odchodziła. Kobiety są wszędzie. Tylko czekają, żeby facet dał znak i je wziął.

Troya to nie interesowało. Nie dzisiaj. Chce czegoś lepszego, a tym czymś jest Jenny. Nie zdawał sobie sprawy, jak jej pożąda, dopóki znów jej nie zobaczył. Śliczne, bujne ciało i zimna dziura. A jakie pieniądze! Większe niż tej głupiej psychicznej Frederici, ponurej Patricii, zdzirowatej Val i głupkowatej, skrzywdzonej łani Michelle razem wziętych.

A na dodatek urodziła jego syna.

- Rawley - powiedział głośno, łagodnie. Może powinien był wyszeptać jego imię, kiedy zadzwonił dziś po południu do Jenny. Dźwięk jej głosu przyprawił go o dreszcz i ukłucie pożądania. Nawet jej chłód działał podniecająco. Mało brakowało, a po prostu by tam pojechał, ale zdrowy rozsądek zwyciężył.

Sprawą numer jeden był, rzecz jasna, osobisty urok. Czarujący były mąż Jenny powrócił, żeby się pokajać, bo właśnie to jej się należy. Chwycił za rękę zdumioną kelnerkę, która przechodziła obok.

- Zmieniłem zdanie. Proszę o kawę. - Uśmiechnęła się, a Troy stłumił chichot. Z kieszeni marynarki wyciągnął program rozgrywek na obozie piłkarskim w Trzech Wiatrach, znaleziony w szufladzie Rawleya. Sobota wieczór. Mecz finałowy o puchar Trzech Wiatrów.

Zostawił napiwek na stoliku i mrugnął do kelnerki przyjmującej zamówienie tuż obok. Po czym wyszedł, nie zapłaciwszy rachunku.

*

Jenny obudziło drapanie do drzwi. Zasnęła na kanapie, odezwało się niedospanie poprzedniej nocy. Nieprzytomna otworzyła drzwi, a koło jej nóg przemknął Benny i popędził do pokoju Rawleya.

- Nie ma go! - oznajmiła. - Nie wrócił jeszcze z obozu.

Pies zawrócił i położył łeb na jej kolanach. Ze wzruszeniem drapała go za uszami, a potem delikatnie dotknęła obolałych żeber. Pies zaskamlał cicho i odsunął się, ale jego oczy wciąż patrzyły z ufnością.

- Kto to był? - spytała go. - Troy?

Szczeknął. Cichutko. Ale zabrzmiało to jak odpowiedź i Jenny wstrzymała oddech, rozglądając się po pokoju.

Co on knuje? Czy chce Rawleya? Przecież nie chodzi o nią, tego jest pewna. Wiedziała jednak, że nie zazna spokoju, dopóki Troy nie pojawi się i nie przedstawi swoich żądań. Bo żądania będą. Troy zawsze czegoś chce.

Uderzyło ją, jak dużo o nim wie i jak dobrze zna jego charakter. Dlaczego w młodości nie była tak czujna? Dlaczego za wszelką cenę pragnęła pokonać ojca i dokonała tak strasznego wyboru?

Masz za to Rawleya.

- Tak - odpowiedziała sobie, przytulając policzek do jedwabistej głowy Benny'ego. - Mam Rawleya.

*

Dwaj chłopcy padli na skraju boiska, złani potem, zdyszani i zachrypnięci, ledwo panujący nad wściekłością. Jeden miał jasne włosy, drugi był brunetem o urodzie przyszłej gwiazdy filmowej.

- Cholerny Berger - krzyczał blondyn, patrząc na nieszczęsnego bramkarza, który nie był

w stanie zatrzymać piłki.

Berger zwiesił głowę. Brunet też rzucił mu pełne obrzydzenia spojrzenie. Nie przejmował się tak bardzo jak Brandon, ale wiedział, że nie należy płynąć pod prąd. Przed bramkarzem roilo się od graczy, którzy mogli walczyć z przeciwnikiem, a oni obaj z Brandonem też tam byli. Ale w końcu zawsze winny jest bramkarz.

- No to wylecieliśmy z finałów - złościł się Brandon.

Rawley leżał na trawie, rozrzucił ręce i nogi. Nie zamierzał się wściekać z powodu przegranej jak jego zakrecony kumpel Brandon Ferguson. To i tak koniec. Obóz się kończy i trzeba wyjeżdżać.

Popatrzył w górę, na światła wokół boiska, na moment oślepił go jaskrawy błysk. Nad nimi, na granatowym niebie, pojawiło się kilka dalekich gwiazd. Zacisnął pięści. Czuł niepokój i strach. Bał się wyjazdu. Niech ta chwila trwa wiecznie, a on niech na zawsze pozostanie chłopcem. Miał ochotę płakać, ale wiedział, że to mogłoby oznaczać koniec przyjaźni z Brandonem.

Zastanawiał się czasem, czy go to w ogóle obchodzi...

- Berger to dupek - wymamrotał Brandon.

Rawley nie odpowiedział. Myślał o ojcu Brandona, Ricku, i oddał się swoim ulubionym marzeniom. Wyobrażał sobie, że Rick jest jego ojcem. Przyjedzie jutro z mamą, żeby go zabrać. Nie muszą się pobierać. Może zostać tak jak jest. Rick niech sobie nadal mieszka z Janice, która też jest w porządku. Ale przyjadą tutaj razem jako jego rodzice i będzie miał ich oboje. Było to ciepłe, radosne marzenie, które przywołało uśmiech na jego usta.

- Kto to jest? - spytał Brandon.

- O kim mówisz? - Rawley nawet nie spojrzał.

- Tamten facet. Macha do nas.

- Może do Bergera. Pewnie też chce mu powiedzieć coś do słuchu -ponuro stwierdził Rawley.

Podniósł głowę i patrzył na nadchodzącego mężczyznę. Szedł pewnym, niemal dumnym krokiem. Rawley usiadł i czekał, obserwując przybysza z podejrzliwością piętnastolatka.

Mężczyzna zatrzymał się wprost przed nim. Jego sylwetka rysowała się na tle światła.

- Rawley Russell?

- Słucham? - odpowiedział chłopak nieco buntowniczo. Poczł mrowienie na plecach. Przechucie. Nie powiedział, że ma na nazwisko Hollo-way.

Tamten wyciągnął rękę i z uśmiechem uściśnął jego dłoń.

- Chciałem tylko upewnić się, że wszystko jest w porządku.

Rawley przyglądał mu się uważnie. Brandon ze zmarszczonym czołem patrzył na nich obu. Przez długą chwilę wszyscy trzej mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Brandon przełamał ciszę i ostro zapytał:

- A pan, kurna, to kto?

Rozdział 9

W końcu postanowiła pójść do Riccarda. Wyglądało na to, że jej mieszkanie jakoś przetrwało najście. Stwierdziła, że brakuje drobnych, które trzymała w kuchennej szufladzie, ale niczego poza tym. Poprawiło jej to humor, jakby włamania dokonał jakiś drobny, początkujący złodziejasek. Podejrzeń co do Troya nie należało jednak całkiem odrzucać. Jenny wracała więc myślami do krótkiej rozmowy z Rawleyem i jego głosu, powtarzając sobie w kółko, że z chłopakiem wszystko jest w porządku.

Dwa razy podnosiła słuchawkę, żeby zadzwonić do ojca. Musi dowiedzieć się, czy Troy próbował się z nim ponownie skontaktować. I dwa razy odchodziła od telefonu, nie chcąc otwierać tej puszkii Pandory. Nie.

Zaczeka. Jutro Rawley wróci do domu i za parę dni już ich tu nie będzie. Zadzwoiła do Glorii i jednym uchem wysłuchiwała długiej listy żalów upartej kucharki. A potem wyciągnęła pudła, żeby zacząć pakowanie. Nie mogła jednak się skupić, postanowiła więc pojechać do restauracji i pożegnać się z przyjaciółmi.

U Riccarda było dokładnie tak samo, jak w dniu, kiedy stąd wyszła. Krzątanina, aromaty przypraw i dań, tłum gości, a wszystko trzymane żelazną ręką Alberta. Właśnie dawał ostrą reprimendę któremuś z kucharzy, kiedy w sam środek awantury wkroczyła Jenny.

- *Bella!* - zawołał i czule wziął ją w ramiona.

- Cześć, Alberto. Widzę, że nic się nie zmieniło od mojego wyjazdu.

- Nic się nie zmieniło? Nic? - Cofnął się, żeby się jej przyjrzeć. - Nabrałaś kolorów.

- Opaliłam się - przyznała. - Godzinami wylegiwałam się na słońcu i piłam margaritę.

Cmoknął i pogroził jej palcem.

- Niegrzeczna dziewczynka. - Ale najwyraźniej cieszył się, że odpoczęła. - A co z facetami? Spotkałaś kogoś fajnego?

To ją otrzeźwiło.

- W Puerta Vallarta są sami fajni faceci. Setki facetów - powiedziała, widząc, jak wszyscy kucharze i kelnerzy zwolnili nagle tempo i przysłuchują się rozmowie.

- Och, jasne. Jasne.

- Poważnie, Alberto. Jak tam nowy księgowy? - Zamachał rękami.

- Przychodził. Wychodził. Narzekał. No to sobie poszedł.

- Alberto!

Brązowe oczy patrzyły na nią błagalnie.

- Załatw te papierki. Proszę!

- Nie mogę. Musisz kogoś znaleźć. Wyjeżdżam najszybciej, jak się da.

- Nie zostaniesz?

- Nie! - oświadczyła z uśmiechem. - Przypominam, że mam restaurację w Santa Fe. Tylko czeka na otwarcie. A sam wiesz, że nie można zostawiać firmy w obcych rękach. Gloria chce wyłącznie gotować i rwie włosy z głowy, gdy ma podjąć jakąkolwiek decyzję. - Opowiedziała o ostatnich rozmowach ze swoją szefową kuchni. - No więc jadę w końcu tygodnia - do dała z nagłą determinacją. - I ani minuty później.

- No dobrze. - Miał bardzo zasmuconą minę. - Dzwoniłem do agencji, mają mi kogoś przysłać. Dzisiaj. - Zacisnął usta. - Będzie pewnie wyglądać jak kobyła z mózdzkiem śledzia.

- Niektórzy mówią, że ryby są bystre. Zwłaszcza ci, którzy nie mogą ich złapać.

Parsknął.

- Dobra. No to idź już! - Objął ją jeszcze raz. Zawahała się przez chwilę.
- Przejrzę jeszcze rachunki z tego tygodnia, zobaczę jak to wygląda. Ale to ostatni raz. Rozjaśnił się, jakby ktoś zapalił w nim światełko.
- *Grazie*. Dzięki.

Jenny tylko pokręciła głową. Do kuchni beztrąsko wmaszerowała Carolyn i na widok przyjaciółki wydała okrzyk zachwyty.

- Jak było w Puerto Vallarta?

Jenny pomyślała o uścisku mocnych ramion Huntera.

- Nie pytaj - odpowiedziała zirytowana, czując, że się rumieni.
- Aż tak dobrze?

Jenny prychnęła, chciała skłamać, ale zrezygnowała.

- Aha.

Carolyn klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się chytrze.

- No, najwyższy czas!

W małym pokoiku Jenny starała się powstrzymać drżący uśmiech. Rozpamiętywanie krótkich chwil spędzonych z Hunterem nie było zbyt rozsądne. Nawet całkiem nierozsądne. Ale nie mogła się powstrzymać.

Może mnie znajdzie?

Tłumaczyła sobie, że musi przez to przejść i pracowała sumiennie, przygnębiona bałaganem, jaki po upływie zaledwie tygodnia zastała w papierach. Bez względu na to, kim był zatrudniony przez Alberta księgowy, nie stanął na wysokości zadania. Miejmy nadzieję, że następny okaże się lepszy.

W końcu, z książkami pod pachą, ruszyła do drzwi. Praca domowa, szepnęła bezgłośnie do Carolyn, w drodze do tylnego wyjścia.

- Czy ten facet znalazł cię w Puerto Vallarta? Może to ten, którego spotkałaś? - Carolyn żartowała, szeroko uśmiechnięta.

- Co za facet?

- Ciemne włosy, niebieskie oczy. Pytał o ciebie, ale nie wiedziałam, co mogę powiedzieć. Wspomniałam tylko, że pojechałaś tam z przyjaciółmi na urlop. - Zawahała się. - Zrobiłam coś nie tak?

- Nie... nie... nikogo takiego nie było. - Opis Carolyn mógł pasować do Huntera, ale równie dobrze odpowiadał tłumom mężczyzn, łącznie z jej byłym mężem. Ostrzegła sama siebie, żeby nie liczyć na zbyt wiele. - A wybierał się tam?

- Szukał cię. Powiedziałam mu, że się przeprowadzasz.

- Mówiłaś, dokąd?

- Jenny, przerażasz mnie!

- Nie, tylko się zastanawiam. - Serce biło jej coraz szybciej. - Na wszelki wypadek, gdyby mnie znalazł. Pewnie się nie przedstawił.

- Eee, owszem. Nazywa się... Bill... jakoś tam. - Carolyn kręciła głową, patrząc w stronę sali restauracyjnej. - Przypomnę sobie. Muszę przyjąć zamówienia.

- Idź. - Jenny pokiwała do niej ręką, po czym osunęła ją na kłamkę. Zrobiła krok do przodu i omal nie wpadła na jakąś potężną postać. Krzyknęła ze zdumienia. Naprzeciw niej stał Hunter Calgary.

- Boże - szepnęła wzruszona.

- Cześć.

- Cześć. - Obejrzała się, ale Carolyn zniknęła już w głębi sali.

- Jak na kogoś, kto zatrudnił ochroniarza, nie zostawiłaś, wyjeżdżając, zbyt wielu wiado-

mości.

Jenny miała ochotę rzucić mu się w ramiona. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się za nim stęskniła. Była zachwycona. Po prostu w siódmym niebie.

- Nadal chcesz tej pracy? - spytała tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

- Nadal.

Próbowała ukryć wrażenie, jakie na niej zrobił. Miękką, skórzaną kurtka, długie nogi w dżinsach, wysokie buty i dżinsowa koszula rozpięta pod szyją. Uosobienie seksu. Tak dobrze to pamiętała.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Hipoteza oparta na rzetelnej wiedzy. - Wzruszył ramionami. - Mówiłaś przecież, że pracujesz U Riccarda.

- Tak się... cieszę, że jesteś.

To były przeprosiny. Chciała powiedzieć więcej, ale nie potrafiła. Wybaczenie odczytała w lekkim uśmiechu, który sprawił, że jej serce zaczęło bić wolnym, równym rytmem.

- Dlaczego wszedłeś od tyłu? - spytała, gdy szli do samochodu. Obok czarnego dżipa, bardzo podobnego do tego, który wynajmował w Meksyku, stało tylko jedno auto - jej volvo.

Znów wzruszenie ramion.

- Pracownicy chyba zawsze tędy chodzą pomyślałem więc, że właśnie tu mogę cię znaleźć.

- Słusznie.

Stanęli na parkingu, zakłopotani. Przyglądała się odbłaskom ulicznych lamp na twarzy Huntera. W gęstniejącym mroku coraz wyraźniej uświadamiała sobie, jak nieprawdopodobnie uwodzicielsko wygląda. Był przystojny, to oczywiste, ale jeszcze większe wrażenie robiła jego męskość i surowość.

- Pójdziemy gdzieś? - zaproponował.

Czy powinna zaprosić go do siebie? Po Rawleya jedzie dopiero jutro.

- Mieszkam niedaleko...

- Pojadę za tobą.

Tłumaczyła sobie, że nie powinna zapominać o złych przeczuciach, ale jedyne, co stawało jej przed oczami, to przelotne obrazy mocnych ramion, gładkiej skóry, twardych palców i rozpalonych warg. Była kłębkim nerwów. Jak dobrze, że ją odnalazł. Zadręczyłyby ją wyrzuty sumienia, gdyby nie przyjechał.

Patrzyła, jak otwiera pilotem dżipa, usłyszała piknięcie, a kiedy do niej podszedł, była zdenerwowana jak nastolatka przed pierwszym pocałunkiem. Miała trzynaście lat, kiedy to się zdarzyło. Przyciskała wargi do aparatu ortodontycznego Danny'ego Duranta, w nadziei, że zostaną jej po tym niezatarte wspomnienia. A i potem niewiele było do wspomniania. Żadnych młodzieńczych pragnień okresu dojrzewania, ani niezgrabnych dotknięć. Właściwie udało jej się przejść przez to gładko, z pewnym zadowoleniem, że nie musi zbyt szybko ponawiać podobnych prób. Jednak było coś, co zapamiętała doskonale: zdenerwowanie, chyba najgorsze, jakie zdarzyło się jej przeżyć. No, i właśnie wróciło.

- To niedaleko stąd - powiedziała, wsiadając do samochodu. Skinął głową. Jenny uruchomiła silnik i ostrożnie włączyła się do ruchu, upewniając się, że Hunter trzyma się tuż za nią. Zaparkował na ulicy i spotkali się przy bramie. Weszli razem.

Boże. Łamała sobie głowę, co ma powiedzieć. Popatrzyła na górę, na swoje drzwi.

- Jest Benny - oświadczyła z ulgą. Hunter spojrział w tym samym kierunku.

- Pies?

- Aha.

Jenny szybko podeszła do drzwi. Benny przyjrzał się czujnie Hunterowi, miękko, ostrzegawczo warknął, po czym niespiesznie pomaszerował za Jenny w głąb mieszkania. Hunter podążył za nimi. Benny zajął pozycję obok pani.

- Już masz obrońcę - zauważył Hunter. - Na oko sądząc, całkiem niezłego.

- Coś mu się stało. - Podrapała psa za uszami. Benny dyszał radośnie. - Wściekłość mnie ogarnia, gdy o tym pomyślę.

Hunter spojrział na psa.

- Czy coś zginęło?

- Nie zauważyłam.

- Pozwolisz, że się rozejrzę? – Skinęła głową.

- Czuć się jak u siebie. Wygląda to mniej więcej tak, jak przed moim wyjazdem do Meksyku.

Hunter ruszył korytarzem. Benny nie mógł tego ścierpieć. Popędził za nim, ale zatrzymał się w pewnej odległości i śledził każdy jego ruch. Nie okazywał wrogości, ale był niespokojny. Jenny energicznie rozcierała dłońmi nagie ramiona. Może jej zdenerwowanie jest zarażliwe? A może Benny po prostu zachowuje ostrożność po spotkaniu z włamywaczem?

Słyszała, jak Hunter wchodzi do jej sypialni. Nie mogła znieść tej myśli. Pobiegła do kuchni, by zająć się czymkolwiek. Chciała zaparzyć kawę, ale zrezygnowała na rzecz czegoś mocniejszego i wyjęła z lodówki butelkę białego wina.

Zdejmowała metalową zakrętkę, kiedy wrócił Hunter.

- Może nie jest to najlepszy rocznik - powiedziała - ale to zwykle piję, gdy jestem na północ od granicy.

Uśmiechnął się lekko.

- Myślałem, że jesteś dziedziczką. – Parsknęła, napełniając kieliszki.

- Gdyby ojciec widział, że piję coś takiego, dostałby ataku serca.

- Dlatego to pijesz.

- Piję, bo lubię i dlatego, że od lat tylko na to mnie stać. I zawsze będę je lubiła, bo nie chcę zapomnieć, kim naprawdę jestem.

Popatrzył na nią w milczeniu.

- Jenny Holloway - powiedziała stanowczo. - Nie Geneva Holloway Russell.

Przyjął kieliszek, upił kilka łyków, ani przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

- Jesteś jedną i drugą - orzekł. - Mnie też to smakuje.

To wystarczyło, by nerwy Jenny znów napięły się do ostatnich granic. Machinalnie podnosiła kieliszek. Miała ochotę krzyknąć. Pragnęła, by ją przytulił i kochał się z nią tutaj, w kuchni. Chciała czuć, że do niego należy. Żyć.

- Odkryłeś coś? - spytała po długiej, pełnej napięcia chwili.

- Jesteś porządnicka. Czego nie można powiedzieć o twoim synu. – Zachichotała.

- Delikatnie powiedziane!

- To on? - Hunter wskazał na fotografię na kuchennym blacie. Jenny przytaknęła. - Podobny do ciebie.

- Do ojca. Ale oczy ma po mnie. Po nim poczucie humoru.

- Nadal jest na obozie?

- Do jutra.

Benny posapywał koło dłoni Jenny. Poglądziła jego jedwabisty łeb. Hunter obserwował ich, oparty o kuchenną framugę. Zegar głośno tykał. Jenny nie wytrzymała, w końcu wybuchnęła, z trudem łapiąc oddech.

- Muszę wyjechać. Po prostu nie zostanę tu ani chwili dłużej. – Patrzył na nią przez mo-

ment.

- Nie lubię budzić się i patrzeć, jak wyjeżdżasz.

Odstawiła kieliszek. Dłonie jej drżały. Skrzyżowała ręce na piersi, by to ukryć.

- Wiem.

- W porządku.

Nie mogła go rozszyfrować. Czy to ma znaczyć, że nie chce się z nią wiązać? A czego ona sama pragnie?

- Poczynilem ryzykowne założenie, że posada ochroniarza wciąż jest wolna.

- Tak. Owszem. - Energicznie pokiwała głową.

- Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebowała czegoś więcej - dodał, bacznie się jej przyglądając.

- Wpadłam w panikę. Przepraszam. Chodziło raczej o Rawleya, nie o ciebie. Przyjechałam, zadzwoniłam do niego, porozmawialiśmy i poczułam się lepiej. Pewnie mogłam to samo zrobić z Puerto Vallarta, ale... - wzruszyła ramionami. - Chyba pomyślałam, że nie dam sobie tam rady.

- Sądziłem, że wyjechałaś po tym, co ci powiedziałem.

- Nie tylko. To znaczy, po części też dlatego. Och, nie wiem... - Popatrzyła na niego bezradnie. - Naprawdę się cieszę, że tu jesteś.

Jenny nie chciała już ukrywać tego, co czuje. Pragnęła go, pragnęła jego ramion i dotyku. Cała tęsknota zawarta była w jej spojrzeniu.

Musiał to zauważyć. Zdecydowanym ruchem odstawił kieliszek. Równie stanowczo uniósł palcem podbródek Jenny i ją pocałował.

- Zobaczmy, co z tego będzie - mruknął. Jenny z trudem powstrzymywała jęk.

Kolana miała jak z waty. Przyciśnięta biodrami do krawędzi blatu, czuła go, jak napina się i twardnieje; zalała ją fala pożądania; trzymała go kurczowo i rozbierała jednocześnie.

- Chcę ciebie... przepraszam, że wyjechałam.

- Óóóó...

Usłyszała gdzieś nad karkiem ciche westchnienie, tak podniecające, że bezwiednie odpowiedziała jękiem. Dłonie Huntera przesunęły się w dół po jej plecach, przytulił ją jeszcze mocniej. Wiedziała, że czeka na jej decyzję. To było takie ekscytujące. Odnalazła palcami kłamrę jego paska, i powoli ją rozpięła. Poruszył się, żeby jej pomóc, znów odnalazł jej usta i delikatnie wsunął język między wargi.

Benny zaskamlał. Próbowwała go przegonić. Pragnęła Huntera i to teraz, w tej chwili. Głaskała delikatnie jego członek. Zdziwił ją własny, cichy i błagalny głos.

- Proszę... - szeptala. - Proszę... teraz.

- Rany - mruczał, błędząc dłońmi pod jej bluzką, szarpiąc stanik. Palce pieściły sutki. Przywarła do niego całym ciałem.

Hunter objął ją, położył na podłodze, leżał na niej, napierał coraz mocniej. Benny wyniósł się na bezpieczniejszy grunt; nieco zdezorientowany kręcił się przy drzwiach kuchennych.

- Idź stąd - niemal warknął Hunter. Jenny zachichotała. Pies wyśliznął się do holu w stronę pokoju Rawleya.

Jej łopatkę wbijały się w twardą podłogę. Hunter uniósł się lekko na łokciach.

- Może lepiej... - zaczął, ale zamknęła mu usta pocałunkiem, ściągając z niego dzinsy. Gwałtownie złapał powietrze, zrzucił z siebie resztę ubrania, schylił głowę do jej piersi. Drgnęła, gdy jego palce zsuwały z jej bioder figi, wchodziły w nią i delikatną pieśczętą budziły szaleńcze pożądanie. Poddała się, zamknęła oczy, chwyciła jego dłoń i prowadziła ją sama.

Wygięła się, chciała więcej, chciała go całego i Hunter wszedł głęboko, rytmicznie, aż krzyknęła. Skończyli jednocześnie, oszołomieni tym, co przeżyli.

- Nie. Nie ruszaj się - szepnęła Jenny, wysuwając się z objęć Huntera i z przyjemnością słuchając jego cichych protestów. - Idę po wodę.

Zostawiła go w łóżku, obejrzała się jeszcze, by nacieszyć się widokiem tego wspaniałego, nagiego ciała. Wymknęła się do kuchni, nalala szklankę wody i wypila ją jednym haustem.

- Boże, ależ po tym seksie chce się pić! - Nagle usłyszała drapanie do drzwi. - Idź do domu! - powiedziała przez drzwi do Benny'ego. Uśmiechnęła się w półmroku. Wyprawili go za drzwi, jak tylko podnieśli się z kuchennej podłogi.

Benny zaskomlił, a Jenny pokręciła głową i wróciła do sypialni. Wśliznęła się do łóżka i wpadła wprost w ramiona Huntera. Wtuliła głowę w jego pierś i stłumiła uśmiech. Szczęrzy zęby jak idiotka, bo ze szczęścia nie potrafi znaleźć słów. Zapadła w sen, powtarzając sobie w myśli: to najcudowniejsza chwila w całym moim życiu.

Kiedy później wspominała ten moment, zastanawiała się, czy nie postradała zmysłów.

Wstała o świcie. Nucił cichutko, szykując śniadanie. Wszystko dokoła tchnęło spokojną, domową atmosferą. Jenny uśmiechała się do siebie. Hunter brał prysznic; wsłuchiwała się w szum wody, jakby to była najpiękniejsza muzyka.

Wzdrygnęła się na dźwięk telefonu.

- Halo! - Po raz pierwszy nie czuła niepokoju, podnosząc słuchawkę. Prawdę mówiąc, nawet nie zastanawiała się, kto dzwoni. Istniał tylko Hunter i to on pochłaniał całą jej uwagę.

- Geneva?

Allen. Kochany, poczciwy tatuś. Westchnęła.

- Cześć.

- Wróciłaś. - Był zdziwiony. - Chciałem zostawić ci wiadomość na sekretarce. Nie sądziłem, że cię obudzę.

- Już wstałam.

- Jedziesz dziś po Rawleya?

Był zdumiewająco dobrze poinformowany, ale w końcu mówiła mu o swoich planach, a ojciec niczego nigdy nie zapomina.

- Jadę.

- Chciałbym, żebyś przywiozła go potem do nas. Muszę widzieć, że nikomu z was nic się nie stało.

- Dziś nie mogę. Jestem... zajęta. Nie, będziesz musiał... - Nagle oprzytomniała. - Czy Troy dzwonił do ciebie jeszcze raz?

Zawahał się, a potem obojętnym tonem powiedział:

- Nie.

Jenny spojrzała na zegar.

- Umówmy się na któryś dzień w tygodniu. Zaczynam się pakować i muszę jeszcze załatwić kilka spraw. - Nie miała ochoty spotykać się z ojcem i kropka.

- Genevo, chciałbym, żebyście oboje spędzili parę dni ze mną i z Natalie. Tu jest bezpiecznie. Odłóż wyjazd do Santa Fe, póki nie zorientujemy się, czego chce Troy.

- Co? - Omal się nie roześmiała. - Wyjeżdżam! Nie przyjedziemy do was. Jeśli chcesz zobaczyć Rawleya, mogę to zorganizować. Ale zostaję w swoim mieszkaniu i będę tu bezpieczna.

- Skąd wiesz?

- Bo jest teraz ktoś, kto mnie chroni.

Chyba nie powinna była tego mówić, ale kiedy tylko padły te słowa, poczuła zadowolenie. Niech ojciec myśli sobie, co chce.

- To znaczy kto?
- Ochroniarz.
- Wynajęłaś kogoś?
- Spotkałam go w Meksyku. Pracował w policji i przyjechał ze mną do Houston.
- Przywiozłaś go ze sobą? - Allen mówił coraz ciszej i spokojniej. Mogła sobie wyobrazić,

co o tym myśli!

- Nie wpadaj w panikę. Zaufaj mi w tej jednej sprawie. Proszę cię. Przecież mogę czasem sama podjąć jakąś decyzję.

- Jak on się nazywa?

Jenny odsunęła słuchawkę od ucha i wykrzywiła się, zirytowana wścibstwem ojca.

- Hunter Calgary - oświadczyła zdecydowanym tonem. Cóż to w końcu za różnica dla Alena.

Zapadła cisza.

- Zatrudniłaś tego człowieka w charakterze ochroniarza - powtórzył, jakby nie wierząc własnym uszom.

- On jest... tak... Owszem.

- Co: on jest?

- Nic takiego. Bardzo mi ten układ odpowiada. Nie musisz się już o mnie martwić.

- Czy to twój facet, Genevo?

Trzymała mocno słuchawkę. Zamknęła oczy, policzyła do pięciu, gdy Allen wybuchnął:

- Nie do wiary. Spotykasz w Meksyku obcego człowieka i przywozisz go do domu. Twoja naiwność jest przerażająca. Niczego nie nauczyło cię to, co przeszłaś z Troyem?

- Do widzenia, Allen - powiedziała.

- Masz przyjechać tu z Rawleyem. Bez tego faceta.

- Nie rozkazuj mi.

- Dzisiaj, Genevo.

- Nie. Dzisiaj nie...

- W takim razie jutro. - Wciągnęła powietrze.

- Zadzwoń. Umówimy się na lunch.

- Nie bądź taka beztraska. Troy wciąż tu jest i czegoś chce. - Jenny przygryzła wargi.

- Proponuję środę wieczorem. Kolacja. W którejś z twoich restauracji-

- To są także twoje restauracje, ale masz przyjechać tu, do domu. Natalie zajmie się kolacją.

Załatwi catering, pomyślała Jenny, ale wiedziała, że lepiej tego nie mówić. Co to zresztą za różnica?

- Środa, szósta wieczorem. I nie przyprowadzaj tego ochroniarza.

Ostatnie słowa były niemal jak warknięcie. Jenny zagotowała się ze złości jak zbuntowana nastolatka.

Odkładała słuchawkę, kiedy przestała lecieć woda. Nie mogła już doczekać się wyjazdu do Santa Fe.

Hunter wszedł do holu. Wokół smukłych bioder owinał ręcznik, na piersi miał jeszcze krople wody.

- Co się stało? - zapytał, widząc na jej twarzy irytację.

- Będę potrzebowała ochrony do samego Santa Fe.

- Brałem to pod uwagę.

- Słusznie, przecież tam mieszkasz. - Pokręciła głową speszona. Dziwnie się układa życie. Będą mieszkali w tym samym mieście!

- Chyba powinniśmy porozmawiać o pieniądzach. To znaczy, nie wiem, jaka jest twoja stawka... ale...

Zachnął się.

- Pogadamy o tym później.

- Hunter...

- Jenny, nie chcę teraz o tym mówić.

- W porządku.

- Wolę pomyśleć o czymś innym - westchnął.

- Śniadanie? - spytała.

- Na razie nie.

- Więc co?

Patrzył na nią przez chwilę. Wzrok Jenny prześliznął się po jego nagiej piersi. Chyba traci rozum. Potrafi myśleć tylko o jednym. Podniósł jedną brew. Jenny uśmiechnęła się lekko.

- Jeszcze raz? - spytał rozbawiony. Delikatnie rozwiązał końce ręcznika.

- Jadę po Rawleya - mówiła Jenny do słuchawki. - Podziękuj Rickowi. Może spotkamy się na miejscu. - Słuchała przez chwilę chaotycznych odpowiedzi Janice. Bliźniaki znów absorbowwały jej uwagę. - Nie, naprawdę nie trzeba. Jestem wdzięczna za wszystko. Jeśli zdołasz wykraść parę minut na pożegnalny kieliszek wina, daj mi znać. Pa!

To było solidne śniadanie. Szybko wyjęła z formy tortille, wbiła do nich jajka, dodała kielbaski *chorizo*, łagodną paprykę i pokropiła salsą. Hunter popijał kawę i z uśmiechem obserwował jej zwinne ruchy.

- Na dodatek gotuje... - mruknął.

- Nie daj się nabrać. Mój repertuar ogranicza się do trzech dań. Znam się na finansowej stronie restauracyjnego biznesu. Ale potrafię zagotować wodę.

- I jeszcze skromna...

Uśmiechnęła się i dmuchnięciem odgarnęła grzywkę z czoła. Błyskawicznie dołożyła pozostałe *burritos* i podała wszystko razem na małym, dwuosobowym stoliku przymocowanym do ściany. Hunter usiadł naprzeciwko niej, zastanawiając się, kiedy ostatni raz jadł domowe śniadanie w towarzystwie kobiety.

- Danie z kuchni południowego Zachodu - oznajmiła Jenny.

- Bardzo mi się podoba.

- Łatwo cię zadowolić. - Popatrzył na nią przeciągle.

- Czasami.

Jenny promieniała. Był zdumiony i zachwycony, że ją odzyskał. Ale czekało go jeszcze kilka trudnych spraw i nie był do końca pewien, jak się z nimi uporać.

- Odbieram Rawleya koło czwartej, ale najpierw muszę zrobić porządek z tymi papierami i podrzucić je do restauracji.

- Ja też mam coś do załatwienia.

- Spotkamy się później? Przyjdź na lunch. Alberto na pewno zaprosi nas oboje na pożegnalne przyjęcie.

Hunter pokiwał głową w roztargnieniu, z niechęcią myśląc o tym, że musi wyjawić prawdę. Ale innej drogi nie było. Poczul, że Jenny patrzy na niego i uśmiechnął się.

- Niech będzie lunch.

- Rozmawiałam z ojcem - wyznała, wbijając widelec w *burrito*. - Powiedziałam mu, że mam ochroniarza.

Zamarł.

- Ucieszył się.

- Czy...

- Ale zgadł, że jesteśmy razem. Niemal rzuciłam słuchawkę. Chciałby widzieć nas z Rawleyem przed wyjazdem, jednak boję się tego spotkania. Pojedziesz z nami? W środę wieczorem. Prosił, żebyśmy przyjechali sami, ale tym się nie martw. Nie słucham go. Nie mogę! Doprowadza mnie do szaleństwa! - Udała, że przechodzi ją dreszcz.

Hunter z wysiłkiem przełknął kęs *burrito* i skinął głową.

- Mogę cię o coś zapytać?

Ciekawe, pomyślał, czy tak czuje się skazaniec przed plutonem egzekucyjnym.

- Wal.

- Nic nie mówisz o rodzinie. O rodzicach, siostrze...

- Nnie... żyją.

Jenny otworzyła szeroko oczy.

- Wszyscy?

Wiedział, że tak naprawdę pyta o Michelle. Zastanawiał się przez chwilę, ale doszedł do wniosku, że to w końcu Jenny zaczęła.

- Śmierć Michelle uznano za samobójstwo, ale to było coś innego.

- Hunter... - Jenny wstrzymała oddech.

- Została zepchnięta z dachu przez swojego koszmarnego przyjaciela. Była w ciąży. Śledziłem go i, owszem, nękałem. Wniósł sprawę do sądu i dlatego wyrzucili mnie z policji w Los Angeles.

- Och, Hunter.

- To okropne, ale taka jest prawda. - Popatrzył na nią uważnie. - Przepraszam. Wiem, że nie chciałaś już słuchać żadnych wyznań...

- Nie to miałam na myśli. Wczoraj... po prostu nie funkcjonowałam zbyt dobrze.

- A dzisiaj?

- Lepiej. - Przyglądała mu się ze współczuciem. - Przykro mi z powodu Michelle i twoich rodziców.

- Umarli wcześniej. Jedno na powikłania po zapaleniu płuc, drugie na marskość wątroby. Oboje mieli ciężkie życie.

W jej wzroku było tyle zrozumienia, że poczuł wzruszenie. Nie chciał o tym wszystkim mówić. Sama myśl o Michelle budziła w nim kipiącą złość i odrazę do Troya.

- Jenny, ja...

Zerwała się z krzesła, objęła go i zamknęła mu usta pocałunkiem. Poczuł, że traci oddech. Siedział jak uderzony obuchem.

- Zobaczmy się U Riccarda - powiedział niepewnym głosem, wciągając głęboko powietrze.

Wyszedł. Mur, którym się odgradził, chwiał się niebezpiecznie.

*

- Nie, tu się ze mną spotka - wyjaśniała Jenny.

- Facet z Puerto Vallarta? - upewniała się Carolyn.

- Tak. A Alberto jest w rozterce, bo próbuje wymyślić coś specjalnego, żeby ugościć „swoje gołąbeczki”.

Carolyn zachichotała.

- Och, cudownie. Wreszcie spotkałaś fantastycznego faceta. I to wcale nie ten, który cię szukał. O, przypomniałam sobie. Nazywa się Mike Conrad. Naprawdę przystojny.

Jenny wzruszyła ramionami.

- Nic mi to nie mówi.

- No, skoro masz teraz kogoś, to nieważne. Na pewno będziesz chciała usiąść przy siódemce.

Stolik numer 7 stał we wnętrzu i był przeznaczony dla zakochanych par. Podobno kelner przyłapał tam kiedyś pewną parę w stanie najwyższej ekstazy. Najwyraźniej stracili głowy przy wspaniałych daniach Alberta i kosztownych winach i postanowili kochać się od razu na miejscu. Jenny nie bardzo wierzyła w takie opowieści, ale po rozkosznych nocach z Hunterem stwierdziła, że różne rzeczy są możliwe.

- Nigdy w życiu nie siedziałam przy siódemce - powiedziała, a Carolyn uściśniła ją w przelocie.

Czekała na Huntera, myśląc o tym, co usłyszała od niego rano. Popijała wodę sodową, ponieważ czekała ją podróż samochodem. Czuła, że Hunterowi z ogromnym trudem przychodzi wyjawienie jej spraw dotyczących rodziny, a zwłaszcza Michelle. Co za straszna historia. Chciała zadać mu jeszcze kilka pytań, ale czuła, że to chyba nie najlepszy moment. Hunter należał najwyraźniej do silnych, zamkniętych w sobie mężczyzn, tak więc fakt, że zdobył się na takie wyznanie, Jenny uznała za kolosalny krok naprzód w ich wzajemnych stosunkach.

Nie mogła sobie darować, że tak go skrzywdziła, uciekając z Puerto Vallarta. To cud, że jeszcze miał do niej zaufanie.

Kiedy wszedł, Carolyn stała tuż za nim, więc nie widziała wyrazu jej twarzy. Podszedł do stolika, a serce Jenny zatrzępotowało.

- Myślałam, że wyrosłam już z przystojnych mężczyzn - zakpiła. - Sądziłam, że Troy wyleczył mnie z tego na całe życie, ale okazuje się, że nie.

Hunter uśmiechnął się niepewnie.

Zastanawiała się, czy nie zaczyna go kochać. W każdym razie na jego widok kręciło jej się w głowie. Koło ich stolika natychmiast pojawiła się Carolyn.

- Jenny, mogę cię prosić na chwilę?

- Teraz?

- Jest parę rzeczy, co do których Alberto nie ma pewności. Może zamienisz z nim parę słów?

- Wolałabym po lunchu.

- Chyba lepiej teraz - nalegała.

Jenny wzruszyła ramionami, nieco zbity z tropu dziwnym zachowaniem przyjaciółki.

- No dobrze...

Carolyn niemal ściągnęła ją z krzesła i wepchnęła do kuchni.

- To ten facet - szeptała podniecona. - Ten z czternastki, który cię obserwował.

- Jaki facet?

- Ten, z którym jesteś!

- Chwileczkę. - Jenny podniosła rękę. - Powiedziałaś, że facet, który o mnie pytał, przyszedł tu, kiedy byłam w Puerto Vallarta i że nazywa się...

- Mike Conrad. Nie. To był ktoś inny. Ten - wskazała w kierunku sali - ten, z którym jesteś, wtedy cię obserwował.

Jenny patrzyła na nią zdumiona.

- Mówiłaś, że spotkałaś go w Puerto Vallarta? - Jenny powoli pokiwała głową, a Carolyn trajkotała dalej: - No to wiedział, kim jesteś. Boże, chyba cię tam śledził. On cię szukał, Jenny!

- Carolyn, nie!

- Nie wiem, czego on chce, ale uważaj. - Ton dziewczyny był lekko histeryczny. - Ten

fantastyczny facet, który tam siedzi, patrzył tu na ciebie jak jastrząb, jeszcze zanim wyjechałaś do Puerto Vallarta. Posłuchaj, Jenny. To on!

Rozdział 10

Jenny wciągnęła powietrze i rozejrzała się dokoła. Dłonie miała jak z lodu.

- Nigdy o tym nie wspomniał? Ani razu? - dopytywała się Carolyn. - Jenny pokręciła głową. - To znaczy, że coś kręci. Wiedział, kim jesteś.

- W takim razie... wtedy... widział też Rawleya. - Ogarnął ją strach.

- Patrzył na ciebie, Jenny. Chyba cię śledził.

Była wstrząśnięta. Denerwowała się z powodu Troya, ale teraz wyłonił się nowy problem. Kim jest Hunter Calgary? Co ona o nim wie? Nie była w stanie zebrać myśli.

- Co teraz zrobisz? - szeptała Carolyn, rozglądając się nerwowo.

- Nie wiem.

- Nie wracaj tam - namawiała przyjaciółka. - Wyjdź tylnymi drzwiami.

- Nie. - Udzielił się jej strach Carolyn, ale panowała nad sytuacją. - Był dla mnie wspólny. Wrócę tam i go spytam. Po prostu zapytam.

- Och, Jenny - jęknęła Carolyn.

- Idź zgłosić zamówienia - poczucie odpowiedzialności Jenny znów wzięło górę. - Załatwię to.

Z tymi słowami zawróciła do stolika. Z wahaniem podeszła do człowieka, którego kochała i o którym nie wiedziała prawie nic.

Zaatakowała ostro. Jednym, krótkim pytaniem. Hunter nie mógł wyjść z podziwu.

- Śledziłeś mnie? - Była spięta jak struna.

Mógł skłamać. Mógł wymyślić tysiąc argumentów. Ale wiedział, że przyjaciółka już przekazała jej informacje.

- Tak - odpowiedział po prostu, wściekły na siebie, że zapomniał o elementarnych zasadach bezpieczeństwa. Przecież każdy mógł go w tej restauracji rozpoznać.

Opadła na miękkie krzesło, blada i zdruzgotana. Nie spodziewała się tak szczerzej odpowiedzi.

- Widziałem cię w restauracji - ciągnął. - Słyszałem, że wybierasz się do Puerto Vallarta.

- I pojechałeś tam za mną?

- Coś w tym rodzaju. Byłem tam wcześniej niż ty.

Nie było to wystarczające wyjaśnienie. Hunter chciał wprawdzie wytłumaczyć wszystko, ale przy innej, lepszej okazji. Z obrzydzeniem myślał o tym, że będzie musiał przyznać się do kontaktów z Allenem Hollowayem i opowiedzieć Jenny, że Troy Russell zamordował jego siostrę i że teraz on boi się o nią. Nie potrafił mówić o tym, co czuje.

- Dlaczego? - Zawahał się.

- Tylko nie wymyślaj żadnych kłamstw. Nie mam ochoty słuchać o tym, że zakochałeś się od pierwszego wejrzenia i poszedłeś za głosem serca. Chcę znać prawdę.

- Nie spodoba ci się.

- Teraz też mi się nie podoba. Nie wiem, czy może być coś gorszego. - Odchrząknął.

- Twój ojciec wynajął mnie, żebym cię chronił.

- *Bella!* - Przeciskając się między stolikami, Alberto unosił nad głową dwa talerze. Zarumieniony postawił przed nimi porcje włoskiego makaronu. - To dla ciebie, skarbie, coś wyjątkowego. I dla ciebie, szczęściarzu. Bądź dobry dla mojej córeczki. To anioł.

Jenny miała łzy w oczach.

- Widzisz! Płacze ze szczęścia. - Alberto pochylił się, ucałował ją w oba policzki i mocno

uściskał, po czym pogroził palcem Hunterowi. - Nie zrób jej krzywdy, bo będziesz miał do czynienia ze mną i z moimi braćmi. - Odszedł, roześmiany, nucąc jakąś włoską balladę. Zapadła cisza.

- Muszę iść - wykrztusiła Jenny.

- Nie. Proszę. - Wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać, ale cofnęła dłoń.

- Nie... nie chcę... Mój ojciec cię wynajął? I ja też?

- Chciałem cię chronić.

- Mnie chronić? Kanalia!

- Przed Troyem Russellem. Znam go.

Zmartwiała. Patrzyła na niego mokrymi od łez oczami, ale w ich błękitnej głębi nie było współczucia. Hunter czuł ucisk w piersi. Wiedział, że Jenny wzdrygnie się, jeżeli znów spróbuje jej dotknąć.

- Odejdź - wyszeptała.

- Nie zostawię cię.

- To ja ciebie zostawię. - Wstała. Kiedy chciał się podnieść, zatrzymała go gwałtownym ruchem ręki.

- Chcę, żebyś była bezpieczna, Jenny. To wszystko.

- Nazywam się Geneva - oznajmiła, odwróciła się i niepewnym krokiem wybiegła z restauracji.

Droga do domu Allena Hollowaya w River Oaks zajmowała trochę czasu - wystarczająco dużo, by Hunter sto razy wrócił myślami do rozmowy z Jenny. Samobiczowanie czasem dobrze robi. Można spojrzeć na pewne sprawy z odpowiedniej perspektywy.

Nacisnął dzwonek przy bramie i usłyszał niepewny głos Natalie. Wyjaśnił, że chciałby się widzieć z Allenem. Przez moment panowała głucha cisza. Potem skrzydła bramy drgnęły i powoli, jakby nie chcąc rozewrzeć się na całą szerokość, zaczęły sunąć na boki. Podjechał pod sam dom, podziwiając przy okazji wspaniałą kamienną fontannę z ogromnych głazów. Woda opadała na coraz niższe poziomy i zbierała się w błękitnej sadzawce.

Z przyzwyczajenia zamknął pilotem auto, choć po chwili przyszło mu do głowy, że włamanie do samochodu zaparkowanego w środku tej fortecy jest raczej mało prawdopodobne.

Drzwi otworzyła Natalie. Najpierw zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, a potem wpuściła do wewnątrz.

- Mąż jest w drodze do domu! Prosił, żeby pan wszedł. - Z jej tonu należało wnosić, że zrobiła coś, co znacznie wykracza poza obowiązki żony.

Skinął tylko głową i Natalie troszkę się rozluźniła. Poprowadziła go do wysokiego pokoju wykończonego mahoniowym drewnem, z potężnym kamiennym kominkiem i kwadratowym stołem z bielonej sosny, otoczonym krzesłami. Granatowo-złotą tapicerkę pokrywały etniczne amerykańskie wzory, a krzesła zrobiono z tutejszej, solidnej, czerwonej sosny. Projektanci zatrudniani przez Allena Hollowaya najwyraźniej hołdowali stylowi południowego Zachodu. Czy taki właśnie gust ma gospodarz? Możliwe. Natalie wyglądała raczej na zwolenniczkę brokatów i kryształowych kandelabrow.

- Czy można zaproponować panu coś do picia? - spytała bardzo oficjalnie.

Niedziela. Pokojówka ma pewnie wolne, pomyślał Hunter.

- Mogę prosić o kawę?

- Z cukrem czy śmietanką?

- Czarną.

Zniknęła pośpiesznie. Hunter rozsiadł się na kanapie. Zdumiał się, że jest tak wygodna.

Rzut oka na pokój pozwolił mu dostrzec jeszcze inne elementy wyposażenia utrzymane w tym samym stylu: małe figurki Indian Hopi, miedziane symbole słońca Indian Zia, wiszące nad sosnowym kredensem dopasowanym do reszty mebli, szklana kasetka wysadzana turkusami i wykończona srebrem.

Natalie przyniosła w lekko drżących dłoniach filiżankę kawy. Hunter porównywał ją z Jenny. Była nieapetycznie chuda. Zastanawiał się, w jaki sposób małżeństwo Hollowaya może w ogóle funkcjonować.

Jenny. Musi walczyć, by nie stracić kontroli nad rozwojem wydarzeń. Wbrew swojej naturze pozwolił jej jechać samotnie po Rawleya, ale wszelkie próby dotrzymania jej towarzystwa skomplikowałyby tylko sytuację. Zawadzałyby i nic poza tym.

Natalie usiadła naprzeciw niego, również z filiżanką kawy, którą nerwowo mieszała srebrną łyżeczką, chociaż piła kawę bez śmietanki. Trudno też byłoby wyobrazić sobie, że wspanie do czegokolwiek łyżeczkę cukru.

- Co pan robi dla mojego męża? - spytała z zaskakującą otwartością. Łyżeczka zadzwoniła niepokojąco. Natalie odstawiła filiżankę na stół i mocno splotła dłonie. Była przerażona.

- Jestem ochroniarzem jego córki.

- Widziałam go. Troya Russella. Udawał, że mnie nie zna i dopiero po chwili skojarzyłam jego twarz. Trochę przytył, ale wygląda dobrze. Ciągłe jest zbyt przystojny, by mu ufać. - Skrzywiła się w uśmiechu. Miała zbyt mocno napiętą skórę na kościach policzkowych. - Pan zresztą też, jeśli mam być szczerą.

Hunter poruszył się niespokojnie. Czuł się trochę skrępowany. Nie podobało mu się, że porównano go do Russella. Michelle tylko raz powiedziała coś na ten temat. Jeden raz. Hunter warknął na nią tak nieprzyjemnie, że nigdy już nie odważyła się robić żadnych porównań.

- Lubi zastraszać, prawda? - powiedziała Natalie. - Patrzył tak na mnie... Pomyślałam, że wie coś, o czym ja nie wiem. Takie sprawiał wrażenie. - Wstrząsnęła się leciutko. - Czego on chce?

- Pieniądzy.

- To jest wymuszenie. - Na białych policzkach pojawiły się rumieńce.

- A także Jenny.

Natalie oniemiała. Hunter już był prawie pewien, że nie usłyszy żadnej odpowiedzi, kiedy się odezwała.

- On rozbiera kobietę wzrokiem i to wcale nie jest przyjemne.

Zacisnął szczęki. Nie widział Troya Russella od lat, ale doskonale wiedział, o czym mówi Natalie. Nie był pewien, co by zrobił, gdyby coś takiego spotkało Jenny w jego obecności.

- Mąż twierdzi, że świetnie znam się na ludzkich charakterach - powiedziała, krzyżując szcuple nogi. - Mogę panu powiedzieć, że to już nie jest ten sam Troy. Jest dużo gorszy.

- Gorszy? - Popatrzyła w bok.

- Nie znałam go dobrze, nie zwracałam na niego większej uwagi. Był młody i był mężem Jenny. Nie zwracałam sobie nim głowy. - Znów patrzyła na Huntera. - Ale któregoś dnia...

- Proszę mówić - zachęcił ją, gdy urwała, zatopiona w posepnych myślach.

- Czy zależy panu na Jenny? Allen twierdzi, że coś was łączy.

Hunter nie miał ochoty wyjawiać Natalie Holloway całej prawdy. Ale nie mógł zaprzeczyć, że przywiązał się do Jenny. Jego uczucie było prawdziwe. Nie był w stanie otrząsnąć się ze wspomnień o łzach w niebieskich oczach i o bólu, który zmieniał jej głos w rozwścieżony szept. Natalie czekała. Jej szczerłość zasługiwała na uznanie.

- Tak.

- Więc lepiej niech pan jej dobrze pilnuje. To tylko przelotne wrażenie, ale miałam uczu-

cie, że Troy Russell jest... - szukała właściwego określenia, potrząsając głową i ze wzburzeniem trzepocząc rękami. - Niebezpieczny.

Miał poczucie deja vu. Już raz to przeżył.

Natalie przechyliła głowę i chwilę później Hunter usłyszał odgłos silnika. Grube mury tłumili wszelkie hałasy, ale Natalie doskonale знаła dom i rejestrowała nawet najsubtelniejszą zmianę. Z chwili na chwilę zmieniał o niej zdanie. Była bystrzejsza, niż przypuszczał, i miała znakomitą intuicję. A także głęboką obsesję. Dodać jej z piętnaście kilo i może nawet stać się atrakcyjną kobietą, pomyślał.

Trzasnęły drzwi i pojawił się Allen. Wpadł do pokoju jak rozjuszony byk. Klasyczny przykład człowieka na krawędzi zawału. Jeśli ten facet nie zacznie nad sobą panować, Jenny odziedziczy te miliony wcześniej, niż by zapewne chciał.

A wtedy Russell dostanie wszystko, czego chce, za jednym zamachem. I na dodatek syna...

- Natalie. - Głos brzmiał szorstko. Zerwała się, kiedy wszedł i stała teraz w niemal buntowniczej pozie. Miłości w tym związku nie ma. Już nie. - Chciałbym porozmawiać z panem Calgarym w cztery oczy. Przynies mi butelkę brandy.

Rzuciła okiem w stronę barku na kółkach, na którym w ukośnym, popołudniowym świetle lśniły przynajmniej dwie butelki brandy, ale wyszła bez słowa. Allen przemierzał pokój do kominka i z powrotem, czekając na jej powrót. Nie odzywał się, tylko po ruchach łatwo było odgadnąć, że ogarnia go furia. Natalie wróciła ze srebrną tacą, na której stała butelka drogiej brandy i dwa kieliszki. Hunter pokręcił głową, ale Allen przyjął tacę, nalał do obu kieliszków potężne porcje alkoholu i podał jeden gościowi, nie pytając, czy ma na to ochotę.

Co, u diabła, pomyślał Hunter. Po raz pierwszy od spotkania z Jenny poczuł, że się odpreża; wypił, zdając sobie sprawę, że poczęstowano go czymś zupełnie wyjątkowym.

- Sypia pan z moją córką? - rzucił Allen w chwili, gdy za Natalie zamknęły się drzwi.

Hunter poczuł, że budzi się w nim gniew, ale zaraz pojawiło się rozbawienie.

- Czy pana zdaniem powinna do końca życia pozostać w celibacie?

- Miał pan ją chronić! - odwarknął wściekły Allen. - Nie będzie się wiązała z bezrobotnym byłym gliną!

- Wydaje mi się, że zostałem zatrudniony - mówił bardzo spokojnie. -Przynajmniej tak mi się wydawało do tej pory. - Z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki wyjął kopertę i cisnął ją na stół. Przejechała aż do Allena i zakołysała się na krawędzi. - Nie wezmę od pana pieniędzy.

- Jest pan jeszcze większym głupcem, niż myślałem. Ona oczywiście nie ma żadnych pieniędzy i niczego nie przyjmie! - stwierdził triumfalnie.

Hunter wstał, podszedł do Hollowaya i popatrzył mu w oczy. Górował nad nim, bo starszy pan był od niego o kilka centymetrów niższy, mimo tego nie cofnął się i odpowiedział mu równie zdecydowanym spojrzeniem.

- Jeśli sądzi pan, że chodzi o pieniądze, panie Holloway, to niech pan uważa, kogo nazywa pan głupcem. - Z tymi słowami odwrócił się, by wyjść.

- Chwileczkę!

Nie zatrzymał się. W cieniu koło wejścia przemknęła Natalie. Hunter skinął jej głową na pożegnanie, ale odjazd uniemożliwił mu Holloway, który wybiegł za nim do samochodu.

- Co pan robi? Dokąd pan jedzie?

- Muszę się zastanowić, jak dobrać się do Russella. Niech się pan cieszy, że nic już nas nie łączy, bo to, co się stanie, nie będzie miłe. - Wskoczył do dżipa i opuścił szybę.

- Co pan zamierza mu zrobić?

- Jeszcze nie wiem.

Hunter uruchomił silnik, ale Holloway zatrzymał go, kładąc dłoń na krawędzi okna.

- Niech ich pan pilnuje - powiedział. Hunter natychmiast odczytał zwięzły komunikat; ten człowiek kocha swoją córkę i wnuka.

Jenny była zdruzgotana. Za kogo właściwie Hunter ją uważa, skoro pozwala sobie na takie kłamstwa?

Pracuje dla jej ojca!

Uwierzyła mu jak idiotka. A któż, jak nie kochany tatuś kupił go i opłacił? Cóż w tym dziwnego? Zawsze jest tak samo.

Uderzyła dłonią w kierownicę. Nienawidzi go. Z całego serca. To było całkiem nowe uczucie. Bała się Troya i rozpaczliwie chciała usunąć go ze swojego życia, ale go nie nienawidziła. Zbyt mocno pochłaniała ją wtedy walka o przetrwanie. Nie czuła więc nienawiści, tylko potrzebę uwolnienia się za wszelką cenę.

Teraz ogarnęła ją furia. Marzyła tylko o tym, by wydrapać Hunterowi oczy, skopać go, walnąć w brzuch. Wykorzystał ją. Nie. Wróć. To ona pozwoliła, by ją wykorzystał. Zachciało jej się seksu i miłości, a Hunter wydawał się do tego idealny.

Cholera jasna. Chciała umrzeć.

Siebie zresztą też nienawidziła. Idiotka czystej wody. Piętnaście lat z daleka od mężczyzn, a potem wpada po uszy w związek, który jest jednym wielkim kłamstwem.

- O Boże... - powiedziała głośno. - Boże...

Szczerze mówiąc, choć to bolesne, zamierzała powiedzieć Rawleyowi o Hunterze. A nawet zaprezentować go jako ojczyma doskonałego. O rany. Przyznaje, wymyślała już obrazki, nieco mgliste, ale pełne szczęścia - ot, marzenia, które sprawiały, że uśmiechała się i chodziła bardziej sprężystym krokiem. Życie stało się odrobinę piękniejsze.

- Idiotko! - wrzasnęła. Miała ochotę krzyknąć ile sił w płucach.

Przeoczyła skręt do obozu, zawróciła, pomstując pod nosem. Podjechała pod bramę, wysiadła z samochodu, przeczesła włosy i musiała przypomnieć sobie, co tu robi. Stwierdziła ze zdziwieniem, że droga zajęła jej dwie godziny. A wydawało się, że trwało to chwilę.

- Przyjechałam po Rawleya Hollowaya - zwróciła się do mężczyzny siedzącego za rustykalnym kontuarem recepcji. Ubrany był w spodenki piłkarskie i koszulkę, do której przypiął identyfikator z napisem TIM, Pod pachą trzymał piłkę. Zza okna dobiegały dalekie krzyki i odgłosy zażartej walki na boisku.

- Rawley Holloway - powtórzył mężczyzna, sprawdzając listę. - Hm. Chyba już wyjechał.

- Co takiego? - Jenny wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na listę. - Mówiłam Janice, że sama przyjadę. Kiedy Rick tu był? Rick Ferguson - dodała cierpko, kiedy zobaczyła zmarszczone czoło Tima.

- Wygląda na to, że zabrał go ojciec. Spytał Bruce'a. To opiekun grupy.

- Ojciec? - powtórzyła. Może coś im się pomyliło. Może to jej ojciec. Albo Rick. A może to w ogóle chodzi o jakiegoś innego chłopaka?

Poszła za Timem, który skinął ręką na kogoś z kadry. Tamten podbiegł, ale zanim Jenny zdążyła się odezwać, Tim spytał:

- Gdzie jest Bruce?

- Och, nie wiem. - Na identyfikatorze przeczytała: PAUL. Jenny nie wytrzymała:

- Paul, szukam syna, Rawleya Hollowaya. Tim mówi, że Bruce był opiekunem jego grupy.

Paul podrapał się w głowę.

- Taa... on jest...

- To jakaś pomyłka - przerwała mu - bo na wykazie w recepcji zaznaczono, że Rawley wyjechał z ojcem.

- Ach, owszem. - Pokiwał głową. - Pamiętam go.

- Tak? Czy to był Rick Ferguson?

- Eee... ojciec Brandona? Nie, to był tata Rawleya. - Jenny czuła podchodzącą do gardła falę paniki.

- Rawley nie ma ojca. Nie mógł go zabrać nikt, kto przedstawił się jako jego ojciec! Opiekunowie patrzyli na nią z niepokojem.

- Miał ze sobą jego paszport. I pokazał nam dowód tożsamości - wyjaśnił Paul.

- Czyj paszport?

- Rawleya. - Paul wzruszył ramionami i spojrział na Tima, czekając na potwierdzenie własnych słów.

- Co to za dowód tożsamości? - spytała słabym głosem.

- Nie pamiętam - wymamrotał Paul. - Bruce'a nie było w pobliżu. Ale Rawley powiedział, że to jego tata. Chciał z nim jechać.

- Paul... - ostrzegł Tom.

- No co! Chłopak ma piętnaście lat. Chciał jechać z ojcem. Mówił do niego: „tato”.

Jenny podniosła dłoń do czoła.

- Czy ten... tata... nazywał się Troy Russell? - wydusiła z wielkim trudem.

Paul rozjaśnił się.

- Tak jest! Troy! To on. Mówiłem ci, że to ojciec - zwrócił się z triumfem do Tima.

Tim patrzył z przerażeniem na Jenny. Sztywnym krokiem przeszła na brzeg boiska i zwymiotowała całe śniadanie.

Jeśli wydawało jej się, że podróż w tamtą stronę minęła zbyt szybko, to powrót do domu włókł się w nieskończoność. Nie była w stanie myśleć. Miała mętlik w głowie. Nic nie miało sensu.

Rawley jest z Troyem.

Nie zdawała sobie sprawy, że szlocha. Nie należało w ogóle puszczać go na ten obóz. Powinien był jechać z nią do Puerto Vallarta. Po co pojechała do Puerto Vallarta!

- O Boże... proszę, Boże... proszę.

Zaparkowała na ulicy koło domu Fergusonów i pędem wbiegła na piętro. Walila w drzwi jak oszalała. Otworzyła Becky.

- Proszę.

- Becky! - Janice wypadła zza rogu. - Nie otwieraj drzwi, kiedy nie ma mnie w domu. - Odprężyła się dopiero na widok Jenny. - Nigdy tego nie rób - skarciła małą. - Nie wiadomo, kto chce wejść.

- To Jenny. - Becky najwyraźniej czuła się urażona.

- Wiem, kochanie, ale mógł to być ktoś inny - odpowiedziała zirytowana Janice. Przyjrzała się twarzy Jenny. - Co się stało?

- Czy Rick przywiózł Brandona? Wrócili już?

- Tak, jakieś dziesięć minut temu. Czemu pytasz?

- On nie... Czy Rawley przyjechał z nimi? - Głos Jenny się załamał. Janice osłupiała i otworzyła usta.

- Jenny, nie! - Złapała ją za rękę i pociągnęła do zagraconego saloniku. Jenny potknęła się o porzuconą ciężarówkę i znów poczuła łzy w oczach.

- Och, Jenny, nie. Wszystko jest w porządku. To na pewno pomyłka. Zaczekaj. - Zgarnę-

ła z kanapy książki i zabawki i posadziła przyjaciółkę. - Rick! Brandon! - Pognała w głąb mieszkania.

Jenny wpatrywała się w swoje splecione dłonie. Modliła się ze zwieszoną głową, kiedy Rick i Brandon weszli do pokoju.

- Jenny? - Rick był przejęty. - Czy Rawleya nie było w obozie, kiedy przyjechałaś?

Podniosła głowę i przetykała łyżę.

- Nie.

- To gdzie on może być? - spytał. - Czy mógł go stamtąd zabrać ktoś inny poza tobą?

- Powiedzieli mi, że jego ojciec.

- Ojciec? - powtórzył tępo Rick. - To znaczy kto?

- Troy - odpowiedziała Jenny zdławionym głosem.

- Co? - Rick patrzył na nią ogłupiony. - No nie. W jaki sposób? Przecież to nie ma żadnego sensu! - Odwrócił się do Brandona, który stał, wpatrując się w swoje buty. - Brandon?

- Mhm. - Chłopak nie podnosił wzroku.

- Czy coś wiesz na ten temat?

- Jaki?

- Brandon! - Rick tracił cierpliwość.

- Brandon, proszę cię. - Jenny błagalnie podniosła dłoń. Chłopak rzucił na nią przelotne spojrzenie. Jego zboląta twarz potwierdziła jej najgorsze obawy. - Czy to był... jego ojciec?

- Mówił, że jest ojcem. Rawley strasznie chciał z nim pojechać. Mnie się nie podobał! - Popatrzył przerażony na ojca. - Naprawdę. Mówiłem mu, żeby z nim nie jechał, ale Rawley był jak w transie!

- O rany! - Rick podniósł rękę. - Zaczynaj od początku.

- Czy to był wysoki, przystojny mężczyzna z czarnymi włosami? - spytała Jenny. Brandon skinął głową i się rozplakał. - Muszę iść - powiedziała, ściskając torebkę. - Muszę iść do domu, może znajdę jakąś wiadomość.

- Brandon, dlaczego nic nie powiedziałeś? - Rick był zły, więc chłopak rozszlochał się na całego.

- Daj mu spokój - poprosiła Jenny, ruszając do drzwi. - To nie jego wina, tylko Troya.

Kiedy szła do swojego mieszkania, nogi ciążyły jej, jakby były z ołowiu. Zrobiło jej się słabo. Przycisnęła dłoń do ust i mocno chwyciła się poręczy. Przecież Troy jest ojcem Rawleya. Nie zrobi mu krzywdy. To jego syn!

Od drzwi dobiegło ją basowe warknięcie. Benny jeżył sierść na karku i odsłaniał kły.

- Benny - szepnęła przerażona, ale pies się nie poruszył. Drzwi gwałtownie się otworzyły i stanął w nich Rawley.

- Mama?

Omam nie zemdlą z ulgi.

- Rawley! - Po policzkach Jenny płynęły łzy. Porwała syna w objęcia, ściskała go, nie uważając nawet, że nagle zeszywniał.

- Cześć, Jenny!

Jej serce przestało bić na dźwięk lodowatego głosu. Ponad ramieniem Rawleya patrzyła na Troya Russella. Stał w holu, we własnej osobie. Nawet jego uśmiech mroził krew w żyłach. Jenny poczuła strach. Jedyńm wsparciem był głęboki charkot wydobywający się wciąż z gardła Benny'ego, który czujnie obserwował każdy ruch Troya.

Rozdział 11

Minęło piętnaście lat, a on wciąż wyglądał tak samo. Przeszła obok, starając się za wszelką cenę opanować. Rawley jest bezpieczny i tylko to się liczy.

- Przyjechaliśmy razem z obozu - mówił Rawley, zamykając drzwi.

- Wyrzuć tego psa - rozkazał Troy.

- Benny może zostać - głucho powiedziała Jenny, kiedy Rawley sięgał do obroży Benny'ego, żeby wypełnić polecenie ojca.

Troy zacisnęła usta. Rozpoznawała objawy źle skrywanej wściekłości. Piętnaście lat nie wystarczyło, by wszystko wymazać z pamięci. Benny warknął i Rawley trącił go tenisówką.

- Hej! Co jest?

- Włamałeś się do mojego mieszkania - stwierdziła Jenny, patrząc mu w oczy. - Ukradłeś paszport Rawleya i pojechałeś po niego na obóz.

Troy przysiadł na stoliku obok kanapy. W jego niebieskich oczach były chłód i wyrachowanie, które Jenny aż za dobrze pamiętała. Trochę przytył, ale nie zaszkodziło to jego urodzie. Tak naprawdę wyglądał jeszcze lepiej niż kiedyś. Jenny uznała, że to nie w porządku, by ktoś tak zły mógł prezentować się tak atrakcyjnie. To śmiertelnie groźne.

- Nie, wszedłem tylko do środka. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte. Pewnie ktoś się włamał, kiedy wyjechałaś. Niepokoilem się o ciebie. Wszedłem, zawołałem cię i wtedy ten pies się na mnie rzucił! - Spojrzał na Benny'ego, który nie spuszczał z niego wzroku. Najwyraźniej poznał swojego wroga.

- Mamo! - usiłował wtrącić się Rawley.

- Nie wierzę ci. Zabrałeś jego paszport. - Troy zmrużył oczy.

- Leżał obok fotografii. Nie raczyłaś mi powiedzieć, że mam syna.

- Mamo!

- To nie jest twój syn. - Troy uśmiechnął się szerzej.

- Wiem, że to mój tata! - krzyknął Rawley. - Mam zdjęcie! - Rzucił się do plecaka.

- To nie jest twój syn. Nie masz do niego żadnych praw - wysyczała cicho Jenny. Zebrała resztki sił i przeszła do saloniku. Usiadła ciężko na kanapie.

- Mamuś... mamuś. - Rawley przycupnął na krześle naprzeciwko. W rękę trzymał zdjęcie Troya. Jenny rzuciła okiem na wyblakłą fotografię, ale nie wzięła jej. Wszystko ją bolało.

Chłopak spojrział na ojca, a potem zwiesił dłonie między kolanami, trzymając zdjęcie. Widać było na nim charakterystyczny uśmiezek Troya, choć ząb czasu nieco nadgryzł papier.

- Przyjechał na obóz kilka dni temu - dodał niespokojnie chłopak. - Od razu wiedziałem, kim jest. Rozpoznałem go!

Znów spojrzała w oczy Troya. Było w nich tyle satysfakcji, że miała ochotę krzyknąć.

- Jego nazwiska nie było na liście.

- No to co? To mój tata i miał ze sobą mój paszport. Tylko to się liczy!

- Wyrobiłam ci paszport, żebyś mógł pojechać do Puerto Vallarta.

- Ale nie pojechałem! - wrzasnął Rawley, jakby była kompletnie głucha. - Byłem na obozie piłkarskim razem z Brandonem! A potem zobaczyłem tatę i myślałem, że to ty go przysłałaś i tak się ucieszyłem!

Troy przesunął wzrokiem po jej ciele. Jak pan i władca. Jenny wzdrygnęła się. Na wspomnienie dotyku jego rąk poczuła się brudna. Zbierało jej się na mdłości.

- I nigdy mu o mnie nie powiedziałaś - oskarżał ją Rawley urażonym tonem. - Nigdy. -

Zacisnął usta, jakby za chwilę miał się rozplakać. -Dlaczego?

Jenny popatrzyła na niego bezradnie, a potem ze złością przeniosła wzrok na Troya. Uniósł jedną brew. Myliłam się, pomyślała. Nienawidzę go.

- Bo nie mam do niego zaufania.

- Przecież jestem jego synem. - W szeroko otwartych oczach Rawleya malował się zawód.

- Wiem. - Odetchnęła głęboko. - Przykro mi.

Chciała wyciągnąć do niego rękę, ale cofnął się, uprzedzając jej gest. Poczowała ucisk w gardle. Jeśli go teraz straci, nigdy sobie tego nie daruje.

- Nadrabialiśmy stracony czas - Troy mówił swobodnym tonem. - Pokopaliśmy trochę piłkę i mieliśmy okazję nieco się poznać.

- Rick nigdy cię nie spotkał w obozie. - Słyszała swój klótnliwy głos, ale nie mogła się odprężyć. Nie teraz, dopóki jest tu Troy. To tak jakby odwróciła uwagę od grzechotnika. Wzdrygnęła się, niemal czując na skórze jego obleśne spojrzenie.

- Rick? To ojciec Brandona? - Rawley skinął głową.

Troy roześmiał się ponuro.

- Mieli go powyżej uszu na tym obozie, bo bez przerwy tłumaczył im, jak mają grać. Ale on sam nie umie grać. W ogóle.

- Trochę zna się na piłce nożnej. - Rawley naiwnie próbował bronić Ricka.

Jenny wiedziała, że Troy kłamie w sprawie włamania. Zdawała sobie sprawę z wielu rzeczy, o których Rawley nie miał pojęcia. Nie była to jednak odpowiednia pora na wrzaski i awanturę. Wiedziała z doświadczenia, że ją przegra, a na dodatek klótnia mogła tym razem przerodzić się w coś o wiele gorszego.

- Sądziłam, że przyjechałeś przeproszać i obiecywać poprawę - stwierdziła obojętnie.

- Poprawę? - Patrzył chłodno. - I kto to mówi?

- O co wam chodzi? - spytał Rawley. Jenny popatrzyła na syna.

- Rawley, muszę zamienić kilka słów z Troyem w cztery oczy.

- Dlaczego?

- Proszę cię.

Zacisnął usta i gniewnie zmarszczył brwi. Był w tej chwili tak podobny do ojca, że Jenny omal nie pękło serce. Nie ma w nim nic z Troya! Nie!

Bez słowa wyszedł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami. Chociaż raz nie włączył muzyki na cały regulator. Nasłuchiwał.

- Jenny, Jenny - zaczął Troy słodko. - Nigdy mi nie mówiłaś.

- I nigdy bym tego nie zrobiła. - Jej opór wyraźnie go zdumiał.

- To chyba dobrze, że się dowiedziałem, co? - Obszedł dokoła kanapę i usiadł tak blisko, że dotknęli się udami. Zachichotał, kiedy odruchowo się odsunęła. - Nie wyluzowałaś przez te lata ani trochę.

Miał czelność odsunąć jej lok z policzka. Odepchnęła jego rękę. Patrzyli sobie w oczy i Jenny z przerażeniem spostrzegła w nich narastające pożądanie.

- Ty mała suko - wyszeptał.

- Dotknij mnie, a każę cię aresztować. - Uśmiechnął się cynicznie.

- Śledziłeś mnie? - rzuciła.

- Mogłem tu przyjść w każdej chwili.

- Ty jesteś Mike Conrad - szepnęła.

Zarechotał i wycelował między jej oczy dwa złożone palce.

- Bang!

Jenny nie mogła uwierzyć, że prowadzi taką rozmowę.

- Włamałeś się tu. Dowiodę tego. Czego chcesz, Troy? Pieniądzy? Już przepuściłeś wszystko, co dał ci mój ojciec? Nie dotykaj mnie - dodała wściekłym szeptem, gdy jego dłoń znalazła się zbyt blisko jej uda.

- Daj spokój, Jenny. Wyluzuj. - Zatrzymał wzrok na jej nogach. Z trudem opanowała chęć zaciśnięcia kolan.

- Wynoś się stąd.

- Nie możesz zabronić mi widywania syna. Mogę wnieść sprawę do sądu. Co powiedzą na to, że majątna ekszona tak długo utrzymywała w nieświadomości ojca swojego dziecka?

- Opowiem o tym, co było. Jak mnie biłeś.

Słyszała, jak wciągnął powietrze. Czowała, że włos jeży się jej na skórze. Ruszał się jak błyskawica. W ułamku sekundy przygniótł ją, miażdżył ustami jej wargi, wpychał język do ust, które otworzyła do krzyku.

- Chłopak usłyszysz - szepnęła z wściekłością, zachwycony swoją siłą, przewagą, triumfująco. - Całą winę zwalę na ciebie. Ukrywałaś go przed ojcem!

- Odwal... się... ode mnie! - krzyknęła, bliska hysterii.

- A kogo on wybierze, hm? Jak ci się zdaje?

Złapał ją za krocze, ale po sekundzie się cofnął. Dyszał z podniecenia, Jenny widziała wybrzuszenie pod spodniami. Obserwował ją. Czekał na reakcję.

Jenny też dyszała, z przerażenia. W głowie miała tylko jedną myśl. Uciec. Rawley i ja. Do Santa Fe.

- Skończ sobie sama. Zrobiłem to, co lubisz. - Ledwie słyszała jego szept.

Kiedyś nie był aż tak agresywny. Zimna potrzeba dominowania przeszła w coś nowego, i bardziej niebezpiecznego. Zawsze lubił się znęcać, ale teraz była to jawna agresja na tle seksualnym. Wiedziała, o czym myśli, usta miała wyschnięte jak spalona ziemia.

To starcie przegrała.

- Ile... to będzie kosztowało? - wyszeptowała.

- Och, nie... - Pokiwał palcem przed jej nosem. - Jestem twój, skarbie. Ty, ja i Rawley.

- Zabiję cię, jeśli spróbujesz zabrać mi syna. - W odpowiedzi uśmiechnął się odrażająco.

*

Hunter nie lubił tego uczucia. Jeździł przez jakiś czas bez celu, spoglądając na zegarek i zastanawiając się, kiedy Jenny wróci z Trzech Wiatrów. Pewnie jest już w domu. Z synem. Czy może wpaść tam po prostu, bez zaproszenia, by zorientować się w jej uczuciach?

Nienawidzi cię. Przecież powiedziała.

Nie wierzył w to ani przez chwilę. Ale zawiódł ją i w przewidywalnej przyszłości chyba nie ma co liczyć na wybaczenie. Gdyby był sprytny, odczekałby parę miesięcy i zobaczył, jak się sprawy mają. Niech Jenny zadomowi się w Santa Fe.

- Cholera - mruknął. Po diabła się w to wpakował? Jak to się stało? Ale sama myśl o niej... ta miękka skóra i słodkie westchnienia... poczucie humoru... seksowny ruch, jakim odgarnia włosy z twarzy.

Poza tym jest Russell. Zasadniczy powód, dla którego Hunter podjął się tej pracy. Nie może teraz zostawić Jenny samej, nawet gdyby nigdy już miał jej nie dotknąć.

Podjechał pod jej dom, zaparkował i wolno przeszedł przez dziedziniec, a potem po kilku schodkach do drzwi. Zapukał lekko. Nikt nie otworzył. Powtórzył głośniejsze. Usłyszał za drzwiami ciche kroki i uświadomił sobie, że ktoś obserwuje go przez wizjer.

Nagle drzwi otworzyły się szeroko. Stała w nich Jenny, z szaleństwem w oczach.

- Przepraszam... - wybąkał. - Przepraszam. Chcę cię tylko chronić.

- Za późno! - powiedziała łamiącym się głosem.

Wszedł do mieszkania, potrącając ją ramieniem, i rozejrzał się z niepokojem. Gdyby miał przy sobie broń, natychmiast by ją wyciągnął. Odruchowa reakcja gliniarza.

- Nie ma go tu. Wyszedł. Na razie.

- Russell? - spytał Hunter, odwracając się, żeby jej się przyjrzeć. Skinęła głową.

- A moje dziecko... - Załamała się, ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się.

- Jenny. - Wziął ją w ramiona. Opierała się przez chwilę, ale w końcu przyłgnęła do niego mocno. - Co tu się stało?

- Zabrał Rawleya. - Poczuli, jak Hunter sztywnieje i zakaszła. - Nie. nie... Rawley chciał z nim iść. Poszli po prostu... do kina...

Posadził ją na kanapie. Była o krok od ataku hysterii. Znal te objawy, widywał je u Michelle po jej walkach z Troyem.

- Co ci zrobił? - spytał łagodnie. Michelle nigdy wszystkiego mu nie mówiła.

Zabije go.

Jenny nie odpowiadała. Nie mogła.

- Zrobił ci krzywdę?

- Nie mam żadnych śladów - odpowiedziała z goryczą. Ujął jej ramiona i obrócił ku sobie.

- Jenny, posłuchaj mnie. Nie pozwolę, by kiedykolwiek cię skrzywdził. Rozumiesz?

- Nie mogę myśleć. On jest... gorszy niż kiedyś. - Hunter zacisnął zęby.

- To sadysta. - Zupełnie opadła z sił.

- Tak...

Śluchał jej płytkiego, urywanego oddechu i zastanawiał się. Co zrobi teraz Troy, skoro zna prawdę o Rawleyu? Wiedział, że ten człowiek nie ma sumienia. Chciał tego, co akurat przychodziło mu do głowy. I pieniędzy. A także seksualnej władzy nad kobietami.

- Nie skrzywdzi własnego syna - powiedział.

- Mówiłeś, że go znasz. - Kurtka Huntera tłumiała głos Jenny. - Naprawdę tak sądzisz?

- Wiem, że mu na to nie pozwolę.

- Skąd go znasz?

Zawahał się. To z pewnością nie pora, żeby opowiadać o tragedii Michelle, o tym, że to Troy zabił jego siostrę, zwłaszcza kiedy jest z nim teraz Rawley.

- Poznałem go w Los Angeles.

- Czy mój ojciec z tobą rozmawiał?

- Tak. Przez swoich adwokatów.

- Nie rozumiem - mruknęła, odsuwając się i przesuwając ręką po czole. Oczy jej błyszczały, policzki miała zarumienione. - Muszę jak najszybciej jechać do Santa Fe. Dziś wieczorem. Muszę od niego uciec.

- Pojadę z tobą.

- Nie mogę... - Wykręcała dłonie. - Nie mogę cię o to prosić.

- Kiedyś muszę tam wrócić. Pojedziemy razem.

- Ja...

Zadzwoił telefon. Oboje drgnęli. Jenny popatrzyła na aparat, jakby to był naładowany i wycelowany w nią pistolet, ale po chwili mruknęła:

- Rawley. - Podniosła słuchawkę. Hunter podszedł do niej.

- Wróciliśmy! - odezwał się śpiewny głos Magdy. - Jenny, kochanie, pospiesz się i przyjeżdżaj. Santa Fe jest przepiękne. A twoja restauracja! Boże, dziewczyno! Przejeżdżaliśmy

obok w drodze do domu; właściwie wszystko jest gotowe! - Urwała i nasłuchiwała przez chwilę. - Jesteś tam?

- Tak.

- Wszystko w porządku? - W jej głosie brzmiała troska. Jenny pociągnęła nosem. Już nic nigdy nie będzie w porządku.

- Nie mogę się doczekać, kiedy was zobaczę.

- Miałaś jakiś sygnał od Huntera po powrocie?

- Tak.

- Masz taki smutny głos.

- Och, Magda, nie mogę teraz rozmawiać. Będę w Santa Fe pod koniec tygodnia.

- W porządku - powiedziała Magda, nieco zmrożona lakonicznymi odpowiedziami Jenny. - Wytrzymaj te parę dni. Całujemy cię oboje z Phi-lem.

- Ja was też. - Szybko odłożyła słuchawkę. Czuła, że za chwilę rozsypie się w kawałki. Popatrzyła na Huntera; potrzebowała teraz jego siły i milczącego zrozumienia bardziej niż cokolwiek na świecie. Chciała zwinąć się w jego ramionach, ale tylko wzięła głęboki oddech i powiedziała już trochę spokojniej: - Zaczę się pakować. - Przeszła obok niego i otworzyła drzwi do swojej garderoby.

Troy siedział na najnudniejszym filmie, jaki zdarzyło mu się w życiu oglądać. Jakaś historia o kung-fu, która miała być dobra i zabawna, ale Troy nie mógł ścierpieć tego, że główna bohaterka zawsze wygrywała. Za każdym razem, kiedy powalała jakiegoś stu pięćdziesięciokilogramowego faceta, z trudem powstrzymywał się, by nie parsknąć śmiechem. Potrzebny był jej facet, który by ją porządnie przerznął. Miała niezłe cycki, ładnie sterzące pod elastycznym topem. Chętnie by jej przyłożył w twarz. Tak, żeby poczuła.

Wyciągnął z kieszeni paczkę gum i wsunął do ust jeden płatek. Chłopak rzucił na niego okiem, więc Troy po cichu spytał go, czy też ma ochotę. Pokręcił głową. Troy ukradkiem przyglądał się jego profilowi. Podobny do Jenny, ale to zdecydowanie jego syn. Tak jest. Przypominał sobie wyraz jej twarzy i zaśmiał się cicho. Co za suka! Tyle lat ukrywać przed nim dzieciaka! Miał ochotę pisać z zachwyty. Teraz ją ma. I starego też.

Ale ich załatwi. Najchętniej biłby się ze śmiechu po kolanach.

- Podoba ci się? - spytał Rawley, głosem tak pełnym nadziei, że Troy omal nie potargał mu serdecznie czupryny.

- Fajna akcja.

- Noo. Mnie też się podoba.

Urok. Tylko tego trzeba. Nawet wobec piętnastolatka. Ciekawe, czy łatwo da się go nastawić przeciw Jenny? Wygląda na to, że raczej tak. A co ona będzie gotowa zrobić, żeby odzyskać jego względy? Wszystko. Na pewno.

Przez kilka chwil rozkoszował się marzeniami. Wyobraził sobie, jak Jenny czołga się u jego stóp z płaczem i błaganiami. Zacisnął pięści, lecz natychmiast rozluźnił je z uśmiechem. Może ją mieć, kiedy tylko będzie chciał. Na wszystkie sposoby.

Od tyłu, na czworakach. Przypartą do ściany. Na stole. Ostro go potraktowała, ale teraz jego kolej.

Film się skończył i Troy z niechęcią rozstał się ze swoimi marzeniami. Chce też pieniędzy. I to szybko. Gotówka topniała błyskawicznie, a kredyt na karcie od Patricii już się kończył. W drugorzędym hotelu, gdzie się zatrzymał, poproszą go o nią, jeśli będzie chciał przedłużyć pobyt.

- Co robimy teraz? - spytał chłopak, kiedy wyszli z kina.

- Chyba powinienem odwiedzić cię do matki.

Grymas buntu, który na ułamek sekundy zobaczył na jego twarzy, niesłuchanie go ucieszył.

- Nigdy tam nie wrócę. Nie chcę!

- Och, daj spokój. Robi się późno. Nie masz jutro lekcji czy czegoś takiego?

- Nie wracam tu do szkoły. Wyprowadzamy się. - I natychmiast zapytał: - Gdzie mieszkaś?

- Ja właściwie też się przeprowadzam. A wy jedziecie do Santa Fe. - Ta wiadomość zresztą dość niemile go dotknęła. Właśnie w Santa Fe osiedlił się ten pokrecony gliniarz Hunter Calgary, kiedy przez Troya wyleciał z roboty. Według Troya był on krwiożerczym szaleńcem, a w Santa Fe jest za mało miejsca dla nich obu.

- Nie chcę tam jechać - oświadczył Rawley. - Od początku nie chciałem. Chcę zostać tutaj z moim przyjacielem Brantdonem.

- Zaraz, zaraz, zaczekaj chwilę...

- Mama otwiera tam restaurację. - W jego głosie pojawił się odcień dumy. - Będzie tam naprawdę dobre żarcie.

Kopnął kamień. Szli do wynajętego samochodu. Widok forda wkurzył Troya. Potrzebował lexusa, porsche albo jaguara. Rany, chciał zabić Frederickę, kiedy odebrała mu kluczyki od jej drugiego mercedesa. Tylko dlatego, że była psychiczna.

- Kiedy wyjeżdżacie? - spytał.

- Nie wiem. Pewnie w tym tygodniu.

Złość Troya przeszła w lodowatą furję. Ten stary, chytry sukinsyn Allen Holloway nie raczył mu wspomnieć o planach Jenny. Całe szczęście, że ta kelnerka U Riccarda dała mu parę wskazówek, a jeszcze lepiej, że złapał kontakt z Rawleyem, bo chłopak był kopalnią informacji.

- Ale ja nie jadę - powtórzył buńczucznie Rawley. - Jak będę musiał, to zostanę u Fergusonów.

- Czekaj. Ja mieszkam niedaleko Santa Fe.

- Naprawdę?

- Wiesz, gdzie jest Taos? - Rawley pokręcił głową i Troy pogratulował sobie w duchu, że poznał wszystkie posiadłości Frederici. Dom będzie oczywiście zamknięty na cztery spusty, ale zawsze jakoś można się dostać do środka. - Mam tam dom. Nie za duży. I ranczo, mniej więcej godzinę drogi na północ od Santa Fe.

Chłopak nadstawił uszu.

- Naprawdę?

- Mhm.

- A co robisz?

Troy po raz pierwszy poczuł ukłucie niechęci do tego małego bękarta.

- Inwestycje. Transakcje terminowe. Takie rzeczy.

- Och.

Wsiadł do samochodu i Troy ruszył w stronę domu Jenny.

- Mam parę spraw do załatwienia, więc wyrzucę cię pod domem.

- Nie chcesz już spotkać się z mamą. - Domyślił się.

- Nie. Twoja mama jest wielką damą. Musiałbym się najpierw umówić.

Sam urok.

Rawley chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale zamknął buzię, co Troy przyjął z ulgą. Kiedy mały wysiadł, odwrócił się jeszcze i spytał w charakterystyczny dla dzieciaków obojętny

sposób, który ukrywa wszystko poza ich głupotą:

- Przyjedziesz jutro?

Troy zmusił się, by przywołać na usta czarujący uśmiech.

- Może. Do zobaczenia, mały.

Odetchnął z ulgą, kiedy wrzucił bieg i skręcił za róg. Chyba nie lubi tego dzieciaka. Za grzeczny. Może jak podrośnie, coś z niego będzie.

Ale był świetnym narzędziem, i to dokładnie takim, jakiego Troy potrzebował.

Rawley patrzył, jak samochód ojca znika za zakretem. W wieczornym mroku migały tylne światła. Był pełen sprzecznych uczuć. Przede wszystkim czuł wściekłość na matkę, która opowiadała mu, że tata jest nieudacznikiem i próżniakiem. Same kłamstwa. Gdyby powiedziała prawdę, już dawno mógłby mieć ojca.

I jeśli chodzi o ścisłość, zawsze była przeciwko niemu! Idąc w stronę domu, Rawley usłyszał za sobą szczeknięcie. Obejrzał się. Benny.

- Hej, głupolu - powiedział do niego ciepło - dlaczego nie lubisz mojego taty?

Pies skoczył na niego, a Rawley złapał go za uszy i udawał, że się z nim mocuje. Benny na niby pokazywał zęby i warczał, póki Rawley nie pogroził mu palcem przed nosem.

- Niedobry pies. Mój tata to fajny facet. - Niechęć Benny'ego do Troya była trochę niepokojąca.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i w padającym z nich świetle stanął jakiś obcy mężczyzna. Znieruchomiał na ich widok. Benny warknął, a potem obwąchał jego buty i popatrzył jak na starego przyjaciela. Mężczyzna podrapał go za uszami, jakby robił to od lat.

Kto to jest, do diabła? - pomyślał Rawley i spytał ostro:

- Kim pan jest?

- Hunter Calgary.

- Mamo? - Wpadł do holu.

- Pakuje się w swoim pokoju.

Rawley obrócił się ze złością do nieznanego, wpatrując się w jego szerokie bary i masywną klatkę piersiową. Nie wyglądał na mięczaka. Coś w tym jest. Coś, o czym nie chciał myśleć.

- Mamo! - krzyknął głośniej.

- Rawley!

Usłyszał w jej głosie skrywaną ulgę i to go wkurzyło. Była wściekła, gdy wychodził z ojcem z domu.

Wybiegła z pokoju i mocno go uściskała. Zwykle nie za bardzo go to obchodziło. Jest jego mamą. Tym razem jednak omal jej nie odepchnął i odwrócił wzrok, gdy na jej twarzy pojawił się ból i zdumienie.

- Rawley, to jest Hunter Calgary.

- Cześć - powiedział ostrożnie.

- Cześć, Rawley.

Gość miał na sobie dżinsy, jasnobrązową koszulę i wyglądał na kogoś, kto dużo czasu spędza na świeżym powietrzu. Rawleyowi z każdą chwilą podobał się coraz mniej.

- Hunter jest moim przyjacielem - powiedziała Jenny, przerywając nieszczęsną ciszę, jaka zapadła w pokoju.

Przyjacielem? Rawley miał ochotę krzyknąć. Ty nie masz żadnych takich przyjaciół!

- Pomoże nam w przeprowadzce do Santa Fe.

- Ja nie jadę - rzucił krótko chłopak.

- Oczywiście, że jedziesz.

- Nie. Zostaję tu z Brandonem.

Jenny chciała coś powiedzieć, ale opanowała się, zacisnęła usta i popatrzyła na niego wzrokiem, pod którym zwykle miękł. Teraz nawet nie mrugnął. Stawka była zbyt wysoka. Nie życzył sobie, żeby ten facet się wtrącał i rzucił mu wymowne spojrzenie. Hunter odpowiedział lekkim uniesieniem brwi. Rawley nie potrafił powiedzieć, czy oznaczało to rozbawienie, czy lekceważenie.

- Oczywiście chodzi o Troya - wyjaśniła Jenny.

- Lubię go - powiedział odruchowo Rawley. Skinęła głową.

- Potrafi być czarujący.

- Co to niby ma znaczyć?

- On nie był dla mnie dobry, Rawley. Jeśli chcesz wiedzieć więcej, pytaj. Ale nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia na ten temat.

- Taak? A on mówił o tobie bardzo ładnie! - krzyknął.

- Nie chodzi o to, co mówi, tylko co robi.

- A co takiego robi? No co?! - dopytywał się Rawley. Widząc, że matka zamierza właśnie coś powiedzieć, uciał: - Nie mów. Nie odzywaj się do mnie. I tak powiesz mi same kłamstwa. Tylko tyle potrafisz. Kłamiesz! Okłamałaś mnie! Nie pojedę do żadnego Santa Fe!

Wpadł do swojego pokoju i zatrzasnął drzwi, dając im do zrozumienia, że nie będą mu niczego narzucali.

Przycisnął ucho do drzwi. Usłyszał kroki, szybko odskoczył, złapał piłkę do koszykówki i zaczął przerzucać ją z ręki do ręki, jakby nic na świecie go nie obchodziło. Ciche pukanie. Mama.

- Słucham?

Jenny wsunęła głowę przez szparę, odgarnęła włosy z twarzy. Ładna ta jego mama. Zawsze był dumny z jej urody. Czasem oglądali się za nią faceci.

- Jestem zmęczona, Rawley. Idę spać.

- A on? - spytał szybko, zaniepokojony.

- Hunter wychodzi. Spotkamy się z nim w piątek. Musimy załatwić przewiezienie rzeczy do Santa Fe. Dobranoc.

Ten facet jedzie z nimi do Santa Fe? Rawley cisnął piłkę i zagryzł zęby. Nigdy nie kłął. W przeciwieństwie do Brandona. Jego matka dostałaby ataku serca, gdyby usłyszała, jak potrafi się wyrażać. Ale wynajdywał teraz w głowie jak najgorsze określenia na Huntera Calgary'ego. Wymawiał je głośnym szeptem i nerwowo oglądał się na drzwi.

Wiedział, co myślał ten facet, kiedy patrzył na mamę. To go wkurzało. Dlaczego zostawiła tatę? Nie powinna była.

Nie.

Chciał mieć oboje rodziców.

Chciał tylko tego.

Jenny wyszła z Hunterem przed dom. Nawet w półmroku widać było, że zmizerniała na twarzy. Chciał ją pocieszyć, ale nie był w stanie przekonywać jej, że wszystko jakoś się ułoży. Znał Troya Russella i wiedział, że to niebezpieczny człowiek. Jenny zresztą wiedziała to również dobrze.

Milczeli. Hunter przestępował z nogi na nogę; nie chciał odchodzić. Moment skrępowania przedłużał się.

- Nie powinnaś być tu sama - stwierdził w końcu.

- Wiem, ale nie możesz tu zostać.

- Chodzi mi o twoje bezpieczeństwo.

- Nie musisz z nami jechać - powiedziała, nie zwracając uwagi na jego słowa.
- Pojadę. Będę tu w piątek o świcie. - Odchrząknął. - Ale i tak ktoś powinien być tu z tobą.

- Nie trzeba. Wszystko w porządku. To tylko parę dni. Sam mówiłeś, że Troy nie skrzywdzi Rawleya.

- Będę w pobliżu, żeby mieć na niego oko.

Skinęła głową. Pomyślała z ulgą, że w razie czego pomoc będzie niedaleko.

- Mam nadzieję, że więcej nie przyjdzie. - Ze spojrzenia Huntera można było wyczytać, że jej naiwność co najmniej go dziwi.

- Pojedzie wprost do twojego ojca - ostrzegł Hunter.

- Powinam chyba do niego zadzwonić. Uprzedzić go.

- Myślę, że sam zadzwoni - powiedział Hunter, uśmiechając się nieznacznie. - Miałem z nim... spotkanie... dziś po południu.

- Wie o nas?

- Już dla niego nie pracuję.

Zdobyła się na uśmiech. Chciał ją pocałować, ale wyczuła to i lekko się odsunęła. Może nigdy mi nie wybaczy, pomyślał. Lubi mnie na tyle, żeby pozwolić mi kręcić się w pobliżu, ale to, co razem przeżyliśmy, może się już nigdy nie powtórzyć. Takie jest życie.

- Dobranoc, Hunter - powiedziała, wchodząc na klatkę schodową. Poczekał, aż w jej oknach zgasną światła, a potem wszedł do dżipa i rozpoczął nocne czuwanie.

Rozdział 12

Santa Fe, zbudowane wokół centralnego placu, który zamykał historyczny szlak do Santa Fe, było dla Jenny ósmym cudem świata. Jej pionierski duch wywodził się z dręczącego ją niemal przez całe życie pragnienia, by uciec od swoich korzeni. Objechała plac otoczony zabawkowymi kamienicami, w których mieściły się galerie sztuki, restauracje i Muzeum Pałacu Gubernatora, a potem ruszyła Canyon Road, dawną ścieżką Indian, która dziś pełna była malowniczych lokalików, sklepów i galerii, wreszcie skręciła na wschód, do jednej z ekskluzywnych dzielnic willowych.

Mieszkanie, które tu wynajęła, nie różniło się zbyt standardem od domu w Houston, ale było znacznie droższe. I tak miała szczęście. Większość apartamentów w jej budynku była zamieszkała przez właścicieli; posiadacz tego konkretnego mieszkania rzadko z niego korzystał i w końcu postanowił je wynająć. Jenny pojawiła się we właściwym czasie na właściwym miejscu. Mogła oczywiście wziąć trochę pieniędzy ze spadku i znaleźć coś droższego, ale chciała zainwestować trochę w restaurację i zostawić sobie rezerwę na czas, gdy interes będzie się rozkręcał.

Teren był ogrodzony, a Jenny miała pilota otwierającego bramę. Poczula cudowną ulgę, kiedy kuta brama zamknęła się za nią. Bezpieczeństwo. Nowe życie. Nowy dom.

Rawley siedział rozparty na fotelu pasażera i udawał, że się nie rozgląda. Przez całą drogę był wyjątkowo niesympatyczny. Otwierał usta tylko po to, by przypomnieć jej, jakim wspaniałym facetem jest Troy, jak obrzydliwie zachowała się, ukrywając przed nim prawdę i jak go unieszczęśliwiła, zmuszając do rozstania z Fergusonami.

Zepsuł jej całą podróż. Miała jednak dla niego niespodziankę przygotowaną razem z Fergusonami i Hunterem i bardzo liczyła na to, że zmieni ona jego nastawienie do nowej sytuacji. Spojrzała we wsteczne lustro. Dżipa Huntera nie było nigdzie widać. Nie żeby się go spodziewała. Odprowadził ich za miasto, a potem zawrócił i ostatecznie wyjechał mniej więcej osiem godzin po nich. A jednak wciąż o nim myślała, choć próbowała wmawiać sobie, że nic jej nie obchodzi.

Nie widywali się zbyt często w ostatnich dniach, ale sama świadomość, że jest w pobliżu, pomagała jej opanować napięcie przed wyjazdem. Troy przyszedł dwa razy, zawsze wtedy, gdy Jenny nie było w domu. Być może widział, jak wychodziła. Może zauważył dżipa Huntera i zdał sobie sprawę, że Jenny ma ochronę? Tak czy inaczej wpadał do Rawleya, umacniał pozycję „tatusia” i coraz wyraźniej odciągał chłopaka od matki. Wiedział teraz wszystko o jej planach; Rawley wtajemniczył go we wszystkie szczegóły. Jenny modliła się, by pozwolił im wyjechać z Houston bez niespodzianek.

Troy ujawnił część swojego planu: zażądał pieniędzy od Allena. Holloway był bliski zawału. Jenny wprawdzie zabroniła wypłacać mu cokolwiek, jednak Allen nie zamierzał jej słuchać i dał Troyowi sporą sumę. Popęłił błąd, mówiąc Rawleyowi, że jego ojciec jest szantażyście, bo chłopak po prostu odwrócił się od dziadka, za którym i tak do tej pory nie przepadał. Jenny była zirytowana i wściekła na ojca, a Allen jak zawsze pozostał niewzruszony. Taką miał naturę i było mało prawdopodobne, że się zmieni.

Holloway nie ukrywał tego, co myśli o Hunterze.

- To eksplinierz, który się skończył. Żałuję, że go wynajęłam. Kolejny cwaniak, który chce się ucześcić bogatej kobiety.

- To bzdury - parsknęła Jenny. Mogła nie ufać do końca Hunterowi, ale na pewno nie

był to naciągacz.

- Ty się w to pakujesz całym sercem, a on myśli tylko o twoim koncie bankowym.

- Chroni mnie przed Troyem. I tyle - odpowiedziała beznamiętnie.

- Nie próbuj mnie okłamywać. Łączy was dużo więcej. Powiedział mi to.

- Nic nas nie łączy - oznajmiła stanowczo.

- Zatrudniłem go, żeby cię chronił, a teraz potrzebny jest ktoś, kto ochroni cię przed nim. - Allen kręcił głową rozczerowany i zirytowany. - Muszę mieć pewność, że w Santa Fe będziecie bezpieczni.

- Nie martw się. Będzie ze mną Hunter. Jako ochroniarz. A jeżeli tak się martwisz o cenne pieniądze Hollowayów, nie marnuj ich na Troya. Jak długo będziesz go karmił, tak długo będzie wracał pod kuchenne drzwi. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Jenny odetchnęła z ulgą, gdy pożegnalna kolacja dobiegła końca i oboje z synem mogli opuścić pretensjonalną rezydencję River Oaks. Na pożegnanie objęła ojca dość sztywno, a Rawley z demonstracyjnym chłodem podał mu rękę. W drodze powrotnej szukała wzrokiem znajomego dżipa, ale bez skutku. Zobaczyła go dopiero później, w nocy, gdy przez zasłony w sypialni zerknęła na ulicę.

Za to ostatnie spotkanie z całym personelem U Riccarda było wzruszające. Alberto był kompletnie przybity, ponieważ naprawdę nie znajdował już żadnego pretekstu ani sposobu, by zatrzymać swoją „córeczkę”. Na do widzenia wręczył jej ostatnią wypłatę i premię, która odebrała jej mowę. Natychmiast rozmarzyła się, planując, co kupi do swojej restauracji.

Najgorsze było pożegnanie z Fergusonami. Brandon był w szoku, a bliźniaki wykorzystały chwilę nieuwagi rodziców i natychmiast wszczęły awanturę. Janice udawała, że tego nie widzi, uścisnęła Jenny i w związku z nagłym pojawieniem się Troya kazała jej „uważać na siebie”.

Wieczorem wpadła jeszcze na kieliszek wina. Miała dla Jenny prezent, a właściwie niespodziankę dla Rawleya. Wzniosły toast za długą przyjaźń i przyrzekły sobie, że nie zerwą kontaktu.

Skręcając na podjazd pod domem o barwie palonej cegły, Jenny uśmiechała się ze szczęścia. Po pierwsze, uwolniła się od Troya, przynajmniej na jakiś czas, po drugie - od ojca.

Rawley otworzył jedno oko.

- To tutaj? - zapytał znudzony.

- Aha.

Nie miała zamiaru pobłażać jego humorom. Wysiadła z auta, od razu zabierając ze sobą jedno pudło. Większość ich dobytku miała przyjechać ciężarówką w połowie następnego tygodnia, ale Jenny przywozła ze sobą najcenniejsze rzeczy: obrazy, pamiątki i dokumenty. Co z kolei przypomniało jej...

- Następnym razem, kiedy Troy zadzwoni, powiedz mu, żeby oddał twój paszport.

- Wiem, wiem. Mówiłaś mi to sto razy.

Jenny ugryzła się w język, żeby nie rzucić sarkastycznej uwagi. Wyjęła klucze i otworzyła drzwi wejściowe. Nie chciała dać się sprowokować do kłótni na temat Troya. Niech sobie mały burczy, ile chce, może w końcu zorientuje się, że zachowuje się jak głupek i że niczego w ten sposób nie osiągnie.

W mieszkaniu pachniało kurzem. Przeszła do przesuwanych, oszklonych drzwi, otworzyła je i rozsunała zasłony. Do pokoju wpadły ukośne promienie późnego, popołudniowego słońca. Rozejrzała się z satysfakcją. Na swój niedoskonały sposób było to wnętrze doskonałe.

Resztę dnia zajęło jej rozpakowywanie samochodu i ustawianie rzeczy. Mebli nie mieli, siedzieli więc na płycie spod gazowego kominka albo wprost na podłodze. Jenny nie zapo-

niała o telefonie, podłączyła go i od razu zadzwoniła do restauracji, do Glorii.

- Dobrze, że jesteś. Znowu malują - prychnęła Gloria. - Przyjedź i sama zobacz.

Gloria nie należała do osób gadatliwych.

- Jadę do Genevy - zawiadomiła Jenny Rawleya, biorąc torebkę. - Chcesz się ze mną wybrać?

- Nie.

Wyglądał tak żałośnie, że przez moment się zawahała. Po wiosennej przerwie w szkole już zaczęły się lekcje, ale teraz mieli przed sobą cały weekend. Jenny zastanawiała się, co w tym czasie będzie robił Hunter, oprócz pilnowania jej i Rawleya, ale postanowiła o tym nie myśleć. Wszystko się skomplikowało.

Restauracja położona była przy bocznej uliczce, tuż obok Canyon Road. Kiedyś mieściła się tu galeria sztuki, potem herbaciarnia, później właściciel powiększył lokal i rozszerzył ofertę o śniadania i lunch. Po burzliwym rozwodzie firmę sprzedano i przez blisko rok nic się tu nie działo poza tym, że zainteresowane strony targowały się o koszty wynajmu. Kiedy w końcu lokal był wolny od wszelkich obciążeń, Jenny podpisała umowę i rozpoczęła przeróbki i remonty.

Nie była tu od blisko dwóch miesięcy. Na widok zmian zaparło jej dech. Wyglądało na to, że wszystko jest prawie gotowe. Malarze pokrywali właśnie ściany kolejną warstwą ciemnożółtej farby. Jenny przyglądała się im, kiedy doleciał ją delikatny aromat.

W kuchni Gloria stała nad drobnym, szczupłym człowieczkiem, który przyrumieniał w rondelku *chipotle*. Rdzenni mieszkańcy Santa Fe zwykli twierdzić, że „chili jest królem przypraw” i Gloria wyznawała tę zasadę całym sercem. Wszystkie dania przyprawiała taką lub inną odmianą chili, od palącej jak ogień piekielny po łagodną i delikatną. Sos *chipotle* przyrządzała ze zrumienionych, niemal przypalonych papryczek *japalenos*. Łagodniały w wyniku tych zabiegów, a na języku pozostawiały niebiański smak. Tak przynajmniej twierdziła Gloria. Nie dało się zaprzeczyć, że jedzenie było przepyszne, a sam zapach - mimo że pomieszany z oparami farby - sprawiał, że Jenny ślinka napływała do ust.

- Chyba jestem głodna - powiedziała.

Gloria, z rękami skrzyżowanymi na imponującym biuście, wciąż przyglądała się poczynaniom drobnego człowieczka. Czarne oczy ciskały gniewne błyskawice, zacięte usta tworzyły cienką linię. Włosy gładko zaczesane i upięte w kok. Mogła mieć równie dobrze trzydzieści, jak i pięćdziesiąt lat. Była zdecydowanie wybitną osobowością. Gdyby Jenny miała wybierać między gniewem jej lub Alberta, bez wahania wolałaby narazić się Albertowi.

- Jesteśmy spóźnieni - prychnęła. Jenny nie była pewna, czy chodzi o remont, czy o przygotowania kuchenne. Kiedy Gloria odwróciła się tyłem, mężczyzna rzucił Jenny niepewny uśmiech.

- Mówi tylko po hiszpańsku - ucięła Gloria, gdy Jenny otwierała usta, żeby coś powiedzieć. - Ale mimo wszystko nieźle gotuje.

To była wielka pochwała.

- Może powinien to usłyszeć - zaproponowała Jenny.

- On wie, co ja myślę. - Ruchem głowy wskazała na salę restauracyjną, gdzie kończono malowanie. - Ochrzaniłam ich. Grzebią się jak żółwie.

- Odwaliłaś kawał roboty. - Gdy Jenny kończyła swoje sprawy w Houston, Gloria doglądała prac remontowych. Wkładała w to tyle serca, że Jenny zaproponowała jej współdziałanie w firmie. Allen wprawdzie wyśmiałby ją za taki pomysł, ale jego córka doskonale wiedziała, w jakim stopniu sukces restauracji zależy od szefa kuchni. Gloria wciąż zastanawiała się nad jej ofertą. - Wygląda na to, że to końcówka - ciągnęła Jenny. - No to co, otwieramy... w następ-

nym tygodniu?

- W najbliższym tygodniu - sprostowała Gloria.
- W porządku. - Uśmiechnęła się Jenny. - W najbliższym.
- Stoły i krzesła można przywieźć w każdej chwili.

Jenny skinęła głową. Do sali zamówiła stoliki i krzesła z sosny, a do recepcji znalazła w małym sklepie z antykami na Canyon Road stare biurko w stylu hiszpańskim. Z sufitu zwieszały się lampki z dziurkowanymi metalowymi kloszami - każdą z nich można było dowolnie ściemniać i rozjaśniać - a zwieńczone łukiem wejścia ozdobiono motywami szalwii i pinii, roślinami typowymi dla Nowego Meksyku. Trzeba było jeszcze zamalować wyznaczone szablonem wzory na zielono i wykończyć przejścia z sali do sali.

Północna ściana, przeszklona od góry, wpuszczała do środka jasne światło dzienne. Gdyby nie miejska zabudowa, byłoby widać góry Sangre de Cristos.

Jenny nie mogła doczekać się otwarcia. Ale najpierw...

- Muszę się rozpakować. Włączyłam telefon. To ten numer, który podałam ci wcześniej. Załatwiłam go, gdy byłam tu ostatnio. - Gloria chrząknęła coś w odpowiedzi. - Wpadnę jutro. To kiedy możemy zaczynać?

- Umówiłam ludzi do pracy na środę.

- Musimy przeprowadzić próbę generalną - powiedziała Jenny. - No i trzeba zadbać o reklamę. Ogłoszenia są, ale dobrze by było podać datę otwarcia. Może być piątek?

Gloria skinęła głową.

- Trzeba będzie popracować trochę w czasie tego weekendu. Nauczyć ludzi gotowania paru dań; nie mam przecież oczu dookoła głowy. - Popatrzyła na lekko przerażonego kucharza.

Jenny wyszła z kuchni. Wydawało jej się, że Gloria nie ma o sobie zbyt wysokiego mniemania. Ona sama gotowa była wierzyć, że jej szefowa kuchni naprawdę ma oczy dookoła głowy.

W domu uświadomiła sobie, że nie przywiozła żadnej lampy. Panowała w nim absolutna ciemność. Trochę pomogło zapalenie świateł w kuchni.

- Rawley? - zawołała, czując niespokojny trzepot serca.

- Ehe... - dobiegł ją znudzony głos gdzieś z holu.

Tu też światło dzięki Bogu działało, nie musiała więc szukać po omacku drzwi do pokoju syna. Zajrzała do niego. Zabrał do siebie telefon i postawił go tuż przy głowie. Leżał na śpiworze z rękami pod głową i wpatrywał się w sufit.

- Przywieźliśmy mały telewizor z twojego pokoju - powiedziała. - Możesz go włączyć.

- Nie chcę.

- Zamierzasz gdzieś dzwonić?

- Nie. - Tym razem ton wydał jej się trochę wojowniczy. - Bo co?

- Bo zabrałeś telefon z kuchni. Mogą do mnie dzwonić. - Gdyby odezwał się Hunter, nie chciałaby oglądać ponurych, oskarżycielskich spojrzeń ani obrzydliwych demonstracji Rawleya. - Magda albo Gloria, czy ktoś inny. Choćby Fergusonowie.

- Dlaczego nie masz komórki? - spytał.

- Nie jest mi potrzebna.

- Tata ma.

- Och... - Jenny zaczynała mieć dość jego fochów. - No, skoro tata ma komórkę, to pewnie dziadek będzie jej tym bardziej potrzebował.

- Co to niby ma znaczyć? - w tonie Rawleya brzmiało ostrzeżenie. Błyskawicznie się zrelektowała. Nie może dać się ponieść nerwom.

- To znaczy, że nic nie wiesz o Troyu.
- Tak? A czyja to wina?
- Bardzo chętnie ci o nim opowiem.
- Nienawidzisz go - rzucił gwałtownie. - Co chcesz mi opowiadać? Same najgorsze rzeczy! Kiedy tu przyjedzie, zostanę z nim!
- Kiedy tu przyjedzie? - powtórzyła.
- Mieszka o godzinę drogi stąd - oznajmił triumfalnie Rawley. - W jakimś malowniczym miasteczku, do którego wszyscy jeżdżą na wypoczynek.
- Taos? - zapytała słabym głosem.
- Właśnie! - Rawley był zadowolony, że matka słyszała o tym mieście. To znaczy, że ono istnieje. Nie był tak do końca pewny, czy ojciec mówi prawdę. Nie żeby posądzał go o kłamstwo, ale kiedy chodziło o mamę, tata robił się bardzo ostrożny.
Jenny popatrzyła na niego przerażona. Jej serce uderzało mocno i głucho. Na samo wspomnienie tego, jak Troy przywarł ustami do jej ust robiło jej się niedobrze. Marzyła - modliła się - żeby „prezent” od Allena utrzymał go z dala od niej. Przynajmniej na jakiś czas.
- Rawley, czy ty wiesz, z czego żyje twój tata?
- Owszem - odpowiedział, nagle zdenerwowany.
- No?
- Inwestycje - odparł bezbarwnym głosem.
- Żyje za pieniądze, które dostał od twojego dziadka. Nie wierzę w żadne inwestycje. Właśnie dlatego postanowił do nas wrócić.
- Ty go po prostu nienawidzisz! - Rawley podniósł głos. - Na tym polega twój problem!
- Rawley...
- Zostaw mnie w spokoju - burknął, odwracając się na bok i patrząc w ścianę. - Zamknij drzwi - dodał, kiedy wciąż stała bez ruchu.
Cała radość tego dnia zniknęła. Jenny poszła do siebie, rozsunęła zamek śpiwora i położyła się, wciskając twarz w poduszkę. Była wyczerpana. Zwinęła się w kłębek i próbowała nie myśleć o przykrych rzeczach, ale sen długo nie chciał nadejść.

*

Kiedy Hunter wjeżdżał do Santa Fe, świtało. Wyjazd z Houston zajął mu dużo więcej czasu, niż przypuszczał. Przez cały dzień gnębiły go złe przeczucia i dopiero kiedy odprowadził Jenny kilka godzin drogi za miasto, zaczynał mieć nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Najchętniej pojechałby od razu do Santa Fe, ale była jeszcze jedna sprawa, którą musiał się zająć. Coś, o co prosiła go Jenny. Jedyna ważna rzecz, o której powiedziała mu przez cały ten czas dziwnego milczenia, jakie między nimi zapadło.

Pojechał wprost na swoje ranczo. Był to nijaki budynek przy drodze porośniętej bylicą, wśród której sterczała pojedyncza amerykańska sosna. Sosnę przywieziono tu kilkaset lat wcześniej, ale bylica należała do rodzimej roślinności. Nie dało się jej wytepić. Było coś pięknego w tutejszej walce o przetrwanie. Lepsze to niż dostawać wszystko podane na srebrnej tacy.

Home sweet home.

Westchnął i wyskoczył z dżipa. Dwie godzinki snu i trzeba będzie stanąć pod drzwiami Ortegi. Skoro oddał pieniądze Hollowayowi, musi mieć jakieś zajęcie.

„Wrócisz... szybciej niż ci się zdaje...”

- Kurcze - powiedział cicho. Ortega miał rację.

*

Jenny wzięła poranny prysznic, wciągnęła džinsy, koszulę z długim rękawem i puchową kamizelkę. Santa Fe leży ponad dwa tysiące metrów nad poziomem morza i mimo kalendrzowej wiosny powietrze jest tu rześkie i chłodne.

Drzwi do pokoju Rawleya wciąż były zamknięte. Właśnie wyciągała z torebki klucze, żeby wyjść i kupić coś na śniadanie, kiedy zadzwonił telefon. Cofnęła się szybko, ale przez drzwi usłyszała cichy głos syna.

- Halo!

- Rawley? - zawołała spod drzwi.

- To do mnie - odpowiedział.

Odeszła zaniepokojona. Może to Brandon? Może jakiś inny kolega, którego Rawley podał numer.

Może to Troy?

Poczuła dreszcz na plecach. Troy ma komórkę. Może właśnie dlatego przychodził do nich zawsze wtedy, gdy Jenny nie było w domu. Mógł zadzwonić do Rawleya w każdej chwili, żeby sprawdzić czy jest sam i wejść, jak tylko jej auto zniknęło za rogiem. A ponieważ Hunter zapowiedział, że w ciągu ostatnich dni w Houston będzie pilnował jej, a nie Rawleya, nie miał szans zauważyć go, gdy wchodził.

A może to Rawley sam dzwonił do Troya? Ta myśl tkwiła w sercu jak cień.

- To tata? Jeżeli tak, to chcę z nim porozmawiać - zawołała.

- Wychodzę. - Usłyszała.

- Rawley?

- Rozłączyłem się.

- Czy to był Troy? - Cisza. - Na litość boską! - Wpadła do pokoju i spojrzała synowi w oczy. - Możesz być na mnie wściekły, ale zachowuj się jak człowiek. I wiedz jedno: Troy jest pierwszorzędnym graczem i wciąga cię, bo nie wiesz o nim tego, co najważniejsze. Więc uważaj. Kocham cię i nigdy cię świadomie nie skrzywdzę.

Otworzył usta, gotów do kłótni, ale Jenny gwałtownie pokręciła głową, nie dopuszczając go do głosu.

- Nie powiedziałam ci, gdzie on jest, bo sama tego nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć. On mnie bił, Rawley. Rozumiesz?

- Mamo... - Chłopak zerwał się z łóżka zaszokowany.

- Nie ufaj mu. Nie pozwól, żeby cię skrzywdził. Nie mogę... na niego patrzeć. Rozumiesz? - Była roztrzęsiona i bliska płaczu.

- Może... może to niechcący. - Rawley usiłował coś wymyślić. Nic chciał słyszeć nic złego o ojcu, który tak niespodziewanie pojawił się w jego życiu. - Jesteś pewna? - spytał błagalnym tonem.

Popatrzyła na niego. Widziała, że nie jest w stanie tego pojąć. I nic chce. Wzięła głęboki oddech.

- Jadę do sklepu. Wrócę za chwilę - powiedziała niepewnym głosem

- Mamo...

- Nie mogę już rozmawiać na ten temat. Mam tego dość.

Zrobiła zakupy i wróciła do domu. Ze zdziwieniem zajrzała do toreb, zastanawiając się, czy przez pomyłkę nie zabrała cudzych. Zupełnie nie pamiętała, co wkładała do wózka.

- Mamo? - Rawley stał w drugim końcu holu. Nie widziała jego twarzy ocienionej daszkiem bejsbolówki. - Zadzwoniłem do niego. Powiedziałem mu, co mi mówiłaś.

- Dzwoniłeś do Troya? - Jenny musiała oprzeć się o blat.

- Twierdzi, że popełnił błąd. Mówi, że cię przeproszał. Że się kłóciliście, a on cię pochnął albo ty jego pchnęłaś, czy coś takiego... - Wsunął ręce do kieszeni i skulił ramiona. - Czy tak jakoś było? To znaczy, ty też tak to pamiętasz?

Patrzył na nią tak zmartwiony i zdenerwowany, a Jenny nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

- On mówi, że żałuje - dodał Rawley. - I chce, żeby między wami znów było dobrze.

- Są rzeczy, których nie da się naprawić. - Jenny usiłowała nie rozwijać tematu. Rawley miał zbyt wiele nadziei i złudzeń, by wyznać mu całą prawdę. A Jenny aż nadto dobrze wiedziała, że Troy potrafi znakomicie manipulować ludźmi i zrzucać winę na wszystkich dookoła. - Za dużo narosło między nami problemów.

- Wiesz, może kiedyś...

- Rawley, nigdy - powiedziała łagodnie.

Otworzył usta, ale w tym momencie odezwał się dzwonek do drzwi. Drgnęli oboje. Jenny spojrzała przez wizjer. Hunter. Z ulgą i radością otworzyła szeroko drzwi i już miała rzucić mu się w ramiona, gdy obok jej nóg z dzikim ujadaniem przemknął Benny.

- Benny! - Rawley ukląkł i chwycił jedwabisty psi łeb. Benny lizał go po twarzy, dyszał i machał ogonem. - Skąd on się tu wziął?

- Niespodzianka! - Jenny wzruszyła ramionami i patrzyła uśmiechnięta, jak syn obejmuje psa, czując, że serce jej pęka. - To był pomysł Janice, a Brandon się zgodził. Stwierdził, że przyda ci się przyjaciel.

Rawley nie podnosił głowy. Opierał policzek o psi kark, a Benny próbował wykręcić się i polizać go po twarzy.

Hunter patrzył na chłopca i psa. Przywiózł Benny'ego do Santa Fe, bo tylko o to jedno prosiła go Jenny, choć pies marudził przez całą drogę, kręcił się i pisał, ale teraz, patrząc na tę parę, cieszył się, że miał swój udział w tym spotkaniu.

- Dziękuję. - Jenny była wzruszona.

- Chyba też powinienem pomyśleć o psie - odpowiedział. Rawley chrząknął. Nie chciał patrzeć Hunterowi w oczy.

- Dziękuję, że go pan przywiózł - wydusił.

- Cała przyjemność...

Rawley dotykał podbródka i nieufnie przyglądał się Hunterowi. Miał ochotę zapytać, jakie miejsce zajmuje ten człowiek w życiu Jenny, ale jak na jeden ranek przeżyć było już wystarczająco dużo; poza tym chyba już minął stosowny moment.

Jenny chciała opowiedzieć Hunterowi o kłopotach z synem, zwierzyć mu się, mieć w nim bliskiego przyjaciela, ale na widok smukłych bioder, długich nóg i szerokich ramion potrafiła myśleć tylko o tym, że chciałyby znów się z nim kochać.

- Zjesz śniadanie? Właśnie zrobiłam zakupy - zapytała nieśmiało.

Rawley spojrział na nią zaniepokojony, a Hunter pokręcił głową.

- Jadę pogadać z moim dawnym szefem. Chyba wrócę do pracy.

- W policji w Santa Fe?

- Niewykluczone.

- Jest pan gliną? - wybąkał Rawley z niedowierzaniem.

- Byłem. Mam nadzieję, że znowu będę. - Hunter mówił z silnym tek-saskim akcentem. -

Ortega to przewidział.

- Ortega? - spytała Jenny.

- Sierżant Ortega. Pomyślałem, że po drodze podrzucę Benny'ego.

- Jedzie pan tam teraz? Na policję? - dopytywał się chłopak, z trudem ukrywając zainte-

resowanie.

Hunter przyglądał mu się uważnie.

- Chcesz pojechać ze mną?

Rawley zamilkł. Jego reakcje były tak czytelne, że serce Jenny topniało jak wosk. Miała ochotę ucałować Huntera za to, że tak doskonale potrafi wykorzystać sytuację.

- Jedź - poradziła Rawleyowi. - Jak wrócisz, zjemy lunch. I tak jest za późno na śniadanie.

- A co z Bennym?

- Może zostać ze mną. - Jenny zaglądała do toreb z zakupami. - No, widzę, że kupiłam jakieś psie jedzenie. Mózg jest naprawdę przedziwnym mechanizmem.

Rawley rzucił matce zagadkowe spojrzenie, zerknął na Benny'ego, wahał się przez chwilę, a potem wypadł za drzwi. Hunter mrugnął do Jenny i ruszył za nim.

W jego spojrzeniu było tyle żaru i przywołało takie wspomnienia, że Jenny musiała oprzeć się o kuchenny blat. Odgarnęła grzywkę z czoła i cicho jęknęła.

Jaka szkoda, że nie zaznała prawdziwej namiętności, kiedy była młodsza. Gdyby wiedziała, czego szuka, nie popełniłaby błędu, wychodząc za Troya Russella.

- Straszliwa pomyłka - westchnęła.

*

Trzydzieści tysięcy dolarów wydawało się kiedyś masą pieniędzy. Teraz były to marne grosze. Holloway rzeczywiście dał mu całą sumę w setkach. Złożyły się na niebrzydka, grubą kopertę i Troy natychmiast kupił sobie samochód. Zawracali mu głowę formą płacenia, więc cisnął na stół dwadzieścia tysięcy i zadowolili się używanym, zielonym explorem, choć widział siebie raczej za kierownicą białego lexusa ze złotymi listwami. Explorer był w porządku, ale coś dzwoniło w prawym błotniku i w jednym miejscu na kole odpryskiwała czarna farba. Ale i tak był lepszy niż jakieś wynajęte gównno.

Zaraz potem zamówił komórkę. Rany, jak nienawidził tego sprzedawcy! Głupi jak osioł, choć Troy dał mu się namówić na pakiet z darmowymi rozmowami międzymiastowymi. Będzie miał Jenny w zasięgu telefonu.

Chichotał teraz, pędząc autostradą, która przecinała Teksas. Stara dobra dziesiątka. Znał ją doskonale. Zaczynała się w Santa Monica. Uwielbiał jazdę samochodem.

- Hej, baby... - Postukał w deskę rozdzielczą i znów się roześmiał. Był napalony. Minęło trochę czasu od Dany i chciał poczuć przy sobie jakieś ciało. Ostatniego wieczoru podrywał jakąś panienkę w barze. To był porządny lokal, z górnej półki w Houston, nie jakaś wsiowa dziura jak tamta westernowa spelunka. Nagle się ochłodziło, więc w barze zaroilo się od kobiet w futrach i facetów w garniturach. Paru palantów było oczywiście w kowbojskich koszulach z rozciętymi pionowo kieszeniami i ozdóbkami w kształcie strzałek. Banda prostaków, którym się wydaje, że są królami prerii.

Wszyscy na kilometr cuchnęli forszą. Wdzięczył się do takiej jednej paniusi w eleganckiej białej kiecce i w norkach niedbale zarzuconych na ramiona. Ani cienia teksaskiego akcentu - stuprocentowa mieszkanka Wschodniego Wybrzeża, chłodna jak wszyscy stamtąd. Patrzył, jak w świetle świec migoczą brylanty na jej szyi. Myślał tylko o tym, jak wciska kutasa między jej ciemne wargi, pokryte jakąś nową, okropną, niemal fioletową szminką. Podniecającą. Aż buchającą seksem.

Niestety, nie była sama. Kiedy tylko Troy uruchomił cały swój wdzięk, pojawił się mąż. O wyglądzie futbolisty. Patrzył na Troya spod ronda największego i najbrzydszego kowbojskiego kapelusza, jaki zdarzyło mu się widzieć.

- Chciałeś czegoś, przyjacielu? - zapytał z obrzydliwym teksaskim akcentem. Uśmiechał się przy tym na dowód, że czyta w sprośnych myślach Troya. Pocił się jak wieprz.

Troy wzruszył ramionami.

- Jest pan szczęściarzem, sir. – Gość uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Ano jestem - powiedział, obejmując swoją wyniosłą królową. Nie robiła wrażenia specjalnie zachwyconej. Oczywiście wyszła za męża dla forsy, pomyślał Troy. Facet wyglądał na nieprawdopodobnie nadzianego. Ale tymi spoconymi łapami wypaprał jej chyba całą szykowną kieckę.

Odeszli, ale futbolista zostawił na stołku marynarkę. Troy swobodnie podniósł ją i zabrał do toalety. Pieniądzy w kieszeniach nie było; znalazł tylko parę pudełek z zapalkami i wizytówki. Wrzucił marynarkę do pisuaru i w tym momencie wyobraził sobie, jak umięśniony potwór z baru zarzuca ją na gładkie ramiona swojej księżniczki. Nagle wróciło wspomnienie Val i kurtki jej sportowca. Spokojnie i metodycznie zaczął się onanizować. Zostawił spernę na miękkim kaszmirze i wyszedł.

Śmiał się przez całą drogę do hotelu. Już nigdy nie będzie żadnych nędznych hotelików. Tylko najlepsze, a postara się o to Allen Holloway. Uosobienie szczodrości.

Siadając za kierownicą, usiłował opanować podniecenie. Naprawdę potrzebował czegoś więcej niż własnej ręki, żeby się odprężyć, ale należało opuścić Houston najszybciej jak to możliwe. Zostało mu kilka tysięcy i sporo czasu, z którym nie miał co zrobić.

- Och, Jenny - zanucił cicho. - Przygotuj się. Wracam!

Rozdział 13

Hunter wypróbował krzesło przy swoim biurku. Zaprotestowało skrzypnięciem, kiedy rozparł się wygodnie. Trochę go zirytowało, że ktoś podmienił mu jego dawny mebel. Posterunek nie był duży i mieścił się stosunkowo blisko głównego komisariatu policji w Santa Fe. Pracowało tu zaledwie kilka osób. Nie miał jednak prawa narzekać, przecież jeszcze nie wciągnął się do roboty. Był pełen dobrej woli, kiedy dwa dni temu pojawili się we dwójkę z Rawleyem w komisariacie, ale na wspomnienie Troya wracało pytanie, czy jednak nie działać dalej na własną rękę, przynajmniej dopóki sytuacja w taki czy inny sposób się nie wyklaruje.

W drzwiach stanął Ortega. Potrafił okazać wściekłość, nawet gdy stał bez ruchu.

- No i? - spytał ostro.

- Co te papiery tutaj robią? - Hunter wskazał na stos teczek na środku biurka. - Trzymałeś je specjalnie dla mnie?

- Jasne! Sądzisz, że oddałbym komukolwiek twoje sprawy? - Hunter prychnął z irytacją. Przecież uciekł od tej roboty, bo czuł się kompletnie wypalony.

- Pada -dodał ponuro Ortega. - Możemy się spodziewać twojego wonnego przyjaciela.

Hunter uśmiechnął się. Obie Loggerfield z pewnością trafi na posterunek i będzie koczował na schodach.

- Z czego się śmiejesz? Wywieź go najlepiej w inny rejon. W każdym razie trzymaj go z daleka ode mnie.

Hunter uśmiechnął się od ucha do ucha. Wziął ze stosu pierwszą teczkę i zagłębił się w lekturę. Dość podejrzany przypadek śmierci. Żona twierdzi, że wzięła męża za włamywacza i strzeliła do niego sześć razy. Zginął od drugiego pocisku.

- Myślę, że mógłbyś porozmawiać z Annie Oakley. - Ortega zaglądał Hunterowi przez ramię.

- A tamto? - Hunter wskazał ruchem głowy teczkę na pustym biurku w drugim kącie pokoju.

- Chcesz to? - spytał sierżant.

Hunter popatrzył mu w oczy. Wiedział, że Ortega łatwo wpada w furję. I wiedział też, że na ogół ma po temu powody. Hunter nie był pełnoetatowym pracownikiem, ale sierżant chętnie zlecał mu pewne sprawy, po pierwsze, żeby zaostrzyć jego apetyt, po drugie, by zyskać świeże spojrzenie na badane przypadki.

Uśmiechając się złośliwie, cisnął teczkę na biurko. Hunter wiedział, że został doprowadzony, zanim jeszcze przeczytał relację o UFO, które wylądowało w pobliżu Santa Fe, a jego pasażerowie przejęli władzę nad mózgiem autora opowieści. W rzeczywistości chodziło o odpowiedź na pytanie, czy był on odpowiedzialny za pożar zbiornika gazu w przyczepie kempingowej należącej do sąsiada i za okaleczenie mlecznej krowy, która akurat znajdowała się w pobliżu. Opinia psychiatry miała być gotowa wkrótce.

- Wygląda na to, że policja już zrobiła swoje - zauważył Hunter.

- Dlatego papiery leżą na tamtym biurku. Sprawa cywilna. Prokurator okręgowy nie jest tym zainteresowany. Teraz niech się kłóć firmy ubezpieczeniowe. - Zarechotał pod nosem, najwyraźniej ubawiony miną Huntera.

Calgary udał, że nie zwraca na to uwagi i zajął się szczegółami sprawy impulsywnej małżonki. Jej małe ranczo leżało na wschód od miasta, w pobliżu brzegów Santa Fe, na pół wysłej odnogi Rio Grande. W miarę napływu do miasta ogromnych rzesz ludzi, wody w rzece

Santa Fe ubywało w zastraszającym tempie. Przyprawiało to o ból głowy władze, ale nic nie zapowiadało skutecznego rozwiązania.

Hunter zabrał teczkę i wstał od biurka. Ortega łypnął na niego gniewnie ze swojego pokoju.

- Gdy tylko ten cuchnący włóczęga tu się pojawi, dzwonię po ciebie!
- Jeśli chodzi o ścisłość, ma stałe miejsce zamieszkania. U podnóża Sangre de Cristos.
- Świetnie. Możesz go sobie tam zawieźć.

Hunter wyjechał z miasta Canyon Road. Mógł dzięki temu zajrzeć po drodze do Genevy. Zaparkował przecnicę dalej. Było późne popołudnie. W restauracji siedziało jeszcze sporo gości, którzy kończyli lunch. Klientela lokalu Jenny stawała się coraz liczniejsza, choć firma działała dopiero od tygodnia. Hunter podsłuchał nawet kiedyś na ulicy jakąś pochlebnią wzmiankę na temat restauracji i poczuł, że rozpiera go duma.

To prawda, że już nie są razem. Jenny ciężko pracuje i nie chce, by przeszkadzał jej w szalonym życiu, jakie ostatnio prowadzi. Wpadał jednak do restauracji popołudniami i widział, jak rozjaśnia się jej twarz, gdy wychodzi mu na spotkanie. Zamieniali zwykle kilka słów, gdy Hunter wypijał przy barze filiżankę kawy.

Czasem krótkie „cześć” rzucił mu Rawley, który po lekcjach dorabiał jako pomocnik kelnera. Tylko do tego sprowadzały się ich kontakty, ale i tak był to postęp w stosunku do otwartej wrogości, jaką chłopak okazywał mu na początku. Hunter bardzo zyskał w jego oczach od czasu, gdy zabrał go ze sobą na posterunek. Ortega rzucił Rawleyowi podejrzliwe spojrzenie i spytał: „Co to za chudzielec?”, jakby był pewny, że ma przed sobą młodocianego przestępcę. Chłopak był najwyraźniej zafascynowany stróżami prawa. I choć nie przepadał za samym Hunterem, gotów był go tolerować, by móc pokręcić się od czasu do czasu w pobliżu komisariatu. Ortega nie darzył Rawleya wielką sympatią, ale też sierżant nikomu nie okazywał ciepłych uczuć.

Na więcej Hunter w tej chwili nie mógł liczyć. Nie wiedział, jak określić swoje stosunki z Jenny, widział jednak, że jest odprężona i szczęśliwa, a Rawley przestał szukać kontaktu z Troyem Russellem.

Wchodząc do restauracji, zauważył, że Rawley sprząta ze stołu. Rzeczywiście jest podobny do Troya. Hunter nie widział go od śmierci Mi-chelle, ale pamiętał doskonale. Dziwne, że Troy kilkakrotnie wszedł do mieszkania Jenny i widział się z Rawleyem, zawsze pod nieobecność matki, a tym samym i Huntera. Jenny podejrzewała, że chłopak dzwonił do niego, gdy wychodziła z domu. Hunter też tak sądził i bardzo go to niepokoiło, bo dowodziło, jak bardzo mały jest zafascynowany ojcem.

Bóg wie, co Russell knuje. W każdym razie na pewno nic dobrego.

- Cześć - rzucił Rawley, niosąc do kuchni tacę ze szkłem zebranych ze stołu. .
- Jadę służbowo za miasto.
- Mogę pojechać z tobą? - spytał natychmiast. Hunter przepraszająco pokręcił głową.
- Mam rozmawiać z kobietą, która nafaszerowała swojego męża sześcioma kulami, kiedy wchodził do domu przez okno. Twierdzi, że to była pomyłka.

Rawley otworzył szeroko oczy.

- Zabiła go? - Hunter pokiwał głową.
- Zabiła, ale prokurator marudzi. Brak wystarczających dowodów do oskarżenia. Ortega chce, żebym ją przesłuchał i powiedział, co o tym sądzę. W ramach przysługi - dodał z ironicznym uśmiechem.

- To może być niebezpieczne.
- Trudno powiedzieć, dopóki z nią nie pogadam.

Z zaplecza wyszła Jenny. Kartkowała jakieś papiery, ale podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Huntera w taki sposób, że poczuł ucisk w sercu. Rawley rozpaczliwie zmarszczył czoło; wątpliwość kontaktu z Hunterem właśnie została zerwana. Złapał kolejną tacę i odwrócił się do sąsiedniego stolika.

- Wszystko w porządku - oznajmiła Jenny.

- To dobrze.

- Masz ochotę na kawę?

- Nie, dzięki.

Zupełnie jak para obcych sobie ludzi, którzy nie potrafią zachować się jak przyjaciele. Do diabła, pomyślał Hunter. Nie musiał analizować swoich uczuć, by wiedzieć, że zależy mu na czymś dużo poważniejszym niż przyjaźń.

- Muszę zweryfikować kilka opinii - powiedział.

- Co masz na myśli?

- Jesteś najciężej pracującą dziedziczką, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Rzadki komplement w twoich ustach. - Jenny uniosła brew.

Taką właśnie ją lubił. Szczęśliwą, zrelaksowaną i pochłoniętą pracą. Wściekał się na myśl o Troyu, który czyhał, by wszystko to zniszczyć.

Mógłby długo wytrzymać w stanie tego cudownego zawieszenia, ale miał nadzieję, że sprawy przybiorą inny obrót. Wychodząc, pomachał na pożegnanie.

- Zaczekaj!

Odwrócił się powoli. Jenny przyciskała papiery do piersi.

- Wychodzę dziś wcześniej, pierwszy raz od chwili otwarcia. Zastanawiałam się... może miałbyś ochotę wpaść? Wieczorem?

Patrzył na jej zaniepokojoną twarz.

- Zależy po co.

- Co powiesz o kolacji? Będzie Magda z Philem.

Stłumił rozczarowanie.

- Harujesz w restauracji cały dzień i jeszcze szykujesz kolację dla gości?

- Żartujesz? Jedzenie przyniosę z restauracji. A Magda zajmie się drinkami.

- Postaram się - powiedział. Zobaczył cień zawodu w jej oczach. - Mam parę spraw do załatwienia - dodał. - Służbowych.

- Och, w porządku. Nie pytam.

- To znaczy tylko, że mogę się spóźnić.

- Poczekamy. - Rozpromieniła się.

Jenny, obładowana siatkami z jedzeniem, z trudem trafiła kluczem do zamka i omal nie upuściła jednego pakunku, naciskając klamkę. Wpadła do środka i z ulgą rzuciła na kuchenny blat wszystkie torby. Resztę wniósł Rawley. Za dużo tego wszystkiego przyniosła, ale Gloria była bliska ataku serca, kiedy dowiedziała się, że Jenny ma zamiar zabrać do domu zaledwie kilka potraw. Osobiście wszystko przygotowała i zażądała, by Jenny i jej goście spróbowali każdego dania.

- To wariatka - stwierdził Rawley, kiedy szli do domu.

- To geniusz.

- Na jedno wychodzi.

Teraz, wyciągając białe pojemniki do pakowania potraw na wynos, których nieprawdopodobnie apetyczną zawartością można by nakarmić pułk wojska, musiała przyznać synowi rację.

- Damy trochę Magdzie i Philowi do domu.
- Będziemy to jeść przez tydzień - stwierdził Rawley, rozwijając kolejne pudełko i tęsknie spoglądając na stos parujących *tamales* zawiniętych w liście kukurydzy.

- Nawet nie myśl...

- Nigdy tego wszystkiego nie zjemy. Nic by się nie stało, gdybym spróbował trochę teraz.

- Mhm. Zaprosiłam też Huntera. Pewnie się spóźni i też wiele nie zje -dodała swobodnym tonem - ale przynajmniej pomoże nieco uszczuplić te zapasy.

Rawley wyjął następny pojemnik i ustawił go na dwóch poprzednich. Nie odpowiedział.

- Muszę się zastanowić, jak to wszystko utrzymać w cieple - trąkotała Jenny. - Będą tu za kwadrans, a jeśli Magda prowadzi, to za pięć minut. - Rawley rozpakował pozostałe torby i wyszedł z pokoju. - Lubisz jeździć z nim na posterunek? - zawołała za nim.

- Lubię sierżanta Ortegę - poprawił ją szorstko.

- W porządku. Co takiego nie podoba ci się w Hunterze, oprócz tego, że jest moim przyjacielem?

Rawley zniknął w swoim pokoju, nie udzielając odpowiedzi. Jenny zebrała puste torebki i postanowiła za bardzo się nie przejmować.

Kiedy zadzwonił telefon, złapała słuchawkę, żeby uprzedzić Rawleya. Za późno. Usłyszała jego niecierpliwe „halo”. Ten ton był nowością, pojawił się w jego głosie dopiero od czasu, gdy w ich życie wkroczył Troy.

- Rawley? - odezwał się Allen Holloway.

- Och. Mama odebrała. - Wyłączył się.

- Jenny?

- Cześć.

- Byłem w twojej restauracji.

- U Genevy? - Starła się, by pytanie brzmiało obojętnie.

- Przyjechałem, żeby się z tobą zobaczyć - mówił z rosnącą irytacją. -Przyleciałem do Albuquerque i wynająłem samochód. Muszę omówić z tobą kilka spraw.

Niesłychane. Ojciec rzadko fatygował się do niej na drugi koniec Houston, a teraz przyjechał do Albuquerque i przejechał tyle kilometrów do Santa Fe? Odetchnęła głęboko. Perspektywa wspólnego wieczoru z ojcem, Magdą, Philem i Hunterem na dokładkę wcale jej nie odpowiadała. Allen potrafi zrazić do siebie najwierniejszego przyjaciela w pół godziny. Albo jeszcze szybciej.

- Wieczorem jestem zajęta - powiedziała.

- Jak to? Przecież siedzisz w domu.

- Mam gości na kolacji. - Chyba go zaskoczyła.

- Wciąż jesteś z Calgarym? - zapytał nieufnie.

- Nie.

- To kto przychodzi na tę kolację?

- Magda i Phil Montgomery.

- A co z Calgarym?

- O co ci chodzi?

- Widujesz go? Pilnuje cię?

- Przed chwilą wydawało mi się, że nie życzysz sobie, abym utrzymywała z nim jakiegolwiek kontakty.

- On jest skończony, Jenny. Dobry policjant, to wiem i porządny ochroniarz, ale jest stuknięty na punkcie śmierci siostry.

- To była gwałtowna śmierć, prawda?

- Tak! - niemal krzyknął. - I chyba wiemy, kto jest winien, prawda?

- Na litość boską, chyba nie oskarżasz Huntera? - Jenny była raczej zrozpaczona niż zła. Allen sapnął z irytacją.

- Nie. Oskarżam Troya Russella - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Są dowody czy ich nie ma, to on zepchnął ją z dachu. Co do tego w pełni zgadzam się z Calgarym. Słuchaj, wiem, że ma na tym punkcie obsesję. Dlatego chciałem, żeby cię ochraniał. Pomyślałem, że to najlepszy człowiek do takiego zadania i że obu nam zależy na tym samym. Nie liczyłem się z tym, że się zakochasz - dodał z niesmakiem. - Nie chcę, żeby Troy kręcił się w pobliżu ciebie i Rawleya, ale nie życzę też sobie, żebyś znów rzuciła się w kolejne małżeństwo. Jestem pod bramą. Otwórz.

Jenny jak automat odłożyła słuchawkę i wcisnęła odpowiedni guzik. Usiadła w ciemnym saloniku. Niebo usiane było gwiazdami, a srebrzysty księżyc rzucał na dywan długie smugi światła.

Troy zabił siostrę Huntera?

Wciąż siedziała w milczeniu, gdy Allen zapukał do drzwi. Rawley wyjrzał z ciekawością ze swojego pokoju.

- Rawley, naucz się, jak się rozmawia przez telefon - skarcił go od razu dziadek. - Nie zominaj, kto finansuje twoje konto - dodał, co miało być dowcipem.

Jenny wolno wstała z fotela.

Troy zabił Michelle Calgary? Dlaczego Hunter nigdy jej o tym nie powiedział?

- Mamo? - zapytał Rawley z niepokojem.

Zmusiła się do bladego uśmiechu, zastanawiając się, jak, na Boga, przetrwa resztę tego wieczoru.

*

Opowieść, jaką usłyszał Hunter, utwierdziła go w przekonaniu, że Or-tega musiał się nieźle ubawić, zlecając mu to zadanie. Bambi de la Croix - tak brzmiał pseudonim zawodowej kobiety, do której pojechał - choć nie chciała się przyznać, że po prostu rozbiera się na scenie, była równie zniszczona i sfatygowana jak flanelowa koszula, którą wkładała do zajęć gospodarskich. Przysięgała „przed Bogiem i na całą kupą Biblii”, że mówi „najświętszą prawdę”: nie miała pojęcia, że przez okno wchodzi jej własny mąż. Kiedy Hunter spytał ją, dlaczego strzeliła aż tyle razy, powiedziała, że im dłużej wchodził, tym dłużej strzelała.

- Mógł przecież wejść od frontu. - Ocierała oczy chusteczką. - Wiedział, że mam pistolet i że się boję.

- Ale zniknęła pani drzwi frontowe - przypomniał jej.

- No tak, ale powinien był wziąć klucz. A ja się bałam tego faceta z klubu, który mnie śledził. Wie pan, jak to jest, kiedy ktoś pana prześladowa? Nie. Pewnie, że nie. No, a to jest coś naprawdę, naprawdę strasznego, może mi pan wierzyć. To jakiś kompletny czubek. Nie mam nic przeciwko facetom, jeśli wie pan, co mam na myśli, ale ten wciąż mnie nachodził.

Hunter pomyślał o natrętach i obsesjach.

- Nie zadzwoniłam na policję, bo nie mam telefonu - dodała, uprzedzając jego pytanie. - Mówiłam to już i policji, i adwokatowi. Zeznań nie zmienię, bo powiedziałam prawdę.

Troya Russella nie można było oskarżyć o nachodzenie. Na razie. A pieniędzy od Allena Hollowaya nie wymusił szantażem. Nie udowodniono mu też włamania, choć ani Jenny, ani Hunter nawet przez chwilę nie wierzyli, że naprawdę pojawił się z wizytą akurat tuż po złodziejcu i zaniepokoił się o bezpieczeństwo Jenny. Może udałoby się zamknąć go za kradzież, przyszło Hunterowi do głowy. Troy zabrał paszport Rawleya.

- To był wypadek, panie władzo - mówiła Bambi, przywołując Huntera do rzeczywistości. - Kochałam męża. Wszyscy o tym wiedzą.

Hunter kiwnął głową. Raz czy dwa sąsiedzi donosili o namiętnych zalecankach przed domem.

- Tęsknię za nim - dodała. - Wszystko jest inaczej, prawda? Kiedy odchodzi ktoś, kogo się kochało. Ma pan kogoś takiego, panie władzo?

Jenny. Ale Jenny do niego nie należy.

- Czy mężczyzna, który panią nachodził, pojawił się jeszcze? - Pokręciła głową.

- Chyba doszło do niego, że wiem, jak się robi użytek z pistoletu. Jeden trzymam ciągle naładowany, wie pan, na wszelki wypadek. - Jej usta lekko drżały, sięgnęła po papierosy i podsunęła pudełko Hunterowi. Podziękował, zapaliła więc sama. - A teraz mojego Bobby'ego nie ma - podsumowała ze smutkiem, wypuszczając smugę błękitnego dymu. Wyglądała tak, jak zapewne się czuła - żałośnie. - I co mi zostało?

Hunter wyjeżdżał z poczuciem, że nadal nie ma sprecyzowanego zdania. Albo ta kobieta mówi prawdę, albo nieprawdopodobnie dobrze gra. Skłaniał się raczej ku tej pierwszej możliwości.

Wrócił myślami do Troya Russella. Ten też śledzi, obserwuje, nachodzi.

Co ty knujesz, Russell? Czego chcesz? Dopadnę cię, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. Trzymaj się z daleka od Jenny, sukinsynu.

Kiedy wjeżdżał do miasta, deszcz lał jak z cebra. Zadzwoił na posterunek i to był błąd, bo wcale nie musiał się meldować. Poprosił o połączenie z Ortegą. Kolejny błąd. Zanim zdołał powiedzieć pół zdania na temat Bambi, Ortegą wrzasnął tak, że omal nie popękały mu bębni.

- Zabieraj stąd tego śmierdzącego pijaka. To jest areszt, a nie suszarnia!

Mógł oczywiście powiedzieć Ortedze, że to nie jego sprawa. W ogóle mógł powiedzieć dużo rzeczy. Pomyślał jednak, że Obiego trzeba po prostu nakarmić, podwieźć do miejsca zamieszkania i kupić mu porządną plandekę. No to nici z wieczoru u Jenny, uświadomił sobie. Wypadałoby przynajmniej wpaść na chwilę i przeprosić.

W strumieniach deszczu wbiegał na ganek, przeskakując po dwa stopnie. Nastawił kołnierz skórzanej kurtki, zadzwonił i czekał. Drzwi otworzył Rawley.

Z twarzy chłopca można było się domyślić, że toczy jakąś wewnętrzną walkę. Stał w otwartych drzwiach, nie odzywając się słowem. Benny poszczekiwał pogodnie i merdał ogonem; Hunter, ku jego niesłychanemu zadowoleniu, poklepał go serdecznie po bokach.

Jenny, z poważną miną, stała na środku salonu. Dłonie wsunęła w długie rękawy różowego swetra, patrzyła gdzieś w bok. Hunter poszedł wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył but i męską nogawkę z ostro zaprasowanym kantem.

Wpadł do środka tak szybko, że niemal zwałił z nóg Benny'ego. Allen Holloway, zaskoczony jego reakcją, skurczył się w fotelu.

- Przepraszam. - Hunter odetchnął. Myślał, że to Troy. Czuł uderzenie adrenaliny i przyspieszone bicie serca.

- Nie akceptuję tego, że spotyka się pan z moją córką - burknął Holloway, wygładzając spodnie gestem, który miał pomóc mu odzyskać autorytet. Popatrzył znacząco na Rawleya. - Synku, muszę odbyć z panem Calgarym męską rozmowę. Rozumiesz.

- Allen. - Jenny dotknęła dłonią policzka. Była bardzo blada.

- Mam iść do siebie, tak? - Pytanie zabrzmiało zdecydowanie impertynencko.

- Nic ci się nie stało? - spytał Hunter, patrząc z niepokojem na Jenny. Nie odpowiedziała, tylko przełknęła ślinę.

- To nie pańska sprawa! - wtrącił Allen.
- Masz ochotę... na drinka? - wykrztusiła w końcu Jenny.
- Nie mogę zostać - odpowiedział, zastanawiając się, co takiego powiedział jej Allen. Coś najwyraźniej wydarzyło się tuż przed jego przyjściem. - Muszę wracać na posterunek...
- Z powrotem w policji? - zdziwił się Allen.
- Niezupełnie.
Wciąż przyglądał się Jenny, a ona wbiła wzrok w przestrzeń.
- Co to za sprawa? - spytał Rawley Huntera, rzucając dziadkowi niechętnie spojrzenie.
- Operacja transportowa. - Teraz Rawley wpatrywał się w czubki swoich butów. - Chcesz mi pomóc?
- Mogę? - Rawley popatrzył na mamę. Jenny oprzytomniała. Zaciśnęła wargi.
- Oczywiście - powiedziała nienaturalnym głosem.
- Na pewno wszystko w porządku? - Hunter był poważnie zaniepokojony. Co tu się, do diabła, dzieje?
- To znaczy, że nie masz ochoty na brandy?
Powoli pokręcił głową. Coś wydarzyło się między Allenem i Jenny i był pewien, że dotyczyło to Troya. Chciał zażądać jakichś wyjaśnień, ale Rawley już się niecierpliwił.
- Wrócimy za parę godzin - obiecał Hunter. Był spięty. - Przykro mi z powodu kolacji. Jenny skinęła głową.
- Zabierz psa - zaproponował Allen tonem, który brzmiał jak rozkaz. Benny, szczerze mówiąc, nie czekał na pozwolenie Allena. Przcisnął się między Hunterem i Rawleyem i wypłynął w ciemną, deszczową noc.

Klub znajdował się tuż obok Cerrillos Road, w południowozachodniej części Santa Fe. Nie było to specjalnie eleganckie miejsce, ale przynajmniej bez potrząsania gołymi cyckami i kręcenia tyłkiem tuż przed nosem gości. Troy nigdy nie lubił takich nędznych nor. Wolałby coś lepszego, ale nie chciał kręcić się w żadnym z modnych lokali w śródmieściu. Za głośno i za dużo ludzi.

Wynajął pokój na jedną noc w La Fonda, przy głównym placu. Hotel szczylił się tym, że stoi w miejscu, w którym kończy się Szlak do Santa Fe i utrzymany był w stylu południowego Zachodu - królował tu kolor palonej cegły i płytki ceramiczne. Całość niedawno odnowiono, co znalazło odbicie w cenach, ale La Fonda spodobała się Troyowi. Była znana. Zatrzymywały się tu ważne osoby.

Liczył na jakąś rozrywkę, ale tego wieczoru w barze siedzieli głównie turyści, całymi rodzinami albo w parach. Dominowały swetry i spodnie khaki, a on potrzebował kobiety w obcisłej sukni. Nie martwił go nawet brak gotówki, bo przecież czekała na niego Jenny.

Wyszedł z La Fonda i przeniósł się w inny rejon.

Klub przy Cerrillos Road nazywał się U Marty. Na szyldzie widniało damskie oko z bardzo długimi, neonowymi rzęsami. Troy przysiadł na stołku przy barze. Noc z Daną należała już do przeszłości i miał wielką ochotę na seks. Właściwie o niczym innym nie mógł tego wieczoru myśleć, co nieco go zdumiało. Czuł zdrowy pociąg seksualny, a kobiet dokoła było tyle, co śmieci, skąd więc się brało to napięcie? Skąd ten nowy i nieco kłopotliwy stan podniecenia i niepokoju? Tak naprawdę, najchętniej wbiłby teraz zęby w miękką, białą krągłość kobiecej szyi.

Może powinien po prostu pojechać do Jenny i ją zerznąć? Rawley podał mu wszystkie potrzebne wskazówki, choć cały ten cholerny teren był ogrodzony, a wjeżdżało się przez zamkniętą bramę. Wkurzało go to. Boi się go, czy co?

Jeszcze jej pokaże. Jej i temu nadzianemu tatusiowi.

I facetowi, o którym Rawley mówił, że kręci się koło matki. Troy miał ochotę podduśnić chłopakowi tę chudą szyjkę, żeby powiedział coś więcej, ale smarkacz nie chciał powiedzieć nic więcej. Ochraniał tego sukinsyna, co Troya straszliwie wkurzało. Nikt nie będzie się wtrącał do jego spraw z Jenny. Była i jest tylko jego.

- Szkocką z lodem - warknął na barmana.

Barman napełnił szklankę i pchnął japo ladzie. Troy rozejrzał się. Żadnych lasek, prócz paru desek bez cycków. Wybrał zły lokal. Nici z zabawy.

Wypił szkocką i cisnął pieniądze na blat. Przez moment pomyślał, że może udałoby się zmyć bez płacenia, ale barman wyraźnie miał na niego oko. Ruszył już do drzwi, kiedy w końcu pojawiło się coś godnego uwagi. Była jędrna, sprężysta, miała białe zęby i zachęcająco wyszczerzyła się na jego widok. Ale przyszła z przyjaciółką.

Wdzięk. Tylko to jest ważne. Urok.

- Czy mogę postawić paniom drinka?

Uśmiechnęły się. Dwie to niestety za dużo. Będzie musiał jakoś je rozdzielić.

Obie leżał skulony pod drzwiami posterunku. Ze sfatygowanego kapelusza deszcz lał się na przemoczone ponczo, którego kolorowy wzór Indian Nawaho dawno zniknął pod grubą warstwą brudu. Rawley patrzył w milczeniu.

- Dlaczego nie siedzisz w środku? - spytał Hunter.

- Sierżant mnie wyrzucił - poskarżył się Obie i spod przymkniętych powiek popatrzył na Rawleya, uśmiechając się. W co drugim miejscu zamiast zęba świeciła czarna dziura. Rawley przyglądał się mu zafascynowany. - Mów mi Obie - powiedział Loggerfield, wyciągając spod poncza brudną rękę.

Rawley uściśnął ją bez wahania.

- Zawiozę cię do domu, Obie - powiedział Hunter. - Myślę, że powinniśmy po drodze zrobić małe zakupy.

Włóczęga przechylił głowę jak ptak.

- Mogę spać w środku - zaproponował. - Oszczędzę ci kłopotów.

- Niech ci się nie wydaje, że przekonasz do tego Jego Wysokość. - Obie zarechotał.

- Co za zakupy?

- Coś suchego.

- To mi nawet odpowiada. - Wstał z trudem, a Hunter podał mu rękę. Deszcz rozpuścił bród i sprawił, że ręka włóczęgi wyglądała jak ubłocona. Hunter z trudem powstrzymał odruch wymiotny.

Rawley wdrapał się na tylne siedzenie dżipa, elegancko ustępując Obiemu miejsca z przodu. Benny, który siedział w środku, zaczął skamleć. Hunter patrzył na niego przez chwilę i zastanawiał się, czy to możliwe, by pies, który tarza się w każdym napotkanym paskudztwie, poczuł się dotknięty obrzydliwym zapachem nowego pasażera.

- Muszę zamienić dwa słowa z szefem - powiedział Hunter. - Będziesz mógł poczekać? - to pytanie skierował do Rawleya, skazanego tym samym na zamknięcie w towarzystwie Obiego.

- Mhm. - Na wszelki wypadek otworzył okno.

Hunter wbiegł na posterunek, ale w oczach wciąż miał obraz Jenny. Poruszała się jak bezmózgi automat. Ortega czekał u siebie; przemierzał pokój tam i z powrotem.

- Widziałeś go? - spytał, pokazując ruchem głowy drzwi wejściowe.

- Siedzi w dżipie. Zabieram go do domu.

- Do domu. - Prychnął sierżant, ale nie dodał już ani słowa na temat Obiego. Podjął natomiast sprawę Bambi. Co Hunter o niej myśli? Czy przyłapał ją na kłamstwie? Czy wykazała stosowną skruchę, czy raczej jest zadowolona, że morderstwo uszło jej na sucho?

Hunter nie miał zadowolających odpowiedzi, co jeszcze bardziej rozjuszyło Orteę.

- Powiedz mi wreszcie coś, co chciałbym usłyszeć - zażądał.

- Czy zrobiono coś z facetem, który ją nachodził? - spytał Hunter.

- Z kim? - Ortega skrzywił się i machnął lekceważąco ręką. - Nabrałeś się na te bzdety?

- Twierdzi, że się boi.

- Baba, która wpakowała sześć kul w swojego starego? Daj spokój! - Ortega popatrzył na niego niemal z litością, jak na naiwniaka. - Striptizerka, która dorabia sobie po godzinach na rurach, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nikt jej nie nachodził. To był klient.

- Możliwe. Tym bardziej prawdopodobne byłoby nachodzenie. Facetowi się spodobało i przyszedł po jeszcze.

- Chcesz wiedzieć, co myślę? Sprzątnęła starego, żeby mieć wolną rękę na te numery.

- Podobno sądziła, że to włamanie i zabiła go przypadkiem.

- I ty jej wierzysz? - Hunter wzruszył ramionami.

- Nie ma przeciw niej dowodów. Wiedziałeś o tym, więc po co kazałeś mi tam jechać?

- Bo potrzebuję jakichś dowodów! Konkretów! - burknął zirytowany Ortega. - Myślałem, że ty coś znajdziesz.

Komplement był dwuznaczny. Nikomu nie udało się dostarczyć Ortedze tego, co chciał.

- To znaczy, miałem je sfabrykować?

Wkurzył sierżanta, po to zresztą to powiedział.

- Wynoś się stąd - warknął Ortega.

- Jak byś chronił kogoś przed facetem, który go nachodzi?

- Przykleiłbym się na amen, i miałbym nadzieję, że zamkną go za jakieś inne przestępstwo, zanim będzie za późno.

Nie było to stuprocentowe potwierdzenie skuteczności indywidualnej ochrony.

- A twoim zdaniem można takiego wyleczyć?

- Nie - kategorycznie stwierdził Ortega i choć Hunter wiedział, że nie należy słuchać wszystkiego, co mówi jego zadufany w sobie szef, tym razem milcząc, przyznał mu rację. Sierżant popatrzył na niego uważnie. - Jakieś kłopoty?

Hunter nie wiedział, czy powiedzieć mu o Jenny.

- Kobieta, którą nęka były mąż.

- Nęka?

- Pojawił się na scenie po piętnastu latach nieobecności.

- Chryste, Calgary, mówisz o córce Hollowaya! Nie należało posyłać ci wtedy tych papierów do Meksyku! - Pokiwał mu palcem przed nosem.

- Wiem o twojej przeszłości. Zostaw lepiej tego sukinsyna Troya jak-mu-tam w spokoju.

- Ten sukinsyn zabił moją siostrę.

- Brak dowodów to rzeczywiście ciężka sprawa, co?

- Coś jeszcze? - spytał Hunter. Czuł, że zaraz wybuchnie.

- Owszem. Zabieraj stąd tego swojego cuchnącego koleżkę. - Machnął ręką w kierunku wejścia. - Cholera, leje tak, że o świcie pewnie znów tu będzie.

- Spróbuję go trochę udomowić.

- Nie licz na to - burknął ponuro sierżant.

Hunter wyszedł sztywnym krokiem. Wiedział, że Ortega wygłasza swoje krytyczne uwagi dla jego dobra, ale tym razem sierżant trochę zalał mu za skórę. Szybko jednak o wszystkim

zapomniał, gdy tylko wskoczył do auta. Smród nie pozwalał skoncentrować się na żadnej myśli. Hunter starał się nie oddychać. Uruchomił samochód, przy wylocie z miasta zatrzymał się przy sklepie ze sprzętem turystycznym. Wpadł do środka tuż przed zamknięciem. Wrócił obciążony torbami, które cisnął na tył auta. Przez resztę drogi do swojej kwatery Obie nie mógł się nachwalić śpiwora, nieprzemakalnych plandek i turystycznej lampy.

- Królu mój - westchnął, kiedy Hunter z Rawleyem pomagali mu się urządzić.

Półtorej godziny później Obie siedział pod nową plandeką, która przykrywała jego ciekący namiot, a łagodne światło lampy przeświecało przez tysiące dziur i niezliczonymi smugami wznosiło się w ciemne niebo. Hunter, Rawley i Benny wyruszyli w drogę powrotną. Wycieraczki z trudem zbierały wodę z szyby.

- Dlaczego się nim opiekujesz? - zapytał Rawley.

- Czasem człowiek potrzebuje ekstraopieki.

- Sierżant Ortega go nie lubi.

- Sierżant Ortega nie lubi nikogo.

Rawley pokiwał głową, przez chwilę wyglądał na starszego niż jego piętnaście lat.

- Próbujesz opiekować się moją mamą?

Pytanie było ważne i zawierało więcej treści, niż to się mogło wydawać. Hunter, niezbyt pewny, jak w obecnym pogodnym nastroju Rawley przyjmie prawdę, odrzekł:

- Lubię twoją mamę. O niewielu osobach mogę to powiedzieć.

- Mniej więcej tak jak Ortegę?

- Dobry Boże, nie!

Rawley roześmiał się, lecz natychmiast ucichł. Hunter czytał w jego myślach. Takie spotkania jak dzisiejsze oznaczały dla Rawleya zdradę ojca. Chłopak nie wiedział, co to. Wszystko było dla niego czarne albo białe.

Stanęli pod bramą; Rawley wystukał kod; skrzydła się rozsunęły i Hunter wjechał pod wejście do mieszkania Jenny. Stały tam już dwa samochody. Przyjechali Montgomery'owie, a Allen Holloway jeszcze nie wyszedł.

Otworzyli drzwi i do domu wpadł szum i zapach deszczu. Benny popędził do Magdy i z nim Rawley zdołał złapać go za obrożę, wylądował brudnymi i mokrymi łapami na jej kolanach.

- O Boże! - krzyknęła raczej zaskoczona niż zła.

- Zabierz stąd tego psa! - Allen poczerwieniał z wściekłości.

- Przepraszam cię, Magda. - Jenny zerwała się z miejsca. - Chodźmy do kuchni, zaraz coś zrobimy. Benny, jesteś okropny! - skarciła psa, ale nie potrafiła zdobyć się na groźny ton. Pies wywiesił jęzor i pomachał ogonem.

Hunter z ulgą stwierdził, że Jenny zachowuje się już normalnie. Magda przyglądała się plamie na sukience.

- To nic takiego - zapewniła, idąc za gospodynią do kuchni. Po drodze mrugnęła do Huntera.

Phil uściśnął mu dłoń, a Rawley tymczasem wyprowadzał Benny'ego.

- Wychodzimy na chwilę - mruknął w przestrzeń, po czym obaj zniknęli w deszczu. Jenny popatrzyła za nimi i zmarszczyła czoło.

- Jak słyszę, mieszka pan w Santa Fe - powiedział Phil. - Świat jest mały, jak zwykle.

„Świat jest mały”. Jenny i Allen niewątpliwie wypełniali te słowa szczególną treścią. Hunter rozejrzał się, zdumiony obfitością dań na stole. Kolacja dawno się skończyła, ale wszędzie stały półmiski z kolorowymi, aromatycznymi potrawami kuchni południowego Za-

chodu. Gdyby był choć odrobinę głodny, uznałby, że trafił do raju. Ale w tej chwili czuł tylko natłok myśli wirujących wokół jednego tematu. Jenny.

- Co pan właściwie tu robi, Calgary? - rzucił Allen. Gniewny ton wskazywał na to, że starszemu panu niebezpiecznie rośnie ciśnienie.

- Allen - Jenny ostrzegła ojca znużonym głosem. Magda wykorzystała okazję, by złagodzić napięcie.

- No, dzięki Bogu! - rzuciła się Hunterowi w objęcia i na moment wywróciła oczy w stronę Allena. - Najwyższa pora, żebyś się pojawił. Bez ciebie to żadne przyjęcie.

Phil usiadł z powrotem na kanapie, ze szklaneczką brandy w ręku. Wcisnął na głowę берет i naciągnął go na jedno ucho. Bardzo chciał wyglądać zawiadaczko, ale minę miał niezbyt pewną.

- Magda zrobiła margaritę, ale ja zostałem przy brandy! - Wzniósł szklanekę w niemym toaście.

- Och przepraszam. Napijesz się czegoś? - Jenny odgarnęła włosy z twarzy. Była wciąż niepokojąco roztargniona.

- Poproszę brandy.

Jenny poszła do kuchni, gdzie między pełnymi półmiskami stała butelka kosztownej brandy, niewątpliwie przywieziona przez Allena.

- To super, że mieszkasz w Santa Fe! - odezwała się Magda. - Powinieneś był nam o tym powiedzieć!

- Powiniennem być powiedzieć mnóstwo rzeczy - przyznał, nie spuszczać wzroku z Jenny.

- Ojciec niepokoi się z powodu Troya - powiedziała Jenny, podając mu brandy, ostrożnie, by nawet nie musnąć palcami jego dłoni. Była to najwyraźniej konwersacja na użytek przyjaciół. - Zjesz coś?

- Nie, dzięki. Nie mam apetytu.

- Ty także? - zapytała, a w jej głosie pobrzmiwała histeria. Co się tu, u diabła, dzieje?

- Kochanie, czekaliśmy na ciebie - włączyła się Magda. - Nie chcieliśmy wychodzić bez spotkania z tobą.

Phil odebrał sygnał i zerwał się z kanapy. Nagle uświadomił sobie, że ma na głowie берет; ściągnął go, przyjrzał mu się, jakby zastanawiając, skąd się w ogóle wziął.

- Dobrze, że jesteś - bąknął. Allen popijał brandy i czekał.

Hunter poczuł, że jest spięty, jak przed walką. Zmusił się jednak do swobodnego tonu.

- Musieliśmy odwieźć do domu mojego przyjaciela.

- To nie była sprawa służbowa? - zapytał Phil z nagłym zainteresowaniem. Wyglądało na to, że z ulgą przyjął zmianę tematu.

- Niezupełnie. - Nie zamierzał opowiadać o Bambi de la Croix, ani tym bardziej o nachodzeniu, morderstwie i strachu. Ponieważ jednak towarzystwo czekało na jakieś wyjaśnienia, dodał: - Musiałem omówić kilka rzeczy z szefem. - Hunter popatrzył uważnie na twarze zebranych. Wszyscy najwyraźniej liczyli na to, że odwróci ich uwagę od czegoś, co unosiło się w powietrzu, gdy weszli z Rawleyem do domu. - Mamy pewnego włóczęgę, który pojawia się za każdym razem, kiedy pada deszcz i koczuje na schodach przed posterunkiem. Więcej przestępstw dziś nie zanotowaliśmy. Odwieźliśmy go z Rawleyem do domu.

- Wolałabym, żeby Rawley już nie wychodził - powiedziała nagle Jenny.

- Wyszedł przecież z psem - przypomniał jej Allen. - Nic mu się nie stanie.

- Nie lubię, kiedy wychodzi za bramę.

- Zaraz go znajdę. - Hunter ruszył do drzwi. Kiedy tylko stanął na ganku, zobaczył, że

chłopak i pies spacerują w świetle narożnej latarni, słabo widoczni za zasłoną deszczu. Obaj byli zupełnie przemoczeni.

Hunter zrobił krok w tył. Wolał zniknąć z pola widzenia, świadomy, że jednym fałszywym ruchem może zrujnować kruche zaufanie, jakie okazał mu mały. Otworzył drzwi i wpadł prosto na Phila i Magdę, która złapała go za rękę i odciągnęła na bok.

- Ojciec potwornie się o nią boi - szepnęła w przelocie. - Mówi, że Troy zabił twoją siostrę. Hunter, czy to prawda?

- Czy rzeczywiście pracowałeś dla Allena? - W głosie Phila brzmiało rozczarowanie.

- Starał się zapewnić Jenny bezpieczeństwo! - Magda rzuciła mężowi ostre spojrzenie. - Rozumiemy cię i jesteśmy po twojej stronie, w każdej sprawie - znów zwróciła się do Huntera. - Pilnuj jej, dobrze? Jenny zawsze mówiła, że Troy to sukinsyn, ale to mnie przeraziło. Mówię poważnie.

- To znaczy, że Allen przyszedł do ciebie i poprosił, żebyś ją chronił? - dopytywał się Phil.

Zanim Hunter zdążył odpowiedzieć, Magda ucięła rozmowę:

- Kochamy ją i już. I bardzo się cieszę, że wtedy, w Puerto Vallarta, klapnęłam na twoje kolana i że dzięki temu mogliście się spotkać.

- Rawley wraca - zauważył Phil.

Hunter obejrzał się. Rawley sunął w deszczu, pochylając głowę. Benny człapał obok niego. Magda mocno uścisnęła dłoń Huntera.

- Cieszę się, że jesteś gliną, ekskliną czy czym tam jeszcze. Ona musi mieć w życiu kogoś, kto będzie dbał o nią i jej sprawy. A to nie może być tatuś. Allen Holloway manipuluje każdym bez najmniejszego wysiłku.

- Magdo, jestem pewien, że Hunter zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę.

- On uważa, że polujesz na forszę. Jenny wcale tak nie myśli.

- Magda...

- Cześć, Rawley! - Magda miała ochotę wziąć chłopaka w objęcia, ale Rawley, wyczuwając niebezpieczeństwo macierzyńskiego uścisku, przezornie zatrzymał się trzy metry dalej, z jedną ręką na obroży Benny'ego. - Och, o psa się nie martw. Ubrania można wyprać. Tam zostało jeszcze mnóstwo jedzenia - dodała, podnosząc wielką torbę. - Wcale nie uszczupliłam zapasów.

Rawley nie odpowiedział. Magda jeszcze raz uścisnęła Huntera, po czym oboje z Philem pochylili głowy i popędzili w deszczu do swojego mercedesa. Rawley patrzył chwilę za nimi, a potem przeniósł wzrok na Huntera, który otworzył drzwi i bez słowa, gestem zaprosił go do środka. Chłopak zawahał się, wszedł szybkim krokiem, razem z Bennym, którego Hunter nie zdążył przytrzymać.

- Zabierz tego psa - wrzasnął znów Allen, a Jenny dodała: - Wytrzymaj mu łapy z błota, proszę cię. I zdejmij buty.

Choć raz Rawley zastosował się do polecenia bez zastrzeżeń i zawlókł Benny'ego do łazienki.

Jenny usiadła na kanapie.

Czy kiedykolwiek wybaczy mi, że znów ukryłem przed nią prawdę? - pomyślał Hunter.

Rozdział 14

W salonie było ciemno. Allen w końcu wyszedł, ale wcześniej zdążył odesłać Rawleya do jego pokoju i obwinić Huntera o wszystko, od Troya Russella począwszy, przez polowanie na jego zrozpaczoną córkę, po ukrywanie przed nią prawdy o śmierci Michelle. To Allen powiedział jej, że Michelle została zepchnięta z dachu. I że Hunter tropi Russella. To Allen przestrzegł córkę, żeby sama pilnowała swoich spraw i nie była tak łatwowierna.

Poszedł dopiero wtedy, kiedy zorientował się, że Jenny już nie słucha. Ani Allen, ani Hunter nie byli w stanie przebić się przez skorupę, w której się zamknęła. Hunter stał teraz przy oknie i nie wiedział, jak jej pomóc. Był wściekły, że Holloway nie zatrzymał dla siebie informacji o Michelle. Niczego przed nią celowo nie zatajał, ale chciał poczekać, aż przyjdzie właściwa pora i znaleźć właściwy sposób. Wiedział, że Jenny jest przerażona.

- Nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć - wyznał teraz, wsuwając ręce do kieszeni i spoglądając w ciemne niebo. Deszcz na chwilę ustał, ale chmury wciąż wyglądały groźnie. Cieszył się z tej pogody. Może przynajmniej w rzece Santa Fe przybędzie wody. Jenny splotła palce.

- Jesteś pewien, że to on ją zabił?

Chciała, żeby powiedział: „nie”. Żeby dał jej jakąś nadzieję.

- Tak, choć nie mogę tego udowodnić.

- Troy jest łajdakiem. Któregoś dnia... - Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. - Ale nie mógł nikogo zamordować. Nie z zimną krwią!

Patrzyła w okno. W świetle księżyca jej profil nabrał niebieskawej barwy. Chwytała się ostatniej deski ratunku.

- Co ci zrobił?

- Słucham? - spytała Jenny z roztargnieniem.

- Wtedy, kiedy przyszedł tamtego dnia. Coś ci zrobił. Co to było?

- Och... - potarła palcami gardło. - Ee... pocałował mnie. - Wzdrygnęła się z obrzydzenia.

- Przycisnął usta do moich tak mocno, że to bolało, a potem... dotknął mnie... złapał... - Nabrała powietrza i powiedziała przez zaciśnięte zęby: - Za krocze.

Hunter poczuł, jak krew gotuje mu się w żyłach. Mimo wszystkiego, co wiedział o Troyu, wciąż nie podejrzewał, że ten odważy się zaatakować Jenny.

- To była chwila - powiedziała. - Bał się, że Rawley go przyłapie. Chyba chciał mi tylko udowodnić, że ma nade mną przewagę fizyczną. To nie mógł być wypadek - dodała, licząc mimo wszystko, że Hunter zaprzeczy.

- Moja siostra nie rzuciłaby się z dachu. Nie była desperatką, choć nie mówiła mi wszystkiego. Wiem, że ją uderzył. Miała siniaki, ale kłamała, że to z jakiegoś innego powodu. Nie mogłem tego zrozumieć. I nadal nie mogę.

- A ja tak. - Usta Jenny drżały. - Wstydziła się. - Jenny patrzyła na niego przez ciemny pokój. - Było jej wstyd, że tak bardzo się pomyliła. Że wszyscy się na nim poznali, a ona nie.

- Zrobiłbym wszystko, żeby jej pomóc, Jenny. Była w ciąży.

- Ja też.

- Ale znalazłaś pomoc u ojca.

- Spłacił go! - odpowiedziała z goryczą. - Twoja siostra pewnie sądziła, że go zabijesz.

W tych słowach było tyle prawdy, że Hunter osłupiał. Najchętniej udusiłby tego faceta własnymi rękami. Tylko cwany unik Troya i oskarżenie o nękanie powstrzymały Huntera

przed takim krokiem.

- Nie chcę w to wierzyć, choć wiem, że to prawda.

Przeszedł przez pokój i ujął jej dłonie. Były zimne jak lód.

- Nie zostawię cię - powiedział, rozcierając je.

- Boję się o Rawleya.

W tym momencie się załamała. Usiadł na kanapie i przyciągnął ją do siebie.

Chciał jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha. Słowa niemal unosily się w powietrzu, ale nie wypowiedział ich.

- Nie zostawię cię - szepnął. - Nigdy. - Przytulił ją jeszcze mocniej.

Zasnęli, wyczerpani i wtuleni w siebie jak para kochanków.

Rawley obudził się nagle. Było zupełnie ciemno. Benny podniósł łeb i z uwagą obserwował jego ruchy. Chłopak poklepał go odruchowo, ale myślał o Hunterze. Znow był na niego wściekły.

Mocnym uderzeniem pięści zbił poduszkę w kłęb i położył się, wpatrzony w sufit. Chwilę później podniósł z podłogi piłkę i leżąc na plecach, podrzucał ją lekko i łapał.

Właściwie prawie go lubi. Prawie. To Hunter przywiózł mu Benny'ego z Houston, a od czasu do czasu zabiera go ze sobą na posterunek. Cierpliwie wysłuchuje bzdur, które wygaduje sierżant Ortega, co jest nawet zabawne, bo widać, jak Ortega się wkurza.

A jeszcze ta cała historia z Obiem Loggerfieldem. Uf! Stary wygląda i cuchnie jak śmietnik, ale jest świetny. Rawleyowi spodobało się to o Jego Wysokości. Facet ma naprawdę godność. A Hunter traktuje go z szacunkiem, wcale nie protekcjonalnie.

Omam nie upuścił piłki. Złapał ją i nasłuchiwał. Nie chciał obudzić mamy. Naprawdę ciężko pracuje i jest szczęśliwsza niż przedtem. No tak, odbija jej na punkcie taty, ale kobiety czasami tracą rozum. Brandon wytłumaczył mu, że trzeba po prostu bagatelizować różne ich dziwactwa.

Ale to niestety prawda, że mama naprawdę lubi, kiedy Hunter Calgary jest w pobliżu. Wzdrygnął się na myśl, że mogliby być parą. Wystarczyło, że o tym pomyślał i ścisnęło go w dołku. A przecież widać, że facet chce się do niej zbliżyć. Może jeszcze mu się to nie udało, ale nie wygląda na to, by łatwo zrezygnował. Chryste! Przecież on mieszka w Santa Fe!

Rawley był pewien, że to jakaś zmowa. Szkoda, że nie może teraz zadzwonić do taty. Chyba jest za późno. Rodzice wkurzają się, jak się do nich dzwoni po dziewiątej wieczorem. A co z mamą? Rawley jeszcze raz podrzucił piłkę i sprawnie ją złapał. Nie mógł jej rozszyfrować.

Czasem była w siódmym niebie, gdy pojawiał się Hunter, kiedy indziej wyglądała na chorą ze zdenerwowania. Coś się wydarzyło i jedyną pociechę stanowił fakt, że Hunter, tak jak i Rawley był zbity z tropu. Cała nadzieja w tym, że w końcu się wyniesie. Rawley ma teraz tatę i gryzie go myśl, że ktoś inny mógłby go zastąpić.

Ostrożnie położył piłkę na podłodze obok Benny'ego. Leżąc na boku, przyglądał się złościej sierści psa. Benny oddychał głęboko, wydając od czasu do czasu śmieszne pomruki posapywania.

Czy Hunter sobie poszedł? A może nadal tu jest?

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy chłopaka. Zaniepokojony wysunął się z łóżka. Na bokserki naciągnął dżinsy, nie chcąc, by ktokolwiek widział go na pół ubranego. Szedł na palcach przez salon, gdy nagle stanął w pół kroku. Krew uderzyła mu do głowy. Leżeli oboje na kanapie. Razem!

Poczuł ucisk w piersi. Nie mógł oddychać. Z ulgą dostrzegł, że oboje są ubrani. Zauważył w przelocie, cofając się w cień holu, że mieli nawet buty.

Wśliznął się z powrotem do swojego pokoju, ale się nie rozebrał. Nawet się nie położył. Stał na środku, w głowie wirowały mu tysiące myśli. Powinien był powiedzieć ojcu więcej o tym facecie. Ostrzec go!

Podniósł słuchawkę i z pamięci wystukał numer komórki taty. Nie przejmował się tym, że ojciec może zrobić mu awanturę za dzwonienie o tak późnej porze. Usłyszał cztery sygnały, a potem włączyła się poczta głosowa.

- Cześć, tato - powiedział pełnym napięcia głosem, co chwilę spoglądając na drzwi. - Mama spotyka się z tym facetem. Wiesz, tym, o którym ci mówiłem. On tu jest, a ja go nie chcę. Musisz zaraz przyjechać. Ja... - głos mu się załamał i przeszedł w pisk. - Gdzie jesteś? Mówiłeś, że przyjedziesz. Tato! Proszę! Przyjedź szybko!

Troy siedział w zielonym explorerze i patrzył, jak blade światło świtu rozjaśnia wschodnie niebo. Zaparkował samochód pod bramą fortecy, w której zaszła się Jenny. Gdyby zechciał, mógłby się nawet wspiąć na płot, ale nie mógł wjechać samochodem bez pozwolenia z wewnątrz. Był w fatalnym nastroju. Uderzył dłonią w kierownicę, potem drugi raz i trzeci, zacinając zęby, żeby powstrzymać krzyk, który rwał mu się na usta w miarę, jak narastała wściekłość.

Wiedział, że zachowuje się irracjonalnie. Ale był bezsilny i teraz mógł tylko iść za ciosem. Czekał, aż Jenny wyjdzie. Może ich śledzić, jeśli będą razem z Rawleyem, albo zadzwoni do chłopaka, jeżeli okaże się, że został sam w domu.

Spojrzał na komórkę. Wyłączył ją dla oszczędności. Musi rozsądnie gospodarować tą śmiesznie małą sumą, którą dał mu Holloway. O jeden raz za dużo próbował użyć karty kredytowej Patricii i dowiedział się, że dostęp został zamknięty.

Dostęp zamknięty.

Ze złością popatrzył na kute ogrodzenie z ostro zakończonymi prętami. Zawsze próbowali zamykać mu dostęp, ale to się nie uda. Zje ich na surowo.

Ostatnia noc nie była udana. Troy skrzywił się i warknął. Wiedział, że dwie kobiety mogą oznaczać kłopot, ale to, co się stało, to była klęska na całej linii.

Były bardzo chętne. Heather i Jessica. Dwie przyjaciółki. Postawił im parę drinków, a potem udał, że musi już wyjść. Ubłagały go, żeby został i choć on prawie nie pił, dziewczyny wyłopały kilka porcji modnego ostatnio martini. Schlały się i pękły wszystkie hamulce.

Zastanawiał się, jak je rozdzielić. Heather podobała mu się bardziej niż Jessica. Miała okrągłe cycki i fajny tyłek, podczas gdy Jessica była szczuplejsza, zbudowana jak atletka i śmiała się jak hiena. Namówiły go, żeby pojechać do nich, do małego domku w północnej części miasta, przy zwirowanej drodze. Wyglądało to całkiem nieźle. Heather prowadziła samochód dziewczyn, a Troy jechał za nimi. Czuł ten szalony łomot w głowie, bębnił palcami w kierownicę i tupał. Chciał wziąć Heather jak sukę, którą przecież była.

Wypiły jeszcze parę drinków. Wódkę z wodą sodową i małymi kostkami lodu. Troy wziął szklanekę, ale nie wypił ani łyka. Oczy zachodziły mu czerwoną mgłą, widział teraz tylko rozhuśtane pośladki Heather. W końcu wyciągnął rękę i ścisnął je. Odepchnęła jego dłoń, ale żartem i w tym momencie pojawiła się Jessica. Stała za Troyem i wcisnęła te swoje obrzydliwe usta w jego szyję i kark. Lizła go i jęczała, a jej palce powędrowały w dół i dotykały go przez spodnie. Wszystko w nim zwiotczało. Nawet kiedy Heather podeszła z przodu i wsunęła język między jego wargi, nie czuł nic. Skończony. W pułapce. Upokorzony.

Staraly się ze wszystkich sił, ale Troy się wyrwał. Złapał za gardło Jessicę, aż oczy wyszły jej na wierzch ze zdumienia. Teraz chciał jej, ale na czworakach. Kiedy usiłował pchnąć ją na kolana, wrzeszczała i opierała się, a potem Heather zaczęła krzyczeć tak, aż Troy poczuł, że za chwilę pęknie mu głowa.

Śmiały się, kiedy wyszedł! Śmiały się!

Upokorzenie paliło jak ogień. I jeszcze nie wygasło do końca.

Przejechał dłonią po włosach; wiedział, że wygląda okropnie. To nie był dawny Troy Russell. Coś zniknęło. Nie był pewien, co, ale coś się wypaliło.

Siedział w aucie jeszcze przez godzinę i zastanawiał się, czy nie zadzwonić i nie pogodzić się z Patricią. Wróci do Los Angeles, będzie miły, a ona przyjmie go z powrotem. Nie jest wprawdzie ani specjalnie atrakcyjna, ani bogata. Gdyby rzeczywiście chciał odegrać rolę skarconego szczeniaka, należałoby wracać do Frederici. Wystarczy trafić na jej lepsze dni i na pewno się zgodzi; wszystkie chwytły dozwolone.

Ale nie mógł sobie wyobrazić siebie w roli faceta żadnej z nich. Po raz pierwszy w życiu Troy nie ufał swojemu penisowi. Ostatnia noc rozwiała wszelkie nadzieje. Kobiety to kastrujące feministki. Żyją z upokarzania mężczyzn. Śmieją się i wytykają ich palcami.

Trzeba nauczyć je respektu. I wbić im do głowy strach.

Zawsze o tym wiedział, ale nagle zabrzmiało to jak objawienie. Mają kulić się ze strachu, płakać i patrzeć na niego z lękiem.

Na samą myśl o tym poczuł, jak twardnieje.

Jenny się obudziła. Było jej gorąco, wydawało się jej, że jest gdzieś zamknięta. Prawa ręka zupełnie zdrętwiała, wyciągnęła ją spod siebie i wtedy zorientowała się, że leży wciśnięta w kanapę, a nogami oplątuje czyjeś ciało. Hunter.

Oprzytomniała, szarpnęła się, to obudziło Huntera. Próbowała przypomnieć sobie, co się właściwie stało, kiedy powiedział leniwie:

- Zdjąłem ci buty.

Popatrzyła na swoje stopy w pończochach, poruszyła palcami.

- Dzięki.

- Jak się czujesz?

- Zgnieciona. - Hunter odwrócił się na bok, patrzył na nią. Milczeli długą chwilę.

- Muszę umyć zęby - szepnęła zaciśniętymi wargami. Uśmiechnęła się; zbyt olśniewająco. Wyśliznęła się z jego objęć, poszła do łazienki i jęknęła na widok rozczochranych włosów i pomiętego ubrania. Wyszczotkowała włosy, wyszorowała zęby i czmychnęła do swojego pokoju, żeby się przebrać.

Wróciła do salonu, ale Huntera nie było. Zajrzała do kuchni. Majstrował przy ekspresie do kawy. Domowa, wręcz sielska scenka. Jenny zapało dech.

Chcę, żeby codziennie tak było, pomyślała z determinacją.

- Pozwól, że ja zrobię. - Zajęła się kawą. Hunter usiadł na jednym ze stołków przywiezionych z Houston i oparł łokcie na kuchennym blacie.

Jego milczenie wyprowadzało Jenny z równowagi. Popatrzyła na niego uważnie.

- O co chodzi? - spytała.

- Dobrze się czujesz?

- Po wczorajszym kryzysie? - Patrzyła, jak kawa szybko wlewa się do szklanego dzbanka.

- Od przyjazdu do Santa Fe żyję w trochę nierealnym świecie. Zapomniałam o wszystkich problemach i sądziłam, że tu mnie nie dogonią, ale potem zjawił się ojciec i powiedział... - Bezradnym gestem podniosła rękę, po czym ją opuściła. - Myślę, że Troy jest zdolny do wszystkiego - przyznała, szukając jego wzroku.

- Też tak uważam.

- Znałeś go - stwierdziła, jakby dopiero teraz to do niej dotarło. Ostatniego wieczoru nie myślała zbyt jasno.

Hunter skinął głową.

- Szkoda, że mi nie powiedziałeś.

- Miałem cię pilnować, nie kontaktować się. Nie miałem zamiaru niczego ci mówić.

- Ale później - nalegała - po tym, jak... byliśmy razem. Powinieneś był mi powiedzieć.

- I co by się wtedy stało?

- Wyrzuciłabym cię ze swojego życia i nawrzeszczałabym za to, że pracujesz dla ojca. -

Od jej spojrzenia ścisnęło mu się serce. - Co mogę zrobić? Potrzebny mi jest zakaz zbliżania się Troya do nas. Nie mogę znieść jego spotkań z Rawleyem! On nie odejdzie. Wiem, jestem pewna, nawet jeżeli spróbuję to ukrócić. Zawsze będzie nas prześladował, tak długo, jak długo mój ojciec będzie mu płacił.

Hunter wiedział, że nie chodzi tylko o pieniądze; być może zresztą Jenny też miała tę świadomość, ale nie mówiła o tym głośno. Troy bawił się Rawleyem, żeby znęcać się nad Jenny. A oboje - i matka, i syn - ponosili ogromne ryzyko.

Naląła kawy do filiżanek. Nie mógł znieść myśli, że Troy chce ją skrzywdzić.

- Ortega chce, żebym wrócił, ale jeszcze zaczekam.

- Będę ci płaciła za ochronę - zapewniła pospiesznie.

- I tak z tobą zostanę. A co z Rawleyem? Co na to powie?

- Nie zrozumie - powiedziała zmęczonym głosem. - Ale w tej chwili nie bardzo mnie to obchodzi.

- Russell w końcu odkryje karty. Chcę przy tym być. Przykleję się do ciebie jak pijawka. Jak kochanek.

Odwróciła wzrok, starała się na niego nie patrzeć.

- Liczę na to - przyznała i lekko pociągnęła nosem.

Hunter rozluźnił mięśnie karku. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jaki był spięty.

- Chodźmy. Zabiorę cię na moje ranczo. Ja też muszę umyć zęby i jeżeli nie uraczysz mnie tym niebiańskim, południowozachodnim jedzeniem, zakrzątnę się koło jakiegoś śniadania. Tym razem w moim wykonaniu.

Uśmiechnęła się, zachwycona taką perspektywą.

- W restauracji mogę być później.

- Gloria poprowadzi lokal, nawet jak jej zasłonią oczy, skują ręce i posadzą na wózku inwalidzkim - i to jako jedyny pracownik.

Jenny się roześmiała.

- Jest zawzięta.

Hunter rozkoszował się pogodnym tonem jej głosu.

- Boję się jej.

- Aha. - Jenny podniosła do ust filiżankę.

- Mówię poważnie. To dlatego zostałem z tobą na noc. Widzisz, wszystko przez sny. - Udał, że przeszedł go dreszcz. - Potrzebuję ochrony.

- Jedźmy na ranczo - powiedziała, a z jej słów Hunter odczytał więcej, niż zamierzała powiedzieć. Rzucił okiem przez ramię, w stronę holu i dalej, w kierunku pokoju Rawleya.

Jenny przejęła inicjatywę. Podeszła do drzwi syna i cicho zastukała. Nie odpowiedział, więc nacisnęła kłamkę.

- Rawley?

- Co? - padła burkliwa odpowiedź.

- Wychodzimy z Hunterem na jakiś czas. Pojedziesz z nami?

- Dokąd?

- Na przejażdżkę. A potem obejrzyć jego ranczo. - Cisza.

- Nie chciałbym przeszkadzać.

- Nie będziesz przeszkadzał. - Jenny zignorowała jego cierpiętniczy ton.

- Zostanę. Mam lekcje na jutro.

- Dobrze. - Cicho zamknęła drzwi. Z pokoju dobiegł ją jeszcze głos Rawleya: - Długo was nie będzie?

- Parę godzin.

Nie odpowiedział. Jenny wróciła do kuchni i uniosła brwi.

- Zmywamy się - zdecydował Hunter, złapał kurtkę i wyrzwał na zewnątrz. Przestało padać. Wkrótce do Santa Fe wróci rześki, suchy i chłodny, pustynny klimat.

Jenny narzuciła wiatrówkę. Leciutko musnęła skórę perfumami. Wyszli.

- Cieszę się, że postanowił zostać - powiedziała.

- Ja chyba bardziej.

Pobiegli do dziapa, trzymając się za ręce, ze śmiechem omijając wysychające kałuże.

Czarny dziap wyjechał z bramy i skręcił w stronę miasta. Troy był tak zaabsorbowany własnymi problemami, że nie zwrócił na niego należytej uwagi; dopiero kiedy mignął mu profil Jenny, poczuł skok adrenaliny.

Z kim ona była?

Wściekł się. Rawley mówił mu, że kręci się koło niej jakiś facet i choć dla Troya nie było to obojętne, nie traktował go jak poważnego rywala. Jenny to niedostępna księżniczka. Nie miewa kochanków.

Ale nagle ogarnęły go wątpliwości. Poczul falę piekącego gniewu. Niech szlag trafi tę sukę! Robi to specjalnie, jemu na złość.

Zaklął pod nosem, przekręcił kluczyk i natychmiast zgasił silnik. Jeżeli Jenny i jej kochanek wyjechali, Rawley został sam. Włączył komórkę, zobaczył, że ktoś nagrał wiadomość. Burknął coś ze złością, wystukał swój kod i słuchał chłopięcego głosu Rawleya, który opowiadał mu, że jego matka jest związana z tym facetem.

Zadygotał. Nie miał czasu do stracenia. Zadzwoił do Rawleya. Chłopak podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Halo?

- Cześć, Rawley. - Troy silił się na swobodny ton, choć miał ochotę wrzeszczeć. Potrząsnął głową, próbował się opanować. Zaczynał tracić nad sobą kontrolę.

- Tato! - zawołał Rawley z ulgą. - Dostałeś moją wiadomość?

- Przed chwilą- Myślałem o tym, żeby pojechać i przyjrzeć się temu facetowi.

- Nie możesz! Właśnie wyjechali.

Troy zacisnął pięść, wbijał paznokcie w skórę.

- Coś takiego.

- Nic o nim nie wiem. Chcę tylko, żeby się zmył. Dlaczego musiał pojawić się właśnie teraz?

- Hej, słuchaj, jestem tuż obok. Jaki jest kod do otwierania bramy? Przyjdę do ciebie i może razem coś wymyślimy.

- Fantastycznie! - Rawley wyrecytował cyfry i Troy wrył je sobie w pamięci.

- Będę za chwilę - wyłączył się. Trochę go kusilo, by pojechać za Jenny, ale jeszcze nie wszystko stracone. Nie, nie. Potrafi grać na zwłokę, jeśli trzeba.

Rozluźnił dłoń i spojrzał na palce. Chętnie by kogoś udusił. Kogoś, kto ma niebieskie oczy i fałszywy uśmiech. Kto jest chłodny i piękny. Bogaty... a będzie jeszcze bogatszy, gdy staruszek wykituje.

Ta myśl odrobinę złagodziła żądzę mordy.

*

Ranczo Huntera leżało wtulone w niewielką dolinkę między malowniczymi pagórkami w pobliżu Santa Fe. Jenny wysiadła z auta, a Hunter wjechał przez bramę w ogrodzeniu z paliaków. Przeszli kamienistą ścieżką do drzwi wejściowych. Hunter otworzył je i gestem zaprosił Jenny do środka.

Dom był niewielki i pusty. Robił wrażenie nieco większego szalasu: meble z sękatych sosnowych desek; na płycie wysokiego kominka z rzecznych kamieni stos szczap. Z jednej strony zobaczyła dwoje drzwi i łagodną krzywiznę baru, a za nim kuchnię. Wnętrze było schludne, proste i przytulne. Jenny nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu.

Hunter wzruszył ramionami, nieco zażenowany.

- Niewiele tu zrobiłem poza tym, że naprawiłem płot. Nie ma żadnych zwierząt. Kupiłem to razem z meblami od dziewczyny, która wychodziła za mąż i wyjeżdżała do Phoenix.

- Tu jest naprawdę ślicznie - powiedziała szczerze.

- Rozpalę w kominku - zaproponował Hunter.

- Przygotuję śniadanie, jeśli jest z czego.

- Powiedziałem, że ja to zrobię.

- Och, daj spokój. Muszę mieć coś do roboty. – Hunter podniósł brew.

- Powodzenia. W lodówce jest chleb. Płatki kukurydziane. Mleka nie ma. Mrożony bekon. To, co się szybko psuje, zepsuło się, kiedy mnie nie było.

- Kawa?

- Rozpuszczalna.

- Bardzo chętnie.

- Nie ma mowy - zdecydował. - Zabieram cię na śniadanie.

- Jeszcze chwileczkę.

Hunter zajął się kominkiem, a Jenny w tym czasie robiła przegląd kuchni. Zabawnie i trochę niebezpiecznie było zaglądać w jego życie. Najwyraźniej nie było ono zbyt bogate tu, w Santa Fe. Dom wyglądał, jakby stał nietknięty i wciąż czekał na kogoś, kto się nim zajmie.

Jenny zagotowała w rondelku wodę i zalała granulki rozpuszczalnej kawy. Wdychała aromat, podając Hunterowi filiżankę.

- Nie najlepsza, jeśli ktoś nawykł do ekspresu i śmietanki - stwierdził, upijając pierwszy łyk.

- Ujdzie.

Usiadła na kanapie. Na kominku płonął ogień.

- Muszę wejść na chwilę pod prysznic - oświadczył Hunter i zniknął, zanim zdążyła odpowiedzieć. Słyszała, jak popłynęła woda i z całych sił zmuszała się, by nie wyobrazić go sobie nagiego... i mokrego.

Kwadrans później wrócił w czystych dżinsach i luźnym, szarym swetrze, z włosami jeszcze lśniącymi od wody. Miał gołe stopy. Nalał sobie kolejną filiżankę kawy.

Stał przed paleniskiem. Jenny skrzyżowała nogi. Chciała, by ją całował i pieścił, by się z nią kochał. Nie mogła myśleć o niczym innym.

Hunter przyglądał jej się z zachwytem. Miała na sobie dżinsy i czarny sweter, bardzo pojętnie układający się na piersiach. Podciągnęła rękawy, Hunter widział delikatny paseczek złotego zegarka. Nawet w zwykłym, codziennym ubraniu widać było duże pieniądze. Pomyślał przez chwilę o wszystkich powodach, dla których nie powinien się wiązać z bogatą kobietą.

Żaden z nich nie miał teraz znaczenia.

- O czym myślisz? - zaryzykowała pytanie. Wzruszył ramionami.

- Ee... co powinniśmy zrobić w sprawie Troya.

- Nieprawda. - Uniósł brwi, czekał. Przełknęła ślinę. - Myślisz o tym samym, co ja.
- To znaczy?
Podniosła się, stanęła tuż przy nim, plecami do ognia.
- Wreszcie jesteście sami.
- Hm... - Przesunął po niej wzrokiem. - Nie o tym myślę.
- Nie? - Pokręcił głową.
- Moje myśli powędrowały już w tamtym kierunku... - Pokazał ręką na drzwi do sypialni.
Objął ją i przytulił mocno; dmuchnięciem lekko zwichrzył jej włosy.
Poczuła rozkoszny dreszcz.
- Ojcu by się to nie podobało. - Delikatnie pocałował ją w kark; westchnęła z rozkoszy. -
Mojemu synowi też nie. - Leciutko dotykał zębami jej ucha i łagodnie pociągał.
- Ale mnie się podoba - stwierdził, przywierając do niej; zanurzył dłonie w jej włosach i
mocno pocałował w usta.
- Mnie też - powiedziała, z trudem łapiąc powietrze i na tym skończyła się ich rozmowa.

Rozdział 15

Wracali do mieszkania Jenny w ciszy i poczuciu zadowolenia. Miłość niesłychanie za-
ostrzyła im apetyty, więc gdy Hunterowi zaczęło burczeć w brzuchu, Jenny zaciągnęła go do
Tia Sophia, ulubionego przez turystów i miejscowych lokalu, gdzie jadało się śniadania. Mu-
sieli poczekać chwilę w małym foyer, zanim zwolni się stolik. Zamówili tortillę z niebie-
skiej kukurydzy, *burritos* i *mucho caliente enchiladas* do podziału i oboje pili ogromne ilości
wody, próbując ugasić pragnienie.

- Mam nadzieję, że Rawley zrobił sobie coś do zjedzenia - powiedziała, kiedy wjeżdżali w
bramę. - Pułk wojska mógłby się wyżywić tym, co zostało od wczoraj, ale on woli tradycyjne
śniadania.

- Hm... wydaje mi się, że moje kubki smakowe przestały działać.
- Nie trzeba było zamawiać najostroższych dań.
- Jestem mężczyzną i chciałem ci zaimponować.
- Już to zrobiłeś. - Spojrzała na niego spod oka i z zażenowaniem uświadomiła sobie, że
się czerwieni.

- Mówiłaś, że potrafisz być gorąca. Miałaś rację.

Weszli razem na górę. Jenny miała ochotę trzymać go za rękę, nawet jeśli miałyby to
wyglądać głupio, ale wiedziała, że Rawley może wyglądać przez okno, a trzeba jeszcze sporo
czasu, by chłopak zaakceptował Huntera. Nie należało wywierać na niego presji, żeby niczego
nie popsuć.

- Rawley? - zawołała, wchodząc do mieszkania. Sądząc po nieskazitelnie czystej kuchni,
mały nie zrobił sobie śniadania. W przeciwnym wypadku wewnątrz wyglądałoby jak po przej-
ściu tornada.

Spojrzała do zlewu, gdzie powinny stać dwie filiżanki po kawie, które zostawili rano z
Hunterem, ale jedna z nich leżała rozbita na drobne kawałki, jakby ktoś specjalnie cisnął ją z
całej siły na podłogę.

Benny skamlał i drapał w drzwi, zamknięty w pokoju Rawleya. Jenny wypuściła go i
otworzyła mu drzwi na dwór.

- Rawley? - zawołała znowu. Cisza.

Popatrzyła w stronę zadaszonego parkingu, gdzie zwykle parkowała swoje volvo.

- Przez moment myślałam, że wziął samochód! Ma piętnaście lat i bardzo chce zrobić prawo jazdy, ale wołałam poczekać, aż trochę tu się urządzimy.

- Dokąd mógł pójść? - zastanawiał się Hunter. W jego głosie było coś, co zelektryzowało Jenny.

- No... pewnie jest gdzieś w pobliżu.

- Bez psa? - Zawahała się.

- Może zostawił kartkę...

Przeszukała pokój syna, salon i kuchnię. Bez rezultatu. Z przerażeniem próbowała zrozumieć, co się mogło wydarzyć. Zapewne nic złego. Po prostu wyszedł gdzieś niedaleko. Nie miał tu na razie żadnych przyjaciół, do których mogłaby zadzwonić i jeżeli nie wyświetli się jakiś numer na aparacie...

- Był jakiś telefon zaraz po naszym wyjeździe - powiedziała, patrząc na ekran. Przełknęła ślinę. - Rawley mówił, że Troy ma komórkę.

Hunter pomyślał o tym samym.

Jenny wpadła do swojego pokoju, serce waliło jej jak młotem. O kasetkę z biżuterią oparta była biała koperta. Rozerwała ją, przebiegła wzrokiem treść listu i krzyknęła. Hunter błyskawicznie znalazł się tuż przy niej i wyjął kartkę z jej drżących dłoni.

Mamo,

przepraszam, że nie zadzwoniłem do ciebie przed wyjazdem. Jestem na wycieczce z tatą. Zadzwonię, jak będę miał okazję. Nie martw się. Nie chcę wracać do szkoły, w której nikogo nie znam. Wszystko w porządku. Obiecuję, że niedługo wrócę.

Całuję, Rawley

- Porwał moje dziecko - szepnęła. - Troy porwał mojego syna.

- Ćśś... - Hunter przyciągnął ją do siebie. Jego serce też biło mocniej niż zwykle; niepokój o Rawleya rósł z chwili na chwilę.

- Kiedy się kochaliśmy... ukradł mi syna.

- Bez paniki. Rawley pojechał z własnej woli. Znajdziemy go.

- Musimy zawiadomić policję. Zatrzymać go natychmiast! Zadzwoni do tego sierżanta - zażądała. Odsunęła się i popatrzyła mu błagalnie w oczy. - Zadzwoni i powiedz mu, co się stało.

- Nie wiadomo, jak dawno wyjechali. Na pewno są już poza zasięgiem policji z Santa Fe. Możemy zawiadomić policję stanową, ale...

- Ale co?

- Za bardzo się tym nie przejmą. Troy jest ojcem Rawleya. Rawley mówił, że do ciebie dzwonił.

- Co to ma do rzeczy? On nie ma prawa!

- Mówię ci tylko, jak to wygląda z prawnego punktu widzenia.

- Ciebie to nie obchodzi? Ani trochę?

Takie oskarżenie bolało, mimo że rzuciła je ze strachu, który łatwo zrozumieć.

- Znajdę Rawleya. - Wypuścił ją z objęć i myślami krążył już wokół tego, co trzeba zrobić.

- Co to znaczy? Gdzie będziesz go szukał? Co planujesz? - Teraz, kiedy Hunter miał odejść, niepokój Jenny wzrósł.

- Troy mieszkał ostatnio w Los Angeles. Ma tam znajomych...

- Ale... ale to w Kalifornii! Rawley mówił mi, że ojciec przenosi się do Taos. Może pojechali tam?

- Sprawdzę.

Najwyraźniej nie miał zaufania do jej teorii. Jenny rozpaczliwie uwiesiła się jego rękawem.

- Jenny. - Położył dłonie na jej ramionach. Czuł, jak drży. - Czy masz numer komórki Troya?

- Nie... nie... - Kręciła głową. - Chyba że Rawley gdzieś go zapisał. On miał... - Oderwała się od Huntera i pobiegła do sypialni syna. Przeszukała wszystkie możliwe miejsca, po czym cofnęła się z dłonią przyciśniętą do ust. - Zabrał ze sobą ubrania. I to ile!

Hunter przejrzał bałagan w szufladzie biurka. Papierki po słodyczach, spinacze, zszywacz i czyste notesy - nic nadzwyczajnego. Żadnych gryzmołów ani numerów.

- Nic nie ma, prawda? - W głosie Jenny nie było nadziei.

- Zadzwoń. - Hunter myślał pozytywnie.

- Pojechali na wycieczkę. - Jenny próbowała znaleźć w liście jakiś optymistyczny akcent. - Po prostu na wycieczkę. Pewnie wrócą wieczorem.

Hunter nie wiedział, jak jej powiedzieć, że się myli. Troy zabrał chłopca dużo dalej niż na jednodniową wyprawę. Czuł to tak samo wyraźnie jak zawsze, gdy miało się stać coś złego.

- Przywożę go - powiedział z przekonaniem.

- Jak? Co masz na myśli? Dokąd jedziesz? - zawołała, gdy odwrócił się do drzwi.

- Do Los Angeles. Tak jak ci powiedziałem, Troy tam właśnie spędził ostatnie piętnaście lat. Znam nazwiska wszystkich jego kumpli i byłych dziewczyn.

- Ale przez sześć lat byłeś w Santa Fe. Sam mówiłeś!

- Ale tak samo jak on znam tam wielu ludzi. A na dodatek mam w policji przyjaciół, którzy uważają, że miałem prawo ścigać Russella i zamienić jego życie w piekło. Przez cały czas mieli oko na to, co robi.

- Przerażasz mnie - powiedziała słabym głosem.

- Dobrze, że nie wróciłem jeszcze do pracy.

Wiedziała, co Hunter ma na myśli. Gdyby był funkcjonariuszem policji, obowiązywałyby go pewne reguły. A jeśli chodzi o Troya Russella, Hunter nie chciał trzymać się żadnych zasad.

Przełknęła ślinę, powstrzymując napływające do oczu łzy.

- Myślisz, że ci twoi przyjaciele go znajdą?

- Ja go znajdę.

- Jesteś pewien?

Odpowiedzią był tylko lekki uśmiech. Zapowiadał od dawna oczekiwane, ostateczne starcie z jej byłym mężem.

- Nie puszczaj nigdzie Benny'ego - powiedział Hunter. I wyszedł.

*

Rawley siedział w fotelu, w bejsbolowej czapce naciągniętej na oczy i obejmował trzymaną na kolanach piłkę. Żuł gumę. Big Red. Ulubiona guma jego taty, a teraz także i jego.

Tata był w świetnym nastroju. Super. Rawley ubłagał Troya, żeby zabrał go ze sobą, choć musiał dobrze się naprosić. Ale udało się. A teraz jechali dokądś, nie wiadomo dokąd i Rawley czuł dreszcz podniecenia. Miał tylko lekkie wyrzuty sumienia wobec mamy. Będzie się martwiła, pomyślał z poczuciem winy. To niedobrze.

Kurcze, nie będzie się przejmował. Naprawdę. Prowadza się z tym Hunterem Calgarym, a jego właśnie Rawley nie miał ochoty widywać. Wcale.

- Jedziemy do twojego domu w Touts? - Troy uśmiechnął się.

- Taos - powiedział i chrząknął. - Nniee... myślałem o czymś dalej.

- Ale przecież wrócimy wieczorem...

Parę następnych kilometrów przejechali w milczeniu. Rawley poczuł pierwsze ukłucie niepokoju. Pędzili tak szybko, że zarośla i drzewa migały jak szarzielona mgła. Zorientował się, że jadana zachód.

Z pewnym wysiłkiem stłumił zdenerwowanie. Był taki szczęśliwy, gdy rano przyjechał ojciec. Przepęniało go uczucie dumy. Kiedy tata wszedł do pokoju, czuło się, że ma władzę.

Cały efekt popsuło warczenie Benny'ego i Rawley musiał zamknąć psa w swojej sypialni. Kiedy wrócił, Troy patrzył na dwie stojące w zlewie filiżanki.

- To co, mama spędziła noc z przyjacielem? - spytał od niechcienia.

- Nic między nimi nie zaszło - zapewnił go szybko Rawley. - Zostali tutaj.

- Gdzie?

- Na kanapie - wykrztusił z trudem.

- Jesteś pewien?

Rawleyowi nie podobała się ta rozmowa i pewnie nie umiał tego ukryć, bo Troy spytał:

- Myślisz, że mogli się gdzieś wymknąć? Wiesz, co mam na myśli?

- Nie!

- Co to za facet? - Wyjął filiżankę ze zlewu.

- Zwyczajny. Nie mam pojęcia!

- Ale nie chcesz, żeby się tu kręcił, prawda?

- Kurcze, nie. - Troy uśmiechnął się.

- Ja też nie. Wiesz, zawsze żałowałem, że między Jenny i mną sprawy ułożyły się tak źle.

Popełniłem masę błędów, ale dobrze nam było razem.

- No to pomóż mi pozbyć się tego faceta. To jakiś policjant czy coś w tym rodzaju.

- Co to znaczy: „coś w tym rodzaju”? - ostro spytał Troy.

- No, kiedyś był. A teraz chcą, żeby wrócił. Jego sierżant zawsze się na niego drze, ale naprawdę chce, żeby tam pracował.

- Jego sierżant? Tu, w Santa Fe?

- Mhm, on jest...

- Jak się ten pierdolony gliniarz nazywa? - syknął Troy, ciskając filiżankę na podłogę.

- Hunter Calgary - wydusił Rawley.

Troy zacisnął dłonie w pięści i odwrócił się tyłem do zlewu. Rawley patrzył przestraszony; nie rozumiał, co się stało.

- Ty... go znasz? - zapytał cienkim, zmienionym głosem.

Troy odwrócił się, stał teraz plecami do Rawleya. W milczeniu otwierał i zaciskał dłonie.

- Spędził noc z twoją matką?

- Mówiłem, że spali na kanapie.

- Ale co ich łączy?

- Chyba...

- Co „chyba”?

- Chyba go lubi - wybąkał chłopak, pełen obaw, że mówi dokładnie to, czego ojciec nie chciałby usłyszeć.

- Czy teraz są razem?

Rawley skinął żałośnie głową; zaczynał podejrzewać, że popełnił błąd, że z jego winy sprawy przybierają zły obrót.

Troy zamknął oczy. Rozluźnił dłonie i kilka razy głęboko odetchnął. Wyglądało to trochę jak joga, albo jakieś... techniki relaksacyjne, o których słyszał.

- Hunter Calgary. - Otworzył oczy i przyglądał się Rawleyowi niezwykle uważnie. -

Wiesz, kim jest ten człowiek? - Rawley energicznie pokręcił głową. - Zamierza mnie zniszczyć. Jeżeli spotyka się z twoją matką, to tylko po to, by dobrać się do mnie.

- Po co?

- To maniak. Wiesz, dlaczego nie jest już policjantem? Bo latał za mną jak pies i zagrażał mojemu życiu.

Rawley próbował wyobrazić sobie Huntera jako maniaka. Nie udało się. A jednak ojciec najwyraźniej był wstrząśnięty. Nie udawał.

- Skąd Jenny go zna?

- Nie wiem.

- Z restauracji?

- Nie... wiem.

- Jak długo to trwa? Dlaczego nic mi wcześniej nie mówiłeś?

- To się zaczęło, kiedy byłem na obozie. Może... może poznali się w Puerto Vallarta?

- Niemożliwe. - Troy podszedł do okna, odsunął zasłonę, wyjrzał na dwór. - Czy dziadek o tym wie?

- Dziadek Holloway? Wie. Jest tutaj. Był u nas wczoraj wieczorem.

- Spotkali się tu z Calgarym?

- Poszedłem do siebie. - Rawley mówił przeproszającym tonem. - Nie zwracałem specjalnej uwagi, ale... owszem. Byli tu obaj razem. Chyba znali się już wcześniej.

To go naprawdę rozzłościło. Rawley żałował, że zaczął o tym mówić i że w ogóle zadzwonił do ojca. Ale czy tata ma rację? Czy Hunter kręci się koło mamy po to, by dopaść Troya?

- Dlaczego tak cię nienawidzi?

- Bo oskarża mnie o śmierć swojej siostry.

- Co takiego?

- Byłem krótko związany z jego siostrą i nie mogłem tego znieść. - Troy patrzył przez chwilę na chłopaka. - Jesteś wystarczająco duży, by pogodzić się z tym, jaka jest prawda?

- Jasne. Co ty sobie myślisz? Pewnie, że jestem. - Rawley wyglądał na urażonego.

- To będzie okropne.

Rawley wiedział co to znaczy. Widział sporo filmów o okropnej, nieuczciwej walce. Ale w tonie ojca było coś więcej, jakby dorośli rozumieli to słowo inaczej. Szczerze mówiąc, nie był przekonany, czy jest wystarczająco duży, by poradzić sobie z tym, co chce powiedzieć mu ojciec.

- Jak to: okropne? - spytał niechętnie.

- Myślę, że między Calgarym i jego siostrą coś było. Coś, o czym nikt nie lubi mówić, rozumiesz? Był o mnie zazdrosny. Nie podobało mu się, że wchodzę tam, gdzie żaden mężczyzna, poza jej braciszkiem, dotychczas nie wchodził.

Rawley wyglądał, jakby dostał obuchem w głowę.

- Nie wierzę!

- Mówiłem, że ci się to nie spodoba.

- To jest po prostu... wstrętne!

- Oboje są wstrętne. Dlatego popełniła samobójstwo. Rzuciła się z dachu.

- Nie... nie... - Rawley podniósł ręce, jakby bronił się przed słowami ojca.

- No to spytaj go, jeżeli mi nie wierzysz. - Troy podszedł do niego sztywnym krokiem, z każdą chwilą narastała w nim furia.

Rawley cofnął się.

- Nie mogę! - wykrztusił, przestraszony, że za chwilę się rozplacze. - Chcę tylko, kurde, sobie stąd pójść! - wrzasnął.

Benny skamlał i drapał w drzwi. Troy popatrzył w głąb holu, a potem na Rawleya.

- Nie możesz tego zrobić swojej matce. Nigdy - powiedział wczelno.

- Dlaczego? Jest z facetem, który robił to ze swoją siostrą!

Troy pokręcił głową, nie spuszczać wzroku z twarzy chłopca. Rawley czuł, jak pod tym wnikliwym, badawczym spojrzeniem coś się zaczyna w nim załamywać; chciał uciec i gdzieś się schować.

- Będzie porządnie przerażona - powiedział z naciskiem.

- Nic mnie to nie obchodzi!

- A ja wyjdę na złego faceta. Pomyśli, że zabrałem cię wbrew twojej woli.

Rawley zorientował się, że ojciec rzeczywiście bierze pod uwagę wszystkie możliwości.

- Zabierz mnie ze sobą! Wszystko jedno dokąd! Chcę tylko stąd wyjechać.

- Nie jestem pewien...

- Zostawię list. Napiszę, żeby się nie martwiła... że później zadzwonię. Proszę! - Rawley nie tracił nadziei, że uda mu się przekonać ojca. - Nie sprawię ci żadnego kłopotu. Obiecuję.

- Dziadek jest jeszcze w mieście? - spytał Troy, zupełnie bez związku z tematem rozmowy.

- Chyba tak. Możemy pojechać do ciebie do... do...

- Taos - odpowiedział Troy machinalnie. - Gdzie się zatrzymał?

- Dziadek? W La Fonda. - Troy zamrugnął energicznie.

Rawleyowi skojarzył się z komputerem, który wykonuje miliardy operacji jednocześnie.

- W porządku - zgodził się Troy z niechęcią.

- To znaczy, że wyjedziemy?! - wykrzyknął chłopak z niedowierzaniem. - Nie, naprawdę? Teraz? Zaraz?

- Muszę jeszcze wpaść do hotelu i wymeldować się - mówił Troy jakby do siebie. Rawley miał ochotę pomachać mu dłonią przed oczami.

- Napiszę do mamy parę słów i wezmę trochę swoich rzeczy. Zaczekasz, dobrze?

- Nie wypuszczaj psa - brzmiała odpowiedź. Rawley pognał, by przygotować się do drogi, zanim ojciec, wzorem wielu rodziców, zmieni zdanie. Wrócił z torbą w jednej i klubową kurtką w drugiej ręce. Na widok spojrzenia, jakim Troy obrzucił kurtkę, pomyślał z dumą, że warto było dostać się do reprezentacyjnego zespołu, zagrać przez parę minut w finałowym meczu i zdobyć wymarzony znak klubu.

Troy przez chwilę stał nieruchomo, lecz po chwili otrząsnął się i wyszli z mieszkania.

Zatrzymali się przy hotelu La Fonda, gdzie, jak się okazało, mieszkał też tata, i stamtąd ruszyli w drogę. Przez pierwszą godzinę Rawley trajkotał o wszystkim i o niczym, ale później przycichł. Zaczynał się niepokoić. Na dodatek wyglądało na to, że podróż zanoszi się na dłuższą, niż myślał. Owszem, chciał wyjechać, ale żał mu było mamy. I Benny'ego.

Nie miał pojęcia, co sądzić o Hunterze Calgarym.

- Daleko jedziemy? - powtórzył pytanie, bo tata wyglądał, jakby nie miał zamiaru mu odpowiedzieć.

Troy uśmiechał się do siebie. Prowadził jedną ręką, na nosie miał okulary przeciwsłoneczne.

- Nie mówiłeś przypadkiem, że chcesz nauczyć się prowadzić? - Rawley się ożywił. O niczym bardziej nie marzył.

- No jasne!

- Przejedziemy jeszcze trochę i dam ci kierownicę.

- Ale mi nie wolno.

Ojciec spojrzał na niego z nikłym uśmiechem.

- A kto się o tym dowie?

*

Telefon zadzwonił kilka minut po wyjściu Huntera. Jenny podniosła słuchawkę i nie mogła się powstrzymać przed rozpaczliwym pytaniem:

- Rawley?

- Geneva? - usłyszała głos ojca, równie zdesperowanego jak i ona. Opadła na kanapę. Benny przysunął się bliżej, widać, że udzieliło mu się jej zdenerwowanie.

- Och, cześć - powiedziała i dodała niepotrzebnie: - Myślałam, że to Rawley.

- Czy z Rawleyem wszystko w porządku?

- Dlaczego pytasz?

- Bo miałem spotkanie z Russellem. Znalazł mnie tu, w La Fonda. -Allen wydawał się urażony, że Troy wybrał takie miejsce. Nie lubił, kiedy ktoś nagabywał go na terenie, który uważał za swój. - Chciał przyjść do mojego pokoju. Powiedziałem, że mogę mu poświęcić kwadrans w holu. Kiedy wszedłem...

- Widziałeś się dzisiaj z Troyem? - przerwała mu Jenny.

- Tak. To właśnie usiłuję ci powiedzieć! - W głosie ojca brzmiała uraza. - Troy odkrywa karty. Żąda teraz pięciuset tysięcy dolarów. Wyobrażasz sobie?

Okup! A więc jest tak, jak podejrzewała.

- To znaczy... chcesz powiedzieć... za Raw...

- Powiedział, że chce robić ze mną interesy. Zainwestować w jakieś nieruchomości w Kalifornii, które chce budować. Mówił bardzo dużo.

- Czy był z nim Rawley?

- Co takiego? Nie. On negocjował, Jenny. Negocjował. - Prychnął. - Już nie ma mowy o żadnym „wymazywaniu win”. Była to tylko kwestia czasu. Spławiłem go.

Jenny nie mogła złapać tchu. Zdławionym głosem spytała:

- Co zrobił?

- Sukinsyn tylko się uśmiechał i powiedział: „Zobaczmy”. A potem wyszedł. Gdzie jest Rawley? - spytał nagle, jakby dopiero teraz dotarło do niego to, co mówiła Jenny.

- Z Troyem.

- O czym ty mówisz?

Jenny przekazała mu skąpe informacje na temat wyjazdu syna, łącznie z treścią listu, jaki zostawił.

- Nie dzwonił jeszcze? - spytał, uświadamiając sobie jednocześnie, że gdyby chłopak się odezwał, Jenny by mu o tym powiedziała. - A więc pojechał z własnej woli. Do diabła, Jenny. Gdzieś ty była, gdy wyszedł?

- Z Hunterem. - Zapadła cisza. Jenny wzdrygnęła się mimo woli. - Pojechał szukać Rawleya - dodała po chwili namysłu.

- Dokąd?

- Nie wiem. Chyba do Los Angeles...

- Mam nadzieję, że go zabije - wycedził Allen.

Jenny zaszokowały te słowa. Zrozumiała, że ojciec mówi dokładnie to, co myśli.

- Chcę tylko, żeby Rawley wrócił cały i zdrowy.

- Powiniennem być dać mu te pieniądze.

- Niedługo zażądałby więcej.

- Sądzi, że ma najmocniejszą kartę przetargową. - Allen zakaszłał kilkakrotnie. - Cwany sukinsyn - dodał z cieniem niechętnego podziwu w głosie. - Bo ma. - Znów się rozkaszał.

- Nic ci nie jest? - zaniepokoiła się Jenny.
 - Nie, w porządku. - Odchrząknął. - Zadzwoń, jak się Rawley odezwie.
 - Zadzwonię - obiecuję.
- Miała tylko nadzieję, że nastąpi to wkrótce.

*

Troy z trudem opanowywał wesołość. Proszę, zwierzyna wpadła prosto w jego łapy. Syn błagał, by zabrał go ze sobą. Błagał! A on uspokajał dzieciaka, udając, że uważa, iż to niewłaściwe.

Chryste. Należało zażądać więcej od tego starego skurwiela. Pięćset tysięcy to marne grosze. A teraz ma tę kurę znoszącą złote jajka...

Och, Jenny, Jenny. Ty też będziesz niedługo mnie błagała. Na kolanach. Tak jak ta suka Michelle.

- Z czego się śmiejesz? - spytał Rawley, uśmiechając się lekko, jakby chciał dostosować się do nastroju ojca.

Gdyby wiedział!

- Jak tylko przejedziemy granicę, będziesz prowadził - obiecał Troy wspaniałomyślnie. Pal sześć explorera. Będzie miał porsche, lepszego niż ten gówniany rżęch Frederici. Podjedzie prosto pod jej drzwi i zatrąbi. Będzie żałowała, że go rzuciła. Idiotka. Może przeleci ją na konto starych, dobrych czasów. Gdy miała dobry dzień, potrafiła być napalona i chętna do wszystkiego. Żadnych łez i jęków. Nic z tych rzeczy. Była dobra i lubiła to.

Naprawdę musi się z nią zobaczyć. Spróbują jeszcze raz. Próba generalna przed przedstawieniem premierowym z Jenny. Za dużo czasu zmarnował z Patricią. Frederica to jest to.

Heather i Jessica, mam was gdzieś! Aż zatrząsał się z wściekłości. Kiedy był z Frederica, wszystko od pasa w dół działało znakomicie. Tak jest. Ona naprawdę to potrafi. To nie jego wina, że Heather i Jessica go nie kręciły, tylko ich.

Jasne, z Frederica czasem bywało marnie. Czasem zachowywała się jak manekin. Spróbował kiedyś z nią seksu w takim stanie, ale równie dobrze mógłby budzić umarłego.

- Przez granicę? - powtórzył oszołomiony Rawley.

- Aha. Jak będziemy w Arizonie.

- Jedziemy do Arizony?

- Co jest grane? Tchórz cię obleciał? - Dzieciak zaczynał go denerwować.

- Nie... tylko... - Wzruszył ramionami i bawił się zamkiem błyskawicznym kurtki. - Chciałem po prostu wiedzieć, dokąd jedziemy.

Wzrok Troya padł na duże, jasnoniebieskie M na bluzie chłopaka, mające zapewne oznaczać szkołę średnią, do której chłopak chodzi. Przez moment przypomniała mu się Val. Val.

Nagle samochód zniosło w bok. Troy gwałtownym szarpnięciem kierownicy skierował go z powrotem na środek pasa.

- Po prostu jedziemy sobie, mały - powiedział obojętnie.

Val skojarzyła mu się z Jenny i natychmiast pomyślał o Calgary. Zacisnął palce na kierownicy. Pocił się na samo wspomnienie o tym facecie, a to wkurzało go jeszcze bardziej. Calgary jest niebezpieczny. Troy wyczuwał szóstym zmysłem, że ten człowiek zabije go, jak tylko będzie mógł. I co on właściwie robi z Jenny?

Jenny należy do niego, teraz i na zawsze. Potrzeba mu tylko trochę czasu, a przygotuje doskonały plan. Będzie miał i ją, i pieniądze.

Rozdział 16

Hunter mógł jechać samochodem, ale chciał dostać się do L.A. jak najszybciej. Złapał najbliższy samolot z Albuquerque i pod wieczór był już na miejscu. Wynajął dżipa, dokładnie takiego samego jak jego własny. Z ponurą determinacją ruszył przed siebie zatłoczoną podmiejską szosą.

Dawno tu nie był, ale wspomnienia były wciąż żywe. Tym razem jednak przyjechał, by załatwić sprawy, które doprowadziły go do zesłania z Miasta Aniołów. I nieważne, jak to zrobi.

Miał dwóch kumpli, którzy nadal pracowali jako detektywi w policji. Jeden był z obyczajówki, drugi zajmował się kradzieżami i włamaniami. Był jeszcze trzeci, z wydziału zabójstw, ale uparte stanowisko Huntera w sprawie śmierci jego siostry nie przysporzyło mu tam przyjaciół. W tym gronie panowała inna opinia. Wysiłki Huntera skończyły się tym, że został ukarany, na dodatek dostał ostrzeżenie, by zostawił Troya Russella w spokoju. Wolał wyjechać, niż podporządkować się takiej decyzji.

Carlos Rodriguez pracował w obyczajówce i mieszkał w South Central. Zdaniem pośredników handlu nieruchomościami nie była to najlepsza okolica, a przestępczość potwierdzała tę opinię. Carlos rezydował jednak w rozległym rejonie zajęтым przez Latynosów, gdzie prawie każdy sąsiad był zaufanym, bliskim znajomym. Hunter znał wielu z nich, nie czuł więc niepokoju, przejeżdżając obok ponuro spoglądających grupek młodych ludzi. Zaparkował przed skromnym domem Carlosa, przeszedł chodniczkiem obstawionym donicami z kwiatami i zadzwonił do drzwi.

- Hunter! - Rozpromieniła się Tina Rodriguez, otwierając szeroko drzwi i mocno go ścisnąc. Miała metr pięćdziesiąt pięć wzrostu i mocną budowę. - Co ty tu robisz?

- Szukam Carlosa. Jest w pracy?

- Wiesz przecież. Przymyka dziwki i ćpunów. - Prychnęła. - A ty wciąż w Santa Fe?

- Mniej więcej. Możesz mu podać mój numer? - nabazgrał numer telefonu hotelu na lotnisku. - Później się tam zamelduję. Chcę jeszcze zobaczyć się z Mamutem.

- Stara wiara znów się zbiera. - Uśmiechnęła się. - Ale nie tak jak tamci na ulicy, co? - Pokazała głową w stronę żulii gromadzącej się na chodniku. - Nie ma sprawy!

Uśmiechnął się.

- Nie ma sprawy.

- Czy chodzi o tego faceta, który zabił twoją siostrę? - spytała Tina poważnie.

Hunter popatrzył na nią z sympatią. Carlos, Mamut i ich żony nigdy nie zastanawiali się, czy Hunter ma rację, czy nie. Wierzyli mu.

- Obawiam się, że tak.

Przeżegnała się szybko.

- To za ciebie.

- Dzięki.

Czuł się lepiej, kiedy odchodził. Lżejszy, gotów do walki. Tym razem dostanie Russella.

Zameldował się w hotelu, choć trudno było nazwać hotelem jednopiętrowy motel zbudowany w latach trzydziestych. Przywiózł ze sobą papiery, które Ortega przysłał mu do Puerto Vallarta, choć w większym stopniu dotyczyły one Hollowayów niż samego Russella. Miał jednak dzięki temu zdjęcie Troya i nawet mimo upływu lat był pewien, że rozpozna go bez trudu.

Dwie godziny później zadzwonił Carlos.

- Cześć, stary! - krzyknął. - Co tu robisz? Myślałem, że wywalili cię z miasta.
- Nie mogłem wytrzymać. Muszę się spotkać z paroma ludźmi.
- Mhm. - Carlos spowaźniał. - Nawet wiem, gdzie niektórzy z nich mieszkają.
- Tak właśnie myślałem.

- Całkiem często trafiam na przyjaciół Russella. Jest takie mieszkanie w El Segundo. Cuchnie na kilometr. Ratty tam mieszka. Russell pojawi się tam na sto procent.

Ratty¹ było przezwiskiem, które Hunter nadał niejakiemu J.P. Graefowi. Facet był podobny do szczura, miał ostry nos, wielkie uszy i wąską twarz. Wszystkie jego kolejne mieszkania wyglądały jak szczurze gniazda: brud, papiery, śmiecie i wszechobecny smród.

Carlos wyrecytował adres.

- Pojechać z tobą, stary?

- Nie, bo zarabiasz na etacie.

- To nie brzmi najlepiej.

- Russell nie jest sam. Jest z nim jego syn. - Hunter krótko zrelacjonował Carlosowi związku Rawleya z ojcem. - Pracuję dla matki i dziadka chłopaka.

Carlos gwizdnął cichutko.

- Lepiej, żeby był z tobą ktoś z nas. Mamut albo ja.

- Dam ci znać, jeżeli będę potrzebował wsparcia. Na razie działam sam.

- Jak zawsze - stwierdził cicho Carlos. - Nie zapominaj, że jesteśmy.

- Nie zapomnę.

Przyjaźń. Coś, co zaniedbał. Niemal zapomniał o tych ludziach, kiedy zaszył się w Santa Fe. Dopiero od spotkania z Jenny Holloway zaczął dochodzić do siebie. Ze zdumieniem stwierdzał, jak wiele spraw odrzucił i jak ważne było dla niego zachowanie dystansu.

Mieszkanie Ratty'ego łatwo było rozpoznać wśród ponad pięćdziesięciu innych, składających się na cały, mocno zaniedbany kompleks. Dojście do drzwi frontowych znaczyły sterty starych gazet, pudeł i butelek. Mieszkańcy sąsiednich slumsów najwyraźniej uważali, że Ratty powinien swoje brudy trzymać u siebie, bo kiedy Hunter podjechał na parking i nie wysiadając z auta, przyglądał się okolicy, jeden z nich wyszedł z domu i w drodze do samochodu z wściekłością kopnął jakąś kupę śmieci.

Ogromna lampa na dachu sąsiedniego domu oświetlała plac przypominający więzienne podwórko. Zupełnie jakby ktoś chciał czujnie obserwować lokatorów. Hunter wyciągnął szyję, żeby odczytać wyblakły napis - Roseland Court. Okap zniszczonego dachu zapewniał jednak głęboki cień przy wszystkich drzwiach wejściowych i tworzył znakomite warunki do wszelkich czynów przestępczych.

Ratty należał do grona znajomych Troya nie dlatego, że łączyło ich jakiegokolwiek podobieństwo, ale ponieważ czcił ziemię, po której stąpał wytworny pan Russell. Płaszczył się przed nim i pozwalał wykorzystywać. Troy nawet mu nie płacił. Ratty'emu wystarczyło, że wolno mu się zbliżyć do kręgu Russella.

To z Ratty'ego właśnie Hunter wycisnął informację o tym, gdzie był Troy tej nocy, gdy zginęła Michelle, to Ratty zakapował o związku Troya z inną kobietą, właściwie z kilkoma innymi kobietami; to Ratty czepiał się nóg Huntera, błagając, by Troy nie dowiedział się, kto na niego doniósł policji. Hunter dotrzymał obietnicy.

W końcu i tak nie miało to znaczenia. Hunter znalazł Troya w ramionach jakiejś dziwki, wyciągnął go nagiego z łóżka i omal nie zadusił. Dziewczyna przyciskała pościel do piersi i wrzeszczała, żeby przestał. Troy wiedział tylko, że Hunter przekroczył pewną granicę, a fakt, że przyłapał go w łóżku z inną, świadczyć miał tylko o tym, że nie był wtedy z Michelle.

¹ Rat (ang.) - szczur (przyp. red.).

Hunter usiłował znaleźć dowody. Stwierdził, że w samochodzie Jfóya były rękawiczki, które mógł włożyć, kiedy poszedł z Michelle na dach, dzięki czemu, spychając ją w dół, nie zostawił żadnych śladów. Ale „mógł” to za mało. Zeznawał, że Michelle zwierzała mu się; wyczuwała, że Troy wolałby widzieć ją martwą, niż być ojcem jej dziecka. Uznano, że taki dowód jest za słaby.

Jedyne, co interesowało sąd, to fakt, że Hunter fizycznie zaatakował Troya Russella, konsekwentnie nękał go i groził przy każdej okazji.

Koniec historii.

Do dziś.

W oknach Ratty'ego było ciemno. Spokój. Jeżeli Russell jedzie samochodem, nie zdążył jeszcze tu dotrzeć. Hunter przekręcił kluczyk w stacyjce. Postanowił objechać jeszcze parę innych adresów, które zbierał przez te wszystkie lata. Były to adresy niezliczonych kochanek Troya.

Miał przeczucie, że jeszcze tu wróci.

*

Rawley trzymał kierownicę spoconymi rękami. Nie mógł się skoncentrować. Dwa razy zjechał z jezdni w piach, skręcił w lewo zbyt gwałtownie i zahaczył o sąsiedni pas. Najgorzej, że sprawiał zawód tacie. Nie miał pojęcia o prowadzeniu samochodu i drugi raz tego dnia był bliski łez. Zapadła noc, a on zupełnie nie wiedział, jak powiedzieć, że chce po prostu wrócić do domu.

- Dlaczego zwalniasz? - spytał Troy.

- Jestem trochę zmęczony.

- Do Phoenix mamy jeszcze kilkadziesiąt kilometrów. Jazda! – Rawley pociągnął nosem.

- Nie chcę już prowadzić. Naprawdę.

Ojciec burknął coś pogardliwie, ale Rawley zjechał na pobocze. Ramiona miał jak z ołowiu. Tata, zdaje się, w ogóle nie przejmował się jego niezdarnym zachowaniem za kierownicą, co z kolei było dość dziwne. Zachichotał i choć trwało to zaledwie chwilę, Rawleyowi wydawało się, że zemdleje.

Troy usiadł za kierownicą i w milczeniu dojechali do przedmieść Phoenix. Rawley liczył na postój, ale minęli miasto bez zatrzymywania się.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- Przestań pytać - warknął Troy szorstko. - Jak najdalej się uda.

Rawley patrzył przed siebie, na światła samochodów nadjeżdżających z naprzeciwka. Jechały pasem, który prowadził na wschód, do Santa Fe, do mamy. Sięgnął do kieszeni i namacał naszyjnik z różowymi perełkami, który zabrał z jej kasetki na biżuterię. Nie wiedział, dlaczego to zrobił, ale w popłochu po prostu złapał go i zabrał ze sobą. Teraz pomyślał, że to dobrze.

- Powiniennem zadzwonić do mamy - przypomniał.

- Jeszcze nie teraz.

- Zawiadomi policję.

Troy popatrzył na niego surowo. Rawley skulił się pod tym mrocznym, nienawistnym spojrzeniem.

- Proszę bardzo. Cholernie dużo czasu zajmie im znalezienie nas, nie sądzisz?

Rawley zwykle nie dawał się zastraszyć. Jak każdy normalny piętnastolatek odrzucał wszelkie autorytety, ale traktował to spokojniej niż jego przyjaciel Brandon. Uświadomił sobie jednak, że znajduje się w samochodzie z zupełnie obcym człowiekiem i nie bardzo wie, co

ma robić.

- Nie byłoby lepiej po prostu do niej zadzwonić? – Troy zaklął.

- Wyśle za nami tego swojego fagasa. Tego chcesz? Faceta, który pieprzy swoją własną siostrę? Chcesz go, co? Takiego, co wkłada jej, kiedy dziewczyna śpi, a ręką zakrywa jej usta, żeby mama i tata nie słyszeli?

To wszystko kłamstwo. Im bardziej Troy koloryzuje, tym wyraźniej to widać, myślał Rawley. Czuł, że żołądek ma ściśnięty ze strachu. Zrozumiał wreszcie. Tyle że za późno.

Teraz jedynym ratunkiem była ucieczka.

*

Jenny pojechała do restauracji. Musiała się czymś zająć. Krążyła po kuchni i myślała o Rawleyu. Widziała go, jak sprząta ze stołów i rozsadza gości przy stolikach.

Troy, nie zrób mu krzywdy.

Zacisnęła usta. Jej były mąż nie umiał nad sobą panować. Jeśli w ogóle był zdolny do kontrolowania swoich poczynań, to nie dało się tego zauważyć. Po piętnastu latach pojawił się nie ten sam człowiek. Bardziej wulgarny, szalony i niebezpieczny. Zdolny do wszystkiego.

Po godzinie wpatrywania się w zegar pojechała do domu. Wcześniej czuwała przy telefonie, ale nic się nie wydarzyło; miała nadzieję, że Rawley zadzwoni pod jej nieobecność, ale bała się wyjść. W końcu uciekła z mieszkania, żeby nie oszaleć. Teraz pędziła z powrotem, żeby jak najszybciej sprawdzić, czy nie ma jakichś wiadomości.

Nic. Wystarczył jeden rzut oka na automatyczną sekretarkę, żeby się załamała. Oparła głowę na dłoniach i płakała ze strachu i wściekłości. Dziesięć minut później maszerowała po pokoju tam i z powrotem. Coś musi zrobić. Dlaczego pozwoliła Hunterowi odjechać? Należało ruszyć razem z nim. Chyba że Rawley zadzwoni...

Magda. Mogłaby zostawić tu Magdę i jechać na poszukiwanie syna. To jest pomysł. Jenny sięgnęła po słuchawkę. I omal nie krzyknęła ze szczęścia, gdy w tej samej chwili nastąpił cud i zadzwonił telefon.

*

- Muszę pójść do łazienki - powiedział Rawley.

- Będziesz musiał wytrzymać.

- Nie mogę.

Z westchnieniem obrzydzenia Troy zjechał na stację benzynową i ku przerażeniu chłopca poszedł razem z nim do toalety. I stało się najgorsze, bo Rawley nie mógł siusiać. Ojciec obserwował go jak sęp. Mały był tak straszliwie spięty, że żadnymi niemymi błaganiami nie mógł zmusić swego ciała do normalnych funkcji.

- Chyba mi się zdawało - bąknął, przepychając się przed Troyem do wyjścia.

Wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie, że wciąż nie mógł się otrząsnąć z szoku. Przechodził przez drzwi toalety i ułamek sekundy później wylądował na ścianie. Zanim zdołał zrobić jakiś ruch, jego głowa znów uderzyła o kafelki. Dzwoniło mu w uszach.

- Nie rób sobie ze mnie jaj - warknął ojciec.

Rawley przymknął oczy. Każdy zmysł podpowiadał mu, żeby rzucić się na ojca, uderzyć go i załatwić. Ale Troy był o dobre dziesięć kilo cięższy i nieprzewidywalny.

- Chcesz zadzwonić do mamusi? Proszę bardzo. Włóż do samochodu, dam ci komórkę. Ale powiesz tylko „cześć” i oddasz ją mnie.

- Porwałś mnie? - spytał Rawley otwarcie.

- Hej, mały! Błagałeś, żebym cię zabrał! Błagałeś!

- Chyba popełniłem błąd.

Patrzyli na siebie. W końcu Troy wybuchnął śmiechem. Klepnął chłopca po ramieniu i poprowadził do explorera.

- W porządku. Odbiło mi. Nie chciałem się zatrzymywać. Proszę. -Wręczył mu komórkę i zamknął drzwi od strony pasażera. Rawley wyskoczyłby z auta z komórką w ręku, ale Troy go pilnował.

Która to może być godzina? Trzecia rano. Rawley wystukał numer, usłyszał powtarzający się sygnał. W końcu odezwała się automatyczna sekretarka.

- Cześć, mamó! - Głos mu się załamał. Nie mógł powiedzieć ani słowa. Troy wyjął telefon z jego bezwładnych palców.

- Jenny? - zawołał, po czym zorientował się, że nagrywa się na automat. Myślał przez chwilę. - Gdzie ty, do cholery, łazisz w środku nocy? Rozmawiałaś ze swoim kochanym tatuśkiem? Mam z nim pewne sprawy do załatwienia. Jak już wszystko ustalimy, będziesz mogła do nas dołączyć. Zostaniemy szczęśliwą rodziną, tak jak to powinno być piętnaście lat temu. I lepiej nie pieprz się z tym Calgarym.

Z trudem przerwał monolog. Chciał ją obrzucić wyzwiskami, powiedzieć jej, że jest zwykłą dziwką. Ale dzieciak był bliski załamania, no i trzeba było jechać. Wciąż do przodu.

Nie mógł się doczekać przyjazdu do L.A. Był tak napalony, że nie potrafił logicznie myśleć. Najchętniej spuściłby manto temu smarkaczowi, ale nic by to nie dało.

Patricia, pomyślał. Nie. Frederica. Może ma dobry dzień i mogliby pieprzyć się do nieprzytomności.

- Przestań beczeć - warknął do Rawleya, który jak ciśnięta szmata leżał na fotelu pasażera. Zrobił krok w stronę maski samochodu i usłyszał, że chłopak otwiera drzwi. Skoczył i zatrzasnął je na ręce syna. Rawley zawył z bólu. Troy walnął jeszcze dwa razy, ale mały zdążył zabrać palce już po pierwszym uderzeniu.

Wrócił za kierownicę i przypomniał mu zwięźle:

- Powiedziałem, żebyś nie robił sobie ze mnie jaj. Następny przystanek - Miasto Aniołów.

*

Jenny siedziała na krześle w szpitalnej sali. Gdyby nie była tak straszliwie spięta, zasnęłaby. Patrzyła na nieruchomą postać ojca i przerażające ilości przewodów podłączonych do szeregu monitorów.

Zadzwoił do niej ktoś z personelu szpitalnego. Allen dostał zawału. Zdaniem lekarzy, niezbyt rozległego. Słyszała gdzieś w tle krzyki ojca, który wciąż chciał wydawać polecenia i była tak zawiedziona, że to nie Rawley, iż w pierwszej chwili nie zrozumiała, co się stało.

Kiedy w końcu oprzytomniała, zadzwoniła do Magdy i nagrała się na jej sekretarkę. Jechcie do szpitala i prosi, żeby Magda przyjechała do niej podyżurować przy telefonie. Wszystko wytłumaczy później.

Zamiast do domu, Magda z Philem przyjechali do szpitala. Jenny z trudem opowiedziała im, co się stało, łącznie z nagłym wyjazdem Troya i Rawleya, który to przypuszczalnie stał się przyczyną ataku serca Allena. Usiłowała dać Magdzie klucze, ale ponieważ nie wytłumaczyła sytuacji wystarczająco jasno, żadne z Montgomerych nie rozumiało jej niepokoju o syna.

W końcu Magda złapała Jenny za rękę.

- Czy to znaczy, że został porwany?

- Na to wychodzi.

- Dokąd pojechali? - chciał wiedzieć Phil.

- Pojęcia nie mam.

- Co z twoim ojcem? - To znów Phil.

Jenny bezradnie wzruszyła ramionami. Jeszcze nie skończono badań. Dopiero po chwili poszła do automatu telefonicznego, żeby zawiadomić Natalie. Znów odezwała się sekretarka czy też poczta głosowa. Jasne, przecież to środek nocy. Trudno mieć pretensję, że nikt nie odbiera telefonu. Zostawiła krótką wiadomość.

- Cześć, Natalie. Mówi Jenny. Ojciec miał zawał, ale w tej chwili czuje się nieźle. Jest w Szpitalu St.Vincent. Zadzwoń rano.

Magda i Phil czekali pod drzwiami pokoju Allena; w bezlitosnym świetle jarzeniówek wyglądali dziwnie i kiepsko.

- Nie musieliście tu przyjeżdżać - powtórzyła.

- Oczywiście, że musieliśmy. - Magda uścisnęła ją serdecznie chyba po raz dziesiąty.

- Ale skoro i tak nie śpicie, chciałabym, żebyście pojechali do mnie do domu i sprawdzili, czy nie ma jakichś wiadomości. Rawley powinien być już zadzwonić.

- O której pojechał? - spytała Magda, pojawiając wreszcie powagę sytuacji.

- Rano. Przed południem. - Znów czuła łzy napływające do oczu. - Kiedy byłam z Hunterem na jego ranczo.

- Och, kochanie, tylko się nie oskarżaj, proszę cię. Rawley sam chciał jechać, prawda? Skinęła głową.

- Zabrał swoje rzeczy... dość sporo. Może ma zamiar... zostać z Troyem.

- Och, nic z tego nie będzie. - Magda potrząsnęła płomiennymi lokami. - Troy szybko będzie miał go dość. - Jenny patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. - Z tego, co o nim opowiadałaś, nie jest to najbardziej cierpliwy facet na świecie, a piętnastoletni dzieciak może wykończyć najłagodniejszego człowieka. Rawley jest wspaniały. Ale to tylko nastolatek.

- Myślisz, że będzie chciał wrócić? - spytała Jenny z nadzieją w głosie.

- Oczywiście. Jesteś jego matką.

- Jenny!

Allen! Jenny pobiegła do pokoju ojca.

- Nie krzycz! - szepnęła. - Proszę cię. Musisz się oszczędzać. - Rzuciła okiem na monitory, jakby potrafiła zrozumieć cokolwiek z ich zapisów. Cienkie zielone linie wzbijały się w górę, zapadały i falowały.

- Nic mi nie jest - oświadczył zirytowany Allen. - Miałaś wiadomości od Rawleya? - Zakaszał. Jenny dotknęła jego ramienia.

- Tato, proszę - powiedziała błagalnie.

Przez chwilę nie mógł mówić, więc tylko machnął ręką w jej stronę.

- Musisz dać mu pieniądze - wychrypiał w końcu

- Pół miliona dolarów?

- Ile jest dla ciebie wart twój syn?

- Nie ma ceny, wiesz o tym. I wiesz równie dobrze, że to nic nie da. Rawley musi chcieć wrócić do mnie.

- Zapłać Troyowi, a wyrzuci Rawleya natychmiast.

- Tato...

- Zrób to, Genevo. Wezwij mojego adwokata. Nazywa się Joseph Wessver. Powiedz mu, że ma to załatwić. Będzie wiedział, co ma robić.

Jenny patrzyła na ojca z niepokojem. Wyglądał fatalnie. Stary, chory człowiek. Walczyli ze sobą tyle lat, wszystko przez pieniądze.

- Wykupiłeś mnie z tego małżeństwa. A teraz chcesz wykupić mojego syna.

Allen zdobył się na nikły uśmiech.

- To najlepsze inwestycje w moim życiu.

Jenny nachyliła się i ostrożnie pocałowała go w czoło. Kiedy odwracała głowę, dostrzegła w jego oczach błysk łez.

*

Hunter obudził się nagle. Wcześniej odwiedził kilka ulubionych miejsc Troya, a potem wrócił pod dom Ratty'ego i zasnął. Obserwował teraz starego chevroleta, rżęcha, który powoli wjeżdżał na swoje miejsce na parking. Drzwi otworzyły się z rozmachem i z samochodu wyskoczył Ratty. Przeciągnął się, sięgnął na tył auta i wyjmował z niego coś, co wyglądało na sprzęt elektroniczny wart kilka tysięcy dolarów. Żeby wnieść wszystko do domu, musiał obrócić kilka razy.

- Drobną kradzież z włamaniem, co stary? - szepnął cicho Hunter. - To z tego teraz żyjemy?

Jak się to wszystko skończy, będzie musiał zadzwonić do Mamuta, żeby przymknął tego dupka. Ale nie teraz. Jeszcze nie.

Znów zapadł w niespokojną drzemkę.

Świtało, kiedy na parking wjechał zielony explorer. Zaparkował tuż obok chevroleta Ratty'ego.

Rawley przeżywał koszmar. I wszystko z własnej winy. Dlaczego nie słuchał matki? Dlaczego? Ten człowiek nie jest jego ojcem. Coś z nim jest nie w porządku. Potwornie znerwicowany, żuje gumę, tupie, jakby był na prochach. Może bierze metadon? Ale Rawley zaczynał podejrzewać, że prawdziwym narkotykiem jest dla Troya zastraszanie. I seks, sądząc z tego, co i jak mówił.

- Uprawiałeś już seks? - spytał go Troy, kiedy pędzili przez noc w stronę Zachodniego Wybrzeża.

Rawley starał się ostrożnie sformułować odpowiedź. Przez krótki czas, jaki spędził z Troyem, nauczył się, że należy podawać mu jak najmniej informacji.

- Byłem z dziewczynami - bąknął. Miał za sobą parę szalonych randek, które już niemal przybliżyły go do celu, ale kończyły się na niczym. Nie należał do chłopaków noszących w kieszeni prezerwatywy, a za wszelką cenę chciał uniknąć chorób wenerycznych.

- Twoja mama to zimna suka. Lodowata. Potrzebny jej dobry...

- Nie mów tak o mojej mamie! - wrzasnął Rawley bez zastanowienia.

- Myślałeś o niej kiedyś w taki sposób?

Rawleyowi zrobiło się czerwono przed oczami. Wiedział, że ojciec usiłuje go zranić, ale to było podłe. Podłe i obrzydliwe. W ciemnym wnętrzu samochodu niemiło błysnął uśmiech Troya.

- No, dalej, mały! - Russell prowadził nikczemną grę. - Zobaczmy, jak to na ciebie działa! No, dalej, bekso!

Dłoń Troya zsunęła się do kieszeni marynarki. Rawley zamarł. Czuł, że ojciec sięga po broń.

- Mama miała rację co do ciebie - powiedział.

- Twojej mamie należy się lekcja, jak być miłą dla mężczyzny. I ja jej tę lekcję dam.

Najpierw utnę ci jaja, pomyślał Rawley.

- Wyłaż. - Troy wyciągnął Rawleya na chłód wczesnego poranka. Chłopak nie spał, ale siedział zamyślony i wciśnięty w fotel. Jedyne wyjście jest ucieczka. Nie ma pieniędzy, ani

centa, ale gdyby dotarł do automatu telefonicznego, mógłby zadzwonić na koszt mamy.

Wysiadł z samochodu. Troy natychmiast znalazł się przy nim i popchnął go w stronę schodów. Rawley musiał ominąć jakieś rupiecie złożone przy wejściu.

- Hej, tam, J.P.! - wołał Russell, waląc w drzwi. - Otwieraj ten chlew! - W końcu, po kolejnych uderzeniach, pojawił się szczerowaty facet.

- Troy! - zapiał z zachwytu.

Rawley cofnął się o krok, ale został złapany za kołnierz klubowej kurtki i wepchnięty do wnętrza ciemnego i śmierdzącego pokoju.

Hunter nie miał przy sobie broni. Nie miał jej w ogóle. Oddał służbowy pistolet, odchodząc z policji. Choć często zdarzało mu się go wyciągać, nie strzelał prawie nigdy.

Teraz bardzo by mu się przydał. Stawać oko w oko z Troyem i Rattym bez żadnej broni, to zakrawało na głupotę.

Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Carlosa i Mamuta. Na pewno by przyjechali.

Ale postępowaliby zgodnie z przepisami, a w tym momencie nie wchodziło to w grę.

Nie był pewien, jak zachowa się Rawley. Wydawało się, że niechętnie wchodzi do domu. A może zaaplikowali mu jakieś środki odurzające? Odbył przecież z Troyem długą podróż. Hunter wahał się; nie miał pewności, jak to rozegrać.

W schowku leżała paczka papierosów. Wyjął ją, wyciągnął jednego i obracał w palcach. Nie, nie zapali. Musi w końcu przewyciężyć nałóg, musi wreszcie pokonać stan wewnętrzznego wyczerpania. Na szczęście dziś jest w formie.

Mijały godziny. Około dziewiątej spod szesnastki wybiegła dwójka małych dzieci i zaczęła bawić się w piasku przy ulicy. Słońce paliło, choć niebo zasnuwała szara warstwa smogu.

Z mieszkania Ratty'ego nie dochodził żaden dźwięk. Od chwili, gdy weszli tam Troy z Rawleyem, nie zapaliło się światło, nie widać było ruchu. Nic.

Hunter pomyślał, że pora jednak wkroczyć, z bronią czy bez niej.

Wyskoczył z dżipa i wszedł po schodkach. Bawiące się dzieciaki nie zwróciły na niego uwagi. W śmieciach pod drzwiami Ratty'ego zauważył blisko metrowej długości metalowy pręt. Niewiele. Ale właściwie użyty też może spowodować trochę szkód.

Ważył go przez chwilę w dłoniach. Spojrzał na drzwi.

Zastukał głośno.

Otworzył mu Ratty. W dziennym świetle mrugał jak szczur. Hunter odepchnął go i znalazł się o pół metra od Rawleya, który z okrzykiem radości wyrwał się ku niemu, wyplątując się ze śpiwora leżącego na podłodze.

Hunter w ułamku sekundy ocenił sytuację. Jego wzrok padł na Troya Russella. Facet miał broń i celował dokładnie w serce Huntera.

- Rusz się, a zabiję - stwierdził beznamiętnie.

- Cześć, Russell - spokojnie odpowiedział Hunter.

Rozdział 17

– Nie ruszaj się - rozkazał Troy. - Rzuć to. Ręce do góry. – Hunter powoli rozluźnił zaciśniętą pięść, ostrożnie odłożył na podłogę drąg i podniósł ręce.

- Hej! - zawołał Ratty zza pleców Huntera.

- J.R, grzej samochód - krzyknął do niego Troy.

- Ale...

- Uruchom to gównno! - rzucił przez zaciśnięte zęby. Ratty popędził po schodkach, potykając się w pośpiechu o pudła z cennymi śmieciami.

- Zamknij drzwi - polecił Troy Rawleyowi. Rawley z trudem łapał oddech.

- Zaczekaj... zaczekaj chwilę...

- Zamknij... kurwa... te drzwi.

- Nie zastrzelisz Huntera.

- Rób, co mówię! - Troy niemal ryczał.

- Posłuchaj go - powiedział cicho Hunter. Brak opanowania Russella zaniepokoił go. Nie miał pojęcia, że ten człowiek tak bardzo się zmienił.

Rawley zawahał się. Nie miał ochoty zastosować się do polecenia. Instynktownie oceniał dystans dzielący go od Troya.

Troy odgadł jego zamiary i dostał furii. Zastrzelił tego głupiego bękarta i da mu nauczkę.

W momencie, gdy skierował lufę w stronę Rawleya, Hunter obrócił się i z całej siły szarpnął chłopca. Rozległ się strzał, w powietrzu uniósł się charakterystyczny zapach kordytu. Hunter poczuł ból. Rawley upadł.

- Nic ci nie jest? - wydyszał Hunter, pokonując ból i szok.

Troy patrzył ze zdumieniem na pistolet. Przyglądał się, jak Calgary ślania się i potyka. Jak daleko słyhać było strzał? Wydawało mu się, że był bardzo głośny. Troy jednym skokiem dopadł chłopca i szarpnął go do siebie. Rawley, w pierwszej chwili ogłuszony, zamienił się w dzikie zwierzę. Charczał i atakował.

- Zastrzelę go! Zastrzelę go jeszcze raz! - ryczał Troy. - Zastrzelę!

Rawley znieruchomiał, łapał powietrze coraz szybciej i z coraz większym trudem. Troy przestał dobrze widzieć, wszystko było zamazane. Chłopak kopnął go kolanem w krocze i bolało jak diabli. Ale pistolet wyrównywał szanse. Celował nim to w Rawleya, to w Huntera, choć ból powracał falami. W końcu skupił się na Hunterze, który jedną ręką trzymał się parapetu; druga zwisała bezwładnie.

- Nie wygrasz, Russell - wykrztusił Calgary.

- Już po tobie. - Troy machnął pistoletem. Rawley przykucnął. Troy szturchnął chłopca gorącą lufą w zębra. - Wyłaż - rozkazał szorstko.

- Nie zostawię go.

- Ty mały sukinsynu, wyłaż, bo ciebie też załatwię.

- Nie zastrzelisz mnie. Beze mnie nie dorwiesz się do pieniędzy dziadka.

- Gównno mnie to obchodzi!

- Rawley... - Hunter łapał powietrze. Był ranny w ramię, zdrętwiały z bólu, nie mógł opowiadać dreszczy. - Nie kłóć się z nim. - Nie kłóć się z facetem, który trzyma broń.

- Hunter...

- Nic mi nie jest. Naprawdę...

Ogarnęła go ciemność, nagle wszystko zniknęło. Minęła minuta. Może kilka godzin.

Ocknął się nagle, zorientował się, że upadł na śpiwór. Czarne, lepkie plamy to była jego własna krew.

Mrugał przez chwilę, zanim całkiem otworzył oczy. W pokoju było pusto.

Jak długo tu jest? Usiadł, walcząc z falą mdłości, która przysłała po szoku. Rzucił okiem na rękaw skórzanej kurtki, ale nie dostrzegł niczego szczególnie alarmującego. Parę dziur ze śladami krwi, które nie ujawniały rozmiarów prawdziwych obrażeń.

Idiota, idiota, idiota, wymyślał sam sobie. Nie zdawał sobie sprawy, że Russell jest tak szalony, że będzie próbował zastrzelić własnego syna. Liczył na to, że chociaż świadomość, iż trzeba utrzymać przy życiu kurę znoszącą złote jajka, zapewni Rawleyowi jakie takie bezpieczeństwo.

Pozwolił Russellowi uciec. Pozwolił mu zabrać Rawleya i nie ulegało wątpliwości, że chłopak jest w poważnym niebezpieczeństwie.

Z trudem wstał, potrząsnął głową, żeby nieco oprzytomnieć. Potrzebował pomocy lekarza, ale jakiegokolwiek wizyty w szpitalu mogłyby tylko skomplikować sytuację. Ranę postrzałową łatwo rozpoznać, nie obyłyby się więc bez niewygodnych pytań, a gdyby w sprawę włączyła się policja, zostałby całkowicie odsunięty od dochodzenia.

Ale jest jeszcze Carlos... i Mamut.

Chwiejnym krokiem przeszedł przez korytarz do łazienki. Z ulgą stwierdził, że przy całym tym śmietniku Ratty utrzymywał tu pewien porządek. Z lustra na drzwiczkach apteczki popatrzyła na niego znajoma, ale zmieniona twarz: blada, ponura, z zaciśniętą szczęką i wściekłością w niebieskich oczach. Włosy miał posklejane i rozczochrane. Ostry kilkudniowy zarost dopełniał groźnego wyglądu. Każdy, kto zobaczyłby go w tym stanie, wołałby obejść go szerokim łukiem.

Zdrową, lewą ręką otworzył szafkę. Zobaczył w środku porządnie ułożoną pastę i szczoteczkę do zębów, płyn do płukania ust, wate, spirytus, maść hydrokortyzonową i bandaż. Zagryzał zęby z bólu, ściągając powoli kurtkę. Prawy rękaw, przyklejony do rany, odrywał i ciągnął za sobą skrawki okaleczonej skóry. Hunter wzdrygnął się, szarpnął kurtkę i rzucił ją na podłogę. Niebieska koszula była we krwi. Hunter rozpiął guziki, zamknął oczy i ściągał koszulę, próbując myśleć o ślicznej buzi Jenny.

W jego głowie przez cały czas tykał zegar. Jak daleko jest teraz Troy? Dokąd pojechali? Do którejś z jego dawnych dziewczyn? Wątpliwe. Jak wytłumaczyłby to Rawleyowi? Russell nie miał w L.A. wielu przyjaciół. W ogóle nie miał wielu przyjaciół. Hunter usiłował zastanawiać się nad tym, odrywając kawałki bandaża i nasączając go spirytusem.

Potrąfisz odtworzyć jego tok myślenia. Jest tchórzem. Nie będzie kręcił się w pobliżu. Podkuli ogon, zmyje się z miejsca przestępstwa i pojedzie... Dokąd?

Delikatnie polał ranę spirytusem. Z gardła wydobył mu się charkot. Piekący ból sprawił, że do oczu napłynęły łzy. Odwrócił rękę i obejrzał skaleczenia. Pocisk przeszedł przez ciało, ale najwyraźniej obracając się wewnątrz, spowodował poważne uszkodzenie ręki powyżej łokcia. Możliwe, że trafił w kość, mógł ją naruszyć. A może i nie. Tętnica jest cała. Hunter zdołał poruszyć ręką. Bolało potwornie, ale to pewnie uszkodzone mięśnie. Udało mu się nawet zaciśnąć dłoń w pięść, musiał tylko mocno się skoncentrować i pokonać ból.

To powierzchowna rana. Uśmiechnął się ponuro. Z obrzydliwie wyglądającej, zniszczonej tkanki wciąż sączyło się niebezpiecznie dużo krwi. Hunter zamknął oczy i podniósł rękę wysoko, żeby zranione miejsce znalazło się powyżej serca.

Resztką bandaża owinął ranę. Nie za mocno, ale wystarczająco, by przytrzymać opatrunek. Poczul się lepiej, myślał przytomniej. Obmył zimną wodą twarz i rozejrzał się po mieszkaniu Ratty'ego. Facet był od niego o połowę mniejszy, Hunter musiał znaleźć jakąś koszulę.

Dżinsy, wprawdzie tu i ówdzie pokrwawione, wyglądały tak, jakby po prostu wymagały porządnego prania. Na wszelki wypadek prysnął na nie wodą i roztarł krew w plamy nieokreślonego brudu.

O koszulę było jednak trudno. Zadowolili się czarnym podkoszulkiem, ułożonym starannie na wierzchu sfatygowanej komody. Od biedy mógł ujść, ale nie zakrywał bandaża. Hunter szukał więc dalej; w głębi mieszkania znalazł w szafie długi płaszcz przeciwdeszczowy koloru khaki. Wbił się w niego z trudem. Płaszcz był o co najmniej numer za mały, ale miał stosunkowo luźne rękawy i bez zapinania można było wytrzymać.

Jeszcze raz obejrzał się w lustrze. Przygładził włosy. Spróbował się uśmiechnąć. Chciał zdążyć na najbliższy samolot i nie zamierzał siać popłochu wśród personelu lotniska.

Obleci.

Opróżnił kieszenie kurtki, zostawiając swoje pokrwawione ubranie na podłodze. Nie będzie potrzebne. Wychodząc, pomyślał o telefonie. Może uda się zadzwonić stąd?

Rzeczywiście, pod stosem rupieci w sypialni stał czarny aparat z przenośną słuchawką, której akurat nie było w zasięgu wzroku. Znalazła się jednak w kuchni, obok resztek śniadania. Wystukał najpierw służbowy numer Carlosa, ale nikt nie odbierał. Nie zostawił wiadomości. To samo powtórzyło się z Mamutem. W końcu połączył się z Ortega, który jak zawsze wypowiadał się krótko i zwięźle.

- Jestem w L.A., ale wracam najbliższym samolotem do Albuquerque.

- Masz

okropny głos.

- Russell porwał swojego syna, Rawleya Hollowaya. Jestem pewien, że jadą z powrotem na twój teren, bo Russell chce pieniędzy od Allena. Zażąda okupu za chłopaka. Zadzwońię do Jenny, żeby ją ostrzec. Wie, że Rawley jest razem z Russellem, ale mały pojechał z własnej woli. Na początku. Teraz sytuacja się zmieniła. Zapisz sobie. - Wziął głęboki oddech i podyktował Ortedze adres i numer telefonu Jenny. - Holloway jest w Santa Fe. Pojechał zobaczyć się z Jenny.

- Holloway jest w szpitalu St.Vincent - poinformował krótko Ortega. -Zawał. Twoja przyjaciółka Jenny dzwoniła do mnie dziś rano. Szukała cię.

Hunter osłupiał.

- Zawał?

- Chyba niezbyt groźny. Lekarze nazywają to ostrzeżeniem. Twój przyjaciel Russell chciał wyciągnąć od niego pół miliona. Allen nie zapłacił, a potem dowiedział się, że Russell zabrał wnuka i bęc, wylądował w szpitalu.

- Jenny ci powiedziała?

- Mhm. Russell zostawił jej jakąś wstrząsającą wiadomość na sekretarce. Coś o tym, jak będą razem, ona, on i dzieciak. - Hunter przetrwał to, co usłyszał, w końcu Ortega znów się odezwał. - Gdzie ty, do diabła, jesteś?

- L.A. Ale Russell wyjechał stąd jakiś czas temu.

- Widziałeś go? - Głos Ortegi zabrzmiał ponuro. - Oko w oko?

Hunter nie chciał wdawać się w opowieść o tym, co zaszło. Wiedział, że Ortega zmyje mu głowę. Nie zamierzał nawet mu mówić, że śledził Troya, ale bezpieczeństwo Rawleya było ważniejsze. Popatrzył przez okno.

- Mogą jechać zdezelowanym, niebieskim chevroletem, chyba impalą, z początku lat osiemdziesiątych, albo zielonym explorerem z dziewięćdziesiątego któregoś, na tymczasowych numerach.

- A co, jeżeli nadal są w L.A.?

- Dzwoniłem do paru przyjaciół w tutejszej policji. Oddzwonią do mnie, ale Troy na

pewno stąd wyjechał. Czuję to. Nie wiem, co chciał zrobić, ale mu przeszkodziłem. Załatwię, żeby moi kumple wyjaśnili tu wszystkie szczegóły, może trzeba będzie sprawdzić jego dawne przyjaciółki.

- Przyjeżdżasz wprost na posterunek? Jesteś znów w robocie, Calgary?

Hunter pomyślał o Troyu i poczuł, jak tężeje w nim gniew.

- Jak wrócę.

- Pamiętaj, że temu sukinsynowi włos nie może spaść z głowy.

- Do widzenia, Ortega.

- Słuchaj, Calgary...

Rozłączył się i zadzwonił do Jenny.

*

Jenny z irytacją cisnęła spakowaną torbę na tylne siedzenie samochodu. Przede wszystkim kupiła sobie komórkę. Wcześniej nie przywiązywała do tego wagi, ale teraz musiała mieć możliwość kontaktu w każdej chwili i z każdego miejsca. Rozwścieczył ją telefon od Troya. Musiała działać.

Najpierw pojedzie do szpitala. Ojciec oczywiście zapyta, dokąd się wybiera. A ona sama nie wie. Hunter jest w L.A. i może tam należy zacząć. Musi być z nim. Chce uczestniczyć w poszukiwaniach. Chce mieć świadomość, że mu pomaga.

Podskoczyła, kiedy zadzwonił telefon. Ostrożnie podniosła słuchawkę, nie wolno jej było nawet wyszeptać imienia Rawleya.

- Więc nasłałaś na mnie tego swojego pieska - Troy mówił swobodnym tonem. - Prościutko do mnie. Salonowy piesek. Siada na twoich kolankach.

- Troy - powiedziała spokojnie, choć serce waliło jak oszalałe - czy mogę rozmawiać z Rawleyem?

- Czy Allen zmienił zdanie na temat pieniędzy, które jest mi winien?

Jenny oddychała ciężko. Owszem, liczyła się z tym, że usłyszy coś takiego. Russellem kierowała zachłanność, to było całkiem oczywiste. Zachowała jednak cień złudzeń, że Troy kocha syna. Teraz okazało się, jak bardzo się myliła.

- Ojciec jest w szpitalu. Kazał mi zadzwonić do swoich adwokatów.

- W szpitalu? Kiedy go widziałem, nasz nadziany dziadek wyglądał jak okaz zdrowia.

- Groziłeś mu, Troy. To dlatego dostał zawału i całe szczęście, że żyje. - Głos jej zadrżał. - Daj mi Rawleya do telefonu.

- Dzwoniłaś już do tych adwokatów?

- Nie. I nie zamierzam, dopóki nie porozmawiam z synem.

- Hm, akurat nie ma go tutaj. Nie martw się. Jest bezpieczny. Ale dopóki nie dowiem się, że pieniądze zostały przekazane na moje konto, nie będzie żadnej rozmowy.

- Co mu zrobiłaś? - Nie mogła zapanować nad łamiącym się głosem.

- Jenny, skarbie, oczywiście że nic. Chcę cię zobaczyć, maleńka - dodał aksamitnym tonem. - Jak najszybciej. Bez tego pieska. Teraz pora na moje kolanka.

- Nie mogę przekazać pieniędzy, nie znając numeru konta. Jaki to bank i gdzie...

Przerwał jej.

- Powiedz adwokatom, żeby byli gotowi. Znajdę cię i wszystkim się zajmujemy.

- Nie ruszę palcem, dopóki nie dasz mi Rawleya do telefonu.

- Ruszysz!

- Rozłączam się, Troy. Nie wierzę, że Rawley jest z tobą.

Zakląła, a potem na chwilę zakrył dłonią słuchawkę. I wtedy usłyszała Rawleya.

- Mamo? - Jenny ugięły się kolana. Opadła na kanapę z ręką przyciśniętą do ust. Płakałaby, gdyby starczyło jej łez, ale siedziała tylko zdrtwiała ze strachu.

- Rawley. O Boże, Rawley. Nic ci nie jest? Nie zrobił ci krzywdy?

- Nie.

- Jesteś w L.A.? Chyba mówisz z samochodu.

- Taaa...

- Czy możesz... - Z trudem zbierała myśli. - Czy możesz podać mi numer tego telefonu? Nie wyświetla się u mnie na ekranie.

- Tak, mhm... czy rozmawiałaś z Hunterem? - Rozpacz w głosie chłopca przyprawiła ją o dreszcz.

- Nie. Dlaczego? Co się stało?

- Siedem jeden trzy cztery cztery trzy - powiedział szybko. Usłyszała odgłosy szamotaniny.

- Rawley! Rawley!

- Zadzwoń do ciebie. - Troy mówił przez zęby. - Zadzwoń.

- Przysięgam, że jeśli go skrzywdzisz, zapłacisz za to.

- Tak, pani władzo? Załóż dla mnie coś seksownego. Żadne tam dzinsy i swetry. Ma być jedwab. Nie życzę sobie spodni. - W głosie Troya pojawił się śmiech. - Ani majtek.

Rozłączył się. Jenny odłożyła słuchawkę na widełki. Przez głowę przelatywały jej tysiące myśli. Jeszcze nie cofnęła ręki, gdy telefon znów zadzwonił.

- Słucham? - rzuciła nerwowo.

- Jenny.

O mało nie zemdląca.

- Hunter! - przez okrzyk ulgi przebijał histeryczny śmiech. - Och, Hunter! Jak to dobrze, że dzwonisz.

- Wracam. Powinienem być późnym popołudniem.

- W Santa Fe?

- Widziałem się z Russellem w L.A.

- Widziałeś...?

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać - przerwał jej. Jenny wydawało się, że mówi trochę niewyraźnie. - Jestem na lotnisku. Dzwoniłem do Ortegi. Wie, że Rawley został porwany.

- Troy dzwonił przed chwilą. Rawley jest z nim. - Wahala się przez moment. - Hunter? Słyszysz mnie?

- Tak - mówił z wyraźnym wysiłkiem.

- Nic ci nie jest? - spytała przestraszona. - Rawley chciał wiedzieć, czy nic ci się nie stało.

- Co mówił?

- Tylko tyle. - Przerwała na chwilę. - Co to znaczy, że widziałeś się z Russellem?

- Rawley wie, jakim sukinsynem jest jego ojciec.

- Co zrobił Troy?

- On... - Hunter gwałtownie wciągnął powietrze. Trudno było uchylić się przed odpowiedzią na to pytanie. - Zapowiadają mój lot.

- Co on zrobił?

- Wdaliśmy się w bójkę. Jenny, posłuchaj, Ortega mówił mi, że twój ojciec miał zawał.

- Tak, ale w tej chwili nie jest źle. Troy chce, żeby przekazać na jego konto pół miliona dolarów. Zadzwoń do adwokatów ojca i ustalę...

- Nie! Nie przekazuj pieniędzy. Nic nie rób.

- Zaraz będę rozmawiała z Josephem Wessverem.

- Nie załatwisz tej sprawy pieniędzmi.
- Mówisz od rzeczy - stwierdziła. - Na pewno nic ci nie jest? Jeżeli Troy każe sobie zapłacić za Rawleya, nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało!
- Jenny, to nie jest sposób!
- Nie będę narażała jego życia. - Jenny była bliska krzyku.
- Ojciec chce cię znowu wykupić z trudnej sytuacji, ale to się nie uda!
- Nie mów mi, co mam robić. Troy weźmie pieniądze, możesz mi wierzyć - dodała, żeby przekonać raczej siebie niż Huntera. - Żąda ich. Muszę mu je dostarczyć.
Hunter zaklął pod nosem.
- On chce czegoś więcej. To psychopata. On już przekroczył pewną granicę...
Jenny zaschło w ustach.
- Co ty mówisz? - szepnęła.
- Pieniądze nie pomogą, wiesz mi.
- Dzwonię do adwokata. Zapłacę, ile będzie trzeba.
- Mówisz jak ojciec.
- Jestem jego córką- odparła.
- Obojgu wam się zdaje, że pieniądze wszystko załatwią. - Zaskoczyła ją gorycz w jego głosie.
- Tak jest. Jestem taka, jak twoja była żona. Mamy pieniądze i możemy kupić wszystko! Idź do cholery! Wykupię mojego syna!
Rzuciła słuchawkę. Myślała tylko o Rawleyu. Słowa Huntera ją przeraziły: „psychopata”... „przekroczył granicę”...
Troy chce skrzywdzić Rawleya! Ta myśl ścisnęła jej serce. Krążyła po pokoju, oszalała ze strachu, nie spuszczając oka z telefonu. Jeśli będzie musiała dać okup za syna, poświęci ostatni grosz własny i ojcowski.
Nie może teraz wyjść z domu. Musi zostać. I czekać na Troya.
Trzy godziny później telefon wreszcie zadzwonił.

*

Rawley siedział na miejscu pasażera w brudnej, srebrnej furgonetce. J.P., przyjaciel Troya miał najwyraźniej kilka samochodów, i to gotowych na każde zawołanie. Ujechali zaledwie kawalek, po czym Rawleya wrzucono na miejsce, które zajmował do tej pory i J.P. ruszył w swoją stronę, a oni w swoją.

Mdliło go ze strachu. Bał się o Huntera. Uratował mu przecież życie. Ma wielki dług wobec tego człowieka, szczególnie że tak chętnie wierzył przedtem we wszystkie najgorsze rzeczy, które opowiadał o nim ojciec.

Jego własny ojciec.

Mężczyzna siedzący w tej chwili obok niego był kimś zupełnie innym niż tamten elegancki nieznajomy, który odwiedził go na obozie piłkarskim. Odsłonił się. Jakby niewidzialna ręka zdarła maskę, spod której wyłoniło się coś wstrętnego i upiornego.

Hunter. Rawleyowi zrobiło się niedobrze. A jeśli nie żyje? Upadł na podłogę, stracił przytomność, zdążył tylko powiedzieć Rawleyowi, by poszedł z ojcem, by ratował życie. A co z jego życiem? Czy Hunter Calgary jeszcze żyje?

- Hej! - Troy szturchnął go łokciem. - Co tak cicho siedzisz?

Rawley nie zamierzał dłużej myśleć o tym psychopacie jako o swoim ojcu. To po prostu ktoś zły. Ktoś, kto w lewej kieszeni marynarki ma broń, której Rawley nie może dosięgnąć. Kto mówi o jego matce, jakby to była jakaś dziwka.

- Pytałem cię!

- Jestem zmęczony.

- Myślisz, że go zabiłem, co? Kurde, mam nadzieję, że tak! Ten sukinsyn pieprzył twoją matkę. Powinieneś się cieszyć, że nie żyje.

Rawley nie dał się sprowokować, choć był gotów walczyć ze zbrojnym. To nie jest ojciec. Wcale nie.

Nie umieraj, Hunter. Proszę cię. Nie umieraj.

Zbliżali się do granicy z Arizoną. Rawley widział, jak po przeciwnej stronie autostrady policja zatrzymuje samochody wjeżdżające do Kalifornii i sprawdza, czy nikt nie wwozi owoców i warzyw. Gdyby tamtędy jechali, wyskoczyłby z samochodu i zawołał o pomoc.

Ale byli teraz po drugiej stronie i pędzili przed siebie, w głąb Arizony, gdzie najwidoczniej nikogo nie obchodzi plagi owadów, bo jak okiem sięgnąć, nie było żadnego posterunku i nikt nie zamierzał ich zatrzymać, ani zadawać żadnych pytań.

Za Arizoną był już Nowy Meksyk. Troy wiozł go do domu, ale na pewno nie po to, by sprawić mu przyjemność.

Po raz pierwszy w życiu Rawley zapragnął być w szkole. Zateśknął za pracami domowymi, za wymagającymi nauczycielami i głupimi kolegami. Żałował też, że wtedy, z tamtą dziewczyną, do niczego nie doszło. Może nie będzie miał w życiu więcej okazji do uprawiania seksu.

Godzinę później zatrzymali się na stacji benzynowej. Troy wyglądał jak śmierć. Otworzył drzwiczki, wsunął rękę do kieszeni i cichym głosem ostrzegł Rawleya, żeby nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów.

Niech szlag to wszystko trafi. Rawley zaczął odliczać. Raz... Troy robi krok w stronę dystrybutora. Dwa... drugi krok. Trzy... sięga po końcówkę węża.

Rawley wystrzelił z samochodu i rzucił się pędem do sklepu. Trzasnął ręką w drzwi i wpadł do środka ku zdumieniu dziewczyny za ladą. Zamarła z jedną ręką na kasie.

- Tylne drzwi! - rzucił. - Gdzie?

Jej wzrok powędrował w stronę toalet. Rawley pognał, pośliznął się i złapał klamkę w chwili, gdy Troy, rozwścieczony, pojawił się w wejściu do sklepu. Rawley szarpnął drzwi. Krótki korytarz. Drugie drzwi.

- Stój, bo strzelam - powiedział Troy.

Rawley nie czekał. Chwycił klamkę, nacisnął i znalazł się na wolności. Troy zaklął i rzucił się za nim w pogoń. Wolał nie używać broni w miejscu publicznym.

Dookoła, jak okiem sięgnąć, nie było nic. Zarośla, piasek i sucha, żółkła trawa, i kaktusy *saguaro*. Najbliższy pokazywał całemu światu palec w obscenicznym geście. Kaktusami porośnięte były też wzgórza daleko na horyzoncie. Rawley czytał kiedyś, że *saguaro* rosną tylko w Arizonie, i to jedynie w pewnej części stanu. Może to prawda, ale nie wiadomo. Tyle że właśnie tu są i dają jedyną szansę na schronienie. Biegł i biegł, bez trudu zostawiając za sobą dyszącego, rozjuszonego potwora.

- Lata treningu na boisku, ty skurwielu - szepnął wściekle Rawley i popędził przed siebie.

Rozdział 18

Hunter wylądował w Albuquerque półżywy. Jego samochód czekał wprawdzie na parkingu, ale sztywne palce ledwie radziły sobie z kluczykami. Od Santa Fe dzieliła go tylko godzina jazdy, zapadał jednak zmrok, noc zapowiadała się pochmurna i gwiazdy znikwały z nieba jedna po drugiej. Chyba znowu będzie padać, pomyślał, przecierając oczy. Widoczność była coraz gorsza.

Ortega powinien namierzyć Russella. Hunter myślał teraz tylko o tym. Z każdym gwałtowniejszym ruchem wstrząsał nim tępy, pulsujący ból.

Pojechał wprost do Jenny. Dopiero za trzecim razem wstukał właściwy numer kodu otwierającego bramę. Mózg nie pracował jak należy.

Zaparkował przy wejściu. Na chwilę oparł głowę o kierownicę, wyczerpany i oszołomiony trudnymi do określenia emocjami. Powiedzmy, że to strach, pomyślał.

Chwiejnym krokiem wszedł po schodach i sięgnął do dzwonka. Wcisnął go mocno, opierając się całym ciałem.

Jenny otworzyła drzwi.

- Hunter!

Zatoczył się przez próg do środka.

Popatrzyła na niego zdezorientowana. Nie rozumiała, co się dzieje, ale najwyraźniej był chory.

- Musisz pójść do lekarza.

- Nie. Muszę zadzwonić do Ortegi. Sprawdzić, czy przechwycili Russella.

- Masz gorączkę - stwierdziła, dotykając jego czoła. Upadł na kanapę, w przeciwdeszczonym płaszczu, o parę numerów za małym. Pierś opinał mu czarny podkoszulek ozdobiony sprośnym napisem w gotyku. Skąd on to wszystko wziął?

- Hunter...

- Podaj mi telefon - zażądał stanowczo, ale nie był w stanie usiąść. Jenny nie lubiła, gdy jej rozkazywano, widziała jednak, że Hunter jest półprzytomny i skoncentrowany wyłącznie na tropieniu Russella, choć ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Kochała go za to, nawet jeśli naprawdę uważał, że jest bogatą dziwką, która szasta pieniędzmi na prawo i lewo.

Podala Hunterowi przenośną słuchawkę. Benny usiadł przy jego głowie i zamarł w bezruchu.

Ortega odezwał się natychmiast.

- Masz coś nowego? - spytał Hunter.

- Na razie nie namierzyliśmy żadnego z samochodów. - Hunter zmarszczył czoło.

- Ratty na pewno zorganizował jakiś inny wóz. Jestem u Genevy. Zadzwonię. - Słuchawka wypadła mu z dłoni. Jenny ostrożnie odłożyła ją na widełki. Hunter zdrową ręką chwycił ją za ramię.

- Nie odchodź - szepnął.

- Musisz zdjąć z siebie te ciuchy.

- Nie mogę - powiedział, krzywiąc się.

- Uparty jak osioł - mruknęła. - Pozwól...

Pomogła mu ściągnąć płaszcz. Znieruchomiała na widok przesiąkniętego krwią bandaża i fioletowiejącej wokół niego skóry.

- Mój Boże, Hunter. Co się stało?

- Russell do mnie strzelał. Trafił w rękę.
- To jest rana postrzałowa?
- Niestety. Dlatego nie ma mowy o lekarzu. Będę musiał złożyć raport. – Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie bądź głupi. Potrzebujesz fachowej pomocy. – Zaciśnął zęby.
- Na razie nie. Wystarczy jeden meldunek i wszystko wyjdzie na jaw, a wtedy odsuną mnie od poszukiwań. Muszę po prostu... chwilę odpocząć. I łyknąć brandy, jeśli masz.

- Poszukam bandaża. - Jenny wyśliznęła się z uścisku Huntera i pobiegła do łazienki. Kiedy wróciła, spał. Przyniosła opatrunki, maść z Antybiotykiem, czysty bandaż i małe nożyczki. Nie chciała go budzić, ale Hunter podniósł powieki.

- Przepraszam - wyszeptał.
- Za co? - Powoli zdejmowała z rany gazę; zadrżała lekko, widząc poszarpane ciało. Lewą, zdrową ręką przesunął po jej ramieniu nad łokciem i spojrzał tak, że serce Jenny stopniało jak wosk.

- Wcale nie jesteś taka jak Kathryn - powiedział łagodnie. Nie zastanawiając się, schyliła się i go pocałowała. Kilka chwil później, bez tchu, odsunęła się i odeszła.

- Dokąd idziesz?
- Przyniosę ci mocnego drinka. Sam pocałunek nie wystarczy, żebyś wytrzymał to, co muszę teraz zrobić.

- Raz to już dziś przerabiałem - mruknął.
Jenny wróciła ze szklanką brandy i zajęła się rozwijaniem starego opatrunku. Hunter zamknął oczy, trzymał szklankę przy ustach i pociągał łyk za każdym razem, kiedy kawałki skóry odrywały się razem z gazą. Gdy skończyła, była zlana potem.

W łazience znalazła tabletki przeciwbólowe. Wysypała na dłoń i podała Hunterowi. Połknął i popił brandy.

- Prochy i alkohol - uśmiechała się.
- Dobra, uspij mnie. Metodami lekarskimi - wymamrotał, zamykając oczy.
Kiedy odezwał się telefon, światło. Jenny natychmiast podniosła słuchawkę.
- Wsiadaj w samochód i jedź na północ - głos Troya brzmiał rozkazująco. - Zatrzymasz się w Taos. Wejdiesz do Taos Inn. Wiesz, gdzie to jest?

Jenny słuchała uważnie, próbując jednocześnie zorientować się, czy Hunter też nie odebrał telefonu. Nie chciała go budzić. Nie chciała nawet, żeby włączył się w cokolwiek w takim stanie.

- Wiem - szepnęła. Zabytkowa Taos Inn, stara, ceglana budowla, stała w samym centrum miasteczka.

- Wynajmiesz tam pokój.
- Jesteście w Taos?
- Zadzwoń do ciebie do hotelu...

Odłożyła słuchawkę, przerażona i przybita. Rzeczy były już spakowane w samochodzie, od wczoraj, kiedy tak rozpaczliwie chciała pędzić za Hunterem do Los Angeles.

Czy należy go obudzić? Powiedzieć o wyjeździe?

Błyskawicznie wzięła prysznic, naciągnęła dzinsy i sweter, w pełni świadoma, że ubiera się dokładnie tak, jak nie życzy sobie eksmałżonek. Z tenisówkami w ręce, na palcach, weszła do salonu. Benny cichutko szczeknął i posapywał koło jej dłoni. Hunter obudził się, spróbował usiąść i złapać oddech.

- Dokąd się wybierasz? - spytał ostro.

Nie lubiła kłamać, ale wiedziała, że zabroni jej wyjechać.

- Przyniosę coś na śniadanie.
- Nic mi nie trzeba.
- Trzeba ci bardzo wielu rzeczy. - Zdobyła się na uśmiech, który nie wypadł zbyt szczerze.
- Nie chcę, żebyś wychodziła.
- Nie jesteś w stanie, w którym można cokolwiek robić. Pogadamy, jak wrócę.
Hunter usiłował wstać, ale Jenny podbiegła i ułożyła go z powrotem na kanapie.
- Już mi lepiej - powiedział, szukając wzrokiem jej spojrzenia. - Nie boisz się, że Russell zadzwoni i cię nie zastanie?
- No... owszem. Jasne. Mhm... Powiedz mu, żeby nie zrobił krzywdy mojemu synowi.
Patrzyli na siebie przez chwilę. Jenny szybko założyła tenisówki, chwyciła torbę i ruszyła do wyjścia. Wiedziała, że Hunter czegoś się domyśla. Odwróciła się i rzuciła lekko:
- Jak będzie już po wszystkim, wybierzemy się do Taos Inn. - Wybiegła, zanim zdołał coś odpowiedzieć.

W Taos Inn pokój zwalniał się o czwartej po południu. Jenny spojrzała na zegarek. Zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do Huntera i powiedzieć mu, co robi. Mogłaby odezwać się do sierżanta Ortegi i tam zostawić wiadomość, ale z góry wiedziała, co nastąpi potem. Policja z Santa Fe zawiadomi policję w Taos, zjawią się tu mundurowi i...

Niemal słyszała strzały. Troy na pewno wyczułby pułapkę. Coś mogłoby się stać Rawleyowi. Jęknęła w cichym proteście. Nie. Żadnych ruchów.

A jeśli zadzwoni do domu, Hunter zjawi się tu z pewnością i narazi się na niebezpieczeństwo. Troy już raz do niego strzelał. Skurwiel!

Znów pomyślała o synu i przeszedł ją dreszcz.

Och, Rawley! Proszę, proszę, niech ci się nic nie stanie!

Stała na chodniku przed hotelem i patrzyła na przejeżdżające samochody. Dzień był słoneczny, powietrze rześkie i suche. Przed wystawami sklepów i galerii zatrzymywali się przechodnie.

Jenny przeszła jezdnię i próbowała zachowywać się podobnie - spacerowała bez celu, raz po raz spoglądając na zegarek. Biały sweter i dżinsy nie chroniły jej przed chłodem; marcową temperaturę dawała się we znaki.

A może to nerwy? Strach? Nie chciała o tym myśleć.

O czwartej dostała pokój i zadzwoniła do szpitala. Rozmawiała krótko, bo wydawało jej się, że ojciec nie czuje się najlepiej.

- Znalazłaś Rawleya? - Tylko to go interesowało. Powiedziała, że czeka na telefon od Troya. - Dzwoniłaś do Wessvera?

- Tak - odparła. Telefonowała poprzedniego dnia, zaraz po rozmowie z Hunterem, która zakończyła się rzuceniem słuchawki. - Będę dzwoniła jeszcze raz, za chwilę.

- Jenny, obiecaj mi, że weźmiesz pieniądze.

- Wezmę - odpowiedziała automatycznie, choć w uszach wciąż dzwoniły jej słowa Huntera. Czuła, że powtarza błędy ojca. Wiedziała, że to Hunter ma rację. Ale stawką jest życie Rawleya!

- Pozbędziemy się go. - Allen znów zakaszłał. - Zrób co mówię, Ge-nevo. - Usłyszała w tle czyjś głos. Natalie.

- Zaraz będę rozmawiała z Wessverem - zapewniła ojca.

Nie zadzwoniła jednak. Zawahała się. Zastanawiała się, co na jej miejscu zrobiłby Hunter i szybko, jakby bała się, że się rozmyśli, wykreśliła swój domowy numer. Nikt nie podniósł

słuchawki. Rozłączyła się, coraz bardziej przestraszona. Może nie jest w stanie podejść do telefonu? Może leży tam i potrzebuje pomocy?

Usiłowała podjąć jakąś decyzję i właśnie wtedy zabręczał dzwonek.

- Jenny... - powiedział Troy pieszczotliwym tonem, który przyprawił ją o skurcz żołądka.

- Chcę mówić z Rawleyem.

- Co z pieniędzmi?

- Dzwoniłam do Josepha Wessvera, adwokata ojca. Ma się do mnie odezwać.

- Rozczarowujesz mnie. Naprawdę. Będziesz musiała opuścić hotel.

- Opuścić hotel! Troy, czekam na wiadomość od Wessvera. Muszę tu zostać.

- Wracaj do swojego ślicznego mieszkanka. Czekaj tam na mnie.

- Troy... - zaprotestowała. Połączenie zostało przerwane.

Jenny zeszła na dół, ale tylko po to, żeby przedłużyć pobyt o kilka dni. Zostawiła bagaż w pokoju. Nie wiedziała, co knuje Troy, ale przynajmniej da znać Hunterowi, że jest w Taos Inn.

Wysłała do samochodu stojącego na wysypanym żwirem parkingu. Wkładała kluczyk do zamka, kiedy poczuła, że ktoś za nią stoi. Chciała gryźć, kopać i wrzeszczeć, ale poczuła pod żebrami lufę pistoletu.

- Jenny...

Zemdlilo ją, kiedy poczuła na karku oddech Troya.

- Gdzie jest Rawley? - wyszeptwała.

- W bezpiecznym miejscu. Zabiorę cię do niego.

- Nie wsiądę z tobą do samochodu.

- W takim razie zabiję go natychmiast.

- Wezwę policję. Zamkną cię.

- Nigdy więcej go nie zobaczysz.

Musiała słuchać. Dla Rawleya.

- Wsiadaj do auta, Jenny.

Sądziła, że mówi o jej volvo, ale poprowadził ją do srebrnej furgonetki na kalifornijskich numerach. Wzdrygnęła się. Troy tylko pokręcił głową i uśmiechnął się.

Do cholery z ręką i do cholery z raną. Do cholery z Jenny i jej kłamstwami. Hunter dołókł się do dziupa i pojechał na posterunek. Przed oczami migają mu świetliste plamki. Potykając się, wszedł do środka.

- Jenny jest w Taos. W hotelu Taos Inn. Myślę, że Troy kazał jej tam jechać.

- Co, do diabła, ci się stało? - Ortega poprowadził Huntera do krzesła stojącego obok biurka.

- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Twoja pani jest w Taos Inn. Pojąłem.

- Żadnych śladów Russella?

- Na razie nic. Nie ruszasz prawą ręką. - Sierżant zmarszczył czoło.

- Znalazłem się na linii ognia.

Ortega puścił wiązanek przekleństw i spojrzał na Huntera.

- Skończysz w szpitalu St.Vincent razem z jej tatusem.

- Jadę do Taos.

- Nie w takim stanie. Co ty, do diabła, masz na sobie?

- Koszulę i bluzę jej syna. I tak wyglądam lepiej niż przedtem. - Ruszył do drzwi.

- Masz... - Ortega złapał z wieszaka swoją skórzaną kurtkę i cisnął ją w stronę Huntera. -

Znowu leje - powiedział z niesmakiem. - Chyba już nigdy nie przestanie.

Hunter pojechał wprost do Taos, z Bennym, który zajął fotel obok. Pokonał trasę w rekordowym czasie, choć padał teraz deszcz ze śniegiem i na drodze zrobiła się breja. Podjechał pod Taos Inn i zaparkował tuż koło samochodu Jenny. Śnieg tu nie topniał; Hunter zauważył, że przy drzwiach auta krzyżują się różne ślady stóp. Ktoś zrzucił warstwę śniegu z klamki, ale szybko narastała nowa.

Wszedł do hotelu, z chłodu wprost do nagrzanego wnętrza i poczuł, że lekko kręci mu się w głowie. Funkcjonował dzięki adrenalinie i sile woli. Ani jedno, ani drugie nie było najlepsze dla wyczerpanego organizmu. Podszedł do recepcji i poprosił o połączenie z pokojem Jenny.

- Nie odpowiada, proszę pana.

- Proszę spróbować jeszcze raz.

Recepcjonista uniósł brwi, najwyraźniej podejrzewając, że Hunter leci na tę dziewczynę.

- Nadal nikt nie odpowiada.

Hunter skinął głową. Wrócił do dżipa. Przed nim w śniegu widniała para głębokich śladów - ciężarówki lub furgonetki - które ginęły w błocie. Były dość świeże; samochód odjechał zapewne kilka minut przed jego przyjazdem.

A jeżeli Russell już ją ma...?

Wrócił do recepcji.

- Czy na liście gości jest Troy Russell?

- Proszę pana...

- Przyjechał wczoraj albo dzisiaj. Mniej więcej mojego wzrostu. Samochód przypuszczałnie na numerach z innego stanu, najprawdopodobniej z Kalifornii. To były mąż tej pani, który porwał ich syna. Proszę mi tylko powiedzieć, czy ktoś taki się tu zameldował.

Recepcjonista niechętnie przerzucił listę gości. Pokręcił głową.

- Ilu samotnych mężczyzn przyjechało tu wczoraj albo dziś?

- Nie wolno mi udzielać takich informacji.

Hunter skłął się w duchu, że nie poprosił Ortegi o legitymację policyjną. Postanowił więc to załatwić przez telefon.

- Przepraszam pana - usłyszał, podchodząc do automatu.

Stała przed nim młoda kobieta w długim, czarnym płaszczu i futrzanej czapce. Przyglądała mu się uważnie.

- Jakiś mężczyzna przyjechał tu dziś wcześniej rano. Trochę podobny do pana. - Zacisnęła usta. - Prowadził srebrną furgonetkę na kalifornijskich numerach. Twierdził, że ma dom w pobliżu Taos, ale nie może się do niego dostać czy coś takiego. Proponował, że mi go pokaże, a potem pojedziemy na lunch. Nie przyjęłam zaproszenia.

- Czy mówił, gdzie to jest? - Wzruszyła ramionami.

- Niech pan jedzie Kit Carson Road.

- Muszę sprawdzić pokój Jenny Holloway. - Hunter zwrócił się znów do recepcjonisty. - Może potrzebować pomocy.

- Zaraz to zrobię, proszę pana.

Hunter ruszył za nim, mimo wyraźnej niechęci młodego człowieka. W drzwiach odepchnął go, nie zwracając uwagi na protesty. Bagaż Jenny stał nieruszony. W pokoju panował idealny porządek. Ale to nie znaczyło, że nic się nie stało.

*

Podróż była krótka. Jenny zastanawiała się, czy zdoła wyskoczyć i uciec, ale nie traciła

nadziei, że u celu drogi czeka na nią Rawley. Była teraz na łasce brutalnego zboczeńca, który lubił przemoc i zadawanie bólu kobietom. Z faceta, który znęcał się nad słabszymi, zamienił się w stuprocentowego psychopatę. Nie miała wątpliwości, że to on zabił Michelle Calgary.

Nie wątpiła też, że zabije ją i jej syna, jeśli przyjdzie mu na to ochota. Hunter miał rację, pieniądze stanowiły tylko część jego obsesji.

- Nałóż to - polecił, wyciągając zza siedzenia kurtkę Rawleya. W furgonetce były tylko dwa fotele z przodu.

- Nie jest mi zimno. - Zamarzała. Na tej wysokości deszcz przechodził w śnieg, ale Jenny wzdrygała się na myśl o spełnieniu jakiegokolwiek prośby Troya.

- Nałóż to.

Posłuchała i poczuła znajomy zapach syna. Zdusiła kolejną falę ogarniającego ją przerażenia, próbowała wymyślić, co może zrobić. Gdyby zdołała nawiązać z Troyem kontakt w jakiejś sprawie, odwołać się do resztek rozsądku...

- Mówiłem ci, żebyś nie nakładała dzinsów - warknął.

- Nie będę chodziła w jedwabnej spódnicy przy takiej pogodzie.

- Zdejmij je.

Musi go przekonać. Troy zada jej ból, jeśli tylko będzie mógł. Fizyczny i psychiczny. Trzeba go przechytryć, w jakikolwiek sposób. Śnieg padał coraz gęstszy i układał się w mokre zasy.

- Zdejmę, jak się zatrzymamy.

W tym momencie Troy gwałtownie obrócił kierownicę i teraz trzęśli się na wyboistej bocznej drodze, niemal całkowicie przykrytej śniegiem. Jakies osiemset metrów dalej stanęli przed chaotycznie zbudowanym domem, pokrytym tynkiem, który udawał paloną cegłę. Na wystających poza mur belkach, na ganku, na dachu i balustradach leżała warstwa białego szronu.

- Czyj to dom?

- Mój.

- Nie wysiadamy? - spytała, gdy wciąż siedział bez ruchu. Odwracał głowę z boku na bok, jakby oglądał mecz tenisowy.

- Chcę właśnie tu, a ty?

- Niespecjalnie.

Wyciągnął paczkę gumy Big Red i wsunął do ust zwinięty, pachnący cynamonem listek.

- Mniam - cmoknął. - Też chcesz? - Pokręciła głową. Miała sucho w ustach.

- Chodź. - Przyciągnął ją do siebie. - Boisz się, co?

- Tak - odpowiedziała szczerze. - Czy Rawley jest w tym domu?

- Rawley, Rawley, Rawley... jak tak mówisz o nim, zastanawiam się, czy się z nim nie pieprzyłaś.

Serce ścisnęło jej się z przerażenia.

- To nasz syn, Troy. Twój syn.

Szarpnął ją, przycisnął usta do jej warg, niemal dusił, brutalnie wciskając język między zęby. Poczowała smak cynamonu. W marynarce miał pistolet. Komórka jest zapewne w kieszeni w drzwiach koło kierowcy. Czym się bronić? Gdzie może coś znaleźć?

- Idź do tyłu! - zachrypiął, odsuwając ją nagle. Pchnął ją za fotele, ale trzymał się tuż obok. - Na czworaka!

- Troy... - Odpychała go rękami, ale w oczach Russella były tylko nienawiść i żądza.

- Na czworaka, malutka. No już. Na czworaka. A teraz ściągaj dzinsy, wolniutko...

Hunter wyjechał na główną ulicę i skierował się na południe, a potem skręcił ku wschodowi, na Kit Carson Road. Była krótsza niż Canyon Road w Santa Fe, ale podobnie jak tamta pełna galerii i restauracji, wśród których stało jeszcze kilka pensjonatów. Szybko jednak zamieniła się w wąską drogę wysadzaną smukłymi sosnami, które teraz uginały się pod ciężarem śniegu. Skręcił w jakąś drogę dojazdową za śladami ciężarówki, ale znalazł tylko ja-skrawoczerwonego chevroleta zaparkowanego przed niewielkim domkiem. Wrócił na szosę, klnąc, że marnuje cenny czas.

Och, Jenny, wytrzymaj jeszcze trochę!

- Chyba mam ochotę na gumę - powiedziała zduszonym głosem.

- Grasz na zwłokę.

Trzymał ją teraz na muszce, demonstrował swoją przewagę. Usiłowała ukryć przerażenie, ale pewnie wszystko było dokładnie wypisane na jej twarzy, bo uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Podniecasz mnie, Jenny, kochanie - szeptał. Siedział teraz naprzeciw niej. - Do szaleństwa.

- Och, nie... - Jej głos słabł.

To nie był człowiek, którego poślubiła. Tamten dawno odszedł. Piętnaście lat temu. Ale nie zdawała sobie sprawy, w jakiego potwora się zamienił.

Rzucił paczkę gum w jej stronę. Wzdrygnęła się, podniosła ją i spojrzała wprost w lufę pistoletu.

- Nie rób sobie ze mnie jaj - wyszeptał.

Niech mówi, niech mówi jak najdłużej. Jenny była sparaliżowana strachem.

- Jeżeli mnie zabijesz, nie dostaniesz pieniędzy - zauważyła rozsądnie.

- Nie zabiję cię - powiedział, jakby tłumaczył coś wyjątkowo tępej osobie. - Wygląda na to, że dziadunio wyniesie się na tamten świat, a to oznacza, że ty dostaniesz wszystko.

- Dlaczego zabiłeś Michelle Calgary?

- Twój piesek coś ci naopowiadał? Nie zabiłem Michelle. Spadła z dachu.

- Zepchnąłeś ją. Doprowadzała cię do szału i nie mogłeś tego wytrzymać. Powiedziała ci, że jest w ciąży, a ty nie chciałeś ani jej, ani dziecka.

- To była beksa. Wciąż ryczała.

- Chciała zawiadomić policję, że ją biłeś i maltretowałeś. Chciała zrobić to, co ja powinienam była zrobić wiele lat temu.

- Pieprzysz. - Troy był wściekły. - Tak samo jak Michelle. Beczała i skamlała przed tym kurewskim braciszkiem, którego wpuściłaś do łóżka. Bo tak było, prawda, Jenny? Pozwoliłaś mu.

- Zabiłeś ją - powtórzyła.

- Jenny... - Trzymał ją mocno za brodę i wolno poruszał jej głową na boki. - Michelle nigdy nie słuchała. To był jej błąd. Ona po prostu... nie... słuchała. Ty masz słuchać! Na czworaka! Nie zmuszaj mnie, żebym ci pomógł.

Raczej umrze, niż spełni jego życzenie. Celowo wyjęła listek gumy, rozwinęła go powoli i wsunęła do ust. Troy patrzył na nią. Taki sam wzrok widziała u Benny'ego, kiedy otwierała mu torbę z chrupkami.

Czuła dziwny spokój. Musi się dowiedzieć, gdzie jest Rawley, ale nie może stracić przewagi.

- Ciepło tu - mruknęła, zsuwając z siebie kurtkę.

- Nie zdejmuj tego - warknął.

- Dlaczego? - Wyciągała ręce z rękawów i uważnie mu się przyglądała. Nie spuszczał oczu z bluzy, oddychał coraz szybciej i gwałtowniej.

- Połóż ją - rozkazał. Posłuchała.

- No chodź, Val - powiedział. - Chodź, Jenny. - Nie poruszyła się. - Nagle przewrócił oczami i ku jej obrzydzeniu i osłupieniu rozpiął spodnie i zaczął się onanizować, aż osiągnął orgazm i zabrudził spermą całą kurtkę.

Nie czekała. Uderzyła go kolanem w krocze. Ze wszystkich sił. Zbyt był zaabsorbowany, by przewidzieć cios; jęknął i zgiął się w pół. Zerwała się, ale Troy rzucił się do przodu i uderzył ją w głowę pistoletem. Zaczęła walić go pięściami w pierś. Krzyknęła, gdy poczuła, że wpija się jej zębami w ramię. Macała dokoła ręką, szukała broni, która wysliznęła się z palców Troya. Trafiła tylko na paczkę gum.

Usiłował przygwoździć jej ręce do podłogi. Oboje dyszeli ciężko. Jenny z całej siły wepchnęła mu w otwarte usta gumę. Omal się nie udusił, ale wypluł ją i jeszcze raz próbował ją ugryźć. Jenny kopała, odpychała go rękami, zorientowała się jednak, że walka coraz bardziej podnieca go seksualnie. Jej cios nie był widocznie wystarczająco mocny.

W ciszy słyhać było tylko sapanie dwojga zmagających się ludzi. Troy złapał Jenny za ręce, ale udało jej się jedną oswobodzić. Widziała pistolet. Leżał po prawej stronie, na gumowym chodniczku. Chciała go dosięgnąć, ale trąciła tylko kolbę palcami i odskoczył dalej, ku tyłowi samochodu. Troy uderzył ją mocno w twarz i rzucił się po broń. Jenny wykręciła się, próbowała unieść kolano, a kiedy chciał ją powstrzymać przed zadaniem ciosu, szarpnęła się i w końcu dosięgła palcami kolby pistoletu.

Sekundę później celowała w czoło Troya.

- Rusz się tylko, to cię zabiję - krzyknęła. Znieruchomiał. - Gdzie jest Rawley?

Nie odpowiedział. Patrzył tylko lodowatym wzrokiem.

- Gdzie jest mój syn? - Czy broń jest odbezpieczona? Czy może pociągnąć za spust? Strzelić z tak bliska? - Mów, gdzie on jest, ty sukinsynu.

- Nie zrobisz tego, prawda?

- Gdzie on jest?

- Och, Jenny. - Nie spuszczać z niej oczu, Troy odsuwał się powoli. Na jego ustach stopniowo pojawiał się uśmiech.

Chciała krzyczeć z rozpacz. Nie mogła na niego patrzeć. Wszystko jasne. Troy nic jej nie powie.

- Chodź, skarbie - szepnęła.

- Przestań. Nie dotykaj mnie. Proszę, Troy. Powiedz, że on żyje.

- No jasne. - Wyjął pistolet z jej zdrtwiałych palców.

Ramiona Jenny opadły. Zamknęła oczy. Była kompletnie wyczerpana. O krok od utraty przytomności. Otrzeźwił ją dźwięk odbezpieczanej broni. Lufa wycelowana była między jej oczy.

- Poproś mnie jeszcze, Jenny. Lubię to. - Milczała.

- No Jenny. „Proszę, Troy, proszę. Ładnie proszę”. Mów. - Wolną dłonią sięgnął do zapięcia jej spodni.

Odepchnęła ją gwałtownie.

- Mów! - rozkazał, szarpiąc zamek dzinsów.

Zacisnęła dłonie na jego ręce, zatrzymała go. Przytknął pistolet do jej policzka.

- Boisz się? Boisz się, Jenny... co? - Pochylił się nad nią, popchnął na podłogę. - No, chodź, mała - mówił śpiewnie. Czowała, jak robi się coraz twardszy, uderza ją rytmicznie. - No chodź, no chodź, no chodź. „Pro-ooszę... Troy...” - Szamotał się teraz z kłamrą własnego pa-

ska. Usłyszała brzęk i pospieszne ściąganie spodni.

Zaciskała i rozluźniała dłonie. Złapie dokładnie w najboleńsze miejsce i wykręci z całej siły. Lufa dotykała teraz gardła Jenny. Troy oblizywał jej usta.

- Lubiałś to. Pamiętasz? - szepnął. Wsuwał teraz język między jej wargi i wyjmował. Chrząknął, napał na nią całym ciałem i usiłował wcisnąć dłonie w jej dzinsy.

Napięła się, gotowa do uderzenia.

Nagle boczne drzwi furgonetki się otworzyły. W ułamku sekundy Troy wyleciał w górę, jakby nagle nauczył się fruwać. Jenny zerwała się na kolana i rzuciła się za nim.

Hunter trzymał Troya za kark i był o krok od uduszenia go.

Rozdział 19

– Hunter... - Jenny wysuwała się z auta. Widziała tylko białka oczu Troya. Spodnie miał opuszczone do kolan. Zamarła, słysząc niski, morderczy charkot. To Benny. Stał sparaliżowany widokiem człowieka, który go skrzywdził.

- Hunter - powtórzyła. - Proszę cię...
- Zabił moją siostrę.
- On wie, gdzie jest mój syn.

Przez moment nic się nie działo. Potem Hunter powoli rozluźnił palce lewej ręki zacisnięte na szyi Troya. Patrzył na niego długo, obserwował ciężko unoszącą się i opadającą klatkę piersiową. Niech jeszcze trochę pożyje. Pod Troyem ugięły się kolana. Hunter ścisnął go jedną ręką i przytrzymał na miejscu. Benny siedział obok, groźnie odsłaniając zęby i wydając nieustanny, głęboki bulgot. Sierść na karku zjeżyła mu się jak szczotka.

Troy oprzytomniał; kaszlał teraz i macał gardło. Jenny pomyślała o pistolecie leżącym gdzieś w furgonetce.

- Tylko się rusz, a Benny rozszarpie cię na kawałki. A ja sobie popatrzę - odezwał się Hunter.

- Udusiłeś mnie - jęknął Troy.

Odpowiedziało mu warknięcie Benny'ego i lodowaty uśmiech Huntera.

- Najwyraźniej jeszcze nie dość dobrze.
- Gdzie jest Rawley? - spytała Jenny.

Troy rozejrzał się. Widać było, że myśli o ucieczce. Popatrzył w dół, na spodnie kompromitująco oplatane wokół kostek, ale kiedy tylko ruszył ręką, żeby je podciągnąć, Benny zacisnął zęby na jego nadgarstku.

- Powiedz jej, gdzie jest dziecko - zażądał Hunter.
- Zabierz ode mnie tego cholernego psa. – Jenny złapała Benny'ego za obrozę.
- Chodź, mały. Chodź. - Drżała z ulgi. Jak dobrze, że jest Hunter. Jak dobrze.

Troy podciągnął spodnie; chwiał się lekko. W ułamku sekundy rzucił się do otwartych drzwi samochodu.

- Pistolet! - krzyknęła Jenny. W tym samym momencie Benny wyrwał się z jej ręki i potężnym susem skoczył za Russellem.

Hunter tuż za nim.

W furgonetce rozległ się strzał. Jenny widziała jedynie zwisające z auta nogi Huntera.

- Benny... - szepnęła przerażona.

Hunter powoli wysunął się na zewnątrz. Pokręcił głową. Jenny poczuła łyzy w oczach. Podszedł do niej, odgarnął jej włosy z twarzy i uśmiechnął się łagodnie.

- Nie - mruknął. - Benny złapał go za gardło i ten sukinsyn postrzelił się w stopę.

Trzy godziny później Troy, pilnowany przez policję, czekał w Szpitalu St. Vincent na operację zranionej nogi. Hunter i Jenny zostali w holu.

Tam znalazł ich sierżant Ortega i natychmiast wysłał Huntera do gabinetu zabiegowego na opatrzenie ran. Jenny siedziała na krześle, splatając i rozplatając dłonie.

- Znajdziemy Rawleya - zapewnił sierżant.

Przeprosiła i poszła zobaczyć się z ojcem. Mógł już siadać i czuł się odrobinę lepiej. Natalie usadowiła się w fotelu obok, z lekko skrzyżowanymi nogami, elegancka i opanowana.

- Jenny? - Allen patrzył na nią zaniepokojony.
- Nic mi nie jest. - W możliwie najkrótszy sposób opowiedziała im o ostatnich wydarzeniach. Słuchali uważnie, nie spuszczać z niej wzroku.
- Czy to Russell? - spytał ojciec, kiedy skończyła.
- Co takiego? - Pokazał na jej twarz.
Dotknęła policzka i poczuła pod palcami rosnący obrzęk w miejscu, gdzie ją uderzył.
- Och...
- Oby zgnił w piekle - mruknął Allen.
- Nie powiedział nam, gdzie jest Rawley. Nawet Benny nie mógł go do tego zmusić.
- Znajdą go - Allen powtórzył zapewnienia Ortegi. Jenny uśmiechnęła się blado. - Jak się czuje Calgary? - spytał szorstko, jakby dopiero sobie o nim przypomniał.
- Jest w gabinecie zabiegowym.
- Jenny...
- Nie mów mi, co mam o nim myśleć. Sama wiem. Kocham go i nic, co powiesz, tego nie zmieni.
- Uratował ci życie, więc podziękuj mu i na tym koniec.
- Allen - mruknęła z dezaprobatą Natalie.
- Przestań, dobrze? - poprosiła Jenny.
- Dobrze, dobrze. - Podniósł ręce, broniąc się przed dalszymi atakami, a potem opuścił je bezradnie na kolana.
- Hunter Calgary to najlepsze, co mogło mnie spotkać w życiu. Wszystko do tej pory robiłam wbrew jego radom i życzeniom, więc uważa mnie za zepsutą, bogatą panienkę, którą ojciec raz za razem wyciąga z kłopotów. Za pieniądze oczywiście.
- To nieprawda. Od lat sama na siebie zarabiasz, choć wcale mi się to nie podoba.
Jenny się roześmiała. Nie mogła się opanować.
- Nie próbuj teraz przemawiać rozsądnie, po tych wszystkich latach. Robisz mi wodę z mózgu.
Rozbawiona Natalie uniosła brwi. Może nie jest taka głupia, jak to się Jenny przez tyle lat wydawało.
- Chciałbym, żebyś była z kimś, kto na ciebie zasługuje. - Allen wrócił do poprzedniego wątku. - Hunter Calgary uratował cię i uważam, że należy mu się nagroda. Ale nie zmienia to faktu, że jest bezrobotnym eks-gliniarzem. To skończony facet.
Westchnęła. Ojciec najwyraźniej nie zamierzał się zmienić. Zabrała kurtkę, torbę i popatrzyła na niego wymownie. Allen zmarszczył czoło, czując, że coś się święci.
- Zostanie twoim zięciem - powiedziała. - Jeżeli mnie zechce.

- Nie tknąłeś go, mam nadzieję? - pytał Ortega, kiedy już skończyły się badania, zakładanie szwów i bandażowanie. Zauważył niebieskie i fioletowe sińce na gardle Troya.
- Ani trochę - skłamał gładko Hunter. Sierżant chrząknął.
- I tak będzie się skarżył na brutalność policji. Ten typ tak ma.
- Próbował ją zgwałcić. Groził jej pistoletem.
- Świetnie - mruknął, krzywiąc się.
- Benny'emu należy się medal. Mamy coś za odwagę dla psa? - Ortega ponownie chrząknął.
Wyszli razem z sali zabiegowej.
- Masz, kurcze, szczęście - stwierdził sierżant. - O mało nie straciłeś ręki.
Hunter z powagą pokiwał głową, ale przed oczami miał inny obraz. Jak Troy mógł mie-

rzyć do własnego syna? Chwila szaleństwa? Chyba tak. Ale mogła skończyć się tragicznie.

Jenny spotkała ich w holu. Śliczna, ale blada i wymizerowana.

- Jak się czujesz? - spytała Huntera.

- Na prochach przeciwbólowych. Mocna rzecz.

- Wszystko w porządku. - Spojrzenie Ortegi stłumiło jej rosnący niepokój. - Zaczekam, aż Russell wyjdzie z chirurgii. A wy może byście trochę odpoczęli?

Rozstali się przy windach. Hunter i Jenny wyszli na zewnątrz. Ogarnął ich zmierzch. W nienickającym świetle śnieg błyszczał delikatną, błękitną poświatą.

- Wierzę, że Rawley się pojawi. Może uciekł od Troya?

- Sprawdźmy telefon w domu - zaproponował Hunter.

- Ja poprowadzę.

Na automatycznej sekretarce nie było żadnych wiadomości, ale pokazały się trzy połączenia z telefonów o różnych numerach kierunkowych.

- Może to Rawley! - W Jenny znów wstąpiła nadzieja. Benny zastrzygł uszami i powachlował ogonem.

- Ostatni raz dzwonił dziś wcześniej rano - zauważył Hunter.

- Może nie ma teraz dostępu do telefonu?

Zapadła cisza. Mieli sobie tak wiele do powiedzenia, a żadne z nich nie wiedziało, od czego zacząć. Wreszcie Jenny chrząknęła.

- Wiem, że jeszcze trochę kręci ci się w głowie po tym wszystkim, ale pozwól przynajmniej, że cię przeproszę. Powinam była powiedzieć ci, dokąd jadę. Po prostu bałam się, że coś ci się stanie.

Hunter wzruszył ramionami.

- Chciałbym cię o coś spytać... - Urwał. Przypomniał sobie ich zabawne rozmowy w Puerto Vallarta. - Potem ty możesz mnie o coś spytać - dodał z nikłym uśmiechem.

Jenny spojrzała na niego uważnie.

- Słucham.

- Naraziłaś się na ogromne ryzyko. Mogło ci się coś stać. Dlaczego sądziłaś, że będzie mi to obojętne?

Patrzyła na niego, zastanawiając się, czy mówi poważnie.

- Pytasz poważnie?

- Trzymaj się zasad, które sama ustaliłaś. Najpierw odpowiedź, potem pytanie.

Mimo paralizującego strachu o Rawleya uśmiechnęła się lekko.

- Chodziło mi o twoje ramię. Nie chciałam, żebyś wdawał się w szarpaninę z Troyem, bałam się, że cię zrani. Nie mogłabym żyć ze świadomością, że coś ci się stało przeze mnie.

- Potrzebowałaś ochrony - upierał się. - Dlatego twój ojciec mnie zatrudnił na początku. A ja zrobiłbym wszystko, żeby uchronić cię przed Troyem. Ale ponieważ nic mi nie powiedziałaś, mało brakowało, a przyjechałbym za późno.

Położyła palec na ustach.

- Ćśś. Zapominasz o regułach gry. Teraz ja zadaję pytanie. - Przerwała. - A tak, dla przypomnienia, już przeprosiłam.

- Co to za pytanie? - Był udobruchany, ale tylko trochę.

- Nie jestem taka, jak twoja była żona. Wiem, że twoim zdaniem nie mam pojęcia o pieniądze, ale tak nie jest. Tylko nie oczekuj ode mnie racjonalnych działań, kiedy mój syn znika, Bóg wie gdzie. - Rozłożyła szeroko ręce. Była bliska łez. - Ale cieszę się, że przyjechałeś właśnie wtedy - dodała słabym głosem. - Dziękuję.

Hunter wyciągnął do niej lewą rękę. Wtuliła się w niego, słuchała bicia jego serca, szczę-

śliwa, że jest bezpieczny, a on, upojony, bliskością, wdychał jej delikatny zapach. Na razie ich gra się skończyła.

- Myślisz, że Rawley żyje? - spytała w końcu. - Tylko proszę cię, nie kłam.

- Moim zdaniem tak. Sądzę, że to on dzwonił.

- W takim razie gdzie jest teraz?

Hunter oparł policzek na jedwabistych włosach Jenny. Zadawał sobie to samo pytanie.

Jenny nie uwierzyłaby, że może zasnąć, ale choć w mózgu wirowały tysiące myśli, ciału potrzebny był odpoczynek. Spędzili z Hunterem drugą noc na kanapie. Obudzili się dopiero rano.

O dziewiątej zadzwonił telefon.

- Daj mi Calgary'ego - warknął w słuchawkę Ortega, jak zwykle gniewnym tonem.

Hunter zmarszczył czoło.

- Słucham.

- Ten przekłety deszcz znów sprowadził tu twojego menelowatego przyjaciela, który cuchnie jak wysypisko. Zabieraj go stąd. I właściwie pracujesz tu, czy nie? Jeśli tak, to masz być, i to zaraz.

- Muszę zawieźć Jenny do Taos, żeby zabrała swoje volvo.

- No proszę. Pięknie. Wygląda na to, że Russell, niestety, będzie chodził. Też mi postrzał! - roześmiał się szorstko.

- Podjadę i sprawdzę, co z Obiem. - Zawahał się. - Żadnych wieści o chłopaku? - Zauważył, że Jenny zastygła z wzrokiem wlepionym w telefon.

- Ni cholery.

- Co mówił? - spytała, kiedy Hunter odłożył słuchawkę. Pokręcił głową.

- Złamiemy Russella. Będzie gadał.

- Ale każda godzina może oznaczać... - urwała, nie była w stanie dokończyć myśli.

- Jedźmy. Zatrzymamy się na posterunku, zobaczę, co zrobić z Obiem, a potem przeprowadzimy twój samochód.

- Kto to jest Obie? - spytała bez specjalnego zainteresowania.

- Pomyłony staruszek, który nie lubi deszczu.

Śnieg topniał w kałuże. Wciąż padało, ale burza minęła.

- No, chyba z tym koniec do następnej zimy - stwierdził Hunter. -Zwykle nie mamy tu za wiele opadów.

Jenny patrzyła przez boczną szybę dżipa.

- Tak marzyłam o restauracji i nowym życiu. Diabli wszystko wzięli. Teraz liczy się tylko Rawley.

- Znajdziemy go.

- Wróciliby już do domu. Nie pozwoliliby, żebym się denerwowała.

- Nie myśl tak.

- Nie mogę - wykrztusiła.

Hunter wyciągnął okaleczoną rękę i dotknął jej palców. Podniosła na niego zalane łzami oczy; przesunął wzrokiem po sińcach na policzku.

- Kocham cię - powiedział.

Łzy zaczęły kapać na dłonie Jenny. Ona też go kocha, ale Rawleya wciąż nie ma i nie wiadomo, gdzie go szukać. Czy jest sam? Może ranny? Nie mogła znieść tej niepewności.

Obie Loggerfield przytupywał pod drzwiami posterunku. Palce miał skostniałe. Gdzieś

zapodział swoje ponczo, co pogarszało sytuację. Kto w ogóle, do cholery, wymyślił deszcz!

Sierżant stał w wejściu, z rękami opartymi na biodrach, zły jak diabli. Ku zdumieniu Obiego nagle otworzył jedno skrzydło przeszkłonych drzwi i rzucił rozkazującym tonem:

- Dobra, włącz.

- Dziękuję. - Obie z szacunkiem przekroczył próg i stanął, ociekając deszczem i topniejącym śniegiem.

- Tam masz miejsce. - Ortega wskazał mu kawałek podłogi pokryty linoleum, wystarczająco duży, jego zdaniem, dla jednego starego menela.

- Muszę się zobaczyć z detektywem Calgarym - powiedział Obie, ściągając z głowy wełnianą czapkę.

- Po coś tu przyszedł taki kawał? Tylko po to, żeby odwiózł cię z powrotem?

Obie wypiął pierś.

- Mam dla niego ważną wiadomość.

- Tak, jasne. - Sierżant pokręcił głową na widok kałuży rosnącej u stóp Obiego i szybko oddalił się do swojego pokoju.

Jenny siedziała nieruchomo w dziupie obok Huntera. Starła się zająć bieżącymi sprawami i nie myśleć o synu.

- Muszę zadzwonić do Glorii - stwierdziła smutno.

- Wiesz doskonale, że Gloria sama sobie ze wszystkim poradzi. A papierkowa robota poczeka.

- Co będzie, jak już przyprowadzę samochód? - spytała. - Ile godzin muszę czekać aż...

- Troy zacznie gadać - przerwał jej Hunter.

- Nie wiem... - Nawet kiedy miała go na muszce, nie zająknął się na temat tego, gdzie jest Rawley. Wiedział, że mówiła poważnie, a jednak...

Zatrzymali się przecnicę przed posterunkiem. Hunter otworzył drzwi auta i Jenny wysiadła na mokrą ulicę, przeskakując zwały brudnego śniegu, który zebrał się wzdłuż krawężnika.

Hunter przepuścił Jenny w drzwiach. Weszli do środka i uderzył ich nieopisany smród. Zobaczyła ubłoconego człowieka w łachmanach, dygoczącego w przejściu. Stał w kałuży wody, w rękach trzymał brązową, wełnianą czapkę.

- Ortega cię wpuścił? - zdziwił się Hunter. - A gdzie ponczo?

- Musiałem oddać.

- I któż był tym szczęśliwcem?

- Przyjaciel w potrzebie.

Drzwi do pokoju Ortegi były otwarte.

- Zaczekaj tu chwilę - powiedział Hunter i ruchem ręki zaprosił Jenny do środka.

- Muszę panu przekazać pewną wiadomość, detektywie - zawołał Obie.

- Zaraz wrócę i pojedziemy do ciebie. To jest Obie - szepnął Jenny do ucha. - Rozkosz dla nosa.

- Jest bardzo miły - zauważyła. - Oddał ponczo komuś, kto potrzebował go bardziej.

Hunter się uśmiechnął.

- Trudno sobie kogoś takiego wyobrazić. - Zatrzymał się w drzwiach. - Twoje poświęcenie jest naprawdę wzruszające - skomplementował sierżanta.

- Rozczulasz mnie. Zabieraj stąd swojego wonnego kumpla i kup mu jakiś tani płaszcz przeciwdeszczowy.

- Kiedy będę mógł porozmawiać z Russellem?

- Wracasz do pracy?

- To zależy od tego, kiedy zobaczę się z Russellem. – Hunter spojrzał na Jenny.

- On wie, gdzie jest mój syn - wyjaśniła.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panno Holloway. Russell ma spore kłopoty. Postrzelił Huntera w Kalifornii i wywiózł nieletniego do paru innych stanów. - Zaciśnął usta. - Jest jeszcze drugie oskarżenie o porwanie w Nowym Meksyku - skinął głową w stronę Jenny - nie wspominając o usiłowaniu gwałtu i napaści. Detektywi porucznika Perkinsa są już gotowi do przesłuchania. Jesteś z tego wyłączony, Calgary - dodał ostro.

- Z wielu powodów. Jednym z nich jest ta rana.

Jenny przenosiła wzrok z jednego na drugiego, coraz bardziej zaniepokojona.

- Co to wszystko znaczy?

- To znaczy, że nie wolno mi rozmawiać z Russellem - rzucił Hunter.

- Policja nie zamierza narażać się na sprawę sądową - tłumaczył Orte-ga. - Gdyby mogli, trzymaliby Calgary'ego i Russella na przeciwległych końcach Stanów.

- W takim razie kiedy będą z nim rozmawiali detektywi? - dopytywała się Jenny.

- Wkrótce.

Nie wierzyła, że te rozmowy cokolwiek dadzą. Troy nie zrezygnuje z Rawleya. Bo niby dlaczego? Był przekonany, że jak długo w grę wchodzi jego syn, wszystko ujdzie mu na sucho.

Sierżant Ortega chciał jeszcze omówić z Hunterem inne aspekty tej sprawy, Jenny wy-czuła, że powinna poczekać na korytarzu. Dręczyła ją koszmarna świadomość, że ona jest zdrowa i cała, podczas gdy Rawley tkwi nie wiadomo gdzie i nie wiadomo w jakim stanie.

Usiadła na drewnianej ławce. Obie wciąż cierpliwie czekał tuż przy wejściu. Wyglądał na wrażliwego człowieka, który zasługiwał na coś więcej niż sterczenie na kawałku linoleum. Wstała.

- Nie lepiej by było wejść tu i usiąść na ławce?

- Och, sierżantowi by się to nie podobało.

- Pan marznie. Tu w środku jest cieplej. Proszę wejść. - Wyciągnęła do niego rękę.

Obie zawahał się i spojrzał ostrożnie w stronę otwartych drzwi do pokoju Ortegi. Dobie-gające stamtąd stanowcze głosy wyraźnie budziły w nim lęk.

- Proszę wejść - powtórzyła Jenny, leciutko wstrzymując oddech. Obie zamrugał w jasno oświetlonym wnętrzu. Jego włosy wyglądały jak wronie gniazdo. Nie czesał się chyba od lat, a jednak odruchowo założył za uszy sztywne pasma włosów i uniósł podbródek. Nieudolnie ob-cięta broda zwisała nierównymi kosmykami.

A pod nią, na grubej warstwie brudu Jenny zobaczyła naszyjnik ze sztucznymi różowymi perelkami.

Znieruchomiała. Uniosła dłoń do gardła.

- Sk...skąd pan tto ma? - wyszeptwała łamiącym się głosem.

- Niby co?

- Naszyjnik.

- Och! - Uśmiechnął się szeroko. - To od mojego przyjaciela.

- Tego, któremu dał pan ponczo? - Pokiwał energicznie głową. Jenny przelykała ślinę, nie mogła złapać tchu. - Czy ten przyjaciel to młody chłopiec?

- Nie pytałem go o wiek. To nie byłoby uprzejme - odrzekł Obie dumnie.

- Czy ma na imię... Rawley?

- Pani go zna! - Obie był zachwycony.

Jenny zachwiała się. Ogarnęło ją uczucie ogromnej ulgi. Wyciągnęła ręce, żeby złapać równowagę. Obie rzucił się naprzód i ją podtrzymał.

- Panie Calgary! - zawołał.

Hunter zerwał się z krzesła. Zobaczył Jenny lecącą przez ręce Obiego, podbiegł i ostrożnie przytulił ją do siebie.

- Jenny - szepnął, przerażony jej bladością i łzami w oczach. Nie mogła mówić. Wyciągnęła palec w stronę Obiego i dotknęła zupełnie absurdalnego sznurka różowych pereł na jego szyi.

Hunter stał z otwartymi ustami. Pamiętał ten naszyjnik jeszcze z Puerto Vallarta. Jenny mówiła wtedy, że to prezent urodzinowy.

- Masz to od Rawleya Hollowaya - warknął.

- To prezent! - oznajmił Obie. - Prezent, proszę pana! – Jenny kiwała głową.

- On dał Rawleyowi swoje ponczo.

- Co się dzieje? - dopytywał się za ich plecami Ortega.

Ale Hunter pomagał już Jenny wstać i szybko wyprowadzał Obiego za drzwi.

Namiot zasypywany był śniegiem. Hunter zatrzymał się z piskiem opon. Jenny wyskoczyła, zanim zdążył wcisnąć hamulec.

Dobiegła do wejścia, odrzuciła klapę. Rawley podniósł wzrok, krzyknął, rzucił się jej na szyję i ukrył twarz na jej ramieniu. Jenny śmiała się i płakała.

- Kocham cię. O, Boże. Tak tęskniłam. Tak się bałam.

- Próbowałam dzwonić... - wykrztusił. - Ale cię nie było. Bałem się, że on...

- Óśś. Nic nie mów - szeptała, gładząc go po głowie. - Jak się tu dostałeś?

- Gdzie on jest? - W głosie Rawleya usłyszała strach. Hunter wsadził głowę, do namiotu.

- Troy siedzi w policyjnym areszcie - poinformował. Rawley wyswobodził się z uścisku Jenny.

- Nic panu nie jest? - spytał. - Myślałem, że pana zastrzelił. – Hunter wziął głęboki wdech.

- Wszystko ci opowiem. Chcecie kontynuować to spotkanie na niebo świeższym powietrzem?

Rawley popatrzył na brudne ponczo, które pożyczył mu Obie.

- Chyba się do niego przyzwyczaiłem - powiedział, zdejmując je. - Dziękuję panu - dodał uroczyście.

- Zatrzymaj je sobie - zaproponował wspaniałomyślnie Obie.

Udało im się przekonać Obiego, że ponczo przyda się mu bardziej niż Rawleyowi. W drodze do domu chłopak siedział z tyłu, z Jenny. Obejmował ją mocno i opowiadał, jak uciekł Troyowi i co się zdarzyło potem.

- Zwiąłem mniej więcej godzinę po tym, jak przejechaliśmy z Kalifornii do Arizony. Po prostu biegłem i biegłem przed siebie. W końcu zatoczyłem łuk i wróciłem na szosę. Podwiózł mnie kierowca ciężarówki. Nie czułem się najpewniej, zatrzymując samochody. Wiem, że to niebezpieczne, mam, ale wszystko było lepsze, niż znów wpaść w łapy Troya.

Potem, koło Phoenix, zabrałem się z dwoma facetami, którzy jechali ciągnikiem z przyczepą. Później z jakimś dziadkiem, który ledwo trzymał się na nogach. Musiałem nauczyć się prowadzić - dodał poważnie. - Natychmiast. To znaczy, przez pół drogi trzymałem kierownicę, żebyśmy nie zjechali z pasa.

- Jak to dobrze, że nic ci się nie stało - powiedziała Jenny.

- A potem dojechaliśmy do Nowego Meksyku i przeraziłem się, że on mnie znajdzie. O wszystkich się bałem. - Rawley rzucił okiem na prowadzącego ze stoickim spokojem Huntera.

- Więc kiedy rozpoznałem wzgórze, wysiadłem i poszedłem szukać Obiego. Obiecał mi, że sprowadzi Huntera. Domyślałem się, że żyje, bo powiedziałaś mi wtedy przez telefon, że

dzwonił. - Gwałtownie złapał powietrze. - To on? - spytał, patrząc na siniaki Jenny.

- Nie wyszedł z tego bez szwanku - pocieszyła go. Twarz Rawleya pociemniała.

- Zabiję go.

- Nie jesteś pierwszy w kolejce - wtrącił Hunter. - Musiałbyś poczekać.

Kiedy dojeżdżali do Santa Fe, Jenny roześmiała się nagle.

- Pojedźmy na twoje ranczo, Hunter. - Rawley nastawił uszu.

- Ranczo?

- Masz ochotę? - upewniał się Hunter.

- Gdzie jest Benny?

- Zabierzemy go po drodze - obiecała Jenny.

Godzinę później cała czwórka wyskakiwała z dżipa na szybko topniejące resztki śniegu. Benny czekał radośnie, pędząc wzdłuż ogrodzenia. Jenny z trudem oderwała się od syna, ale Rawley chciał pobiegać z psem.

- To się nazywa młodzieńcza zdolność regeneracji - powiedział Hunter, otwierając drzwi.

Rozpalał ogień na kominku. Jenny stanęła na środku pokoju.

- Tu jest bardziej domowo - tłumaczyła nieprzekonująco, dlaczego wolała przyjechać raczej tutaj niż do swojego mieszkania.

- Ale niezbyt wytwornie.

- Podoba mi się. Właśnie tak jak jest - zapewniła zdecydowanie.

- To dobrze. - Popatrzyli sobie w oczy.

- Powiedziałeś mi, że mnie kochasz - zaczęła Jenny z wahaniem - a ja nie byłam w stanie powiedzieć, co czuję do ciebie. - Przełknęła ślinę. - Nic się nie zmieniło?

- Minęło dopiero kilka godzin.

- Wiem. Ale wciąż czujesz to samo? - spytała jeszcze raz.

- Tak.

Uśmiechnęła się. Tak bardzo go kochała. I nagle chciała mu to powiedzieć, póki nie umknie ta jedyna chwila.

- Więc? - mruknął Hunter wyczekująco.

- Ja też cię kocham - powiedziała po prostu, a kiedy Hunter otworzył ramiona, wpadła w jego mocny uścisk.

Dotykał nosem jej ucha.

- Jeśli czujesz się tu tak domowo, sądzisz, że mogłabyś tu mieszkać?

- Tak - odpowiedziała szybko i radośnie. - Ale czy ty możesz żyć z kimś, kto odziedziczył... tyle, co ja?

- Pół Nowego Meksyku, pół Teksasu i połowę Arizony?

- Moim zdaniem jest to tylko ćwierć Teksasu - sprostowała. Roześmiał się.

- Szczerze mówiąc, nie.

- Nie?

Rozłożył ręce.

- Rozejrzyj się. Nie chcę tego zmieniać.

- Ja też nie!

- To co zrobisz z taką masą pieniędzy?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Może porozmawiam z ojcem o jakichś celach charytatywnych. Właśnie. Oddam jak najwięcej. - Jenny jakby nagle odkryła w sobie coś, co od dawna na to czekało. Uciekała sama przed sobą. Nie chciała być córką Allena Hollowaya. Ale to nie mogło się udać. Musi podjąć

obowiązki, do których się urodziła, bez względu na to, czy jej się to podoba, czy nie.

- Czy teraz moja kolej na pytanie?
- Nie mam pojęcia - uśmiechnęła się.
- Wyjdiesz za mnie?

Zaskoczył ją całkowicie. Udawała, że się namyśla.

- No... nie wiem. Mam piętnastoletniego syna i psa. Myślisz, że to wytrzymasz?
- Hm... - Potarł brodę, a potem popatrzył na nią rozbawiony. Uścisnęła go mocno, pamiętając o zranionej ręce. - Sądzę, że mógłbym zaryzykować.
- W takim razie odpowiedź brzmi: zdecydowanie tak. - Jenny zadarła do góry brodę. Usta Huntera delikatnie dotknęły jej warg.

Kiedy Rawley i Benny wchodzili do domu, płomienie na kominku żwawo obejmowały stos sosnowych polan, a Jenny i Hunter, przytuleni, grzali się przy trzaskającym ogniu. Jak przestępcy przyłapani na gorącym uczynku odskoczyli od siebie na dźwięk otwieranych drzwi.

Rawley, niczego nie zauważywszy, przyłączył się do nich.

- O Boże, Rawley, weź prysznic. - Jenny pociągnęła nosem. Chłopak pachniał dokładnie tak samo, jak Obie.

- Mnie też by się przydało - stwierdził Hunter. - Przygotuję ci coś czystego do ubrania.

Jenny była szczęśliwa. Wykorzystała nieobecność mężczyzn, żeby sprawdzić zawartość lodówki. Poczła nagle wilczy głód. Zjadłaby wszystko, co nawinęłoby się jej pod rękę. W końcu przygotowała grzanki z serem i podgrzała puszkę zupy z kurczaka.

Rawley pojawił się pierwszy, tonął w pożyczonych od Huntera ciuchach. Miał mokre włosy i ponurą minę.

- Coś nie w porządku? - zapytała z bijącym sercem.

- Widziałem jego rękę.

- Och... Miał szczęście. - Przez chwilę pomyślała, jak czułaby się, gdyby Hunterowi coś się stało i pokręciła głową. - Wszyscy mieliśmy szczęście.

Rawley nie odpowiedział. Spróbowała namówić go na grzankę. Kilka minut później siedzieli już we trójkę. Hunter, przebrany, z wilgotnymi włosami, wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Nie jest to wprawdzie wykwintne przyjęcie, ale przynajmniej coś ciepłego - powiedziała, stawiając na sosnowym stole talerze z zupą.

Hunter spojrzał na nią.

- Jest idealnie - powiedział po prostu.

- Dziękuję, Hunter - odezwał się Rawley, patrząc w stół.

Jenny spojrzała na niego zdziwiona. Brzmiało to bardzo poważnie.

Hunter wziął do ręki łyżkę. Obracał ją w palcach i patrzył na spuszczoną głowę, chłopca. Najwyraźniej wiedział o czymś, o czym nie miała pojęcia, bo tylko wzruszył ramionami.

- Cieszę się, że nic ci nie jest.

- Czy o czymś nie wiem? - spytała. Rawley podniósł na nią wzrok.

- Mój ojciec... - Zmienił zdanie. - Troy celował we mnie z pistoletu - powiedział. - Zastrzeliliby mnie, gdyby Hunter nie rzucił się, żeby mnie ratować.

Jenny patrzyła na nich bez słowa. Hunter widząc jej spojrzenie, pokręcił tylko głową.

- Nie wyobrażaj sobie za wiele.

- Za wiele! - powtórzyła. - Uratowałeś życie mojemu synowi. Mogłeś zginąć.

- Ale nie zginąłem. Jesteśmy wszyscy razem. I całe szczęście, że oświadczyłem ci się wcześniej, bo jeszcze zgodziłabyś się z wdzięczności - dodał swobodnym tonem, zabierając się do jedzenia.

Rawley aż podskoczył.

- Mamo, wyjdiesz za Huntera?!

- Tak.

Zamrugął kilka razy, odłamał kawał grzanki i cisnął Benny'emu, który tylko kłapnął szczęką. Rawley mieszał łyżką zupę i uśmiechał się.

- Będę drużbą?

- No, nie wiem. Ty albo Obie - powiedział Hunter, szczerząc zęby. Rawley popatrzył na niego z sympatią.

Epilog

Dwa tygodnie później Jenny przewiozła większość swoich rzeczy na rancho. Rawley wrócił do szkoły, a Hunter do pracy w policji w Santa Fe, ku wielkiemu zadowoleniu sierżanta Ortegi. Przepowiednie Huntera, że Gloria sama świetnie poradzi sobie z prowadzeniem restauracji i nie tylko, sprawdziły się w stu procentach. Jenny poczuła się niepotrzebna i po raz pierwszy się z tego cieszyła.

Tego wieczoru Huntera przywitał w domu Benny, w meksykańskim kapeluszu na łbie.

- Co jest grane, psie? - spytał nieco zdumiony. Benny patrzył na niego żałośnie. - Wyglądasz beznadziejnie.

Ktoś rozwiesił wokół kominka małe lampki, a kanapę okrywało kolorowe *serape* - wełniany latynoski szal.

- Co się dzieje? - spytał Jenny, ubraną w białą, chłopską bluzkę i barwną spódnicę. - Piąty maja jest w tym roku wcześniej?

- Odtwarzam jak potrafię Puerto Vallarta - odparła. - Rawley będzie dziś w restauracji dłużej. Gloria go, zdaje się, potrzebuje...

- Rozumiem... - Puścił do niej oko, biorąc z jej dłoni piwo. Tręcili się butelkami. - To już nie margarity?

- Nie mogę na nie patrzeć po tej wyprawie i po drinkach Magdy tamtego wieczoru. Za dużo tequili. Siadaj. - Zaprosiła go gestem na kanapę.

Usiadł. Jenny włączyła pilotem wideo. Chwilę później na ekranie zamigotał stary film.

- *Noc iguany* - powiedziała.

- A ja myślałem, że na tej kanapie zajmiemy się czymś innym. - Hunter przyglądał się jej bluzce zsuniętej z jednego ramienia. Palcami lekko odchyłał gumkę.

Uniosła brwi.

- A do czego, twoim zdaniem, służy *serape*?

Uśmiechnął się. Usta Jenny były zbyt ponętne, by tego nie wykorzystać. Nachylił się do nich i szepnął:

- *Ole!*...